

I. "Bolszewik w Galicji".

W końcowej fazie I wojny światowej - dokładnie latem 1918 r. - moi rodzice, właściciele chłopskiego gospodarstwa w Biłce Królewskiej położonej 20 km na wschód od Lwowa, kupili od Jerzego Rozwadowskiego w sąsiednim Mikłaszowie - 14 km na wschód od Lwowa - grunt z folwarcznym domem mieszkalnym - a swój grunt w Biłce sprzedali innemu gospodarzowi. W podobny sposób postąpił mój stryj. Na zamiar przesiedlenia się do innej miejscowości wpłynął fakt, że grunty nabyte od Rozwadowskiego mimo doskonałej klasy były o połowę tańsze od gruntów sprzedanych w Biłce a nadto były w jednym kawałku i blisko domu. W ten sposób gospodarstwa w nowej miejscowości miały drugi raz tyle morgów co gospodarstwa w poprzedniej miejscowości. W taki to sposób chłopskie marzenie, by posiadać jak najwięcej morgów/morg = 56 arów/ spełniło się. Marzenia tego nie maćilo to, że grunty nabyte na skutek wojny leżały odłogiem ani nawet to, że poza dużym domem mieszkalnym, murowanym, krytym blachą cynkową, nie było budynków gospodarszych, bo te latem 1915 r. cofające się wojska rosyjskie spaliły w ramach powszechnie stosowanej taktyki barbarzyńskiej niszczenia gospodarstw folwarcznych, fabryk i obiektów wojskowych.

Dopiero w maju 1919 r. rodzice i stryj zamieszkali w Mikłaszowie, bo wcześniej nie mogli przenieść się z powodu polsko - ukraińskich walk w rejonie Lwowa.

Latem 1920 r. - w siódmym roku życia stałem się już "siłą roboczą" w gospodarstwie rodziców, gdyż spadł na mnie obowiązek pasienia krów, których zwykle było więcej niż ja miałem lat. Niewątpliwie w domu starsi - zwłaszcza ojciec i stryj - zajmowali się nie tylko pracą w gospodarstwie, ale także tym, co dotyczyło spraw polskich, ale ja z racji wieku i z racji zajmowania się krowami przebywającymi poza domem to jest na gruntach przeznaczonych na pastwisko, nie mogłem wiedzieć, że od wschodu nadoiła nawała bolszewicka. Prawda ta dotarła do mojej chłopięcej świadomości dopiero wtedy, gdy któregoś lipcowego dnia u nas zatrzymało się na krótki postój w drodze do Lwowa kilka wozów z dobytkiem ruchomym rodziny polskiej - przypuszczalnie ziemiańskiej - uchodzącej ze wschodu przed bolszewikami. I wtedy małe rozumiałem odwieczny tragizm ludności polskiej uchodzącej przed wschodnimi najazdami. Mnie wtedy bardziej w oczy wpadły ubiory "pańskie" uchodzących przed bolszewikami ludzi.

funkcjonowanie pierwszy raz w życiu widzianego samowara, a także indyki, bo u nas ich wtedy nie było. Po tym wydarzeniu w moim umyśle zaczęły utrzymywać się i inne informacje o toczącej się wojnie.

Wreszcie któregoś dnia od nas było można widzieć wybuchy pocisków artykeryjskich. Dnia 18 sierpnia 1920 r. - datę ustaliłem później na podstawie twierdzeń rodziców - mój dziadek Andrzej Wojdyła 50 morgowy gospodarz w Białce Królewskiej - przed wieczorem sajechał do nas z inwentarzem żywym i ruchomościami uciekając do Lwowa przed bolszewikami. Odbyła się narada rodzinna, czy dziadek, nasza rodzina i rodzina stryja mają dalej uciekać do pobliskiego Lwowa tak, jak to już raz dziadek uciekał przed Moskalami w 1914 r.. Na naradzie zapadła decyzja, żeby nie uciekać. Przeważały głównie argumenty mego stryja Jana Wojdyły, który tak jak i mój ojciec należał do doskonale narodowo i politycznie uświadomionych chłopów, bo do wybuchu I wojny światowej był członkiem Bruźny Bartoszewej i był po wybuchu tej wojny w tak zwanym Legionie Wschodnim. Najważniejszy argument stryja był taki: Moskale w roku 1914/1915 nie robili krzywdy ludności cywilnej. Zapewne i teraz będą zachowywali się w podobny sposób. Do Lwowa jest tak blisko, że będzie można zdążyć uciec. Front jest dalej, niż ludzie mówią, bo jeszcze nie było widać cofających się polskich oddziałów saperkich, które zwykle wycofują się wcześniej, by budować nowe okopy, a zwłaszcza nowe zasieki z drutu kolczastego. Dziadek został u nas, bo zresztą zapadła noc. Rano wykazały, że argumenty stryja o odległości dużej od frontu nie okazały się trafne, gdyż na Mikłaszów zaczęły spadać bolszewickie pociski artyleryjskie z dział ustawionych w sąsiednich Barszczowicach, odległych o 5 km od Mikłaszowa. W tych warunkach ucieczka z inwentarzem żywym i nieruchomościami stała się niemożliwa. Za kilka godzin Mikłaszów zajęły wojska bolszewickie. Z tą chwilą na wieś zaczęły spadać sporadycznie pociski polskie, bo Mikłaszów był ostatnią wsią, do której dotarły wojska bolszewickie w marszu na Lwów. Jeszcze bardziej nie sprawdził się argument stryja o pozanawaniu ludności cywilnej przez wojska bolszewickie, bo przez cały czas pobytu tych wojsk w Mikłaszowie to znaczy przez dzień 19 i 20 sierpnia 1920 r. zabierano od nas ze sterty owies dla koni i wycięto szablami prawie wszystkie kury nagnane na ogród z posadzonymi ziemniakami. Ogród ten otoczyli kawalerzyści z konnej armii Budiennego i kury nie mogące uciekać z powodu wysokiej naci ziemniaczanej cięli szablami a następnie zabite i przyczepione do pasów - zwykle po kilka - zabrali. Taki

okrutny sposób zabijania kur tak mną wstrząsnął, że długo nie mogłem pohamować płaczu.

Unikałem natomiast bezpośredniego przeżywania najgroźniejszego niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad naszą rodziną a dokładnie nad ojcem. W nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r. z powodu padających w dzień od czasu do czasu polskich pocisków artyleryjskich od strony Lwowa rodzina nasza i stryj, bo dziadek odjechał z powrotem do Błki Królewskiej, przebywała w obszernej piwnicy. Oczywiście my dzieci wynykaliśmy się ciągle z tej piwnicy, by obserwować żołnierzy bolszewickich a nawet wybuchy pocisków. Przed wieczorem w dniu 19 sierpnia przybyła do nas grupa około 20 żołnierzy bolszewickiej piechoty na kwatery. Ci żołnierze z piechoty a zwłaszcza ich dowódca już w średnim wieku byli zupełnie innymi ludźmi w porównaniu z grabieżcami z armii konnej. Ojciec zaproponował im nocleg w naszych izbach ale dowódca drużyny odmówił podając, że mają polecenie, by nocować na dworze. Było ciepło a nasza sterta z sianem dawała możliwość dobrego nocnego wypoczynku. Przed udaniem się na spoczynek nocny żołnierze zjedli kolację przygotowaną przez rodziców, bo widać było, że zaopatrzenie żywnościowe mieli złe. Dowódca drużyny przez dłuższy czas rozmawiał z ojcem i stryjem - zwłaszcza na temat możliwości zdobycia Lwowa przez wojska bolszewickie. Nie ukrywano przed nim przekonania, że Lwów będzie bronił się bardzo skutecznie, gdyż miasto to wytrzymało oblężenie ukraińskich wojsk od listopada 1918 r. do maja 1919 r.

W nocy do naszego domu, który był w połowie także domem stryja wtargnęło kilku ~~kawalerzystów~~ kawalerzystów z armii Budiennego. Splądrowali cały dom zabierając wszystko, co w ich mniemaniu miało wartość użytkową i sprzedażną a na końcu zabrali ojca i prowadzili go nie w stronę wsi a w stronę pola - niewątpliwie w celu zamordowania. Gdy przechodzili z ojcem niedaleko miejsca noclegowego żołnierzy z bolszewickiej piechoty, żołnierze ci poderwani przez ich dowódcę odebrali ojca z rąk kawalerzystów - bandytów. Dowódca - wybawca na resztę nocy zabezpieczył nasz dom wystawiając uzbrojonych wartowników celem niedopuszczenia do ponownego najścia bandytów na dom.

Następnego dnia zapadło postanowienie, że rodziny nasze i stryj na noc udadzą się do jednego Ukraińca mieszkającego niedaleko od nas gdyż po odejściu od nas żołnierzy z piechoty istniało prawdopodobieństwo ponownego nocnego najścia na dom. Przed południem mieliśmy możność przekonania się, jak wspaniale Lwów był przygotowany do odparcia

bolszewickich ataków. Mianowicie w pewnym momencie na odległych od nas o około 10 km wzniesieniach można było zaobserwować zmasowane wybuchy polskich pocisków artyleryjskich. Był to polski ogień zaprzęgowy przed konnymi oddziałami Budiennego próbującym możliwość wdarcia się w polski system obronny. Ogień ten powstrzymał atakującą konnicę. Podobne ataki w tym dniu w naszym polu widzenia nie powtórzyły się. Wiemy z historii, że Budienny, któremu towarzyszył późniejszy Stalin jako komisarz polityczny, rzeczywiście pragnął zdobyć Iwów ale tego nie mógł dokonać, bo natrafił na silną polską obronę na długotrwałe walki nie mógł sobie zaś pozwolić, bo otrzymał rozkaz od Tuchaczewskiego - naczelnego wodza wojsk bolszewickich, by spieszył ze swoją armią w stronę Lublina, bo w tym czasie wojska polskie w słynnej bitwie pod Warszawą - zwanej Cudem nad Wisłą - zadawały bolszewickim najeźdźcom drugoczą klęskę

Koło południa tego dnia Ukraińiec, u którego mieliśmy nocować, przyszedł z pomyślną wiadomością, że wojska bolszewickie zaczęły wycofywać się na wschód. Przed wieczorem jeszcze raz przyszedł ten Ukraińiec z zapewnieniem, że ~~Wkrótce~~ bolszewicy opuścili Mikłaszów. Mogliśmy noc spędzić spokojnie w domu. Następnego rana do Mikłaszowa wkroczyły wojska polskie. Front od nas oddalił się. Straciliśmy większość owsa, kury, wiele przedmiotów i najlepszego konia zabranego przez bolszewików.

Później - z nastaniem zimy - widziałem wojska polskie wracające ze zwycięskiej dla nas wojny. Boże Narodzenie 1920 r. spędziliśmy razem z polskimi żołnierzami, którzy u nas zatrzymali się na kwaterze. W tym czasie już umiałem czytać, mimo że do szkoły nie chodziłem. Czytać nauczył mnie ojciec. Pierwszą poza elementarzem książką do czytania był dla mnie kalendarz wydany na rok 1920. Były w nim ilustracje. Szczególnie spodobała mi się w tym kalendarzu rycina historyczna przedstawiająca żołnierza bolszewickiego cudacznie ubranego w różnego rodzaju części garderoby. Pod ryciną był napis: "Bolszewik w Galicji"

Po latach uświadomiłem sobie wymowę ~~zmyślnych~~ widzianych przeze mnie wydarzeń z 19 i 20 sierpnia 1920 r. Bezgraniczne umiłowanie wolności i bohaterstwo narodu polskiego ocaliły Polskę a może i Europę przed obłądną ^{ideologią} polityką bolszewicką w służbie wielkomocarstwowej zaborczości rosyjskiej.

W ciągu 5 lat - od 1915 r. do 1920 r. na ogromnych obszarach imperium carów rosyjskich zaistniały głębokie przeobrażenia. Miejsce carów zajęli nowi władcy despotyczni śadni panowania nie tylko nad ludźmi carskiego imperium ale nad całą Europą a nawet nad światem. Podległą sobie ludność potrafili

nowi władcy ujął jeszcze mocniej niż robił to reżim carski i zaprasza tę ludność do realizacji swoich celów despotycznych, w tym także do nowych podbojów. Ujarzmienie ludności było o tyle łatwiejsze, że ludność od wieków była przyzwyczajona do tego, że o jej losach decydowali wtedy władcy, którzy z łatwością znajdowali chętnych do pełnienia roli nadzorców nad biernymi na ogół masami ludności. Nadzorcy mieli satysfakcję brania udziału w panowaniu nad innymi. Nadzorcy korzystali z łepszych warunków życia a także z jakichś możliwości bezkarnego działania. Przywileje zapewnione nadzorcom zwabiły w ich szeregi wszelakiego rodzaju przestępców. Większość ludności jeszcze zachowywała podstawowe zasady etycznego postępowania. Ujawniło się to w nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r., gdy piechurzy bolszewicy wydarli mego ojca bandytem bolszewickim z armii Budiennego.

Chyba trafnie przypuszczali mój ojciec i stryj, że spośród Ukraińców Mikłaszowa ktoś mógł podsunąć bolszewikom Budiennego pomysł zamordowania ojca jako rzekomego "pomieszczyka" /właściciela ziemskiego/. Ogromna większość ludności ukraińskiej była niechętnie ustosunkowana do najeźdźców ze wschodu jak to wynika z podanej już chęci udzielenia schronienia naszym rodzinom. W ciągu minionych 5 lat bardzo zmienił się stosunek ludności ukraińskiej Mikłaszowa do Moskali. Gdy w roku 1915 wojska rosyjskie miały się wycofać z Galicji, chyba czwarta część ludności Mikłaszowa dobrowolnie wyjechała na wschód, skąd dopiero wróciła po klęsce Rosji w wojnie z państwami centralnymi. Tych sympatyków Rosji nazywano moskalofilami. W 1920 r. moskalofile wśród ludności ukraińskiej prawie zanikli a zwolennicy ideologii bolszewickiej byli tylko sporadyczni.

II. Związek Radziecki ^{Widziany} ze Lwowa w latach międzywojennych

Po pokoju ryskim to jest po ustabilizowaniu się granicy polsko-radzieckiej społeczeństwo polskie w rejonie Lwowa bardzo mało interesowało się tym, co się działo w Związku Radzieckim. A powinno było żywe interesować się wschodnim sąsiadem chociażby z następujących motywów : 1/ poza wschodnią granicą pozostało bardzo dużo ludności polskiej, 2/ sąsiad wschodni tworzył na terenie Polski swoje agentury z zamiarem unicestwienia Polski jako państwa niepodległego.

A los ludności polskiej w Związku Radzieckim był bardzo ciężki. Władze radzieckie zmierzały do likwidacji ludności polskiej poprzez jej wysiedlanie w głąb Związku Radzieckiego i poprzez wynarodawianie. Niektórym Polakom udawało się przedostać nielegalnie poprzez granicę i ci przynosili wiadomości o ciężkim położeniu ludności polskiej w Związku Radzieckim. Wiadomościem tym nie dawano rozgłosu i dlatego w szerszych kręgach społeczeństwa w wolnej Polsce nie zajmowano się tymi wiadomościami. Żywsze zainteresowanie tymi wydarzeniami u wschodniego sąsiada było w prasie polskiej w dwóch okresach : 1/ w czasie wielkiego głodu wywołanego w wyniku poczynań kolektywizacyjnych oraz 2/ w czasie wielkich procesów mających na celu likwidację rzeczywistych i domniemych przeciwników jedynowładztwa Stalina.

Agenturami radzieckimi w Polsce na ogół zbyt mało nie przejmowano się. Uważano, że niechęć Polaków do Związku Radzieckiego jest tak duża, że do tajnych organizacji komunistycznych tworzonych przez ten Związek uświadomieni narodowo Polacy nie dadzą się wciągnąć. Dość szybko stwierdzono, że radzieckimi apostołami komunistycznych ideałów są w ogromnej większości Żydzi i tę okoliczność niektóre ugrupowania polskie a zwłaszcza obóz narodowy /endecja/ wykorzystywały jako argument przemawiający za koniecznością ograniczenia przewagi Żydów w handlu, przemyśle i niektórych wolnych zawodach.

Dość duży wpływ na postawę polskiej ludności wobec Związku Radzieckiego miał pogląd obozu narodowego z Romanem Dmowskim na czele, że Związek Radziecki w okresie międzywojennym wydawał się mniej groźny dla Polski aniżeli Niemcy - zwłaszcza Niemcy hitlerowskie. W obozie narodowym liczone między innymi, że Związek Radziecki będzie musiał koncentrować swoje wysiłki na Dalekim Wschodzie, by sprostać narastającej potęgze Japonii.

W okresie

W okresie NEP -u/nową ekonomiczną polityką/ w Związku Radzieckim sytuacja ekonomiczna ludności tak wyraźnie poprawiła się, że wiadomości o tej poprawie dotarły pod Lwów. I wtedy to w pewnych biedniejszych kręgach ludności ukraińskiej znachodzili się ludzie, którzy nielegalnie przedostawali się z Polski do Związku Radzieckiego. W latach wielkich procesów /1937r./ wielu z tych entuzjastów Związku Radzieckiego zginęło lub dostało się do łagrów jako potencjalni agenci Polaki. Do wielkich procesów ci uchodzący z Polski na ogół nie odważali się na nawiązanie korespondencyjnej łączności ze swymi rodzinami pozostałymi w Polsce.

Uczęszczałem w latach 1926- 1933 do lwowskiego gimnazjum. Nie było wśród kolegów Polaków zwolenników Związku Radzieckiego. Zdarzali się tacy zwolennicy wśród kolegów Żydów ale z tym się mocno kryli. Miał na ten temat jakieś informacje dyrektor nasz, bo kiedyś na zebraniu powiedział tonem stanowczym, że ci, którym nie odpowiada typ naszej cywilizacji, mają z Polski drogę-otwartą do innej cywilizacji. Zaraz po maturze został aresztowany kolega Żyd - Henryk Finel. Widocznie zajmował w komunistycznych organizacjach wysokie stanowisko, bo został skazany na 10 lat więzienia. Takie wyroki zapadały na tych, którym udowodniono kierowniczą rolę w działalności zmierzającej do oderwania terytorium na rzecz Związku Radzieckiego. Mieszkając w lwowskiej burżuazji, stwierdziłem, że jeden z kolegów uczęszczający do innego gimnazjum miał podejrzane kontakty. Uważałem, że zajmuje się szerzeniem ideologii komunistycznej. Nikogo nie informowałem o moim spostrzeżeniu. W czasie studiów uniwersyteckich, lata 1935 - 1939, podejrzewałem jednego robotnika z Białki Królewskiej, że należąc do Wici, jest członkiem "jasejki" /komórki/ komunistycznej. Moje podejrzenie było trafne, bo podejrzany potwierdził to w czasie wojny, gdy rozczarował się po zobaczeniu rzeczywistości komunistycznej.

Będąc studentem i zwolennikiem obozu narodowego interesowałem się także sprawami ukraińskimi. Dziwiłem się, że organizacje ukraińskie a w szczególności tajna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów /OUN/ zaciekle zwalczają Polskę, natomiast nie zajmują się skutecznie terenami właściwej Ukrainy w Związku Radzieckim. Na zagadnienie to szczególną uwagę zwrócił 15 sierpnia 1938 r. redaktor "Dziennika Narodowego" - Stefan Sacha na wielkim wiecu we Lwowie. Przemawiając z balkonu Teatru Wielkiego zwrócił się także do Ukraińców w taki sposób /cytuje z pamięci/ "A teraz zwracam się do was, politycy z Cerkwi Św. Jura. Czego wy chcecie? Wyobraźmy sobie, że my Polacy stąd się wynieśliśmy. Przecież wy bez nas nie zostaniecie sami ani przez 24 godziny, bo na nasze miejsce wejdzie

Związek Radziecki

Te straszne słowa prorocze spełniły się 17 września 1939 r.

III "Wyzwolenie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi"

Wiosną 1939 r. prelegenci polskich organizacji narodowych otrzymali instrukcję, by na obsługiwanych przez nich zebraniach przygotowywać ludność do ewentualności wybuchu wojny w związku z agresywnymi poczynaniami Niemiec hitlerowskich. Politycy jeszcze łudzili się, że na Zachodzie, że uda się zapobiec wojnie. Ich złudzenia przekreślił Związek Radziecki kierowany przez Stalina zawierając porozumienie z Niemcami hitlerowskimi w sprawie podziału Europy na strefy wpływów niemieckich i radzieckich - w tym na rozbiór Polski. Mając takie porozumienie, mając takiego sojusznika jak Związek Radziecki, Hitler zaczął wojnę 1 września 1939 r. atakami na Polskę. Związek Radziecki nieco opóźnił zaatakowanie Polski, bo jego wojska wkroczyły do Polski 17 września 1939 r.

Ja z bratem Józefem i z jeszcze kilkoma mieszkańcami Mikłaszowa ruszyliśmy wieczorem 12 września 1939 r. w stronę południowo - wschodnią z zamiarem przedostania się do Rumunii. Doszliśmy dnia następnego do Przemyślan - oddalonych o około 60 km od Lwowa. Tam od kolegów dowiedzieliśmy się, że wojska polskie i ludność Lwowa postanowiły stawić opór wojskom niemieckim, które podeszły pod Lwów 12 września. Mając informacje o tym, że Lwów będzie się bronił, zawróciliśmy z drogi dnia 14 września i dotarliśmy do Mikłaszowa. Do Lwowa już nie mogliśmy dostać się, bo miasto zostało otoczone przez wojska niemieckie. W kilka dni później bo 19 września pod Lwów podeszły radzieckie oddziały pancerne. Wkrótce obrońcy Lwowa poddali miasto wojskom radzieckim. Nastąpił w ten sposób "wyzwolenie Zachodniej Ukrainy"

Władze radzieckie z miejsca przystąpiły do wprowadzania swoich "porządków". Ostatecznym celem tych "porządków" miało być zniszczenie polskości na zajętych terenach. Zaczęło się od potraktowania żołnierzy polskich jako ~~nie~~ jeńców wojennych, mimo że oddziały polskie nie walczyły z wojskami radzieckimi. Spośród jeńców wybrano oficerów, którzy przeważnie znikli raz na zawsze a część ich znaleziono pomordowanych w Katyniu. Ogłoszono rejestrację wszystkich oficerów. Zarejestrowanych również aresztowano. Los ich był przeważnie podobny jak tych, których wybrano spośród jeńców.

Już w jesieni 1939 r. zlikwidowano większe gospodarstwa polskie rozdając ziemię "wiejskiej biedocie". W ten sposób zlikwidowano także gospodarstwo mojej matki /ojciec zmarł w 1928r./zostawiając jej kilka morgów. Pozostawienia tych kilku morgów domagała się właśnie ta ukraińska "biedota wiejska". Później okazało się, że zabranie matce gospodarstwa ocaliło ją przed wywózką na Sybir, gdyż nie była już na spisie tych rodzin, które miały domy na gruntach nabytych od obszarników - nie była "osadnikiem", bo miała już grunt przydzielony przez "sielradę".

Przygotowania do wywózki polskiej ludności z wiejskich miejscowości były prowadzone w tak wielkiej tajemnicy, że zabieranie tej ludności z domów i ładowanie do wagonów towarowych w jednym dniu było całkowitym zaskoczeniem a jednocześnie odczute przez wszystkich jako straszna potworność, zwłaszcza, że zabieranie odbywało się w warunkach surowej zimy. Z Mikłaszowa w tym dniu zabrano i załadowano do wagonów towarowych w sąsiednich Winnikach następujące rodziny : mego stryja Jana Wojdyły - 8 osób, dwie rodziny Pecuchów i jedną rodzinę Łęski. Żony Pecuchów - Ukraińców - były wprawdzie z metryki Polkami ale nie miały łączności z polską ludnością Mikłaszowa. Rodzina Łęski uważana była za ukraińską. Zabrano do wywózki i te trzy rodziny dlatego, że przy robieniu wykazów rodzin mieszkających na gruntach pofolwarcznych "aktyw" ukraiński w Mikłaszowie nie był zorientowany, do jakich celów robiono wykazy. Z rodziny mego stryja zostawiono żonę mego brata stryjecznego wraz z dwojgiem małych dzieci, gdyż była jeszcze słaba po urodzeniu dziecka. Jak już zaznaczyłem, moją matkę, dwóch braci oraz dwie siostry zostawiono, ale mnie miano zabrać, bo o mnie pytano i zabrano moją fotografię. Nie zastano mnie w domu matki, bo ja po zawarciu związku małżeńskiego w dniu 12 września 1939 r. przebywałem po kilka dni u matki a po kilka dni u teściowej w Winnikach, gdzie żona stale mieszkała. Właśnie w dniu wywózki byłem w Winnikach a dokładnie w lesie winnickim zajęty przy wycinaniu zbędnych drzewek młodych chcąc w ten sposób uzyskać materiał opałowy. Moja rodzina z Mikłaszowa po zorientowaniu się, że ja zostałem przeznaczony do wywózki, wysłała młodego chłopca Stasia Juszcyszyna do Winnik, by mnie ostrzec przed grożącym mi niebezpieczeństwem. Żony moja Maria odnalazła mnie w lesie. Wróciłem z nią do jej domu, zabrałem zapasową bieliznę i pieszo udałem się do odległego o 9 km Lwbwa, by tam szukać schronienia. Skierowałem się do kolegów zajmujących jeden obszerny pokój w mieszkaniu byłego pracownika bankowego p. Bilińskiego przy ul. Karpińskiego 17.

Koledzy, którym przewodził Julian - Stanisław Rojek, przyjęli mnie bardzo serdecznie jako jeszcze jednego zagrożonego rozbitka, bo oni wszyscy a było nas około 8 - byli też rozbitkami - przeważnie z tarnopolskiej podchorążówki. Podałem liczbę "około 8", bo stan stale zmieniał się. Większość mieszkańców pokoju zmieniała się. Większość mieszkańców pokoju pochodziła z Tarnopolszczyzny. W swoich rodzinnych stronach nie mogli przebywać, bo byli zagrożeni aresztowaniami i jako absolwenci podchorążówki i jako czynni członkowie obozu narodowego. W mieszkaniu p. Bilińskiego uzyskali pokój, bo młody Biliński był ich kolegą z podchorążówki.

Żeby nie żyć bez celu z dnia na dzień, po nawiązaniu przez Rojka kontaktu z podziemną polską organizacją wojskową a także z podziemnym kierownictwem Stronnictwa Narodowego zaczęliśmy wydawać biuletyn informacyjny, w którym najważniejszą rolę spełniały wiadomości radiowe nadawane z zagranicy w języku polskim. Biuletyn ten w formie maszynopisów rozprowadzaliśmy we Lwowie i w innych miejscowościach Małopolski Wschodniej. Pracę tę traktowaliśmy jako tymczasową, gdyż wszyscy zamierzaliśmy na wiosnę przedostać się na Węgry a stamtąd do wojska polskiego na zachodzie.

IV. Nieudana próba przedostania się na Węgry w kwietniu 1940 r.

Pod wiosnę 1940 r. inicjatywę w sprawie przejścia przez granicę węgierską przejął Kazimierz Partyka, znany mi ze wspólnej pracy w redakcji "Słowa Narodowego" we Lwowie przy ul. Mochneckiego - on jako zawodowy młody dziennikarz - a ^{ja} jako pomocnik w wymiarze 1 godziny dziennie przy redaktorze Marianie - Emilu Rojku. Gdy pod wiosnę spadła na Lwów klęska wywózki Polaków, poczuliśmy się zagrożeni na dobre w naszej kwaterze. Trochę rozbiegliśmy się nie tracąc kontaktu. Ja ohyłkiem zamelinowałem się w mieszkaniu mojej żony w Winnikach.

Przyszedeł początek - bardzo ciepły początek - kwietnia 1940 r. I wtedy wpadł do mnie mój brat cioteczny Piotr Dąbek z Bilki Królewskiej z wiadomością, że w następnym dniu ostatni termin naszego wyjazdu ze Lwowa do Doliny, gdzie wieczorem na stacji będzie na nas czekać łącznik. Przed nastaniem godziny policyjnej dostaliśmy się pieszo z Winnik do Lwowa a rano następnego dnia z dworca głównego wyjechaliśmy w stronę Stanisławowa wioząc ze sobą suchy prowiant na parę dni i dwa rewolwery nie bez strachu.

W Stanisławowie obaj z bratem ciotecznym dosyć długo czekaliśmy na pociąg odchodzący ze Stanisławowa do Doliny. Uznałem, że oczekiwanie bezpieczniejsze będzie nad rzeką w pobliżu elektrowni, tym bardziej, że było bardzo ciepło i słonecznie. Ten strach przed spodziewaną w pociągu rewizją zwyciężył moje przywiązanie do broni. Uznałem, że rewolwery /kaliber 7,65 i 6,32/ niewiele pomogą nam w ewentualnej walce w górach. Zakopaliśmy te rewolwery nad brzegiem rzeki w takim miejscu, byśmy je mogli znaleźć z zamkniętymi oczami po szczęśliwie zakończonej wojnie. Wbrew memu strachowi rewizji w pociągu nie było.

Tuż po zachodzie słońca znaleźliśmy się przed stacją w Dolinie, gdzie na nas czekali dwaj koledzy znani mi z kwatery przy ul. Karpińskiego. Z nimi doszliśmy już przy zmroku w rejon plebanii, gdzie do szosy dochodził zagajnik gęsty z pierwszymi liśćmi zielonymi. Na skraju tego zagajnika była już spora grupa naszych. Po krótkim czekaniu wyruszyliśmy w stronę Wygody przedzierając się ścieżkami po zboczu gór spadających w dolinę rzeki - chyba Świcy - szliśmy po wschodnim zboczu głównie dlatego, że księżyc mniej to zbocze oświecał. Przewodnikiem był młody organista z Doliny. Chyba działał za wiedzą proboszcza księdza Żaka, bo w księżej stodole była melina dla całej grupy dojeżdżającej partiami do Doliny, bądź krótszą drogą poprzez Stryj, bądź dalszą jak my - poprzez Stanisławów. My byliśmy ostatnimi. Połowa grupy została przeprowadzona w nocy poprzedniej.

Nad ranem dotarliśmy szczęśliwie do Żakli - uważanej za ostatnią wieś przed granicą i zamelinowaliśmy się po dojściu do poprzedniej grupy w lesie za wsią na górze, którą Rojek nazywał Zabój. Było nas około 40 w wieku przeważnie 20 - 30 lat. Najmłodszy miał może 14 lat. Był to syn adwokata Heksła z Drohobycza. Ojciec też był. Mieliśmy wśród siebie księdza - kapelana wojskowego pochodzącego prawdopodobnie z okolic Łomży. Całością dowodził Kazimierz Partyka.

Tam w lesie przeleżeliśmy cały dzień, całą następną noc i cały następny dzień. Mówiło się, że czekamy na długą broń, żywność i na połączenie z grupą Blicharskich. Łącznicy nasi - chyba także sam Partyka - schodzili do wsi i z kimś kontaktowali się. Mówiono, że jest kontakt z miejscowym nauczycielem. Doszło do nas, że nauczyciel pojechał do Doliny - chyba po zakup żywności.

Wreszcie po dwóch dniach i jednej nocy - wieczorem w Wielką Sobotę według obrządku wschodniego wyruszyliśmy w góry, by omijając wieś przejść na drugą stronę trochę w kierunku, z jakiego przyszliśmy, skąd po połącze-

niu się z grupą Blicharskich mieliśmy udać się po uprzednim zaopatrzeniu się w długą broń i żywność w stronę granicy.

Partyka uformował kolumnę marszową w ten sposób, że przed nią szli dwaj szperacze, później za nimi na odległość wzrokową dalsi dwaj a następnie cała kolumna. Na skraju lasu ci dwaj najbliżsi kolumny gwałtownie zawrócili i w tym czasie padły strzały. Wszyscy rzućli się do ucieczki w kierunku góry. W tym czasie były rzadkie odgłosy strzałów od strony doliny rzecznej, co świadczyło, że Rosjanie otoczyli górę wiedząc o naszym przebywaniu na niej.

Dla mnie było jasne, że ktoś o nas doniósł. Ktoś mi opowiadał później, że donosicielem był wspomniany wcześniej nauczyciel z Żakli. Słyszałem także, że nauczyciel był pochodzenia niemieckiego. Oczywiście najlepiej o tym mógłby poinformować przewodnik - organista, który jak słyszałem, też został aresztowany i skazany.

Uciekając lasem w kierunku wierzchołka góry natknąłem się na ukrytą w zalemie skalnym grupę 5 osób. Byli to : Serwatko - imienia nie znam - do wojny urzędnik Starostwa w Drohobyczu, Heksel - imienia nie znam - syn adwokata z Drohobycza, Neuman - imienia nie znam - medyk pochodzący z Kamionki Strumiłowej, drugi student, którego nazwiska nie znałem, oraz sędzia z Łomży - kapitan rezerwy, przyjaciel wspomnianego już księdza - kapelana.

W sześciu odbyliśmy krótką naradę operacyjną, w wyniku której na mój wniosek postanowiliśmy uciekać w kierunku przeciwnym do granicy. Wysuwając taki wniosek kierowałem się następującym rozumowaniem. Żywności żadnej nie mieliśmy, co utrudniało możliwość przesiedzenia w jakiejś kryjówce przez kilka dni. Do granicy było wprawdzie tylko około 16 km bezludnych i zalesionych gór, ale liczyłem się z tym, że właśnie od strony granicy będzie największa zapora rosyjskich wojsk. Przypuszczałem, że o wiele słabsza będzie zapora taka od strony przeciwnej. Liczyłem, że z nastaniem dnia Rosjanie rozpoczną przesypywanie góry obstawionej posługując się także psami przeszkolonymi w tropieniu ludzi. Chodził o to, by w ciągu nocy wyjść poza teren, jaki za dnia będzie dokładnie przeszukany.

Jakkolwiek jako człowiek z natury bojaźliwy i ostrożny nie kwalifikowałem się na kierownika operacji w sytuacji zagrożenia, niemniej jednak musiałem stać się komendantem naszej szóstki po to, by po bardzo męczącym marszu całonocnym po zalesionym stoku gór osiągnąć w rano niedzieli wielkanocnej według obrządku wschodniego skraj górskiego lasu

w pobliżu ujścia Mizunki do Świcy. Marsz nasz był równoległy do drogi, jaką dwie noce wcześniej szliśmy w kierunku granicy tylko po drugiej stronie doliny Świcy.

Dalszy marsz w kierunku północnym w ciągu dnia nie był możliwy, gdyż ze skraju lasu widzieliśmy liczne posterunki żołnierzy rosyjskich a nawet całe oddziały wyprowadzone na zajęcia wojskowe. Prowadząca wzdłuż Mizunki szosa była pilnowana także przez konne patrole. Postanowiliśmy czekać do zmroku, by pod osłoną ciemności przejść obok domów szosą, a nie kolejki wąskotorowej, rzeką Mizunką, za którą była góra salesiona to jest dogodny teren i przypuszczalnie nie obstawiony już przez posterunki rosyjskie. Nie znam nazwy wsi rozciągniętej wzdłuż szosy i toru kolejowego. Serwatko twierdził, że wieś tę zamieszkiwała ludność niemiecka ale ludność ta wyjechała za San w ramach porozumienia niemiecko - radzieckiego. Domy w tym czasie były zajęte przez ludność ukraińską ze wsi sąsiednich.

Koło godziny 10 zaczął padać deszcz i zaczęło robić się zimno. W południe nasz obserwator zauważył na szosie kilku ludzi otoczonych przez żołnierzy rosyjskich. Z opisu wyglądało, że byli to ludzie z naszej grupy. Pędzono ich w stronę Doliny.

Głód, wilgoć, zimno i napięcie nerwowe spowodowały w godzinach popołudniowych, że Serwatko, sędzia i związany z Serwatką chłopak Heksel mimo naszych ostrzeżeń wyszli z lasu na szosę z zamiarem dotarcia do Doliny z przekonaniem, że skutecznie wytknącą się w razie zatrzymania tym, że szukali w pobliskiej wsi swoich znajomych. Przed rozstaniem się z nami na moją prośbę Serwatko zostawił mi busolę, która mocno przydała się nam później. Słyszałem, że wszyscy trzej zostali zatrzymani i skazani.

My we trzech wieczorem dotarliśmy do Mizunki ale nie mieliśmy odwagi przepłynąć się przez nią, gdyż rzeka po prawie całonocnym deszczu wzbierała ogromnie. Zdecydowaliśmy się rowem wzdłuż toru kolejowego dotrzeć do mostu. Przy dochodzeniu do mostu zauważyliśmy patrol konny. Po jego przejeździe przez most jakaś postać weszła do pobliskiego mieszkania. Przypuszczałem, że skontrolowany przez konnego piesny wartownik wszedł do pobliskiej chałupy, by skorzystać ze świątecznego stołu. Gdy sprawdziłem, że na moście nie ma nikogo, dałem znak pozostałym dwóm kolegom i w ten sposób znaleźliśmy się poza matnią.

Idąc przez prawie całą noc i wczesny poranek dotarliśmy do Boleschowa, gdzie musieliśmy przeżyć dramatyczny moment przy dochodzeniu do dworca kolejowego.

Dwóch nas szło jednym chodnikiem a trzeci - dziś nie wiem, czy to był Neuman czy ten drugi student - szedł drugim chodnikiem. Z przeciwnej strony szło dwóch NKWD-owców w niebieskich czapkach. Zatrzymali naszego kolegę, ale po chwili puścili go. Później kolega opowiadał nam, że zapytany przez nich, czy jest z Bolechowa, dał odpowiedź twierdzącą. Tak samo twierdząco odpowiedział na zapytanie, czy wie, gdzie jest siedziba NKWD w Bolechowie. Wygrał wolność dzięki zimnej krwi i tupetowi. Odetchnęliśmy dopiero w pociągu, zwłaszcza jak minęliśmy Stryj, gdzie w czasie przesiadki dane nam było widzieć jedną poczekalnię kolejową wypełnioną przez transportowanych więźniów pod silnym konwojem z bronią gotową do strzału. Prócz naszej trójki z kotła koło Żakli wydostali się jeszcze i wspomniany ksiądz - kapelan, który dotarł do plebanii polskiej w miejscowości pod Żaklą oraz Marian Grabowski /młody w tym czasie lekarz/ i Łukowski - ten z Poznańskiego. Ci dwaj dostali się do stodoły w Żakli. Odkryła ich gospodyni ale nie tylko nie zdradziła, ale dużo im dopomogła do powrotu. Pozostali członkowie naszej grupy z wyrokami 10-letnimi powędrowali do obozów na północy Rosji a później przeważnie do armii Andersa. Jeden z nich Marian Żychiewicz - brat piszącego w "Tygodniku Powszechnym" Tadeusza Żychniwicza - był w I Armii. W naszej grupie nie było Juliana - Stanisława Rojka. Byli natomiast i dostali się w ręce Rosjan prócz już wymienionych Władysław Rubin, jego starszy brat Kazimierz Rubin - prezes lwowskiej Bractwa Pomocy w czasie moich studiów, Jerzy Lisowski, Władysław Nakoneczny, Biliński Młody/imienia nie pamiętam/, Piotr Dąbek, Tadeusz Sokół, Sławomir Peresada.

Muszę jeszcze wspomnieć o roli dziewcząt. One utrzymywały kontakt między Lwowem a Doliną w czasie przygotowań do wyprawy. One też zawiozły granaty ręczne ze Lwowa do Doliny. Starzały się odwagą i poświęceniem dorównać a nawet przewyższyć mężczyzn. I tak już było przez całą okupację.

Grupa Blicharskich dokładnie Marian, Wacław, Zbigniew i Czesław Blicharscy oraz Mieczysław Rembisz - wybrała się ze Lwowa nieco później bo dopiero 20 kwietnia 1940 r. do Doliny a po 8 dobach spędzonych w górach na skutek zbłądzenia wpadła w ręce Rosjan i podzieliła los naszej grupy.

Piszę o powyższych przedsięwzięciach dla zobrazowania nastrojów i pragnień ówczesnych młodych Polaków. Takich przedsięwzięć było ogromnie dużo. Niektóre kończyły się szczęśliwie, to jest przejściem na

na węgierską lub rumuńską stronę a niektóre jeszcze gorzej aniżeli powyższe dwie, bo śmiercią wszystkich lub niektórych uczestników.

V. Jedyne wyjście - ukryć się u wroga.

Gdy późnym wieczorem wysiedliśmy we Lwowie z pociągu, którym jechaliśmy ze Stryja po nieudanej próbie przedostania się na Węgry, kolega Neuman wziął mnie na nocleg do swego pokoju, który zajmował jako sublokator. Następnego dnia udałem się na chwilę do naszej "kwatery" przy ul. Karpińskiego 17. Tam od Rojka dowiedziałem się, kto uniknął złapania. Uważaliśmy, że władze radzieckie zainteresują się naszą kwaterą chociażby ze względu na ujętego przez nich młodego Bilińskiego. Postanowiliśmy opuścić tę kwaterę. Zdecydowałem się wrócić do domu jednorodzinnej teściowej w Winnikach, gdzie była żona, zdając sobie sprawę, że w domu tym nie będę bezpieczny z następujących powodów: Współpracujący z władzami radzieckimi Ukraińcy z Mikłaszowa mogli tym władzom po moim zniknięciu wywózki powiedzieć, że ja mogę ukrywać się u żony w Winnikach. Konfidenci radzieccy przypuszczalnie otrzymali polecenie tropienia tych Polaków, którzy uchodzili za przeciwników Związku Radzieckiego. Dotyczyło to w pierwszej kolejności tak zwanych endeków, do których należałem. O zwróceniu uwagi na mnie przez radziecką milicję obsadzoną w Winnikach przez Ukraińców przekonałem się już późną jesienią 1939 r., gdy zabrano mnie na przesłuchanie po spaleniu się szopy, w której żołnierze radzieccy mieli jakieś materiały związane z transportem. Prawdopodobnie sami żołnierze przez niedbalstwo spowodowali pożar a władze zaczęły podejrzewać Polaków o sabotażowe podpalenie. Ważną także była sprawa środków do życia i związana z tym sprawa pracy zarobkowej.

Ten ostatni problem wymaga nieco szerszego omówienia. Władze radzieckie po zajęciu Małopolski Wschodniej przystąpiły do wprowadzania swego ustroju burząc dotychczasowe formy pracy zarobkowej i pozbawiając ogromną część społeczeństwa - głównie polskiego - środków do życia. Przed Niemcami do Małopolski Wschodniej - a szczególnie do Lwowa - uciekło ogromnie dużo ludności polskiej z ziem zajętych przez Niemców. Sytuacja uchodźców stała się szczególnie trudna, o ile chodzi o znalezienie pracy zarobkowej. Władze radzieckie ściągnęły z głębi Związku Radzieckiego swoich pracowników nie tylko dla tego, że chciały mieć na stanowiskach i w zakładach ludzi oddanych ustrojowi

ale także dlatego, że zakładały rusyfikację okupowanego kraju. Sprowadzani z głębi Rosji funkcjonariusze i inni pracownicy bardzo chętnie osiedlali się w Małopolsce Wschodniej, gdyż tu mieli znacznie lepsze warunki bytowe, aniżeli w głębi Związku Radzieckiego. Pozostającej bez pracy i bez środków do życia ludności władze radzieckie dawały do zrozumienia, że ci którzy nie będą zatrudnieni, będą wywiezieni do najdalszych okolic Związku Radzieckiego. Taka ponura perspektywa skłaniała uchodźców z innych dzielnic Polski do szukania legalnych i nielegalnych sposobów wydostania się spod okupacji radzieckiej pod okupację niemiecką.

We Lwowie dosyć ~~często~~ ^{Wcześniej} władze radzieckie uruchomiły biura werbunkowe proponujące wyjazd na roboty do Związku Radzieckiego - a w szczególności do pracy w kopalniach węgla w Donbasie a także w kopalniach rudy żelaza w Krzywym Rogu. Wielu zgłaszało się do tych biur - głównie z konieczności, by zdobyć środki do życia i by uniknąć wywózki na Sybir, a część z mylnego wyobrażenia, że w głębi Związku Radzieckiego są doskonałe warunki pracy i płac. Nie należy się tym naiwnym dziwić, bo w końcu skąd oni mogli wiedzieć, jak jest w głębi Związku Radzieckiego. Wprawdzie bystra obserwacja mogła pozwolić na stwierdzenie, że ludność prawdziwie pracująca w Związku Radzieckim osiąga marne zarobki a zaopatrzenie żywnościowe i przemysłowe jest złe, ale bystrych obserwatorów wtedy było mało. Od napływających do Małopolski Wschodniej ludzi radzieckich nie można było uzyskać informacji, gdyż ludzie radzieccy już w najmłodszych latach swego życia odzwyczaili się od mówienia prawdy. Zresztą do prywatnych kontaktów z ludźmi radzieckimi było mało sposobności. Ja pierwszy raz rozmawiałem z przedstawicielem cywilnej władzy radzieckiej dopiero późną jesienią 1939 r., gdy we Lwowie chcieliśmy uzyskać zmianę wiejskiej decyzji o zabraniu matce gospodarstwa. Lokalny "władca" we Lwowie uznał decyzję w sprawie gospodarstwa za słuszną i dał mojej matce, mnie i memu bratu Józefowi odczuć, że jest wrogiem takich ludzi, jak my. Przed tą rozmową urzędową w czasie podejścia wojsk radzieckich pod Lwów ja i moi koledzy byliśmy w Bilce Królewskiej u mego stryja Józefa - dawnego żołnierza z Armii Błękitnego Józefa Hallera. Tam mieliśmy sposobność rozmawiania z wojskowym lekarzem radzieckim, który oczywiście niczego złego nie mówił o ustroju radzieckim. Podawał tylko, że nie ma studiów lekarskich ma natomiast uznawany na całym świecie dyplom z czasów carskich stwierdzający ukończenie studiów przyrodniczych. Ten lekarz "czasu wojny" miał typowo żydowskie rysy twarzy.

Jeszcze przed moją ucieczką z Mikłaszowa to jest przed pierwszą wywózką ludności mój sąsiad z Mikłaszowa o kilka lat młodszy ode mnie Daniel Juszczyk pochodzący z małej i wielodzietnej rodziny - ojciec był szewcem, postanowił zwerbować się do pracy w Donbasie. Przy pożegnaniu się prosiłem go, by umiejętnie napisał mi, jakie możliwości życiowe daje praca w Donbasie, gdyż już wtedy liczyłem się z koniecznością wyjazdu do pracy w Związku Radzieckim na czas trwania wojny, to jest do zwycięskiego jej zakończenia to znaczy pomysłu dla Polski, bo w takim zakończeniu wtedy prawie wszyscy Polacy wierzyli Daniel Juszczyk zgodnie z obietnicą przysłał dwa listy bardzo sprytnie napisane. Z listów tych dowiedziałem się, że praca w kopalniach węgla w Donbasie jest marnie opłacana i niebezpieczna dla życia a warunki wyżywienia złe. Po tych listach postanowiłem, że jeśli wypadnie mi zwerbować się do pracy w Związku Radzieckim, to wybiorę coś innego niż pracę w kopalniach węgla w Donbasie.

Ukrywając się u żony w Winnikach pozostawałem w stanie narastającego napięcia nerwowego a nadto zaczął się pogarszać stan mego zdrowia. Pojawił się kaszel. Ponieważ 10 lat wcześniej chorowałem na płuca/tak zwane zajęcie szczytów/obawiałem się, że nastąpi nawrót dawnej choroby. Gdy wreszcie na początku maja 1940 r. milicja winnicka bez powodu podeszła pod dom teściowej a ja niepostrzeżenie uciekłem przez okno do ogrodu i ukryłem się w maliniaku, po wizycie milicji w domu i po jej odejściu, postanowiłem zwerbować się we Lwowie na wyjazd do Krzywego Rogu. Mój brat Józef postarał się dla mnie o zaświadczenie wystawione przez Michała Domeradzkiego jako przewodniczącego rady miejskiej /"holowa selrady/ w Bilce Królewskiej, że jestem mieszkańcem tej wsi a zawód mój to robotnik bez kwalifikacji ["czarnoroboczyj"/. Mając takie zaświadczenie zgłosiłem się w odpowiednim biurze werbunkowym we Lwowie, otrzymałem zaświadczenie pieniężną i chyba w dniu 20 maja 1940 r. grupa podobnych jak ja "ochotników", kierowana przez "werbowszczyka" jako przewodnika i opiekuna wsiadła do tramwaju przy placu Halickim, by dojechać do lwowskiego głównego dworca. Zegnała mnie żona, która w tym czasie była w ósmym miesiącu ciąży, oraz zegnał mnie mój brat Józef. Porzucając Lwów, w którym chodziłem do gimnazjum i w którym ukończyłem studia prawnicze, opuszczając moją dawną i obecną rodzinę, byłem dobrej myśli, bo wierzyłem w zwycięstwo Polski mającej tak potężnych sojuszników jak Francja i Anglia. Mojej wiary nie zdołała podkopać klęska aliantów w Norwegii i złe wiadomości z walk toczących się we Francji, Belgii,

i Holandii. Dopiero w dwa dni później na dworcu w Kijowie, gdy z gazety radzieckiej dowiedziałem się, że wojska niemieckie w dniu 20 maja 1940r. zajęły port francuski Abbeville nad Atlantykiem, moja wiara w szybkie zwycięstwo państw zachodnich zachwiała się. Wyjaśniam, że zimą 1939/1940 miałem możność przeczytania tej części wspomnień gen. Focha, w której on przedstawił dramatyzm francuskich wysiłków militarnych w czasie I wojny światowej, kiedy to dowództwo francuskie zdołało zapobiec niemieckiemu parciu w kierunku portu Abbeville z zamiarem rozdzielenia wojsk francuskich i angielskich. Foch pisząc o udaremnieniu niemieckiej ofensywy w kierunku tego portu zaznaczył, że ten sukces militarny wojsk francuskich miał decydujące znaczenie dla przebiegu wojny, a więc dla zwycięstwa koalicji nad Niemcami w I wojnie światowej. Gdy teraz w maju 1940 r. Niemcy dotarli do Abbeville, uważałem że Francja militarnie ulegnie Niemcom. Sąd mój w krótkim czasie potwierdził się. Tym rozważaniem o zdobyciu Abbeville przez wojska niemieckie wybiegłem nieco od mego zamiaru przedstawienia mej podróży do Związku Radzieckiego. Wracam więc do opisu tej podróży.

VI. Podróż do kryjówki w Krzywym Rogu

W biurze werbunkowym przy ul. Kopernika we Lwowie niespodzianie spotkałem Kazimierza Zawerbego z Winnik. On też zawerbował się na wyjazd do Krzywego Rogu. Obydwaj bardzo ucieszyliśmy się, że będziemy razem. Okazało się, że on też ucieka z Winnik, by uniknąć ewentualnej wywózki na Sybir. Wiedziałem wcześniej, że jego dwaj synowie: Stanisław - student chyba III roku filologii klasycznej i Adam - uczeń kończący gimnazjum we wrześniu 1939 r. z główną falą uchodźców przedostali się do Francji do wojska polskiego. Teraz dowiedziałem się, że z końcem kwietnia 1940 r. pozostali dwaj synowie: dorosły Zbigniew - absolwent lwowskiej szkoły zawodowej i młodociany Kazimierz - uczeń gimnazjalny z kilkoma jeszcze innymi chłopcami udali się w stronę Karpat, by przedostać się do wojska polskiego. Ojciec musiał się liczyć, że władze radzieckie odpowiedzą na ucieczkę tych dwóch synów wywiezieniem ojca na Sybir i dlatego postanowił wyjechać do Krzywego Rogu, mimo że jako doskonały stolarz mógł liczyć na dalszą pracę w swoim zawodzie w samych Winnikach.

W grupie udających się do Krzywego Rogu "ochotników" przeważali ludzie młodzi. Zawerbny mający około 45 lat był chyba najstarszy w

w naszej grupie złożonej głównie z ludzi młodych i z kilku kobiet. W przekroju narodowościowym grupę naszą stanowili przeważnie Polacy i Polki. Było kilkunastu Ukraińców i kilku Żydów i Żydówek. Obecność wśród zawerbowanych przedstawicieli ludności żydowskiej była dla mnie zaskoczeniem, gdyż Żydzi przy swojej zaradności i przy swoich powiązaniach z przedwojennymi organizacjami komunistycznymi w moim mniemaniu nie byli zagrożeni przez nowy reżim i mogli liczyć na zatrudnienie w samym Lwowie i innych miastach Małopolski Wschodniej.

We Lwowie po otrzymaniu zaliczki pieniężnej wszyscy przezorni zakupili żywność na drogę - przeważnie chleb i wędliny /kiełbasę/. Mając werbowskiyka jako kierownika grupy i korzystając z pierwszeństwa przejazdu zaraz po transportach wojskowych bez trudu wsiadliśmy do wagonu osobowego radzieckiego na głównym dworcu i tego samego dnia nocą wyjechaliśmy ze Lwowa - ale nie linią kolejową najkrótszą w stronę Kijowa to jest przez Brody - Zdołbunów - Żytomierz - Kijów ale drogą dłuższą na Łuck - Sarny - Korosteń - Kijów. Widocznie droga krótsza była zarezerwowana wyłącznie dla transportów wojskowych. Wagony radzieckie w ruchu dalekobieżnym są wyposażone w półki dwupoziomowe takie, że w nocy wszyscy pasażerowie mogą dosyć wygodnie spać. Tak więc i my spaliśmy przez noc. Koło południa wysiedliśmy w Sarnach, gdzie mieliśmy przesiąść się do pociągu mającego nas dowieźć do Kijowa. Był piękny, ciepły i słoneczny dzień majowy i ten właśnie dzień rozświetlał trochę nasze ciemne myśli i ciężkie uczucia, związane z opuszczeniem ziemi ojczystej, rodzin, naszych marzeń o lepszej Polsce. Do naszej grupy dołączył w Sarnach mój młodszy kolega z gimnazjum Jarenko ze swą żoną. Oni z podobną grupą wyjechali ze Lwowa dzień wcześniej ale oczekując dnia poprzedniego na przesiadkę a Sarnach usnęli w zagajniku przystajcyjnym. Gdy się obudzili, pociąg ich już odjechał. Nasz werbowskiyczek chętnie ich przyjął do naszej grupy.

Jadąc z Sarn w kierunku naszej granicy wschodniej pierwszy raz oglądałem tamtejszą okolicę o dużej ilości łąk i lasów. Niektórzy z jadących znali te okolice z czasów czynnej służby wojskowej. Po przejeździe granicy okolica była przez dłuższy czas podobna ale budynki staocyjne były przeważnie odmienne niż po polskiej stronie. Wyraźnie było widoczne, że budynki te według jednolitego planu wzniesiono jeszcze za carskich czasów. Na niektórych stacjach, gdzie pociąg zatrzymywał się na kilka minut, mogliśmy zobaczyć "radujących się ludzi pracy". Mianowicie na peronach tych stacji odbywały się zabawy taneczne. Zwykle ktoś grał na harmoszce a młodzi żołnierze tańczyli z

dziewczętami. Zapewne potańcówki te były nie tyle na pokaz, co wynikało z bardzo głębokiego zakorzenionego w zwyczajach młodzieży radzieckiej instynktu zabawy i śpiewu. Zabrano do wojska prawie wszystkich chłopców więc dziewczęta ciągnęły do skupisk żołnierskich, by skorzystać z możliwości zabawy. Oczywiście władze pozwalały na takie potańcówki na peronach stacyjnych i to w czasie przejazdu pociągu, by pokazać, jak radośnie żyje się w Związku Radzieckim.

Do naszego wagonu rzadko wsiadali nowi pasażerowie a jeszcze rzadziej dochodziło do rozmowy między nami a nimi. Ja tylko raz uczestniczyłem w takiej rozmowie - zresztą bardzo krótkiej. Do naszego przedziału wsiadł mężczyzna w średnim wieku, lepiej ubrany niż inni i dosyć gruby. Wsiadła też młoda kobieta z małym dzieckiem, ubogo ubrana i mizerna. Któryś z nas mówiąc do drugiego powiedział "chłopie". Gruby współpasażer usłyszawszy wyraz "chłop" uważał za konieczne zwrócić nam uwagę, że w tak cywilizowanym państwie jak Związek Radziecki, należy zaniechać używania wyrazu "chłop", bo jest to wyraz obraźliwy. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że w języku polskim wyraz "chłop" nie ma znaczenia obraźliwego. Wyglądało, że go nie przekonałem. Dopiero po miesiącach, gdy lepiej poznałem język rosyjski, nie dziwiłem się zbytnio interwencji wychowawczej grubego pasażera, bo w języku rosyjskim wyraz "chołop" /nie chłop/ oznacza chłopca pańszczyźnianego, przenośnie także sługusa. Nasz przypadkowy "wychowawca" wkrótce wysiadł a wtedy mizerna kobieta wyjaśniła nam, że gruby nasz rozmówca to przewodniczący / "priedsiedatiel" /kołchozu. Jemu doskonale się powodzi i dobrze mu się mówi, bo jemu nie jest tak źle jak jej prostej kołchoźnicy, która musi ciężko pracować, a ma jeszcze dodatkowe kłopoty, bo zachorowało jej dziecko. Właśnie wraca z dzieckiem od lekarza. Wtedy uświadomiłem sobie, że w Związku Radzieckim, gdzie miało powstać społeczeństwo bezklasowe, gdzie ogłoszono likwidację wyzysku człowieka przez człowieka utrwalił się podział na dwie zasadnicze klasy: na uprzywilejowaną klasę kierowników i na podległą i marnie wynagradzaną lud pracy /"raboczyj narod"/. W następnym dniu przekonałem się, że nad tymi dwoma klasami jest jeszcze klasa trzecia - najwyższa stanowiąca kościec ustrojowy Związku Radzieckiego.

W rejonie Korostenia byliśmy w późnych godzinach popołudniowych. Naszą uwagę zainteresował ożywiony ruch samolotów odbywających loty ćwiczebne. Widocznie w tym rejonie było większe centrum szkolenia lotniczego. Nie wiedziałem wtedy, że w tym rejonie i w tym czasie

zachowały się poważne skupiska ludności polskiej. Dopiero po latach na kursie w Łodzi zetknąłem się z młodym Polakiem, który właśnie pochodził z rejonu Korostenia, gdzie było dużo wsi o znacznym odsetku ludności polskiej. Bardzo charakterystyczna była jego relacja o dostaniu się do armii Berlinga. Po wyparciu Niemców z rejonu Korostenia w 1944 r. powołano do armii czerwonej wszystkich młodych chłopców - w tym także dającego relację. Któregoś dnia na zbiórce odczytano żołnierzom oświadczenie radzieckich władz wojskowych, że Polacy mogą zgłosić się do wojska polskiego. Padła komenda, że mogą z szeregu wystąpić ci, którzy jako Polacy chcą przejść do wojska polskiego. Bardzo dużo żołnierzy wystąpiło przed szereg a wśród nich także składający relację. Tak się złożyło, że on był najbliżej tego oficera, który odczytał oświadczenie i podał komendę, by ochotnicy wystąpili z szeregu. Oficer ten podeszedł do składającego relację i obrzucił go grubiańskimi wyzwiskami za to, że przez tyle lat jadł chleb radziecki a teraz chce iść do wojska polskiego. Takie potraktowanie ochotnika sprawiło, że większość tych, którzy wystąpili z szeregu, szybko z powrotem cofnęła się do szeregu. Kilku nie dało się zastraszyć i tych kilku wraz ze składającym relację skierowano rzechwyście do armii Berlinga. Innych nie skierowano, mimo że później domagał się tego, szczególnie ci, którzy korzystając z chwilowych przepustek nie byli na zbiórce. Po zakończeniu działań wojennych ten żołnierz udał się do miejscowości, w której mieszkał jego ojciec, by odwiedzić chorego ojca i ewentualnie zabrać go do Polski. Nie zabrał ojca, bo ojciec wkrótce umarł. Przed śmiercią mówił, że jego największym pragnieniem było dostanie się do Polski. Teraz niedawno - w jesieni 1988 r. - jeden ksiądz zakonny opowiadał mi, że na północ od Kijowa - a więc w pobliżu Korostenia - przeżył wzruszające spotkanie z katolikami tamtejszymi, którzy przyszli na Mszę Św. odprawiana w lesie, bo w tej okolicy nie ma już żadnej świątyni czynnej.

Do Kijowa przybyliśmy wieczorem. Nasz werbowskiżyc poinformował nas, że dalsza podróż w kierunku Krzywego Rogu będzie możliwa dopiero w dniu następnym. Noc musimy spędzić na dworcu. Wyglądało, że budynek dworcowy jest budowlą nową i dosyć dużą, ale żadna z dostępnych poczekalni nie miała ani krzeseł, ani ławek ani stołów. Pasażerowie mogli stać lub siedzieć na swoich bagażach bez prawa położyć się i bez prawa do drzemki. Nad tymi pasażerami czuwali bez przerwy policjanci, którzy do każdego drzemiącego podchodzili i nogą budzili wypowiadając słowa: "grażdanin nie spi". Możliwe, że ci którzy zabraniali w swoich instrukcjach spania na dworcach, kierowali się wzniosłą troską, by "grażdanie"

/obywatele/korzystali z noclegów w hotelach, których zapewne nie było dla zwykłych "grażdian" nawet w Kijowie. Możliwe, że instrukcja miała zmusić "grażdian" do czuwania, by ich "imuszczestwa" /majątku/ w postaci węzełków nikt nie ukradł w czasie drzemki. W rzeczywistości nocne czy dzienne długotrwałe czekanie na możliwość dostania się do pociągu było poważną udręką między innymi ze względu na to milicyjne: "grażdianin nie spi"

Nim doszło do naszego umiejscowienia się na posadze jednej z obszernych poczekalni przeżyliśmy spotkanie z młodymi Polakami, którzy właśnie uciekali z Donbasu w kierunku lwowa. Uciekali z narażeniem się na złapanie i usadzenie do więzienia za porzucenie pracy, i za zerwanie umowy o pracę, bo każdy z zawerbowanych podpisywał umowę na rok. Złapanie mogło nastąpić w ten sposób, że milicjanci często podchodzili do ludzi i sprawdzali dokumenty. Między członkami naszej grupy a uciekającymi z Donbasu doszło do rozmów, w czasie których nasi "ochotnicy" dowiedzieli się prawdy o ciężkich warunkach pracy w Związku Radzieckim. Najbardziej zapamiętałem rozczołowanie jednego z naszych - krawca z zawodu. Po wysłuchaniu uciekinierów z Donbasu poskrobał się nasz krawiec za uchem i powiedział w lwowskim żargonie: "Alim si sfracjerował" i szybko podjął decyzję ucieczki już z Kijowa. Tak więc kilku z naszej grupy dołączyło do uciekających z Donbasu. Na ogół takie ucieczki udawały się.

Po spędzeniu męczącej bo bezsennej nocy, część z nas w dzień poszła by oglądnąć Kijów. Ja wyszedłem tylko przed dworzec, spojrzałem na miasto i wróciłem do swego węzełka i zabrałem się do pisania listu adresowanego do mego szwagra Jana Wielgana, męża mojej siostry - w nadziei, że ten list uspokoi moją dawną rodzinę i moją żonę. List był obszerny ale zawierał wiadomości tylko o przebiegu podróży. List wrzuciłem do skrzynki pocztowej zawieszanej na zewnętrznej ścianie dworca. Po pewnym czasie od napisania listu podszedł do mnie milicjant i polecił mnie iść za nim. Na dworcu w pobliżu głównego wejścia były dwa lokale obok siebie. Nad drzwiami jednego była tablica informująca, że jest to posterunek milicji, a nad drzwiami drugiego była tablica z napisem, że jest to placówka NKWD /Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł/. Milicjant zaprowadził mnie do lokalu właśnie NKWD. Siedzący za biurkiem młody człowiek w ubiorze cywilnym powitał mnie pytaniem, czy ja wiem, w jakim urzędzie ja się znalazłem. Gdy powiedziałem, że wiem, to pan mego losu jeszcze raz sprawdził, czy zdaje sobie sprawę, że NKWD to instytucja daleko ważniejsza aniżeli milicja. Szybko zorientowałem się, że jestem podejrzany

o szpiegostwo a co najmniej o chęć ukrycia swojej rangi oficerskiej. Przesłuchanie trwało bez przerw od godzin przedpołudniowych do zachodu słońca, które w dniu 22 maja zachodzi późno. Przesłuchujący męczyli się i głodnieli i dlatego zmieniali się. Moje odpowiedzi były zawsze jednokowe. Wychowałem się i wykształciłem w innym ustroju. W wojsku nie byłem. Chcę dostosować się do nowego ustroju. Chcę żyć z pracy rąk i dlatego zawierowałem się do Krzywego Rogu, bo nie mogłem otrzymać pracy w moich stronach rodzinnych. W czasie mego przesłuchania nasz werbowski kontaktował się z moimi prześladowcami, nie tyle z ludzkiego współczucia, które gdzieś w głębi serca zapewne miał, co z obowiązku dowiedzenia mnie do Krzywego Rogu. Przed zachodem słońca werbowski jeszcze raz przyszedł. Dosłyszałem jego pytanie, co ma robić z moimi rzeczami. Wynioskowałem, że już jest dla nas pociąg w stronę Krzywego Rogu. Przesłuchujący mnie przyciszonym głosem odpowiedział werbowskiemu "bieri" /bierz/. Zrozumiałem, że kijowski NKWD wypuści mnie ze swoich szponów. Rzeczywiście wkrótce odprowadzono mnie do wagonu, w którym była nasza grupa. Ci z Polaków, którzy wiedzieli, co się ze mną dzieło, ucieszyli się. Najbardziej ucieszył się Kazimierz Zawerbny. Od tych Polaków dowiedziałem się, że jeden z jadących z nami Żydów o bardzo podejrzany wyglądzie twarzy, młody, po napisaniu mego listu wszedł do lokalu NKWD. Wkrótce po jego pobycie w tym lokalu zabrano mnie na przesłuchanie. Oczywiście było, że Żyd ten doniósł na mnie, że ja jestem osobnikiem wybitnie podejrzany zapewne oficerem wysokiej rangi, jadącym w głąb Związku Radzieckiego w celach szpiegowskich. Może ten Żyd nawet pomagał funkcjonariuszom NKWD w odczytaniu mego listu. Niewątpliwie mój list został zabrany przez tych funkcjonariuszy ze skrzynki pocztowej, bo listu tego mój szwagier nie otrzymał.

Tu wypada poruszyć ważną ustrojową instytucję w Związku Radzieckim a mianowicie donosicielstwo, które wtedy było wprost nakazane i traktowane przez władzę jako oznaka szczególnej lojalności. Chyba i teraz wychowuje się też już nawet najmłodsze dzieci szkolne w taki sposób, by one wiedziały, że do szczególnych zalet charakteru należy współpraca z władzami, a szczególnie z milicją - mająca między innymi na celu informowanie milicji o wrogach ustroju. Przed kilku laty moja koleżanka biurowa kupiła ładnie ilustrowany elementarz do nauki języka rosyjskiego. W elementarzu tym są ilustracje przedstawiające chłopczyka, który śledzi ruchy wrogów i o tych ruchach zawiadamia radzieckie organy bezpieczeństwa to jest milicjantów. Inne ilustracje w tym elementarzu przedstawiają

bohaterskich milicjantów ścigających bandytę, którego ostatecznie ujmują bo pomaga im pies. Na jednym obrazku widać powalonego bandytę, którego pies trzyma zębami. Myślę, że w 1940r. też był taki sam elementarz dla dzieci radzieckich, jeśli jest on jeszcze teraz i jest w PRL masowo rozprowadzany w cenie raczej symbolicznej. Tak więc donosicielstwo było w Związku Radzieckim obowiązkiem obywatelskim obwarowanym sankcjami karnymi i było elementem wychowania szkolnego. Trzeba dodać, że na szczęście ogromna większość społeczeństwa radzieckiego uważała donosicielstwo za podłość, donosiciel /w żargonie "stukacz"/ był w pogardzie i przed nim ostrzegano otoczenie.

Po zajęciu naszych ziem wschodnich przez Związek Radziecki władze radzieckie przystąpiły natychmiast do zakładania siatki donosicieli. Niejako z racji zajmowanego stanowiska lub rodzaju wykonywanej pracy, donosicielami musieli być wszyscy kierownicy zakładów pracy, pracownicy prowadzący sprawy osobowe /"personalni"/, dozorczy domowi itp. Do donosicielstwa zmuszano terrorem ludzi, którzy w danym środowisku mieli jakieś znaczenie. Wspomniałem w niniejszym opracowaniu, że w grupie kolegów, którzy przy próbie przedostania się przez granicę zostali schwytani, był także mój brat cioteczny Piotr Dąbek. Jednym z motywów jego skłaniających do przejścia granicy była chęć uniknięcia wywózki na Sybir, którą mu groził przedstawiciel NKWD, jeśli nie zgodzi się na rolę donosiela.

Wracając do młodego Żyda, który na mnie doniósł na dworcu w Kijowie wypada wykluczyć, że on był etatowym donosicielem. W moim przekonaniu to był donosiciel z własnej inicjatywy, kierujący się chęcią szkolenia Polaków, chęcią przysłużenia się nowemu reżymowi. Takich kandydatów do współpracy z władzami radzieckimi przeciwko Polakom społeczeństwo żydowskie dało sporo. To są bolesne fakty nie zaprzeczane nawet przez uczciwych Żydów. W latach siedemdziesiątych miałem kontakt ze starszym Żydem, moim rówieśnikiem. Przegrył okres okrutnej zagłady ludności żydowskiej, bo był w tym okresie na terenie Związku Radzieckiego. W czasie jednej rozmowy ten właśnie Żyd wypowiedział pogląd, że opinię Żydów ogromnie popsuli ci Żydzi, którzy gorliwie współpracowali z reżymem radzieckim, między innymi na stanowiskach w organach "bezpieki". Ja po moim kijowskim oświadczeniu stałem się czujnym, bo liczyłem się z tym, że kijowskie NKWD mogło skierować odpowiedni sygnał do NKWD w Krzywym Rogu, by mnie dobrze obserwować. Nie wiedziałem wtedy, że w NKWD

i w innych organach radzieckiej bezpieki współpraca nie była posunięta zbyt daleko. Nie chciano innym dawać sukcesów. Przekonałem się o tym przy innych okazjach w 1945r.

W wagonie - w czasie jazdy w kierunku Krzywego Rogu - młodzi Polacy opowiedzieli, jaka miła spotkała ich niespodzianka w czasie zwiedzania Kijowa. Mianowicie na ich widok, a zwłaszcza na Dźwięk mowy polskiej podchodzili do nich kijowscy Polacy, serdecznie z nimi rozmawiali a nawet zaprosili ich do swoich mieszkań. Były to rzeczywiście wzruszające spotkania świadczące, że Polacy mimo radzieckiego prześladowania ludności polskiej zachowali swoje poczucie przynależności do narodu polskiego.

Inaczej było z Ukraincami z naszej grupy. Oni też wyszli, by oglądnąć Kijów. Niektórzy z nich byli manifestacyjnie ubrani w piękne wyszywane koszule, stanowiące ich strój narodowy. Do nich nikt nie przystąpił na ulicach Kijowa. Dla mnie to był sprawdzian - zresztą smutny sprawdzian, że w Kijowie w tym czasie nie było Ukrainców narodowo uświadomionych, a jeśli nawet tacy zdarzali się, to nie mieli odwagi podejść do swoich pobratymców z Małopolski Wschodniej.

Po nocej jeździe w kierunku południowym, w dniu następnym znaleźliśmy się w okolicach, które kiedyś były określane jako "Dziki Pola", były stepem tak przepięknie opisanym w Trylogii Sienkiewicza. Teraz ten step poszedł pod uprawy zbożowe, bo jego gleby są tak żyzne, że na nich można osiągnąć wspaniałe plony bez stosowania jakichkolwiek nawozów. Pamięć, że kiedyś to był step, przetrwała w nazwie. Ludność zamieszkująca te żyzne i zaorane obszary nazywa je w dalszym ciągu stepem. Tam nie mówią, że idzie się w pole, a mówi się, że idzie się w step. Nasze refleksje na widok tych uprawnych pól nazywanych stepem były smutne, gdyż uświadomiliśmy sobie, że kiedyś pola te należały do państwa polskiego. Polacy bronili tych pól przed Tatarami a teraz my Polacy jedziemy do pracy jako niewolnicy - jako "jasyr". Nasz smutek wzógł się, gdy na jednej z mijanych stacji ujrzeliśmy napis "Złote Wody" miejsce klęski naszych wojsk w 1648r., opisane w "Ogniem i mieczem"

Koło południa znaleźliśmy się w miejscowości zwanej Piatichałki, gdzie mieliśmy przesiadkę. Musieliśmy czekać kilka godzin na pociąg którym mieliśmy dojechać już do Krzywego Rogu. Dzień był ciepły i słoneczny. Rozsiadliśmy się na trawniku stacyjnym w pobliżu toru kolejowego bocznego, na którym stało kilka krytych wagonów towarowych

Skracaliśmy sobie czas rozmawiając o naszej doli i o tym, co nas czeka na nowym miejscu życia i pracy. Zauważyłem, że koło jednego ze stojących wagonów towarowych jest starszy człowiek w ubraniu zbliżonym do munduru wojskowego. Zorientowałem się, że ten człowiek pilnie nas obserwuje i jeszcze pilniej przysłuchuje się naszym rozmowom. Nie przerywałem naszej rozmowy, gdyż nie było w niej niczego takiego, co byłoby pożywieniem dla donosiiciela. Po pewnym czasie ten człowiek podszedł do nas bliżej i poinformował nas, że pilnie przysłuchiwał się naszej rozmowie że doskonale wie, o czym mówiliśmy, bo język polski jest mu bardzo dobrze znany, ale mówić po polsku już nie umie. Opowiedział nam posługując się językiem rosyjskim swój życiorys. Był Polakiem z okolic Mińska na Białorusi. W 1920r. został przymusowo zmobilizowany do armii czerwonej i jako żołnierz tej armii szedł na Warszawę a potem uciekł spod tej Warszawy. W czasie tej ucieczki omal w jednej rzece nie utonął. A potem jako obywatel radziecki przeżywał okres niszczenia ludności polskiej w rejonie Mińska. Dzisiaj wiemy, że koło Mińska znaleziono groby masowe w których liczbę zamordowanych ocenia się dzisiaj na około 120.000 osób. Nasz rozmówca ratując swoje życie wyjechał ze swych rodzinnych stron i ukrył się na Ukrainie udając, że jest Ukraińcem. Mówił, że w dowództwie osobistym ma napisaną rodowość ukraińską ale czuje się Polakiem mimo że już nie może biegle mówić po polsku. Obecnie zatrudniony jest jako konwojent. Właśnie konwojuje wagon towarowy z ubraniami roboczymi dla górników w Krzywym Rogu. W Związku Radzieckim z reguły wagony towarowe z towarami i materiałami trudno dostępnymi muszą być pilnowane przez specjalnych konwojentów, bo pracownicy kolejowi nie są w stanie upilnować takich wagonów przed złodziejami. Ale konwojent Polak udający Ukraińca nie rozwdził się na temat swojej pracy. On po to do nas podszedł by nas - jego rodaków - poinformować, jak mamy urządzić się w nowym miejscu pracy, byśmy nie biedowali, byśmy nie zginęli, lub nie stali się kalekami. Dokładnie nam powiedział, ile będą wynosiły nasze zarobki i jak mamy się odżywiać, by nam te zarobki wystarczyły na utrzymanie. Szczególnie dokładnie nas uświadamiał o bardzo niebezpiecznych warunkach pracy górniczej to jest pracy pod ziemią i gorąco zachęcał, byśmy nie dali się namówić na pracę pod ziemią. Praca pod ziemią jest lepiej płatna ale przy tej pracy łatwo jest o śmierć czy kalectwo. Podziękowaliśmy temu zacnemu rodakowi za dobre rady i prawie wszyscy z naszej grupy poszli za jego radą i odmówili pójścia do pracy pod ziemią. Po rozstaniu się z tym rodakiem waledliśmy do pociągu, którym dojechaliśmy do Krzywego Rogu

VII. Budowanie "lepszego przyszłości".

1. Wybór zawodu.

Zaznaczyłem, że miałem z Bilki Królewskiej zaświadczenie, że jestem robotnikiem nie-wykwalifikowanym-"czarnoroboczym". Zgodnie z tym zaświadczeniem w biurze werbunkowym we Lwowie zanotowano w umowie werbunkowej, że jestem "czarnoroboczym". Dopiero po spotkaniu się z Kazimierzem Zawerbny za jego radą postanowiłem zmienić zawód a mianowicie miałem po przybyciu do Krzywego Rogu oświadczyć, że jestem stolarzem. Argumenty Zawerbno za zmianą zawodu z robotnika niewykwalifikowanego na stolarza były takie: Będąc stolarzem a więc mając taki sam zawód co Zawerbny będziemy mogli być razem. Pracując razem z nim - doskonałym stolarzem - mogę liczyć na taką jego pomoc fachową w początkowym okresie, że będę mógł jako tako opanować ten zawód dzięki jego pomocy zanim ktoś się zorientuje, że ja z tym zawodem nie wspólnego w życiu nie miałem. Praca stolarza jest lżejsza niż praca robotnika niewykwalifikowanego i jest lepiej płatna. Pod wpływem takich argumentów Zawerbno w następnym dniu przy kierowaniu nas do pracy podałem, że jestem stolarzem i że chcę pracować jako stolarz. Tak samo podał Zawerbny. Przeprowadzający z nami rozmowę przedstawiciel naszego nowego zakładu pracy o nazwie "Żyłstrojkantera Dzierżyńskowo Rudnika" poinformował nas że stolarnia jeszcze nie jest dostatecznie wyposażona i że uruchomienie jej i nasze w niej zatrudnienie nastąpi nieco później i dlatego podejmiemy na razie pracę w zawodzie ciesielskim jako że "płatnik" /cieśla/ to brat stolarza. Tak więc w następnym dniu po tej rozmowie ja i Zawerbny znaleźliśmy się w "brygadzie" /grupie pracowniczej/ciesielskiej kierowanej przez niezwykle cenionego fachowca i niezwykle szanowanego człowieka Zacharczenkę, mającego wtedy około 60 lat, pochodzącego ze wsi Kocowka, położonej w dosyć dużym oddaleniu od Krzywego Rogu na linii Krzywy Róg - Kirowohrad. Niewątpliwie ten brygadier szybko zorientował się, że ja nie byłem ani cieślarzem ani tym bardziej stolarzem ale cenił mnie jako pracownika, bo ja korzystając z pomocy i nauki praktycznej Zawerbno wykonywałem z każdym dniem coraz lepiej wszystkie roboty ciesielskie związane z budową domów mieszkalnych - przeważnie parterowych "czworaków" przeznaczonych głównie dla przędujących górników czyli tak zwanych stachanowców. Tak szybko opanowałem zawód cieśli w zakresie wykonywanych robót, że po dwóch chyba miesiącach mogłem już samodzielnie bez pomocy Zawerbno pracować jako cieśla.

I właśnie wtedy zaproponowano nam przejście do pracy w stolarni. Zawerbnny natychmiast przyjął propozycję a ja odmówiłem przejścia do stolarni, postanowiłem pozostać cieślą. Rozumowałem tak: Cieślą już jestem a rzemiosła stolarskiego - znacznie trudniejszego niż ciesielstwo - będę musiał uczyć się. Praca ciesielska odbywała się głównie pod gołym niebem, przy wspaniałej słonecznej pogodzie, co pozwoliło mi na zagubienie niebezpiecznego kaszlu. Stan zdrowia mój był doskonały. Trochę obawiałem się, że w stolarni brak słońca i pyły drzewne mogą spowodować nawrót kaszlu.

Za pozostaniem w grupie ciesielskiej przemawiało także i to, że mimo stosunkowo krótkiego czasu zżyłem się z kierownikiem grupy czyli "brygadierem" Zacharczenką do tego stopnia, że po upływie dalszych miesięcy Zacharczenko - co w warunkach radzieckiego ustroju rzadko się zdarzało - nie ukrywał przede mną swego prawdziwego życiorysu i swoich prawdziwych poglądów. Przed I wojną światową nie zajmował się ciesielstwem. Był rolnikiem. Jako żołnierz rosyjski był przez dłuższy czas na froncie koło Brzeżan w Małopolsce Wschodniej. Kwaterował tam u jednego galicyjskiego Ukraińca, który uświadomił go, że naród ukraiński powinien dążyć do utworzenia własnego państwa zwanego "samostijną Ukrainą". Po pewnym czasie dostał się do niewoli i jako jeńiec pracował przy budowaniu różnych obiektów - w tym przy budowie jakiegoś muzeum w Budapeszcie. W czasie tej pracy doskonale opanował zawód cieśli. Po powrocie do rodzinnej wsi zajmował się pracą na roli. Widocznie był przeciwnikiem ustroju radzieckiego, bo miał być aresztowany. Uprzedzony o grożącym mu niebezpieczeństwie uciekł ze wsi nocą sam jeden do Donbasu i tam pracował jako cieśla. Był to okres NEP-u - okres dobrobytu. Zarabiał miesięcznie około 70 rubli a doskonale wyżywienie z czynszem za pokój u właściciela domu prywatnego kosztowało go 16 rubli miesięcznie. Po pewnym czasie sprowadził rodzinę do siebie, bo o nim władza zapomniała.

Nasza grupa ciesielska nie była duża. Zwykle było nas sześciu. Od czasu do czasu skład naszej grupy się zmieniał, ktoś odchodził a kto inny na jego miejsce przychodził. Po pewnym czasie do naszej grupy czyli brygady doszedł mój kolega gimnazjalny, który do naszego transportu dołączył jak wcześniej podałem w Sarnach. Prócz nas dwóch Polaków i Zacharczenki byli także dwaj Rosjanie - rówieśnicy Zacharczenki. Obydwaj byli żołnierzami rosyjskimi w I wojnie światowej a jeden był także czerwonoogwardzistą w czasie wojny domowej i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Obydwaj w czasie przerwy obiadowej chętnie wspominali dobre carskie czasy *

a narzekali na biedę współczesną. W czasie jednej takiej pogawędki były czerwonogwardziści poruszył zagadnienie życia pozagrobowego. Opowiedział nam swoje - dla mnie bardzo pouczające przeżycia - Mianowicie - roku i miejscowości nie podał a ja o to nie śmiałem pytać - był wtedy w oddziale ochraniającym instytucję zwalczającą "wrogów rewolucji". Na zapleczu tej instytucji - a może oddzielnie - był obszerny plac otoczony wysokim parkanem. Była pora zimowa. Na placu tym był duży dół, do którego wrzucano zwłoki zmarłych lub rozstrzeliwanych. Tych zwłok nie zasypywano ziemią. One nie rozkładały się, bo były mrozy. Zapewne z nastaniem pory cieplejszej ten grób zasypywano i na nim sadzono drzewa i krzewy. Otóż opowiadającemu wypadła którejś nocy służba wartownicza wzdłuż ogrodzenia placu ale od strony wewnętrznej dookoła dołu dosyć już wypełnionego zwłokami ludzkimi. Była jaana księżycowa noc. Opowiadający pobiegł swymi myślami do swego domu, do swej rodziny. Z zadumy tej wyrwał go niesamowity dla niego wtedy widok. Oto ze zwał trupów podniósł się i wstał mężczyzna a następnie ten mężczyzna po trupach doszedł do ogrodzenia, wlaźł na nie i znikł za nim. Opowiadający na ten niesamowity widok tak się przeraził, że włosy mu zjeżyły się pod czapką i zapomniał, że ma "wintówkę" /karabin/ i że powinien strzelać. Gdy ochłonął i gdy został zmieniony przez innego wartownika, przeczornie nikomu o tym wydarzeniu nie mówił.

Gdy w czasie okupacji niemieckiej odkryto masowe groby naszych oficerów w Katyniu, pomyślałem, że taki sposób mordowania i grzebania był już w czasie rewolucji i zaraz po niej, jak to opowiedział członek naszej brygady cieleśkiej w Krzywym Rogu. Dzisiaj przy "głośności" podaje się, że takie masowe groby były chyba wszędzie ale mimo tej "głośności" nie mówi się, że tak niszczone ludzi i tak grzebano już od samego początku bolszewickiej rewolucji. To ponure zagadnienie przedstawiła także między innymi Kozicka w swej książce wspomnieniowej p. t. "Burza od wschodu", wydanej w okresie międzywojennym. Ona wraz z bardzo wieloma mieszkańcami Kijowa po jego zajęciu przez wojska Denikina zwiędzała odkryte na ogrodach i dziedzińcach masowe groby osób pomordowanych przez bolszewickie komórki specjalne. Szukała wśród pomordowanych swego męża. Nie znalazła go, bo jego wywieziono do Moskwy. Podobne rozpoznawanie zwłok powtórzyło się we Lwowie po jego opuszczeniu przez władze radzieckie w wyniku wojny rozpoczętej 22 czerwca 1941 r.

2. Praca i płaca.

Przy przyjęciu do pracy dowiedzieliśmy się, że obowiązuje nas 10 - godzinny dzień pracy oraz dyscyplina pracy obwarowana różnymi sankcjami a w szczególności skazaniem na 3 i więcej miesięczny pobyt w więzieniu za nie usprawiedliwione niestawienie się do pracy. Trzeba dodać, że pobyt w więzieniu to nie był okres bezczynności ale okres pracy, bo więźniów zmuszano do pracy.

Ludzie radzieccy na ogół bali się skazania na pobyt w więzieniu, co było dla mnie dość dziwne, bo dużo tych ludzi przebywało w więzieniach a raczej łagrach. Było nawet popularne w Związku Radzieckim określenie, że ludność radziecka dzieli się na 3 kategorie: na tych, którzy byli w więzieniach i łagrach, na tych, którzy tam są i na tych, którzy tam będą. Wydawało by się, że przy takiej częstotliwości pobytu w więzieniach i łagrach, ludzie nie powinni zbyt bać się pozbawienia wolności - dodajmy - bardzo problematycznej wolności. A jednak na ogół bardzo bali się "tiumny"/więzienia/. Ten w moim mniemaniu nadmierny strach przed tiumną wynikał po pierwsze z wrodzonej każdemu człowiekowi chęci korzystania nawet z bardzo ograniczonej i dosyć ciężkiej wolności - po drugie był następstwem wychowywania w strachu stałym przed represjami ze strony "własti" - władzy. Wpajany od dzieciństwa strach był tak głęboko zakodowany w psychice ludzi radzieckich, że ich zachowania nas - wychowanych w innym systemie - często zdumiewały. Dla obrazowego przedstawienia tego zagadnienia przytoczę dwa następujące rzeczywiste zdarzenia, jakie zaistniały na naszym placu budowy a raczej w tym zespole pracowniczym, który należał do tego placu budowy /"uczestok"/. Ten zespół pracowniczy był bardzo różnorodny pod wieloma względami - w tym także pod względem wieku zatrudnionych i narodowości.

Spory odsetek zatrudnionych stanowili Tatarzy kazańscy. Otóż grupa tych Tatarów jednego dnia nadużyła napojów alkoholowych/pijaństwo było bardziej rzadkie niż obecnie w PRL/. Jeden z członków tej grupy - mężczyzna mający około 40 lat - położył się w "obszczętylu"/hotelu robotniczym/ na swojej "kojce" /łóżku żelaznym/ w ubraniu, rzucił tylko buty. Zasnął. Gdy sprzątaczką obudziła go i powiedziała, że on spóźni się do pracy, to on w strachu przed "tiumną" zapomniał, że nie ma butów na nogach, zerwał się i bosy po śniegu /mroz był mały, może -2°C/ przebiegł może 1 km i zgłosił się do "proraba" /kierownika budowy/ oraz płakał jak małe dziecko błagając proraba, by go dopuścił do pracy. Tę scenę

widziałem osobiście. Prorab był człowiekiem "ludzkim" ale zajmując stanowisko kierownicze był poddany presji odpowiednio do stanowiska zwiększonego strachu. Tłumaczył się przed Tatarem i może przed nami, świadkami tej sceny bolesnej, że na budowie nie ma butów, by dać bosemu Tatarowi i dopuścić go do pracy a jednocześnie ma obowiązek zawiadomić milicję, że Tatar zrobił "progul" /nie stanął do pracy/. Istotnie prorab zatelefonował do milicji, która przyjechała i zabrała Tatarza do tury. Zapewne został skazany na okres 3 miesięcznej pracy jednak jako więzień.

A teraz dla wykazania odmiennego zachowania się człowieka, który nie wychowywał się w atmosferze strachu od dzieciństwa, przedstawiam również autentyczne wydarzenie, którego sprawcą i ofiarą był Polak z naszej lwowskiej grupy. Nazwę go Stopka, bo nie chcę ze zrozumiałych względów podawać jego prawdziwego nazwiska. Był w tym czasie bardzo młody. Miał może 18 lat. Był sierotą. We Lwowie wychowywał się przed wojną w domu dziecka w warunkach bardzo dobrych. W którymś roku życia został zatrudniony w znanej lwowskiej cukierni "Zalewskiego" - głównie jako "chłopak do posyłek". Zwykle roznosił do "lepszych domów" zamówione słodycze. Z reguły od takich odbiorców otrzymywał kilkadziesiąt groszy "za fatygę". Osiągał w ten sposób tyle pieniędzy, że niejeden dorosły za swoją pracę nie osiągał takiego wynagrodzenia. Naszemu Stopce do wybuchu wojny było się doskonale a jednocześnie nie przyzwyczaił się do pracy fizycznej i do wyrzeczeń. Gdy znalazł się w Krzywym Rogu, to nie wziął sobie do serca rad naszego rodaka spod Mińska, że trzeba pracować ciężko by zarobić na skromne utrzymanie. Nasz Stopka nie wysiadał się na budowie. Jego zarobki wynosiły minimum zagwarantowane to jest 5 rubli dziennie, gdy moje jako fachowca pracującego w akordzie wynosiły 10 rubli dziennie. Ja mając 10 rubli dziennie wiedziałem, że na obiad w naszej "fabryce - kuchni" mogę wydać najwyżej 3 ruble /talerz zupy 1 rbl, porcja kaszy jęczmieńnej 1,4 rbl, 60 dkg chleba 0,6 rbl/ a Stopka po otrzymaniu zapłaty przez dwa tygodnie przejadał wszystko, bo danie mięsne kosztowało 3,40 rbl. On w takim czasie pozwalał sobie na takie dania a ja nigdy w Krzywym Rogu takiego dania nie zjadłem. Przez drugą połowę miesiąca Stopka żył tylko dlatego, że Zawerbny dożywiał go głównie chlebem. Zbliżała się późna jesień a po niej miała być zima. Wszyscy przyjechalśmy w maju w letniej odzieży. Nasz pracodawca zobowiązał się sprzedać nam ciepłą odzież ale swego zobowiązania nie dopełnił. Ja po wielu energicznych wystąpieniach w tym do samego dyrektora Felsteina - Żyda radzieckiego - otrzymałem odpłatnie kufajkę ciepłą ale należnych mi spodni watowanych nie mogłem kupić. Stopka tym bardziej nie mógł zdobyć ciepłej odzieży.

Znalazł się w sytuacji tragicznej. Któregoś dnia postanowił nie wyjść do pracy. Pozostał na swojej kojce. Nie leżał na niej długo, bo wkrótce milicja zabrała go do tiamy, gdzie dano mu ciepłą odzież, regularne wyżywienie i pracę pod nadzorem. W ten sposób Stopka szczęśliwie przeżył zimę, która zresztą w Krzywym Rogu nie jest ciężka, jest trochę podobna do zimy na Śląsku. Wiosną Stopka w dobrym stanie wrócił do "naszego" przedsiębiorstwa. Już wtedy na przykładzie Stopki przekonałem się, że dosyć częste w Związku Radzieckim w więzieniach i łagrach było lepiej niektórym ludziom aniżeli na tak zwanej wolności. Tę prawdę potwierdził także jeden "ziemiokop" /specjalista od kopania dołów w ziemi/. Powiedział mi, że był skazancem zatrudnionym przy budowie słynnego "Biełomorkanału" i że lepiej mu było tam aniżeli w Krzywym Rogu na warunkach pracy "wolnonajemnej". A ja w latach 1945 - 1948 wielokrotnie słyszałem w łagrze uralskim twierdzenie doświadczonych łagierników, że wczasach trudnych w Związku Radzieckim najlepiej jest łagiernikom. Prawdę tę w sposób wstrząsający przedstawiła na własnym przykładzie lwowska aktorka Beata Obertyńska Rudzka w swej wydanej na Zachodzie książce pod najtrafniejszym tytułem "W domu niewoli".

Wspomniałem wyżej, że Kazimierz Zawerbny ratował Stopkę od śmierci głodowej. Czynił to z dobroci polskiego serca ale na taką dobroć mógł sobie pozwolić, bo jego zarobki w stolarni były o 50% wyższe od moich a nadto jako fachowiec wysokiej klasy w zawodzie stolarskim latem - kiedy dzień jest długi - Zawerbny pracował codziennie przez kilka godzin u tych, którzy budowali domy jednorodzinne. Przeważnie robił im okna i drzwi. Z tych prac dodatkowych miał prawie tyle, ile zarabiał przez 10 godzin w stolarni.

Niskie zarobki zmuszały wielu ludzi radzieckich do szukania dodatkowych dochodów. Niektórzy - jak Zawerbny - osiągalali dodatkowe dochody z pracy dodatkowej a niektórzy z sięgania do źródeł zabronionych. Ja miałem bardzo ograniczone możliwości obserwacji i dlatego nie mogę podać, w jakim stopniu była zakorzeniona w miastach praktyka szukania dodatkowych dochodów ze źródeł nielegalnych. Praktyka ta w miastach w moim przekonaniu była bardzo ograniczona. Na budowie, gdzie byłem zatrudniony, murarze nie mieli żadnych możliwości brania materiałów celem ich sprzedaży. Cieśla mógł wynieść pewną ilość gwoździ, pogiąć je i dać komuś do sprzedaży na bazarze, bo z braku gwoździ w sklepach cena 10 gwoździ "starych" na bazarze wynosiła 1 rubl. Ktoś sprzedając 100 gwoździ osiągał tyle, ile wynosiło moje wynagrodzenie za 10 godzin pracy fachowej i ciężkiej.

Zdarzało się, że chłopcy w wieku szkolnym w czasie obiadowej przerwy podbierali nam gwoździe. Jeden woźnica prawie codziennie robił do wozu poprzeczkę z najlepszej deski pod pretekstem, że zagubił taką poprzeczkę. Mój brygadier poinformował mnie, że woźnica w ten sposób uzyskuje cenny materiał na okna i na korytka do prania, a więc osiąga dochód równy dziennemu wynagrodzeniu.

My korzystając z karty górniczej mieliśmy możliwość po dłuższym stanie w ogonku w dniu wolnym od pracy kupienia raz na kwartał 10 m płótna. Odprzedanie tego płótna na bazarze było zabronione i karalne. Takie płótno dawało się do krawczyni. Ona szyła koszule. W takiej koszuli chodziła się tydzień. Taką zabrudzoną koszulę można było sprzedać bez obawy skazania za spekulację. A chętnych nabywców było zawsze dużo na bazarze w dniu wolnym od pracy. Mówiło się o tym, że nielegalne dochody osiągalni magazynierzy, kierownicy sklepów i dyrektorzy. Ja z faktem takich dochodów tych grup uprzywilejowanych nie zetknąłem się.

Reasumując trzeba stwierdzić, że olbrzymia większość zatrudnionych musiała się utrzymać za legalne zarobki a te były bardzo niskie w stosunku do kosztów utrzymania. Dla porównania podaję, że gwarantowane t.j. najniższe wynagrodzenie w przedsiębiorstwie budowlanym wynosiło ^{godzinne} pół rubla czyli pół kilograma chleba "szarego", gdy w powiecie lwowskim w latach trzydziestych robotnik drogowy przy pracy nie normowanej zarabiał za godzinę 37 groszy /3,-zł za 8 godzin/, a więc prawie 2 kg chleba czarnego /typu wojskowego "komisniaka"/. Stosunek zarobków wychodzi jak 1:4.

Mimo tak niskich zarobków ludzie żyli, pracowali a młodsze pokolenie na ogół nie narzekało. Wyglądało, że ludność pogodziła się z warunkami pracy i płacy i nie zdradzała chęci walki o polepszenie tych warunków. Można powiedzieć, że władza radziecka osiągnęła zdumiewający sukces polegający na wychowaniu społeczeństwa pracującego bez szemrania za wynagrodzeniem 4-krotnie niższym niż było wynagrodzenie w latach trzydziestych w Polsce, która w tych latach zaliczała się do kręgów ubogich w porównaniu z krajami europejskimi innymi. Ten sukces wychowania takiego społeczeństwa stał się wzorem dla reżimów późniejszych w krajach tak zwanych demokracji ludowych ale te reżimy natrafiły i natrafiają na opór społeczeństw.

Na tle prób wychowania takich społeczeństw, jakie widziałem w Krzywym Rogu w latach 1940 i 1941, zdarzyło się w Prudniku, gdzie mieszkam od 1948, bardzo wymowne a o posmaku humoreski spotkanie NRD - owskiej delegacji z kierownikiem prudnickiego gospodarstwa hodującego konie.

Otóż kierownik tego gospodarstwa przedstawił delegacji konia i tak określił jego zalety: pracuje dużo, je mało i najważniejsze - nie nie mówi. Bardzo podobało się takie trafne określenie zalet konia. Takie zalety miał miejski "świat pracy" w Krzywym Rogu - a zapewne w całym Związku Radzieckim. Nie będzie przesadą, jak powiem, że młodszymi rocznikami tego świata pracy uważały często ówczesne swoje warunki za sukces, za awans. Dla ilustracji mego twierdzenia o poczuciu sukcesu i awansu przytoczę krótką rozmowę, jaką raz przeprowadziłem w czasie przerwy obiadowej z dziewczyną, która miała 18 - 19 lat. Sporo takich dziewcząt pracowało w naszym przedsiębiorstwie - głównie jako pomocnice murarzy przy donoszeniu cegieł i zaprawy murarskiej, a donoszenie odbywało się na nosilkach. Żał mi było w głębi serca tych dziewcząt zaangażowanych do pracy znacznie cięższej od pracy murarza. Miałem wtedy 27 lat ale nosiłem brodę i wszystkie dziewczęta mimo małej różnicy wieku zwracały się do mnie w sposób należny ludziom starszym a mianowicie mówiły mnie "diadzia" to znaczy "wujku". Powiedziałem dziewczynie, która trzymała list w ręce: "Dziewczyno, dlaczego ty nie pozostałaś z matką tylko przyjechałaś tutaj do ciężkiej pracy". Okazało się, że dziewczyna była mimo młodego wieku bardzo logicznie myślącą osobą, bo mi tak odpowiedziała: "Diadzia, ja właśnie otrzymałam list od matki, która mi napisała, że po rozłożeniu rocznym ona otrzymała 400 gramów siarna na dzień roboczy, a ja tutaj nawet wtedy, jak murarz nie wykona normy, mam 5 kg chleba za dniówkę roboczą. Ja tutaj nadto co kwartał mogę sobie kupić 10 m materiału na sukienki, a na wsi prości kołchoźnicy nie mogą niczego kupić, bo jak coś przywiozą, to przechwyca to się, to mają większe znaczenie w kołchozie". Nie dziwnego, że na wsi trzeba było kraść, by nie umrzeć z głodu. Tak więc młodszymi pokolenie nie narzekało na swój los. Inaczej było z ludźmi starszymi, którzy pamiętali czasy carskie, wielką wojnę domową i czasy NEP -u.

3. "Ranższe" - dawniej.

Już zaznaczyłem, że ludzie radzieccy na ogół unikali wypowiedzi na tematy drażliwe i nie pozwalali sobie na szczerość. Dopiero po pewnym czasie znajomości można było dowiedzieć się od ludzi radzieckich, jaki jest ich stosunek do rzeczywistości. Zwykle ten stosunek był krytyczny do rzeczywistości a lepszy do tego, co było w czasach carskich i w okresie NEP -u. Okres rewolucji, wojny domowej a także kolektywizacji wypadał ponuro w relacji osób starszych. W relacjach tych często był

używany wyraz "rańsze" - dawniej. Wcześniej przytoczyłem wypowiedź brygadiera Zacharczenki na temat NEP - u, kiedy on w Donbasie zarabiał 70 rubli miesięcznie a tylko czwartą część z tego wydawał na wyżywienie i mieszkanie.

Bodajże w tym samym czasie były w Związku Radzieckim "złotyje ławoczki" /złote sklepy/, gdzie można było za złoto - za złote pieniądze kupić wszystko. Ten "złoty okres" odczuwała przez pewny czas także wolna Polska - szczególnie w powiatach przylegających do granicy polsko - radzieckiej, strzeżonej wtedy przez jedną i drugą stronę tylko pozornie. We wsiach przygranicznych po polskiej stronie zamiast jednego sklepu było po 6 - 8 sklepów z towarami nabywanymi przez handlarzy ze strony radzieckiej za "twardą" walutę. Tej waluty było po polskiej stronie tyle że wójt gminy zbiorowej na Wołyniu trzecią część należności podatkowych zbierał w twardej walucie. Polskie towary tej gminy docierały aż do Odesy. Wójt to stwierdził, gdy komendant radzieckiej straży granicznej wymógł na sklepikarzu polskim zwrotu pieniędzy za worek pieprzu, bo w Odessie po otwarciu worka okazało się, że w worku pieprz był wymieszany z nasionami wyki.

Zacharczenko wspominał o niespokojnych latach w jego stronach rodzinnych. Nie miałem śmiałości pytać o szczegóły i tło. Wyglądało, że był wtedy jakiś zbrojny opór - rodzaj partyzantki. W relacji brygadiera to wyglądało tak, że wieś w dzień była spokojna a z nastaniem nocy ludzie na koniach wyjeżdżali ze wsi na jakąś akcję. Może to w związku z tymi wyjazdami brygadiera musiał z rodzinnej Kocowki uciekać nocą aż do Donbasu.

Lata wojny domowej i lata głodu związanego z kolektywizacją w rejonie Krzywego Rogu nie zostawiły śladów we wspomnieniach brygadiera. Zostawiły one ślad ponury w opowiadaniach innego członka brygady ciesielskiej pochodzącego ze wsi położonej w pobliżu Woroni^eża. Wieś ta przechodziła z rąk wojsk czerwonych w ręce wojsk białych i odwrotnie. Za każdą taką zmianą ginęło kilku mieszkańców. W ostatecznym wyniku ta wieś, która na froncie w I wojnie światowej straciła 6 mieszkańców, w czasie wojny domowej straciła około 60 mieszkańców. W czasie wprowadzania kolektywizacji było koło Woroni^eża znacznie więcej ofiar aniżeli w czasie wojny domowej. Z głodu wymierali nie tylko poszczególni ludzie ale wprost całe rodziny. Głód wprowadziły władze, które zabrały wszystkim żywność tym, których uznawały za swoich przeciwników, przy czym władze te przeprowadzały szczegółowe poszukiwania zapasów ukrytych. Wielu ludzi głodnych wychodziło

do innych miejscowości w nadziei zdobycia środków do życia dla siebie i swoich najbliższych. Często w czasie drogi ginęli z głodu. Widziało się na poboczach dróg zwłoki takich ludzi. Gdy z jakiegoś domu nikt nie wychodził, to był znak, że stamtąd już śmierć głodowa zabrała ostatniego mieszkańca. Wtedy sąsiedzi udawali się do tego domu, by pogrzebać ostatniego zmarłego.

Dający te informacje wspominał także o popie to jest o duchownym prawosławnym, proboszczu jego wsi rodzinnej. Nie, wystawił dobrej opinii temu proboszczowi stwierdzając, że ten pop poszedł całkowicie na współpracę z nową władzą to znaczy z bolszewikami. Pomagał nawet w organizowaniu kółchozu. W podobny sposób postąpiła znaczna część duchowieństwa prawosławnego. Na takie zachowanie się tej części duchowieństwa mogła mieć wpływ wiekowa uległość cerkwi prawosławnej wobec władzy cara. Mogły działać także kwestie rodzinne. Popi byli ludźmi żonatymi. Często troska o byt rodziny nie pozwalała na zajęcie właściwej postawy. Ale też prawdą jest, że wiele tysięcy duchownych prawosławnych było poddanych katordze i śmierci. Słynne były Wyspy Sołowieckie z tego, że tam w warunkach bardzo ciężkich trzymano duchownych.

Ja w Krzywym Rogu w naszym przedsiębiorstwie słuchałem opowiadania byłego NKWD-ysty o śmierci starego księdza prawosławnego, aresztowanego przez NKWD. Po aresztowaniu opowiadający zwrócił się do tego księdza - by zdjął ze swojej piersi krzyż - symbol święceń kapłańskich - i oddał go do depozytu. Ksiądz odmówił zdjęcia krzyża podając, że ten krzyż może zdjąć tylko biskup /archirej/ i to tylko wtedy, jeśli zapadnie cerkiewne /kościelne/ orzeczenie, że ksiądz nie jest godny dalszego noszenia krzyża kapłańskiego. Żądający zdjęcia krzyża nie odważył się na zerwanie krzyża z piersi duchownego, który był w dosyć podeszałym wieku. Zawołano innego NKWD-ystę - Żyda, a ten zerwał krzyż z piersi starego duchownego. W chwili zerwania krzyża duchowny padł martwy na ziemię.

4. Mieszkania i mieszkańcy.

Krzywy Róg liczył w tym czasie około 70.000 mieszkańców. Wyglądał na miasto nowe i rozwijające się w związku z wydobywaniem a także częściowym ~~przerabianiem~~ przerabianiem rudy żelaza o dużej zawartości manganu. Była w tym mieście akademia górnictwa. Rozwijający się przemysł wydobywczy i hutniczy wymagał ciągle nowych rąk do pracy ściągano je z różnych części europejskich Związku Radzieckiego - w tym także z rdzennych ziem rosyjskich, na skutek czego była w tym mieście duża - uważam, że samierzona

mozaika narodowościowa.

Biorąc pod uwagę, że Krzywy Róg położony w pobliżu Zaporozża, to dawne centrum kozaczyzny, można by spodziewać się, że głównym trzonem ludności miasta powinni być Ukraińcy. Wyglądało jednak, że najwięcej było Rosjan. Może miałem tylko takie wrażenie, gdyż ludzie mówili głównie po rosyjsku. Nas Polaków to dziwiło. Wprawdzie my też operowaliśmy w kontaktach z innymi narodowościami niewielkim zasobem koniecznym wyrazów rosyjskich, ale między sobą rozmawialiśmy wyłącznie po polsku. Każdy słuchający nas wiedział od razu, że ma do czynienia z Polakami. To samo trzeba powiedzieć o Tatarach kazańskich - między sobą mówili po tatarsku

Ja języka ukraińskiego nie słyszałem - z wyjątkiem Ukraińców polskich ale tych było niewiele i oni z czasem zaczęli mówić z nami po polsku, gdy zobaczyli, że na Ukrainie nie ma takiej Ukrainy, jaką oni sobie wyobrażali, i gdy przekonali się, że w Polsce był dobrobyt i wolność w porównaniu ze Związkiem Radzieckim. Szczegółą satysfakcją miałem, gdy Ukraińiec o nazwisku Hawrych początkowo bardzo po ukraińsku narzekał na Polskę a po kilku miesiącach zaczął mówić do mnie po polsku, że w Polsce było lepiej a nawet podał, że jego żona, która pozostała koło Lwowa jest Polką. Cieszyłem się szczerze z takiego "nawrócenia".

Tu wypada wspomnieć o jeszcze jednym oświeciowym "nawróceniu". Z nami na jednej sali - było chyba 13 "kojek" - byli dwaj młodzi Żydzi polscy. Jeden z jakiegoś wai, spokojny, poczciwy o inteligencji jak na Żyda raczej małej, a drugi - nazywał się Salomon Weber - rzemieślnik - walizkarz ze Lwowa - o trochę "przestawionym" rozumie, odznaczał się niezmiernie rzadką u Żydów cechą - szczerego uzewnętrzniania swoich poglądów i swoich uczuć. A te poglądy i uczucia były rozbudowane, gdyż ten młody Żyd miał szczególny dar wchłaniania poglądów i uczuć swego otoczenia. Widocznie we Lwowie w jego środowisku - na niskim pięttrze żydowskiej hierarchii społecznej - było dużo poglądów wrogich Polsce i Polakom, bo ten Salomon często na fali swojej szczerości wylewał swoją wprost zoologiczną nienawiść do Polski. Po kilku miesiącach pracy, której rodzaj wciąż zmieniał, wreszcie ten Żyd chwycił, że w Polsce i jemu i prawie wszystkim Żydom było znacznie lepiej aniżeli jemu było teraz w Związku Radzieckim. "Salomon" "przycichł" w swoich napaściach na Polskę. Podaliśmy, że wszyscy zawarliśmy umowę na rok. Gdy w maju 1941r. upływał roczny okres większość "ochotników" ze Lwowa postanowiła przedłużyć umowę na jeszcze jeden rok, bo się okazało, że większość Polaków a także część Żydów wyjechała do Krzywego Rogu, by nie dostać się na Sybir. Przedłużył umowę

i nasz Żyd - nazwijmy go "wiejski". A Salomon nie przedłużył, bo postanowił wrócić do Lwowa, mimo że trochę przeczuwał, że Hitler może sająć Lwów. Rozmawiał ze mną na ten temat i wypowiedział taki pogląd: Hitler prowadzi ciężką wojnę. On potrzebuje ludzi mogących wytwarzać potrzebne przedmioty. On w czasie wojny zechce skorzystać z wytwórców. Żydzi umieją pracować i oni mają szansę przetrwania pod rządami hitlerowskimi. To nie był pomyłony pogląd Salomona Webera, to był przez niego wchłonięty pogląd znacznej części Żydów polskich, którzy hołdując takiemu poglądowi nie uszli z Polski masowo przed wojskami hitlerowskimi, mimo że były warunki ujęcia najpierw w 1939r. a następnie ze wschodnich naszych ziem w latach 1940 - 1941. Gdy wybuchła wojna niemiecko - radziecka 22 czerwca 1941 r. nasz "wiejski" Żyd powiedział: Weber taki mądry i poszedł "pod Hitler". Tak się złożyło, że tego nieszczęsnego Salomona Webera widziałem dwa razy w obozie w Winnikach koło Lwowa. Było mi bardzo żal i tego Żyda i wszystkich innych ale ani ja, ani mnie podobni nie mogli ich uratować. W dużym stopniu zgubiło ich złudzenie, że jako pożyteczni wytwórcy przetrwają.

Nasza sala w "obszczeżytiu" była w jakimś stopniu miniaturą składu narodowościowego zawerbowanych. Wymieniłem już dwóch Żydów polskich. Byli także dwaj Tatarzy kazańscy. Jeden młody nie umiał ani pisać ani czytać. Widocznie radzieckie głoszenie światu o zlikwidowaniu analfabetyzmu w Związku Radzieckim było mocno przesadzone. Ten młody i bardzo sympatyczny Tatar prowadził bardzo ożywioną korespondencję ze swoimi rodzicami, którzy do niego pisali listy po tatarsku literami łacińskimi, bo początkowo był wprowadzony koło Kazania taki alfabet. Później w ramach akcji rusyfikacyjnej w szkołach był taki sam alfabet, jak w szkołach rosyjskich. Ten młody Tatar dawał listy Polakowi, który je czytał na głos, nie rozumiejąc ani słowa po tatarsku. Tatar miał twarz uradowaną słuchając, co mu przekazują w liście jego najbliżsi i dziwił się, że Polak nie z tego nie rozumie, mimo że umie biegle czytać. Jeszcze bardziej dziwił się Tatar, jak Polak sprawnie pisał po tatarsku dyktowane przez niego listy do rodziców i też ten Polak nie rozumiał, co pisze. Tak więc po trzech wiekach dawna wrogość między Polakami a Tatarami zamieniła się na naszej sali w przyjazną współpracę.

Tak samo po trzech wiekach nie było śladu wrogości pomiędzy Polakami a Ukraińcami znaną z Dniepru. W naszej sali byli dwaj młodociani Ukraińcy z rejonu Połtawy. Byli to uczniowie szkoły zawodowej przyfabrycznej. Po skróconym przygotowaniu teoretycznym i częściowo praktycznym w zakresie umiejętności rzemieślniczych pracowali w przedsiębiorstwach zdobywając w ten sposób pełne kwalifikacje zawodowe. Oni obaj pracowali w stolarni. Jeden

z nich nie cieszył się naszą sympatią - zwłaszcza jak jego kolega uprzedził nas, że w rozmowach przy nim wskazana jest ostrożność. Ten drugi natomiast był przez nas bardzo lubiany i ceniony, gdyż był chłopcem dobrym i inteligentnym. Ja szczególnie go polubiłem, gdy mi raz zaimponował znajomością "Quo vadis" Sienkiewicza. Byłem zdumiony tym faktem i zapytałem, w jaki sposób ta światowej sławy książka znalazła się w jego rękach w państwie przymusowej ateizacji. Dowiedziałem się, że książka ta była w ich szkolnej bibliotece wiejskiej. Gdy z końcem 1948r wróciłem z uralskiego łagru do Prudnika, postanowiłem po pewnym czasie nabyć "Quo vadis", by czytać moim podrastającym dzieciom. W miejscowej księgarni książki tej nie było wtedy. Chciałem pożyczyć w miejskiej bibliotece i dowiedziałem się z przykrym zdumieniem, że na "odgórne" polecenie książkę tę wycofano z biblioteki. Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że w PRL usunięto tę książkę, która była dopuszczalna w 1940r. w szkolnej bibliotece koło Połtawy na radzieckiej Ukrainie.

Po powyższej wypowiedzi na temat zwalczania polskości w PRL wracam do warunków mieszkaniowych w Krzywym Rogu w latach 1940 i 1941. Warunków tych nie mogę przedstawić należycie, bo ja przez cały czas krążyłem pomiędzy obszczeżytem/hotelem robotniczym/ a miejscem budowy. Po drodze do miejsca budowy mogłem z zewnątrz widzieć dzielnice skromnie ale starannie utrzymanych prywatnych domów jednorodzinnych. Widoczne było, że ludzie mimo małych wynagrodzeń mogli nabyć materiały budowlane. Podobno parcele przydzielano łatwo. W każdym razie nam proponowano wzięcie parceli budowlanych. Słyszałem nawet, że niektórzy po wybudowaniu domu jednorodzinnego sprzedawali taki dom za dobre pieniądze i przenosili się do innego miasta, gdzie brali się do nowej budowy. Właściciele takich domów jednorodzinnych często część takiego domu wynajmowali i z tego tytułu mieli dodatkowy dochód. Posiadanie takiego domu pozwalało na posiadanie świń, trzymanie kozy, drobiu i na robienie takich zapasów żywnościowych jak kiszenie kapusty, ogórków i pomidorów. Hodowane zwykle dwie świnki: jedną na własne potrzeby a drugą na sprzedaż. Ta druga świnka pokrywała koszt wyżywienia obu świń. Często karmiono te świnię chlebem, bo był tańszy od razowej maki, którą można było kupić od kołchozników na bazarze.

Kobiety zamężne w Krzywym Rogu nie pracowały zarobkowo, bo one nie pracując zarobkowo dawały rodzinie większą korzyść materialną niżby dawały gdyby otrzymywały wynagrodzenie za pracę w przedsiębiorstwach. Zagadnienie to przedstawił przekonująco mnie mój brygadier Zacharczenko.

Za to, co ja wydawałem na marne posiłki w stołówce górniczej/ "fabryce - kuchni"/ żona brygadiera robiła znacznie lepsze i obfitsze posiłki dla siebie i męża, bo mogła kupić tanie produkty w czasie, kiedy te produkty przywożono do sklepów i kiosków. Na przykład ja na bazarze za 1 l koziego mleka a może i krowiego płaciłem 2 rbl, a kobieta nie obciążona pracą zarobkową mogła dopilnować sklepu, by w nim kupić 1 l mleka za pół rubla. Tu trzeba wyjaśnić, że mleko w sklepie pojawiało się tylko od kwietnia do ~~kwietnia~~ czerwca, bo później gdy w klimacie suchym trawa na pastwiskach słabo rosła, krowy w hodowli zespołowej zmniejszały ilość mleka, ale krowy "indywidualne" dawały mleko i w drugiej połowie roku i w porze zimowej, bo właściciel takiej krowy postarał się o paszę dla niej. Kozy też dawały mleko przez cały rok.

Mieszkańcy domów jednorodzinnych w sezonie letnim, kiedy były tanie pomidory, ogórki, kapusta, robili zapasy tych produktów na całą zimę. Ja latem, gdy był w pełni sezon dostawowy ogórków, pomidorów, kawałków, nie chodziłem na obiady do stołówki, bo taniej i lepiej odżywiałem się wymienionymi produktami zjadając je z chlebem posmarowanym margaryną, która była zawsze w sprzedaży i jej cena była znośna. Masła krowiego nie kupowałem, bo ono było bardzo drogie. Ser jadałem bardzo rzadko, bo w naszym sklepie górniczym nigdy nie było sera, a można go było kupić tylko na bazarze w niedzielę od kołchoźników. Cena jego na bazarze była dosyć wysoka. Od kołchoźników można było także kupić świeże jaja. Na kartę górniczą mogliśmy kupić 1 kg cukru miesięcznie, jakąś ilość krup mąki i makaronu. Chleb był bez kartek a tylko w zimie z 1940 na 1941 ograniczono sprzedaż do 1/2 kg na osobę. Dla mnie żywiącego się głównie chlebem ta ilość nie była wystarczająca. Wtedy musiałem chodzić do stołówki, gdzie do każdego posiłku można było dokupić 200 gramów chleba a po protekacji nawet drugą porcję.

Korzystanie ze stołówki była udręką, gdyż przepustowość jej była niedostateczna w stosunku do ilości korzystających. Najpierw trzeba było stać w ogonku do kasy, by wykupić "tałony" a później stać za plecami siedzących przy stolikach i czekać, kiedy oni po zjedzeniu zwolnią krzesło. W końcu już w pozycji siedzącego czekało się na podejście "oficjantki" /kelnerki/ po "tałony" i dalej czekało się na przyniesienie jedzenia za zabrane "tałony". Takie czekanie pochłaniało średnio godzinę czasu. Czasem korzystaliśmy z protekacji oficjantek. Były to przeważnie młode dziewczęta. Wśród nas byli niektórzy ładni chłopcy i wtedy taki chłopiec umiał przyspieszyć podejście oficjantki do stolika i przyniesienie jedzenia

Uciążliwa procedura korzystania z żywienia zbiorowego unaczniła, że w lepszych warunkach byli ci, którzy mieli żony koło siebie. Ta okoliczność a także prawo naturalne wieku młodego skłaniały wielu do zawierania małżeństw. Nawet zdarzało się - ale bardzo rzadko, że i ktoś z naszych brał sobie żonę. Ja znałem tylko jednego takiego. Był to silny chłopak ze wsi. Wziął sobie piękną Walę, której ojcem był Czuwasz a matką Rosjanka. Jak już podawałem, mój młodszy kolega z gimnazjum przyjechał z żoną "gotową" ze Lwowa. Mieszkał on w obszczeżytiu w ten sposób, że jeden pokój zajmowały 3 bezdzietne małżeństwa. Mój brygadier jako bardzo szanowany fachowiec miał z żoną oddzielny mały pokój. Mógł się uważać za uprzywilejowanego.

Szczyt znanego mnie uprzywilejowania mieszkaniowego osiągnęli najbardziej zasłużeni górnicy - "burszozycy"/wiertacze/. Właśnie głównie dla nich budowaliśmy domy parterowe - "czworaki", przeznaczone na 4 rodziny. Takie mieszkanie czworakowe składało się z 1 pokoju, kuchni, sionki i spiżarki. Ustęp czworakowy był przed domem i przed domem był czworakowy "saraj"/budynek gospodarczy/ z czterema piwniczkami pod tym sarajem. Taki saraj pozwalał na zrobienie zapasów zimowych /produktów/ opału/. Widziałem rodziny wprowadzające się do takich czworaków, widziałem ich dobytek za ciężką i niebezpieczną pracę. Z reguły tym dorobkiem prócz dzieci były proste łóżka, garnki, proste krzesła, stół, szafa, "stiralnik"/korytko/do prania/ i kilka beczek po czymś - przeznaczonych na kiszzenia kapusty, ogórków i pomidorów.

Z opałem było bardzo krucho. Początkowo nie wiedziałem o ciężkiej sytuacji opałowej ale wkrótce ją poznałem. Moja codzienna droga do pracy i z pracy prowadziła - jak już zaznaczyłem - przez osiedle prywatnych domów jednorodzinnych. Raz idąc latem do pracy zauważyłem, że przy kilku furtkach ulicznych stały kobiety tak, jakby na kogoś lub na coś czekały. Zaraz wyjął się motyw czekania. Za mną jechał wóz ciągniony przez konia. Tak się złożyło, że ten koń niedaleko ode mnie wypróżnił zawartość swych jelit. Natychmiast kobieta mająca najlepszą pozycję startową, przezornie zaopatrzona w śmieciarkę, wiaderko i miotłkę podbiegła do kupki odchodów końskich i skrupulatnie zebrała je i uniosła na swoją ^{pozycję} ~~pozycję~~. Początkowo myślałem, że chodziło o utrzymanie ulicy we wzorowej czystości. Później dowiedziałem się od brygadiera, że odchody końskie są zbierane, prasowane w cegielki, suszone i używane jako czarny opał zarówno latem pod prowizorycznymi płytami kuchennymi ustawionymi przed domami/kuchnie letnie/jak też w paleniskach domowych w porach chłodnych

Wkrótce o trudnościach opałowych przekonałem się także na naszym placu budowy. Drzewo długie do budowy zwykle otrzymywaliśmy w postaci belek obrzynanych ale zdarzało się, że przywożono nam okrągłaki, które siekierami ciesielskimi oprawialiśmy /usuwalimy okrąglizny/. Przy takim oprawianiu powstawały odpady drzewne /drzazgi/ sprzedawane zapewne przez przedsiębiorstwo a jeszcze częściej używane na budowie - na przykład do podgrzewania materiałów izolacyjnych /lepiku/. Często kobiety ze wspomnianych wyżej czworaków po sprawdzeniu, że nie ma nadzoru zabierały takie drzazgi na swoje potrzeby opałowe. Bywało, że robiły to dzieci. Raz ży w oczach mnie stanęły, gdy dziecko może dwuletnie podeszło, wzięło do swych malutkich rączek dwie małe drzazgi i niosło w stronę domu wołając matkę /"mamaszę"/, by pochwalić się dbałością o zaopatrzenie domu

I wszystko to działo się w państwie, w którym władzę zdobył i krzepko dzierżył rząd chłopsko - robotniczy. Zaiste trafnie ktoś określił, że największym kpiarzem z losu człowieka jest szatan, który zaczął swoją szatańską propagandę kłamliwą od zapewnienia, że jego zwolennicy będą równi Bogu. Według szatana raj nie ma w niebie, on może być osiągnięty na ziemi. Tak wtedy głoszone w Związku Radzieckim. Przeciętny człowiek radziecki nie miał ani czasu ani zdolności myślenia, jak raj władza chłopsko - robotnicza jemu zgotowała. Zdarzały się jednostki, które zdawały sobie sprawę, do jakiego rajy doprowadzono kraj mający olbrzymie możliwości postępu gospodarczego. Spotkałem w przedsiębiorstwie naszym człowieka który ustrój i władzę określił dwoma wyrazami: "nieczysta syła"/nieczysta siła = szatańskie dzieło/. Może ten prosty człowiek był najbliższy prawdy zawartej w polskim ludowym powiedzeniu, że na próżno człowiek dom "stawi", gdy Bóg nie błogosławi.

Patrząc na to zagadnienie od strony materialnego bytu ludności radzieckiej w Krzywym Rogu my Polacy mimo bardzo ograniczonego pola widzenia nie mogliśmy dociec, dlaczego "warstwa" kierowników i nadzorców nie potrafi, czy nie chce wykorzystać realnych możliwości poprawienia warunków życia ludności. Widzieliśmy, jak od czasu do czasu ciężarówkami wywożono jaja do sprzedaży na bazarze po cenie stosunkowo niskiej. Nawet raz, czy dwa razy zwabieni ceną kupiliśmy takie jaja. Później przekonaliśmy się, że więcej niż połowa jaj była zepsuta. Przecież te jaja można było wywieźć do sprzedaży we właściwym czasie. Znaczna część pomidorów wspaniałych w smaku i w wartości odżywczej dowożona były na place sprzedaży w dużych koszach wiklinowych tak, że te pomidory były pogniecione

i popekane. Inna rzecz, że taki stan pomidorów cenili gospodynie domowe /"domochaziarki"/, bo kupowały te pomidory po bardzo niskiej cenie i dawały jako przecier do beczek i miały po zakiszeniu tego przecieru wspaniały zapas na kilka miesięcy a więc do następnego zbioru pomidorów

Podałem już, że było w gospodarstwach zespołowych w drugiej połowie roku nie dawało dostatecznej ilości mleka z powodu słabego przyrostu traw na pastwiskach. Jednocześnie mimo suchego klimatu udawała się tam kukurydza i słonecznik. Przecież można było obsiać pewną część pól końskim zębem /kukurydza na zieloną paszę/ i dożywiać było latem zielonkami a zimą kiszonkami.

W rejonie Krzywego Rogu suchy klimat nie sprzyjał uprawie ziemniaków ale w rejonie Kijowa już były wspaniałe warunki uprawy ziemniaków. Wystarczyło przewieźć te ziemniaki i nie byłoby takiego paradoksu, że na południu kilogram ziemniaków kosztował 2 rbl a kilogram pomidorów pół rubla.

Na naszym placu budowy była tylko jedna tasma do podawania materiałów na wyższy poziom i to zwykle nieczynna, bo coś się stało w niej psuło. Nie było ani jednego wyciągu do materiałów. Wszystkie takie materiały jak cegły, glinę, zaprawę murarską, żużlobetonowy materiał nosiły kobiety po specjalnych deskach na wzniesienia do 4 -ch metrów.

Nasza grupa ciesielska była w lepszej sytuacji, bo nam podwożono końmi materiały, byśmy je mieli koło tego domu, przy którym nam wypadało pracować. Raz tylko wczesną wiosną 1941r. musieliśmy nosić belki i deski na barakach, bo konie nie były w stanie wyjść ze stajen z braku paszy. Wozacy byli zrzeszeni w spółdzielni pracy /"artiel"/. Konie były własnością tych spółdzielni, które miały dbać, by konie miały odpowiednią paszę. Karmiono je przeważnie kukurydzą. Widocznie bank finansujący czuwał, by nie było nadmiernego zapasu tej kukurydzy a może i pojemność magazynu nie pozwalała na posiadanie przezornego zapasu kukurydzy. Kupowano więc tę kukurydżę "racjonalnie". Tak się złożyło, że po zakupieniu tej kukurydzy droga do kółchozu zrobiła się błotnista. Samochody ciężarowe nie mogły przywieźć tej kukurydzy a konie głodne nie mogły pojechać po swoje wyżywienie. Trzeba było czekać na Boże słońce, które wysuszyło błoto tak, że auta mogły przywieźć paszę. Konie po kilku dniach "przyszyły do siebie" i znowu mogliśmy korzystać z końskiej współpracy przy budowie lepszej przyszłości mieszkaniowej.

Tu wypada podkreślić, że zwierzęta radzieckie wykazywały dużą wytrzymałość i duże dostosowanie się do warunków ustrojowych.

O tym dostosowaniu się przekonałem się już w październiku 1939 r. a więc przed moją ucieczką z Mikłaszowa, gdzie było nasze chłopskie gospodarstwo. Mieliśmy dwa wspaniałe konie nadające się do pracy na roli i do wyjazdu i nawet pod siodło kawaleryjskie. Właśnie ta ostatnia zaleta spowodowała, że jakiś kawalerzysta radziecki w "jeździe wyzwolicielskiej pod Lwów" po odparzeniu grzbietu marnego konia radzieckiego zabrał naszego konia a nam pozostawił łaskawie swojego zranionego konia. Dostosowaliśmy uprzęź tak, by ona nie dotykała się gojącej się rany konia. Miał więc ten koń u nas wszelkie warunki, by z drugim naszym koniem równomiernie ciągnąć wóz. Ja z dwoma moimi braćmi wybrałem się koniem do Lwowa. Chyba wieźliśmy ziemniaki do kogoś, kogo chcieliśmy zabezpieczyć przed głodem. Jazda okazała się pasmem udręki, bo "wschodni sojusznik" naszego konia nie tylko nie pomagał ciągnąć wozu ale w tej symbolicznej RWPG końskiej wykazywał ochotę zatrzymania wozu. Podcinanie hamującego jazdę konia wschodniego batem nie dawało większego wyniku, co ja sobie tłumaczyłem, że on się uodpornił na baty w tych warunkach, w jakich wychowywał się i pracował. Z biedą dojechaliśmy do Lwowa /14 km/ ale gdy trzeba było jechać przez Lwów przy stałym podpędzaniu konia batem, moi bracia ze wstydu pozłazili z wozu i szli chodnikiem a mnie zostawili problem - mówiąc językiem współczesnym - "pieriestrojki" końskiego RWPG. Zrozpaczony postanowiłem zmusić konia do jazdy uderzeniem batem po uszach /jest takie powiedzenie dać komuś po uszach/. By dosięgnąć batem końskiego łba opornego, musiałem podnieść się na wozie do pozycji wyprostowanej. Gdy koń zobaczył mnie w takiej pozycji, ruszył tak gwałtownie i ochoczo, że ja omal nie spadłem z wozu. Gdy usiadłem, koń znowu zaniechał biegu, a gdy podniosłem się, koń biegł. Musiałem jechać w pozycji stojącej. W taki sposób odkryłem, że ten koń był przyzwyczajony do pracy takiej, że poganiacz był zawsze nad nim w postaci groźby stojącej. I wtedy uświadomiłem sobie, dlaczego prawie wszyscy radzieccy żołnierze jechali wozami w pozycji stojącej, a niektórzy gromko pokrzykiwali na swoje konie.

I tak też pracowali ludzie radzieccy jak wyżej opisany koń. Zawsze liczyli się ze stojącymi nad nimi nadzorcami i kierownikami a nadto z trzecią najwyższą warstwą społeczną to jest z przedstawicielami tego, co Solżenitsyn nazwał "Archipeląg Gulag". A nadzorcy i kierownicy mieli potężny bat spleciony z perspektywą głodu i tury. By nadzorcy zbyt nie męczyli się nadzorem wprowadzili normy, które zmuszały ludzi do pracy, bo niewykonanie normy było skazaniem siebie na głód. Kto chciał mieć pełny żołądek i jakiś przydziewek, musiał wykonywać normy, za które

stawki były często obniżane.

Nasz zespół ciesielski wykonywał normy, bo wszyscy byliśmy zainteresowani w osiągnięciu jakichś takich zarobków. Doszło do tego, że nawet w dniach wolnych od pracy czyli w tak zwanych "wychodnych"/co szósty dzień/, gdy ten dzień nie wypadał w niedzielę, dosyć często dobrowolnie pracowaliśmy. Ja dla uzyskania lepszego wynagrodzenia "sprzedałem" swój urlop, jaki się mnie należał po roku pracy. Wziąłem pieniądze za urlop i pracowałem w czasie urlopu, za co też mnie zapłacono.

Pozwalano na taką sprzedaż urlopu. I związek zawodowy /"profsojuz"/ nie protestował przeciwko temu tak, jak teraz organizacja związkowa Miodowiczu nie protestuje przeciwko pracy górników w wolnych sobotach i w niedzielach.

Wszyscy zatrudnieni wtedy należeli do profsojuzu. Przyjęcie do profsojuzu miało bardzo uroczystą formę. Przyjęcia dokonywano na uroczystym zebraniu wszystkich pracowników zatrudnionych na budowie, bo na przyjęcie wyrażali zgodę wszyscy zrzeszeni, których trzeba było o to prosić, i którym trzeba było się w tym celu przedstawić poprzez opowiedzenie swego życiorysu. Trochę było to zabawne, jak Polacy po polsku przedstawiali swój życiorys. Ostatecznie Rosjanie i Ukraińcy mogli coś rozumieć polski język ale Tatarzy kazańscy słuchali nas jak na przysłowiowym kazaniu tureckim. Zwróciłem uwagę, że Ukraińcy, mimo że słabo znali język rosyjski, usiłowali opowiadać się ze swego życiorysu w języku rosyjskim. To był smutny objaw ulegania silniejszemu /objaw niebezpiecznego lojalizmu prowadzącego do rusyfikacji.

Niektórzy z naszych nie sprzedali swoich urlopów. Wypoczywali w czasie urlopu. Zaprzyjaźniony ze mną i z Zawerbnyim młody Czechowicz, otrzymał w czasie urlopu skierowanie na wozasy na Krymie. Bardzo był zadowolony z tych wczasów. Od niego dowiedzieliśmy się, że Tatarzy krymscy mówili w tym czasie poziomem cywilizacyjnym nad przeciętnymi ludźmi radzieckimi i jawnie podkreślali swoją odrębność etniczną. Okrutnie ich ukarano za tę odrębność w końcowym roku II wojny światowej wysiedlając wszystkich z Krymu. Faktycznie Tatarzy krymscy - odporni na rusyfikację - przestali istnieć jako odrębna grupa etniczna, licząca się. Podobny los spotkał jeszcze kilka grup etnicznych, które rozproszono po obszarach Związku Radzieckiego.

W czasie naszego pobytu w Krzywym Rogu ja spotkałem tylko dwóch tamtejszych Ukraińców, którzy mieli świadomość narodową ukraińską. Jednym z nich był - jak już wcześniej podałem - mój brygadier, a drugim był kierownik

stolarni, który ukraińskie uświadomienie uzyskał w carskich czasach, gdy jako młody człowiek przebywał w Kom³⁴²andzie w środowisku Ukraińców z Małopolski Wschodniej. Inni Ukraińcy naddnieprzańscy nie mieli prawdziwej świadomości ukraińskiej a całe ich poczucie odrębności etnicznej ograniczało się do słabo uzewnętrznianej niechęci do "kacapów" czyli do Rosjan. Rosjanie podobną niechęć czuli do Ukraińców, których nazywali "chochłami". Mój brygadier w swej niechęci do "kacapów" twierdził, że z napływem "kacapów" na Ukrainę rozprzestrzeniły się w tym kraju różne rodzaje zła - a w szczególności złodziejstwo. Według brygadiera przed napływem "kacapów" ludzie nie zamykali swych domów i byli bardzo gościnni dla wszystkich, a w szczególności podróżnych. Kradzież na Ukrainie, a szczególnie kradzież koni była okrutnie karana w formie samosądu wtedy, kiedy konie były jeszcze prywatną własnością. W rodzinnej wsi brygadiera - w Kocowce - złapano raz dwóch kawalerów na kradzieży koni. Nieszczęśliwów tych wędzono po całej wsi, każdy mógł ich bić i wielu biło, a w końcu wyprowadzono za wieś i tam kołami zabito. I zrobili to ludzie, którzy uważali się za chrześcijan i odznaczyli się w zasadzie nieklamną życzliwością dla drugich. Gdy mnie tę okrutną śmierć koniokradów opowiadał Zacharczenko, mimowolnie porównałem tę śmierć ze śmiercią Tatarczuka i Barabasza opisaną przez Sienkiewicza w "Ogniem i mieczem" a także z zamordowaniem polskich żołnierzy pokazanym przez Małaczewskiego w noweli p.t. "Miodowy miesiąc na Ukrainie" - ze zbioru p.t. "Koń na wzgórzu". Nie kochali się w Krzywym Rogu zarówno "kacapy" jak i "chachły" z Tatarami kazańskimi. Raz nawet doszło do bójki na pięści ale tę bójkę szybko zlikwidował ktoś rozsądny okrzykiem "milicjonier idiot" / idzie milicjant / W rzeczywistości milicjanta nie było ale poważnione strony na taki okrzyk momentalnie rozproszyły się. Strach przed milicją był większy aniżeli niechęci narodowościowe i cywilizacyjne. Gdy słucham teraz komunikatów o starciach pomiędzy Ormianami i Azerbejdżanami, dochodzę do wniosku, że w ciągu 40 - 50 lat mocno zmieniły się stosunki narodowościowe w Związku Radzieckim, a może ujawniło się tylko to, co już było w 1940 r. a co wtedy tkwiło się pod grubą warstwą popiołu, jakim był totalny reżim strachu i wytrwały system rusyfikacji.

5. Rusyfikacja Ukrainy.

Po zniszczeniu Rusi kijowskiej przez Tatarów i po wejściu na zaistniałą pustkę polityczną Litwy a później państwa polsko - litewskiego Jagiellonów i dwojga Narodów nastąpiło rozczłonkowanie językowe i kulturowe.

wschodniej Słowiańszczyzny na trzy grupy etniczne: Moskali nazywanych później Rosjanami, Białorusinów i Rusinów, zwanych później i teraz Ukraińcami. Bunt Chmielnickiego umożliwił Moskwie zrealizowanie dążenia do zajęcia Ukrainy i do stopniowej likwidacji jej odrębności etnicznej i kulturowej. Możliwość likwidacji tej odrębności wzmocniła się po unicestwieniu państwowości polskiej. Rosja carska szybko i w sposób okrutny zlikwidowała kozaczyznę nadnieprzańską. Skolonizowała południe żyzne Ukrainy. Ludność ukraińską uznała za regionalną odrębność Rusów właściwych czyli Wielkorusów, nazywając tę ludność Małorusami. Dawne wpływy kulturowe Polski systematycznie rugowano. Tworzenie się nowoczesnych narodów w Europie właściwie nie dotarło na Ukrainę. Nacjonalizm ukraiński powstał w byłej Galicji to jest w Małopolsce Wschodniej i on w zasadzie nie przekroczył granicy oddzielającej Austro-Węgry od Rosji carskiej. Tylko nieliczna grupa inteligencji ukraińskiej nad Dnieprem do wybuchu I wojny światowej miała ambicje narodowe ukraińskie, ograniczające się w zasadzie do chęci zachowania odrębności językowej i kulturowej w ramach Rosji., głoszącej w tym czasie hasło scalenia wszystkich Słowian pod przewodnictwem Rosjan. Ruch moskalofilski ogarnął nawet znaczną część Ukraińców galicyjskich. Ukraińcy galicyjscy nie zdobyli się na wysiłek, by swoje uświadomienie narodowe przenieść nad Dniepr. Wszystkie swoje wysiłki skupiali na walkę z Polakami zgodnie z hasłem "Iachy za San" nie zdając sobie sprawy, że losy "samostijnej Ukrainy" rozstrzygają się nad Dnieprem w ramach imperium rosyjskiego, które systematycznie rusyfikowało Ukrainę. Gdy z upadkiem caratu zaistniała pewna możliwość utworzenia samodzielnego państwa ukraińskiego w dorzeczu Dniepru ze stolicą w zrusyfikowanym już wtedy Kijowie, lud ukraiński w tym dorzeczu nie dorósł do zdolności utworzenia samodzielnego państwa, a najbardziej uświadomieni narodowo Ukraińcy galicyjscy odwrócili się tyłem do Kijowa a zaciekle oblękali polski Lwów od listopada 1918r. do maja 1919r. Tymczasem bolszewicy przywódcy Rosji nie tylko nie dopuścili do rozpadu wielonarodowościowego imperium rosyjskiego ale wymyślili i konsekwentnie wprowadzali w życie system przyspieszonej rusyfikacji tego imperium nazwanego Związkiem Radzieckim.

W systemie rusyfikacji zastosowano wielorakie dawne i nowe środki skuteczne. Ja zwrócę uwagę tylko na te dwa środki najważniejsze, jakie zauważyłem w Krzywym Rogu. Pierwszy środek to kolonizacja, to znaczy wprowadzanie na tereny kolonizowane ludności obcej w stosunku do ludności autochtonicznej. Oczywiście wprowadzano głównie rdzennych Rosjan

ale ponieważ ich nie wystarczało, wprowadzono i taki obcy element, jak Tatarzy kazanscy z wyrachowaniem, że Tatarzy, Rosjanie i inne narodowości będą stanowiły większość a rdzenni Ukraińcy będą mniejszością w swoim kraju. I tak było już w latach 1940 i 1941 we wszystkich większych miastach Ukrainy. Teraz w epoce "głasności" dowiedzieliśmy się, że Kazachy stanowią mniejszość w Kazakstanie. Podobna jest sytuacja w niektórych krajach nadbałtyckich. Drugi środek rusyfikacji to niweczenie tożsamości narodowej, by w miejsce zniweczonej tożsamości określonej ludności nierosyjskiej wprowadzić początkowo nicosć kulturową w postaci "narodu radzieckiego" a później na miejsce wyeliminowanego dawnego poczucia narodowego wprowadzić nacjonalizm, a nawet szowinizm rosyjski. Trochę to przypomina sztukę malowania obrazów farbą olejną na obrazach dawniejszych. Takie dawniejsze obrazy należy pokryć białą farbą a później na tak zamalowanym płótnie będzie można malować zamierzone obrazy nowe. Tej procedurze zamalowywania dawnych obrazów ogromnie sprzyjało samo życie, które zmierzało do tego, że człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże a więc obdarzony rozumem i wolną wolą stawał się "siłą roboczą" a więc istotą zoologiczną myjącą wykonywać zadania ustalone przez warstwę kierowników i nadzorców bez prawa posługiwania się własnym rozumem i bez angażowania własnej woli. Osobnicy wykazujący skłonność do samodzielnego myślenia i do samodzielnego postępowania byli uważani za szczególnie niebezpiecznych i dlatego likwidacją tych osobników zajmowała się trzecia, najwyższa warstwa reprezentująca "wolę ludu" to znaczy wolę władców a raczej właściwego władcy, jakim w tym czasie był Stalin. Przy takim poglądzie na człowieka zredukowanego do "siły roboczej", czasem ubieranej w mundur żołnierza i nazywanej "bojce", nie mogło być miejsca na jawne życie duchowe w dobrowolnych stowarzyszeniach, a szczególnie w grupach religijnych i narodowych. Tym należy tłumaczyć bezwzględne tępienie religii i uczuć narodowych wszystkich - z wyjątkiem rosyjskiej. W dokumentach takich, jak konstytucja mówiło się o równości narodowej ale w praktyce było zupełnie inaczej. Trzeba dodać, że stworzone warunki życiowe w dużym stopniu ułatwiały ówczesną "pieriestrojke" człowieka w "siłę roboczą". Przekonałem się o tym na własnej skórze. Praca przez 10 godzin, praca wyteżona, 1 godzina na dojeździe do pracy i z pracy, 1 godzina oczekania na obiad, 1 godzina na stanie w kolejkach, 8 godzin snu i odpoczynku po pracy, 1 godzina na przygotowanie posiłków, razem 22 godziny. Teoretycznie pozostawały 2 godziny na to wszystko, co można nazwać życiem duchowym: w postaci przechadzki,

czytania prasy i książek, rozmów towarzyskich, słuchania radia, pisanie listów, modlitwy. Tak mogłoby być, gdyby rozum normalnie funkcjonował i gdyby były normalne warunki mieszkaniowe. Cóż można mówić o warunkach mieszkaniowych w izbie o 13 łóżkach.

Daleko groźniejszym wrogiem życia duchowego jest mózg nie dożywiony z braku dostatecznej ilości białka w pokarmach. Ludzie nie mający dostatecznej ilości białka w pokarmie bywali jeszcze zdolni do wykonywania pracy fizycznej a byli mniej sprawni w myśleniu. Ciężkie warunki absorbowwały ludzi do tego stopnia, że oni nie mieli czasu ani ochoty na życie duchowe.

Ludzie radzieccy, z którymi mieliśmy styczność w Krzywym Rogu, byli w zasadzie ludźmi dobrymi i sympatycznymi ale my z nimi nie mogliśmy rozmawiać o sprawach wchodzących w zakres ^{z życia} ducha ^{żyłowego}, bo była to dla nich dziedzina obca, nie interesująca. Z tak okaleczonymi duchowo ludźmi nie można było rozmawiać na temat więzi narodowościowych i na temat zagadnień religijnych mimo, że znaczna część tych ludzi - zwłaszcza starszych - zachowała wiarę w Boga ale o tej wierze nie wspominała ani też w inny sposób jej nie uzewnętrzniała.

Raz tylko na moim miejscu budowy zdarzyła się krótka rozmowa w cztery oczy między mną a moim proramem Masławem. Była to rozmowa bardzo krótka ale tak charakterystyczna, że uważam za wskazane przytoczyć ją z podaniem okoliczności mających też swoistą wymowę. Była wczesna wiosna 1941 r. Podjęliśmy się wykonania ogrodzeń sztachetowych z drzewa dookoła czworaków/domów dla 4 rodzin/. Trzeba było wykopać dołki pod słupy. Praca trudna bo glina z domieszką rudy żelaza była i zwięzła i mokra z powodu opadów deszczu. Kopałem taki dołek a moje robocze spodnie pokłtane na wszelkie sposoby łatanymi ze starych rękawic roboczych, były tak zabłocone, że mogłem wyglądać bardzo żałośnie, bo może była zabłocona nawet moja dosyć długa broda, jedyna broda w tej dzielnicy nazywanej Dzierżyński Rudnik. Stał obok mego dołka Masław i po chwili powiedział/był ode mnie znacznie starszy/: Ty na pewno już teraz w Boga nie wierzysz. A moja odpowiedź krótka była taka : Masław, odwrotnie, teraz szczególnie mocno w Boga wierzę, jak poznałem wasze życie". Masław chwilę stał w głębokim zamyśleniu i odszedł. Ja wtedy miałem pewność, że zachwiany w tajnej wierze w Boga Masław odszedł ode mnie umocniony w swojej wierze. Później zrozumiałem, dlaczego Masław właśnie do mnie podszedł z tym głębokim problemem. Moja broda i mój tryb życia nasunęły Masławowi przypuszczenie, że ja jestem duchownym, bo księża prawosławni zwani popami, nosili brody. Może i dlatego zbliżone do mnie i

zbliżone do mnie wiekiem dziewczęta mówiły do mnie "diadia"/wujku/, tak, jak się mówiło do mężczyzn starszych. Rozumowanie Masława, jak podszedł do mnie, było niewątpliwie takie: Jeśli ktoś spadł do roli "ziemiokopa", to chyba przestał wierzyć w Boga, bo przecież Bóg powinien "swoim" pomagać i nie dopuszczać do ich poniżenia. Widocznie Boga nie ma, kiedy jego zwolennik tak nisko upadł. W każdym razie zwolennik miał podstawę do przekonania, że Boga nie ma. Moja odpowiedź przekonała Masława, że Bóg jest, bo życie urządzone bez Boga świadczy, że Bóg odstępcom odmówił pomocy.

Raz odwiedziłem cmentarz w naszej dzielnicy to znaczy w Dzierżyńskim Rudniku. Były to odwiedziny bolesne, bo związane z pogrzebem młodego Polaka, którego nie znałem, bo nie był z naszego transportu. Jego nikt nie uprzedził o zagrożeniu życia górników pracujących pod ziemią. Uległ wypadkowi i zginął. Takich "bohaterów" chowano z orkiestrą. Często takie pogrzeby odbywały się ale ja na nie nie chodziłem. Na ten poszliśmy powodowani religijnym i narodowym nakazem. Była nas spora grupa. Oczywiście pogrzeb był bez ceremoniału religijnego z wyjątkiem naszego "Anioł Pański". Myślę, że ten nasz "Anioł Pański" był przez Pana Boga szczególnie wysłuchany i za tragicznie zmarłego chłopca polskiego i za tych wszystkich, którzy spoczywali na tym całkowicie zaniedbanym cmentarzu, który można było rozpoznać tylko po krzyżach z rur i sztab żelaznych, bo mimo ateizacji takie krzyże tu i ówdzie na grobach stały jako dowody, że pod gruną warstwą ateizacji tli się nadzieja, że człowiek przestanie być tylko "siłą roboczą" a stanie się jawnym wyznawcą Boga.

W Krzywym Rogu nie było czynnej żadnej świątyni chrześcijańskiej. Mówiono mi, że były czynne dwa żydowskie domy modlitwy, z czego można wnosić, że Żydzi tamtejsi byli bardziej odporni na rusyfikację poprzez ateizację i umieli z jakimś powodzeniem bronić swojej tożsamości narodowej i religijnej. Ale i oni w dużym stopniu odeszli od swojej żydowskiej duchowości. Powiedział mi o tym nasz polski Żyd, którego tam w Krzywym Rogu spotkałem, i z którym mogłem rozmawiać jak z kimś mi bliskim. Ten Żyd starszy ode mnie niewątpliwie z polskim średnim wykształceniem, mający żonę z naszym wyższym wykształceniem był właścicielem składu materiałów budowlanych na naszym Śląsku, z którego musiał uciekać na skutek wojny. Zatrzymał się w Krzywym Rogu. Żona jego pracowała w biurze jakiegoś trustu i z tego tytułu bywali w domach Żydów tamtejszych. Otóż w czasie licznych kontaktów z radzieckimi Żydami ten nasz polski Żyd spotkał tylko dwóch Żydów, z którymi mógł rozmawiać jak z Żydami. Inni już nie rozumieli spraw żydowskich. Podał, że tematem rozmów na spotkaniach to

były opowiadania o umiejętnościach doczesnego urządzenia sobie życia I tak na spotkaniach dyrektorów mówiło się o budowaniu willowych domów bez podpadnięcia za nadużycia. Kierownicy sklepów chwalili się, że kontrole niczego nie wykryły. Magazynierzy stwierdzali, że nikt im nie mógł zarzucić braków.

Mysłące kierownictwo żydowskie w Związku Radzieckim niewątpliwie z niepokojem patrzyło, że radziecka praca nad wychowaniem "radzieckiego człowieka" zagraża tożsamości także narodu żydowskiego. Może dlatego były próby skupienia Żydów w większych skupiskach - w tym także poprzez utworzenie żydowskich kołchozów. Były takie kołchozy także w rejonie Krzywego Rogu.

Korzystałem z biblioteki miejscowej bardzo dobrze zaopatrzonej w książki. Nie natknąłem się tam na książki w języku ukraińskim. Kupowałem gazety, by z ich skąpych wiadomości dowiedzieć się, co się dzieje na świecie i by obcinać marginesy służące za paski, na których pisałem listy, bo o zeszyty i papier listowy było trudno. Te gazety były tylko w języku rosyjskim. Słuchałem radia /głośniki połączone z radiowęzłem/. Radiowe audycje były w języku rosyjskim. Język ukraiński zachował się tylko po wioskach w rozmowach prywatnych.

Moje spostrzeżenia z lat 1940 i 1941 o rusyfikacji Ukrainy potwierdza w jakiejś mierze wypowiedź z roku 1987 Iriny Ratuszyńskiej która stwierdziła, że w Odesie nie słyszała języka ukraińskiego w swojej młodości.

Brak uświadomienia narodowego na Ukrainie był powodem całkowitego upadku koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego i nieudania się tak zwanej wyprawy kijowskiej w 1920 r. Koncepcja Piłsudskiego nie liczyła się z tak ważnymi faktami, jak zaistniała już wtedy rusyfikacja Ukrainy i jak z brakiem narodowego uświadomienia ukraińskiej ludności w dorzeczu Dniepru. Okazało się, że koncepcja Dmowskiego, by granice Polski obejmowały tylko tereny o dużym odsetku ludności polskiej była realna. Granica wschodnia Polski ustalona w traktacie ryskim w wyniku zwycięskiej dla nas wojny z bolszewikami w latach 1919 i 1920 była zbliżona do koncepcji Dmowskiego. Nie udało się włączyć do Polski obszarów Kamieńca Podolskiego, Płoskirowa i Mińska, gdzie ludność polska stanowiła duże skupiska.

VIII. A Polska, Lwów, rodzina ?

1/ Międzywojenna wiara w powodzenie.

Gdy Polska odzyskiwała niepodległość w listopadzie 1918r., miałem 5 lat, gdy wybuchła II wojna światowa miałem 26 lat. Należałem więc do pokolenia międzywojennego, które patrzyło na zwycięskie odbudowanie państwowości polskiej i na stopniowy rozwój gospodarczy kraju. Moje pokolenie było pełne wiary, że Polskę będzie można dźwignąć na jeszcze wyższy poziom rozwoju. Otuchą napawały takie osiągnięcia, jak stabilizacja waluty, wybudowanie najnowocześniejszego portu w Gdyni, budowa własnej floty, przystąpienie do stopniowego uprzemysłowiania kraju, a zwłaszcza do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, udane konstrukcje wspaniałych samolotów, rozwój szkolnictwa, oświaty, nauki, literatury.

Wprawdzie ciągle trzeba było pamiętać o wrogiej postawie Niemiec i Rosji sowieckiej ale przeciętny Polak pocieszał się, że przeciwko Niemcom mieliśmy sojusznika to jest Francję, a Rosja sowiecka po naszej zwycięskiej z nią wojnie w 1920r. była na ogół w mniemaniu wielu Polaków mniej groźna aniżeli Niemcy, zwłaszcza Niemcy hitlerowskie. Jako zwolennik obozu narodowego kierowałem się publicystyką Romana Dmowskiego, który twierdził że Rosja sowiecka nie może militarnie zagrozić Polsce i Europie, bo musi zająć się dalekim wschodem, gdzie szybko rosła potęga Japonii. O ile chodzi o Niemcy, to Dmowski starał się wykazać, że w Niemczech będzie spadał przyrost naturalny, co pozwoli Polakom na uzyskanie liczebnej przewagi nad zachodnim sąsiadem.

Ten ogólny obraz rozwoju Polski zaznaczył się także na terenie mnie dostępnym. Warunki bytowe zarówno we Lwowie jak też w miejscowościach wiejskich wyraźnie poprawiły się. Wechodzące w życie nowe roczniki nastawiały się na szukanie zatrudnienia w handlu i przemyśle a także w wolnych zawodach. Wzmacniała się świadomość narodowa polskiej ludności wiejskiej. Budowane nowe kościoły i nowe szkoły.

Ja osobiście startowałem z rodziny chłopskiej, która z 3 ha doszła do 31 ha. Z pięciorga dzieci troje miało przejść do zawodów pozarolniczych. Ukończyłem studia prawnicze w czerwcu 1939r. i złożyłem podanie w ówczesnym Sądzie Apelacyjnym we Lwowie o dopuszczenie do nabycia aplikacji sądowej jako etapu na drodze do zawodu adwokata - cywilisty. Wierzyłem w pozytywne załatwienie podania, mimo że byłem jako narodowiec przeciwnik czynnym sanacji. Miałem w swoim życiorysie akademickim dwa przewencyjne

aresztowania - każde po kilka godzin pobytu na posterunku policji w Winnikach - w okresie wyborów do sejmiku w 1938r. - bojkotowanych przez opozycję. Wyszedłem uniewinniony z jednego oskarżenia karnego w 1938r. Raz we wrześniu 1939r. prokurator wojewódzki we Lwowie przeprowadził ze mną rozmowę, w której zakomunikował mi, że jest przeciwko mnie materia obciążająca i że może być oskarżony o poważne przestępstwo polityczne. Wtedy uważałem te wydarzenia za powód do dumy.

Zacząłem się w jesieni 1938r. o pracę jednogodzinną dziennie w redakcji dziennika lwowskiego pod nazwą "Słowo Narodowe". Liczyłem, że utrzymam się w tej pracy w następnych latach, to jest w latach odbywania aplikacji sądowej a następnie adwokackiej. Tak więc z otuchą patrzyłem w przyszłość zarówno narodu polskiego jak też i moją osobistą. Takie nastroje nacechowane nadzieją na lepszą przyszłość w Polsce przeważały we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa przed wybuchem II wojny światowej. Liczono się poważnie z tym wybuchem wojny ale wierzono, że ona będzie dla nas zwycięska, gdyż wierzyliśmy nie tylko w determinację naszą ale także w potęgę naszych zachodnich sojuszników, zwłaszcza w siłę militarną Francji.

2. Dno czarnowidztwa.

Niepokój ogarnął świadomą część narodu polskiego, gdy stało się jasne, że Związek Radziecki zawarł traktat w 1939r. z Niemcami hitlerowskimi. Wprawdzie treść rzeczywista tego układu nie była znana - a zwłaszcza nie był znany układ w sprawie podziału Europy na niemiecką i radziecką strefę wpływów oraz układ w sprawie rozbioru Polski, ale powszechnie odczuło ten układ jako zachętę ze strony Związku Radzieckiego do rozpoczęcia wojny przez Niemcy hitlerowskie.

Gdy Polska dległa w jesieni 1939r. ogromnej przewadze militarnej Niemiec na skutek całkowitej bezczynności naszych sojuszników zachodnich a zwłaszcza Francji i gdy Związek Radziecki zgodnie z układem z Niemcami zajął wschodnią część Polski, wydawało się nam, że się zawaliło nad nami sklepienie niebieskie.

Szybko jednak odrodziła się nadzieja, bo wojna na zachodzie trwała. Zimą 1939/1940 zachodnia propaganda zapowiadała, że z wiosną 1940r. nastąpi ofensywa naszych aliantów i ta ofensywa doprowadzi do rozgromienia najpierw Niemiec hitlerowskich a później także Związku Radzieckiego, jeśli on się nie wycofa z naszych ziem wschodnich. Tymczasem latem 1940r. wojska niemieckie rozgromiły Francję. I wtedy mnie, przebywającego w tym czasie w Krzywym Rogu opanowały czarne myśli, że naród polski może będzie

znowu pod zaborami niemieckim i radzieckim przez dziesiątki lat. Jak było pod okupacją niemiecką to jest na zachód od Sanu i Bugu, dokładnie nie wiedzieliśmy w Krzywym Rogu, bo od naszych rodzin z Winnik i Mikłaszowa koło Lwowa otrzymywaliśmy, wprawdzie listy ale w listach tych ze względu na cenzurę podawano wiadomości ściśle rodzinne. Nie pisano nam także o prześladowaniu Polaków przez władze radzieckie ale podane nam kilka wiadomości bardzo bolesnych. Najboleśniejszą wiadomością dotyczyła tych dwóch synów Zawerbnego, którzy z końcem kwietnia 1940 wyjechali z Winnik w stronę Karpāt, by dostać się do wojska polskiego na zachodzie. Otóż w dniu 7 maja 1940r. przy próbie przejścia granicy zginął od kul żołnierzy radzieckich starszy syn Zbigniew a młodszy Kazimierz schwyty, otrzymał wyrok na 10 lat pobytu w łagrach i znalazł się w łagrze na północy Związku Radzieckiego. Była to dla nas, a szczególnie dla Zawerbnego, straszna wiadomość. Dowiedziałem się także, że mój brat cioteczny Piotr Dąbek oraz wszyscy schwytni moi koledzy koło Doliny znaleźli się w łagrach z wyrokami 10-letnimi.

W takiej czarnej sytuacji nadszedł dzień 15 sierpnia 1940r. - Święto Matki Boskiej Zielnej - dwudziesta rocznica Cudu nad Wisłą - dzień odpustu w naszym parafialnym kościele i dzień imienin mojej żony. Każdą niedzielę i każde święto kościelne spędzaliśmy najpierw na zastępczym "odprawieniu" Mszy Św. zgodnie z mszalnikiem posiadanym przez Zawerbnego a później na rozmowie obejmującej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W tym dniu - bardzo ciepłym i słonecznym - wybraliśmy się na naszą Mszę Św. i na nasze rozmowy na boisko przylegające do pobliskiego "domu kultury" i "parki kultury" wiedząc, że to boisko zawsze puste, i tym razem będzie puste. Rzeczywiście na boisku nie było nikogo. Mogliśmy wygodnie spędzić czas na naszej modlitwie i na naszych rozmowach o Polsce, Lwowie i o naszych rodzinach. Trochę byliśmy podobni do Żydów pod jerozolimskim "murem płaczu". W naszej rozmowie szczególnie zastanawialiśmy się, czy naród nasz ma szansę na szybkie odzyskanie niepodległości. Mój pogląd na ten temat był bardzo pesymistyczny. Pesymizm mój wynikał z ówczesnej sytuacji, niezmiernie dla narodu polskiego niepożądanej. Polska zajęta przez dwóch odwiecznych wrogów, którzy pamiętają przebieg I wojny światowej i dlatego w żadnym wypadku nie podejmą walki między sobą. Będą współpracować ze sobą w wielu dziedzinach a szczególnie w dziedzinie maksymalnego wyniszczenia ludności polskiej. Nie widziałem wtedy siły militarnej na świecie, która mogłaby zagrozić jednocześnie i Niemcom i Związkowi Radzieckiemu. Japonia nastawiała się na współpracę z naszymi zaborcami. Do bloku mającego panować nad światem przystąpiły i Włochy.

Francja rozbita i współpracująca ze swoim wrogiem nie mogła się liczyć Anglia trwała wprawdzie w wojnie ale była jeszcze nie zajęta przez Niemców tylko dlatego, że niemieckie dowództwo potrzebowało czasu na zgromadzenie statków i okrętów, by przepłynąć się do Anglii. Były jeszcze Stany Zjednoczone ale wyglądało, że one nie wyślą wojsk swoich do Europy tak, jak to uczyniły w I wojnie światowej, bo w Europie zajętej przez Niemców, Związek Radziecki i Włochy nie było nawet miejsca do lądowania. Gdy w rozmowie na krzyworośkim boisku przytoczyłem powyższe argumenty grzebiąc wszelką polską nadzieję na szybkie odzyskanie wolności, mój rozmówca Kazimierz Zawerny uznał logiczność moich argumentów ale postawił mnie zarzut pominięcia najważniejszego czynnika mogącego zmienić sytuację. Sformułował swój zarzut tak: Pan zapominał w swoich wywodach o najważniejszym, że jest Pan Bóg, który może batiarom /czytaj: zaborcom/ tak pomieszać rozumy, że Polska szybko odzyska niepodległość. Zobaczy pan, że za rok o tej samej porze będzie zupełnie inaczej". Odpowiedziałem: "Daj Boże, żeby pańskie proroctwo się spełniło". Z takim proroctwem wróciliśmy do naszego obszczerzytia na nocny wypoczynek, by rano stanąć do pracy mającej utrwalić doczesną potęgę Związku Radzieckiego, wiernego sojusznika Niemiec hitlerowskich.

IXa Czy dojdzie do konfliktu między zaborcami ?

Ludzie prości mniej obawiający się cenzury pisali z naszych stron rodzinnych do niektórych spośród naszych "ochotników" w Krzywym Rogu, że wojska radzieckie budują rękoma ludności cywilnej umocnienia wzdłuż linii rozdzielającej Strefy okupacyjne. Ja do tych wiadomości nie przywiązywałem większej wagi, bo Związek Radziecki od pierwszych lat swego istnienia zbroił się i umacniał a swoich "obywateli" zmuszał do wyrzeczeń i do stałej pracy przy akompaniamencie, że trzeba się przygotowywać, by dać należyty odpór kapitalistycznym napastnikom a następnie ponieść wyzwolenie ludom jęczącym pod jarzmem kapitalistów. Taka uporczywa propaganda dawała jakieś zamierzone wyniki, bo znaczna część ludności Związku Radzieckiego trochę wierzyła - po pierwsze, że są państwa kapitalistyczne gotowe do napaści na Związek Radziecki, po drugie, że ludziom prostym czyli "ludowi pracującemu" w krajach kapitalistycznych żyje się znacznie gorzej aniżeli ludowi pracującemu w Związku Radzieckim. Taką istotę, która uwierzyła radzieckiej propagandzie o strasznej nędzy ludzi prostych poza granicami Związku Radzieckiego spotkałem w Krzywym Rogu. Wspominałem, że radzieccy górnicy, a my do nich

byliśmy zaliczani, mieli przywilej kupienia 10 m płótna na koszule lub 10 m perkalu na sukienki raz w kwartale w specjalnym naszym sklepie górniczym /"zakrytyj magazyn"/. Sprzedaż tego materiału dla uprzywilejowanych górników odbywała się wyłącznie w dniach wypoczynkowych czyli w tak zwanych wychodnych, w których przed takim sklepem ustawiał się ogonek na kilka godzin swoistego "wypoczynku" pod gołym niebem. Ja z tego przywileju korzystałem, by wysłać następnie płótno na adres żony. Chciałem żonie i naszemu synkowi Andrzejowi bodaj w ten sposób wykazać moją troskę o nich. Od czasu do czasu posyłałem także niewielkie sumy pieniężne. Gdy ustawialiśmy się w takim ogonku w marcu lub w kwietniu 1941 r., to obok naszego przystojnego kawalera Czechowicza wypadło stać bardzo młodej dziewczynie radzieckiej. Młodość ma swoje prawa zawsze. Otóż zgodnie z tymi prawami i dla skrócenia nudów stania w kolejce Czechowicz zaczął miłą dla obojga rozmowę z dziewczyną. Gdy Czechowicz powiedział dziewczynie, że nigdy nie przypuszczał, że on będzie musiał stać w ogonku, by kupić kilka metrów płótna równego szmacie, dziewczyna zapytała, jak można było inaczej niż w ogonku kupić taki skarb, jak płótno. Wtedy Czechowicz opowiedział jej, że koło sklepów z towarami często stali pomocnicy sprzedających i usiłowali wciągnąć przechodniów do sklepu, by w nim kupili to, czego dusza mogła zapragnąć. Dziewczyna słuchała tego opowiadania z całkowitym niedowierzaniem. Uważała, że nasz chłopak kpi sobie z niej. Wreszcie z całkowitą wiarą w prawdziwość swoich słów powiedziała: To, co ty mówisz jest kłamstwem bo u was była taka nędza, że ludzie biedni nam przednowku/przed żniwami/ jedli słomę.

Tu, trzeba zaznaczyć, że ta dobroduszna dziewczyna była wyjątkowym eksponatem skuteczności zakłamania, bo przeciętny człowiek radziecki przyjmował strawę propagandową z dużym krytycyzmem. Tej dziewczynie wystarczyło spojrzeć na ubranie swego rozmówcy, by go zapytać, jak ty doszedłeś do takiego ubrania. A może i lepiej się stało, że dziewczyna w zaślepieniu propagandowym nie zobaczyła na Czechowiczu resztek lwowskiego ubrania i nie postawiła odpowiedniego pytania. Właśnie w tym samym czasie w Alma - Acie student krakowskiej medycyny, Żyd, przebywał w mieszanym towarzystwie żydowskim. Miał na sobie jeszcze nie zniszczone ubranie z Krakowa. W toku miłej rozmowy między "swymi" to jest polskimi i radzieckimi Żydami młody Żyd radziecki wypowiedział pogląd, że nasz Żyd, nazywał się Poznański, miał rodziców wielkich burżujów, bo na to wskazuje jego ubranie.

Poznański niejako odruchowo powiedział, że w Polsce ubranie takie nie było majątkiem, były takie ubrania na wszystkich mieszkańcach po miastach a on miał 10 takich ubrań. Ta wypowiedź zgubiła Poznańskiego, bo radziecka Żydówka doniosła władzom właściwym o szerzeniu przez Poznańskiego groźnej dla ustroju propagandy. Poznańskiego skazano na 10 lat pobytu w łagrze. To on mnie o tym opowiedział, gdy i ja znalazłem się w uralskim łagrze, w którym Poznański jako łagiernik był lekarzem. I trzeba przyznać że władze radzieckie zasadnie potraktowały Poznańskiego jako szczególnie niebezpiecznego wroga ustroju radzieckiego, mimo że sam Poznański uciekając przed hitlerowskimi Niemcami aż do Alma-Aty niewątpliwie był ustosunkowany do ustroju radzieckiego jak najlepiej, może w jakimś stopniu kochał Związek Radziecki za danie Żydom polskim schronienia. Groźne dla ustroju niebezpieczeństwo polegało na tym, że ludzie radzieccy odcięci szczelnie od świata, nasycani dziesiątki lat propagandą, że w Związku Radzieckim żyje się ludziom o wiele lepiej aniżeli w krajach kapitalistycznych, nagle po zobaczeniu ludzi z Polski zobaczyli, że propaganda była całkowicie kłamliwa, bo najgorsze warunki życia mieli właśnie ludzie radzieccy. A reżim radziecki wywożąc ludzi z polskich terenów i osiedlając ich we wszystkich zakątkach Związku Radzieckiego wszędzie dokonał wstrząsu w psychice ludzi radzieckich. Ci ludzie uwierzyli, że wszędzie jest dobrze a najgorzej jest w Związku Radzieckim. Powstał ogólny kryzys zaufania do ustroju radzieckiego i do reżimu. Można powiedzieć, że reżim chcąc zniszczyć ludność polską na terenach, które należały do Polski poprzez rozwiezienie tej ludności po obszarach Związku Radzieckiego, dokonał zakażenia ludzi radzieckich niewiarą w ustrój radziecki.

Takiego zakażenia dokonał ten reżim jeszcze wcześniej, gdy setki tysięcy - w moim mniemaniu półtora miliona - żołnierzy radzieckich wprowadził na nasze wschodnie tereny. Ci żołnierze mieli oczy otwarte, zobaczyli polską - a więc kapitalistyczną rzeczywistość i trafnie ją porównali z "osiągnięciami" radzieckimi. O "zakażeniu" radzieckich żołnierzy przekonałem się osobiście wkrótce po rozmowie Czechowicza z supernaiwną dziewczyną z ogonka. Mianowicie zostałem wraz z wszystkimi młodymi ludźmi powołany na rekruckie przeszkolenie wojskowe wczesną wiosną 1941r. Szkolenie to odbywało się w ten sposób, że skrócono nam dzień roboczy z 10 godzin do 8 godzin a resztę dnia spędzaliśmy w swoich ubraniach na szkoleniu i ćwiczeniach wojskowych, prowadzonych przez podoficerów, takich samych cywilów jak my.

Nadzór sprawowali oficerowie zawodowi. Szkolenie po 8 godzinach pracy zarobkowej było męczące i dla szkolonych i dla szkolejących. Musiały być robione przerwy na odpoczynek a formalnie na "perykur"/palenie papierosów/. W czasie takich przerw były też prowadzone pogawędki różne nie związane ze szkoleniem. Na jednej takiej przerwie wypoczynkowej jeden młody człowiek zwrócił się do takiego młodego człowieka, który jako żołnierz radziecki zajmował nasze tereny we wrześniu 1939r., by powiedzieć, jak można po-znać, które tereny należały do Polski. Zapytany dał zdumiewająco trafną odpowiedź taką: Jak zobaczysz dachy pokryte białą blachą i idącego przy orce za pługiem chłopów butach z cholewami całymi ze skóry, to wiedz, że jesteś na terenach, które należały do Polski. Nie wyobrażam sobie trafniejszej charakterystyki a równocześnie stwierdzenia, gdzie był dobrobyt a gdzie była nędza i jak okłamywano ludzi radzieckich. Ja nigdzie w Krzywym Rogu, a później w żadnej wiosce nie widziałem dachów pokrytych blachą ocynkowaną a tym bardziej cynkową. Takich butów, w jakich chłop chodził za pługiem, nie mieli w Krzywym Rogu nawet dyrektorzy przedsiębiorstw.

Mnie to dziwiło, że w Związku Radzieckim za dobre obuwie uchodziły buciki o wierzchu ze, świńskiej skóry i o spodach z gumy. Ja na co dzień nie chodziłem nawet w takim obuwiu. Miałem do celów wyjściowych półbuciki o wierzchu brezentowym i o spodach z gumy. Do pracy chodziłem w "czuniach" to jest w takich półbucikach z jednolitej dość grubej gumy. Nie było w nich żadnego sznurowania poza sznurkiem, który zawiązywało się nad stopą. Latem wsadzałem nogi do tych czuni bez skarpet a zimą wciągałem na nogi watowane skarpety. Opisuję te czunie, bo one odegrały dość ważną rolę w pragnieniach Zawerbnego. Po pracy zwykle byliśmy tak zmęczeni, że kładliśmy się na nasze kojki, by trochę odpocząć i porozmawiać. I wtedy moje czunie stały obok naszych łóżek. Na ścianie przeciwległej wisiał duży oszklony portret Stalina. Któregoś dnia Zawerbny powiedział, że jego największym pragnieniem jest by nadeszła taka chwila, by on mógł moim czuniem walnąć w portret Stalina.

Zarządzone szkolenie górników, którzy w Związku Radzieckim byli zwolnieni od służby wojskowej, wielu uważało za znak, że może dojść do wojny między Związkiem Radzieckim a Niemcami, mimo trwającej współpracy gospodarczej. Ja przypadkowo na spacerach do pobliskiego parku kultury jeszcze przed zarządnym szkoleniem wojskowym poznałem nauczyciela z miejscowej dziesięcioletniej szkoły. Podobał mi się ten nauczyciel, bo wyróżniał się ogólniejszymi zainteresowaniami i był do nas bardzo życzliwie ustosunkowany.

Od niego w czasie jednego spotkania dowiedziałem się, że na partyjnych spotkaniach prelegenci zaczynają mówić, że Związek Radziecki nie może wienżyć Niemcom.

Oficjalny komunikat radziecki, że Związek Radziecki jest przeciwny zajęciu Jugosławii przez Niemców, był publicznym przyznaniem się, że coś zaczyna się psuć między przyjaciółmi, którzy podzielili się Polską. Mimo takiego ostrzegawczego komunikatu wojska niemieckie w dniu 6 kwietnia 1941r. uderzyły na Jugosławię.

W kwietniu był na urlopie w rejonie Połtawy ten młody Ukrainiec, do którego odnosił się z rezerwą obawiając się, że może być donosicielem. Po powrocie z urlopu powiedział mi, że na liniach kolejowych widział transporty wojskowe jadące na zachód, przy czym transporty te miały pełne ubezpieczenie przeciwlotnicze. Mój informator uważał, że wybuchnie wojna. Ja mu powiedziałem, że transport dla celów szkoleniowych ubezpiecza się przeciwlotniczo i dlatego takich transportów nie należy uważać za zapowiedź wojny.

Ja wtedy rzeczywiście nie wierzyłem w wybuch wojny, bo taki wybuch nie pasował do moich ówczesnych poglądów na zaistniałą sytuację polityczną i militarną. W tym czasie doszedłem do przekonania, że kierowany przez Stalina Związek Radziecki osiągnął w sierpniu 1939r. swój cel a mianowicie pchnął Hitlera do wojny i uzyskał prócz prawie pół Polski także sferę wpływów w Europie. W moim ówczesnym przekonaniu kierownictwo radzieckie uważało, że wojna wszczęta przez Hitlera będzie długa i krwawa - ale na zachodzie. W wojnie tej walczące państwa całkowicie wyczerpią się a wtedy Związek Radziecki pomoże ludom tych państw wyzwolić się z jarzma kapitalistycznego czyli osiągnie to, czego nie mógł osiągnąć w 1920r., bo Polska wtedy zwycięską wojną uniemożliwiła bolszewikom "wyzwoleńczy" pochód do środka Europy. W 1939r. Związek Radziecki i Niemcy hitlerowskie zniszczyły polską zapórę. Teraz w mniemaniu Stalina i jego doradców należało czekać na wykrwawienie się Niemców, Francuzów i Anglików, ^{oraz na bunt niemieckich komunistów} których było więcej z legitymacjami partyjnymi partyjnymi aniżeli w Związku Radzieckim.

Tymczasem na wiosnę i latem 1940r. rachuby radzieckie na długą i krwawą wojnę nad Renem nie sprawdziły się, bo kampania we Francji trwała zaledwie 43 dni to jest o 6 dni dłużej aniżeli kampania wrześniowa w Polsce. Zaczęła się groźna na przyszłość sytuacja dla Związku Radzieckiego, bo wyglądało, że Hitler pokona Zachód i szybko i bez większych strat, a wtedy Związek Radziecki zostanie sam na sam z hitlerowskimi Niemcami.

Stalin postanowił swoje olbrzymie siły wprowadzić na zajęte tereny Polski, jeszcze bardziej je wzmocnić, by zmusić niemieckie kierownictwo wojskowe do trzymania znaczniejszych sił w Generalnej Guberni a tymczasem utrudnić ostateczną rozprawę z Anglią. Hitlerowi niewątpliwie przeszkadzała świadomość, że po wschodniej stronie jego 1000-letniej Rzeszy znajdują się olbrzymie siły niepewnego sojusznika ale normalna rozważa nakazywała, by z tymi siłami nie wejść w konflikt przed uporaniem się z Anglią, bo już w I wojnie światowej okazało się, jak niedobrze jest prowadzić wojnę na dwa fronty.

Ja mając taki pogląd na ówczesny układ sił byłem przekonany, że Hitler nie zdecyduje się na zaatakowanie "przyjaciela" Stalina, przed rozprawieniem się z Anglią, która z determinacją prowadziła wojnę a tu i ówdzie odnosiła nawet sukcesy militarne. Ja pilnie czytałem prasę radziecką z jej skąpych wiadomości z zagranicy a jeszcze pilniej słuchałem radia moskiewskiego z głośnika w naszym pokoju. Zwykle budziłem się koło północy i wtedy słuchałem dziennika. Gdy któreś nocy z Moskwy podano, że wojska angielskie zdobyły Bengazę w Libii, tak się wzruszyłem tą wiadomością o pierwszym większym zwycięstwie angielskim, że obudziłem Zawernego i obaj ze łzami radości uściskaliśmy się. Od tego czasu nadzieja wstąpiła do mego serca, że moje pokolenie doczeka się klęski zaborców.

Prawie wszyscy Polacy w Krzywym Rogu uważali, że Związek Radziecki stał się bardziej groźny dla Polaków niżeli Niemcy. Jest to zrozumiałe bo diabeł bliski jest zawsze bardziej czarny niżeli diabeł dalszy. Do takiego kształtowania się nastrojów wśród Polaków w pobliżu Dniepru przyczyniło się i to, że nie było wiadomości, jak Niemcy postępują na zachód od Sanu i Bugu, natomiast było dużo wiadomości o niszczeniu Polaków przez władze radzieckie. Wiadomości o tym niszczeniu Polaków napływały początkowo tylko z Lwowa ale później także z wielu stron Związku Radzieckiego. Nawiązałem łączność korespondencyjną z moim stryjcem wywiezionym wraz z rodziną w rejon Irkucka. Mimo ogromnie ciężkich warunków listy stryja i brata stryjecznego nie były rozpaczliwe. Były w nich nawet sformułowania krzepiące i humorystyczne. Na przykład stryj napisał, że wie, gdzie jest Krzywy Róg, bo "tamtydy" prowadzono ludzi w "jasyr". Podał stryj, że tak schudł a był przed wojną dosyć otyły, że teraz zmieściłby się cały w nogawce swoich spodni przedwojennych kaleson. Spotkałem się ze stryjcem i jedną siostrą stryjeczną Marysią dopiero po roku 1948 w Gromadce koło Bolesławca. Stryjenka i mała Stefania zmarły na tyfus przed przekroczeniem granicy irańskiej. Siostra stryjeczna

Józia po zakończeniu wojny i po zdemobilizowaniu z armii Andersa pozostała na Zachodzie. Bracia stryjeczni zginęli w czasie wojny: Marcin w kampanii włoskiej a Jan przy zdobywaniu wału pomorskiego.

Nawiązałem także łączność listowną z kolegą gimnazjalnym i uniwersyteckim Zygmuntem Bajorkiem wywiezionym do Kazachstanu z rodzicami i bratem i malutkim Andrzejkiem za to, że wpieryw we Lwowie aresztowano starszego brata Jerzego jako oficera rezerwy po zgłoszeniu się jego do nakazanej przez władze radzieckie rejestracji naszych oficerów, On sam nie chciał się rejestrować ale skłonił go do tego ojciec - skrupulatny legalista - wtedy emerytowany sędzia lwowskiego Sądu Apelacyjnego. Miał szczęście Jerzy Bajorek - naczelny elektryk chorzowskich zakładów azotowych, bo nie znalazł się w Katyniu lub w innej mogile zbiorowej polskich oficerów. Wydostał się z Andersem ze Związku Radzieckiego ale jego malutki Andrzejek z wieloma podobnymi dziećmi polskimi pozostał w ziemi kazachstańskiej.

Kim Zawerbny otrzymał adres winnickiej lekarki wywiezionej do Kazachstanu za to, że jej mąż jako lekarz wojskowy był w wojsku polskim na zachodzie. Jej ojciec starszerek Stanowski został jako lekarz emerytowany w Winnikach. Zastrzelili go żołnierze radzieccy, gdy uciekali w 1941r. przed Niemcami zarzucając, że ten starszerek do nich strzelał.

Po przyjeździe do Krzywego Rogu dowiedzieliśmy się, że przed nami w tym mieście pracowali polscy lotnicy jako jeńcy wojenni. Zabrano ich z tego miasta może dlatego, że miało dobry klimat i z niego była łatwiejsza ucieczka. W latach pięćdziesiątych na wczasach leczniczych w Szczawnie Zdroju spotkałem naszego Ślązaka z okolicy Rybnika a jednego z tych lotników naszych, którym udało się zbiec z Krzywego Rogu. Wspominam przykładowo o gehennie ludności polskiej systematycznie niszczonej przez zaborczy Związek Radziecki od roku 1939, by unaoznić, dlaczego wielu Polaków, którzy nie znali postępowania okrutnego zaborców ~~niemieckich~~ niemieckich, uważało reżim radziecki za okrutniejszy aniżeli reżim hitlerowski.

A ja dodatkowo wybiegałem w przyszłość czarną dla polskiego narodu w jarzmie radzieckim mając straszne dowody niszczenia Polaków w Związku Radzieckim w latach międzywojennych. Z takimi dowodami spotkałem się. Już wspominałem jak w drodze do Krzywego Rogu spotkaliśmy takiego Polaka, który uszedł spod Mińska. Gdyby nie uszedł, to prawdopodobnie jego szkielet powiększyłby 120 tysięcy szkieletów odkrytych obecnie w Kuropatnikach koło Mińska. W moim przekonaniu wśród wymordowanych tam

ludzi może najwięcej było Polaków, o których najbliżsi, jeśli zostali przy życiu, mówili, że zginęli bez wieści. Spotkałem takich najbliższych w Krzywym Rogu.

Reżim radziecki zmienił rozkład dni wypoczynkowych po miastach. W miejsce tak zwanych "wychodnych" wypadających po 5 dniach roboczych wprowadzono dni wolne od pracy w każdą niedzielę. Oficjalnie powrót do niedzielnego dnia wypoczynku uzasadniono tym, że kołchoźnicy przez cały czas mieli niedziele jako dni wolne od pracy i w tych dniach przyjeżdżali na bazyry w celach handlowych. Żeby ułatwić wymianę handlową między ludnością miejską a wiejską, pozwolono na to, by ludność miejska miała dni wolne od pracy w każdą niedzielę. Niektórzy uważali, że Stalin przywrócił niedziele, by sobie zjednać ludzi licząc się z możliwością konfliktu ze swoim hitlerowskim spjusznikiem.

My Polacy byliśmy zadowoleni z możliwości odpoczynku niedzielnego. Nasze niedzielne modlitwy mszalne odmawialiśmy zaraz rano a później czasem udawaliśmy się do śródmieścia względnie na bazar. W czasie takiej jednej przechadzki do śródmieścia stanęliśmy w ogonku by kupić gazety. Trzeba wyjaśnić, że ludność szybko nabywała gazety po przywiezieniu do kiosków, bo później tych gazet nie było. Początkowo dziwiłem się, dlaczego ludzie radziecy tak skwapliwie kupują gazety, w których poza niewielką kroniką zagraniczną nic ciekawego nie pisano. Szybko zorientowałem się, że oni kupowali gazety, by tymi kawałkami gazety posłużyć się do skręcania papierosów wypełnianych machorką. Ja nigdy nie byłem palaczem ale od palaczy słyszałem, że gazeta jest najlepsza do machorki. Ja kupowałem gazety nie tyle ze względu na wiadomości z zagranicy bo te zwykle miałem z "kołchoźnika" radiowego wiszącego w naszej izbie zbiorowej, jak głównie dlatego, by z odciętych marginesów mieć papier listowy /ze względu na wojenne przejścia żona nie zachowała moich unikalnych listów na paskach gazetowych/. Po wykupieniu gazet zrobiło się pusto koło kiosku. Zostało nas chyba trzech Polaków. Niedaleko od nas stała stara, całkiem siwa kobieta z małą dziewczynką, może 6-letnią. Obserwowała nas. Ja od razu domyśliłem się, że ta kobieta jest z innej epoki. Po wahaniu i po dobrym sprawdzeniu, że nikogo podejrzanego nie ma w pobliżu kobieta podeszła do nas i przepiękną polszczyzną zaczęła z nami rozmawiać ciągle niespokojnie badając oczyma, czy ktoś do nas nie podchodzi lub nas nie obserwuje. Nie była to rozmowa a płynąca z serca opowieść krótka i wstrząsająca o własnym życiu. Sposób wysławiania się i rysy twarzy wskazywały, że kobieta należała do polskiej warstwy inteligenckiej. Tak było istotnie. I taka warstwa była skazana na wyniszczenie.

W ramach tego wyniszczenia zabrano kobiecie i męża i syna, ^{którzy} zginęli bez wieści. Pozostała jej jeszcze córka. Wyszła za mąż za tamtejszego Ukraińca, oficera zawodowego. Młodzi małżonkowie uznali za przeczne przenieść się pod mandżurską granicę, dokąd bardzo chętnie przenoszą no oficerów zawodowych. Ci młodzi ludzie rozumowali bardzo logicznie, że tam nie będą skrupulatnie badali pochodzenia żony, że tam może nie wyjdzie, że jest Polką i to taką Polką, której ojciec i brat przepadli bez wieści w jakiejś mogile zbiorowej. Ci młodzi ludzie zostawili swoją córeczkę babci, by babcia ją wychowywała w ciepłym klimacie krzywoproskim i w najcieplejszym klimacie polskiego serca kobiecego, tak ciężko doświadczonego przez okrutny reżim radziecki.

Jednego dnia na placu naszej budowy zauważyłem pracownicę z dzieckiem w wieku przedszkolnym. Było to dla mnie bardzo dziwne, bo po pierwsze kobiety mające dzieci z reguły były mężatkami a mężatki nie pracowały zarobkowo - po drugie dzieci mogły korzystać z przedszkola. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, jak usłyszałem kobietę mówiącą po polsku do dziecka. Oczywiście podszedłem do tej młodej blondynki i wdąłem się z nią w rozmowę. Dowiedziałem się, że jest Polką ze wsi koło Żytomierza, gdzie jeszcze utrzymało się tak dużo Polaków, że jest jeszcze czynny polski kościół w Żytomierzu. Miała brata starszego. Był studentem kijowskiej politechniki i bardzo czynnym działaczem komunistycznym. Gdy władze radzieckie zaczęły likwidować szkoły polskie w miejscowości, o ludności polskiej, brat wystąpił przeciw likwidowaniu szkół polskich zarzucając, że jest to niezgodne z ideologią komunistyczną. Brata aresztowano. Przepadł bez wieści - dodajmy znowu w innej mogile zbiorowej. Opowiadającą mąż opuścił - zjawisko dosyć częste wśród ludzi młodych w Związku Radzieckim. Musiała pójść do pracy zarobkowej. W dniu tym z jakichś powodów, których nie pamiętam, nie mogła dać dziecka do przedszkola i dlatego zabrała je z sobą do pracy.

Spotkałem jeszcze w przedsiębiorstwie bardzo młodego chłopca o miłych rysach twarzy. Miał w dowodzie napisane, że jest Polakiem. Umiał mówić po polsku ale nie odczuwał potrzeby, by ze mną rozmawiać, a ja też byłem przekonany, że w ewntualnej naszej rozmowie polskość nie może być tematem zrozumiałym dla tego chłopca. On bez własnej winy stał się już tylko "radziecką siłą roboczą". Jego świadomość narodową zamalowano białą farbą, na której reżim radziecki postanowił wymalować jeśli nie w nim to w jego dzieciach obraz radzieckiego patrioty a może i obraz radzieckiego szowinisty, polakożercy. Pocieszam się, że może stało się

inaczej, bo wiele genialnych pomysłów szatańskich nie udało się. Zawerbny, którego syn Zbigniew padł od kul radzieckich "pograniczników" a najmłodszy syn Kazimierz dostał się do łagru koło Murmańska, postanowił dowiedzieć się, co się stało z jego jeszcze dwoma synami Stanisławem i Adamem, którzy dostali się do wojska polskiego we Francji. Napisałem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Nie miałem przekonania, że list dojdzie do adresata. Doszedł, bo po pewnym czasie w odpowiedzi na ten list przyszła kartka od naszych znajomych Kazimierza Rychlewskiego i Józefa Baranieckiego, którzy w tym czasie byli w Lionie we Francji Petaina. Doniesli, że syn starszy Zawerbnygo przedostał się do Anglii i jest w dalszym ciągu w wojsku polskim a młodszy Adam przebywa w Szwajcarii w obozie dla internowanych żołnierzy polskich. Wszyscy trzej synowie przeżyli wojnę. Stanisław po ukończeniu zaczętych we Lwowie studiów ożenił się z Angielką i pracował w szkolnictwie, Adam ukończył studia prawnicze i został adwokatem francuskim a później przedstawicielem handlowym firm francuskich w PRL. Kazimierz prowadził pracownię krawiecką w Anglii. Ze Związku Radzieckiego wydostał się z Armią Andersa. Ja też odważyłem się napisać do ZAGS-u /urzędu stanu cywilnego/ w Nowym Jaryczowie koło Lwowa prosząc, by mi przysłano moją metrykę urodzenia. Wyjaśniam, że władze radzieckie odebrały parafiom prawo prowadzenia ksiąg metrykalnych dla celów świeckich. Zarządzały wydania tych ksiąg. Przejorny księża oddali księgi po sporządzeniu odpisów. Tak więc księgi metrykalne w tym czasie były w ZGS-ach. Na moją prośbę nie otrzymałem odpowiedzi. Metryka była mi nieodzownie potrzebna dla uzyskania dowodu osobistego, gdyż ja go nie miałem. Jak już zaznaczyłem, do Krzywego Rogu przyjechałem tylko z zaświadczeniem wystawionym w Bilce Królewskiej. Na podstawie tego zaświadczenia wydawano mi czasowe dowody tożsamości z ważnością na 3 miesiące. Musiałem co 3 miesiące zgłaszać się z nowymi zdjęciami na posterunku milicji, by uzyskać kolejny czasowy dowód tożsamości. Było to uciążliwe nie tyle dla milicji co dla mnie - zwłaszcza, że ciągle pamiętałem o przesłuchaniu przez kijowskie NKWD. Gdy komendant posterunku o rysach żydowskich patrzył na mnie, to ja się zastanawiałem, czy on coś wie o mnie z Kijowa. Chyba nie wiedział a przypatrywał się przypuszczalnie dlatego, że w tej dzielnicy tylko ja jeden nosiłem brodę i dobrze się stało, że miałem brodę i że tę brodę dobrze zapamiętali i komendant i wszyscy jego podkomendni milicjanci. Wprawdzie ja tę brodę przejściowo straciłem ale po pewnym czasie ona mi odrosła. Brodę straciłem przejściowo w taki sposób po rozpoczęciu rekrutkiego przeszk

lenia wojskowego: Na jednej ogólnej zbiórce dowódcy - a nasz - oficer zawodowy - przechodził wzdłuż naszego dwuszerogu i zauważył moją brodę. Przy wszystkich powiedział, że mu się moja broda nie podobala i dał rozkaz, bym na następną zbiórkę przybył bez brody. Rozkazu nie wykonałem. Na następnej zbiórce oficer zapytał, dlaczego nie wykonałem rozkazu. Odpowiedziałem, że nie mam pieniędzy na fryzjera. Oficer wyciągnął swoje pieniądze i dwom ludziom jako konwojentom kazał mnie doprowadzić do pobliskiego zakładu fryzjerskiego, gdzie były młoda i sympatyczne fryzjerki. Wprawdzie jedna z nich zgodnie z rozkazem usunęła moją brodę, ale z dużym słownym oburzeniem na oficera za znęcanie się nad człowiekiem. Byłem trochę zdziwiony mile, że fryzjerki odważyły się na głośne krytykowanie postępowania władzy wojskowej. Później zrozumiałem, że te młode dziewczęta uważały mnie za prawosławnego duchownego i swoim słownym oburzeniem podkreślały swoje przywiązanie do religii. Zapewne dowódca wojskowy też walczył przeciwko mojej brodzie, bo nie chciał mieć w podległym mu oddziale człowieka przypominającego stan duchowny swoją brodą. Wkrótce wydarzenia o skutkach epokowych stworzyły mojej brodzie warunki pozwalające na jej odrośnięcie.

W defiladzie 1-majowej wziąłem udział bez brody ale z karabinem. Wszystkie takie oddziały jak nasz były wprawdzie w ubraniach cywilnych to jest własnych ale z karabinami na znak, że jesteśmy wojskiem gotowym do walki z wszystkimi możliwymi wrogami Związku Radzieckiego. Inna rzecz że tymi karabinami jakie mieliśmy w czasie ćwiczeń i na tej defiladzie 1-majowej, nie moglibyśmy wrogom zaszkodzić, chyba dopiero w walce wręcz w której można by bić kolbami. Nasze karabiny były prawdziwe, może i zasłużone w czasie I wojny światowej i w wojnie domowej, ale z nich nie można było strzelać, bo - po pierwsze - były bez zamków, a po drugie - miały wywierconą dziurkę w tym miejscu, w którym następuje sprężenia i wypychającego kulę poprzez gwintowaną lufę. Tak więc władza wojskowa dała nam karabiny z podwójnym zabezpieczeniem przeciwko użyciu karabiny /"wintowki"/ jako broni palnej. Bagnetów /"sztyków"/ też nie mieliśmy. Tak więc nie mogliśmy ruszyć do walki na bagnety. Pozostawały tylko kolby /"przykłady"/. Do nauki przyniesiono jeden karabin prawdziwy, by nam pokazać jak działa zamek i jak taki zamek rozbiiera się przy czyszczeniu broni. Mieliśmy jedno ostre strzelanie w głębokim jarze - a takich dookoła Krzywego Rogu było dużo. Wtedy przyniesiono dwa karabiny i pewną ilość prawdziwych naboju. Strzelanie odbywało się pojedynczo do tarczy pod nadzorem zawodowego oficera stojącego nad każdym strzelającym z pozycji leżącej. Oficer przydzielał nabój. Po jego wystrzeleniu następny i tak

do wyczerpania ilości, jaka była przeznaczona w regulaminie dotyczący ostrego strzelania. Tak reżim był ostrożny w stosunku do swoich obywateli. A w naszym lwowskim gimnazjum przechodziliśmy szkolenie wojskowe w ramach obowiązkowego przysposobienia wojskowego i były sprawne karabiny w ilości potrzebnej dla wszystkich. Z tymi karabinami chodziliśmy na ćwiczenia, na defiladę w dniu 11 listopada i z nich strzelaliśmy z wielu stanowisk jednocześnie na wojskowej strzelnicy w dzielnicy Zamarstynów. Każdy otrzymywał 3 naboje na strzały próbne i 10 nabojów na strzelanie punktowane. Żadna władza się nas nie bała, mimo że już w wyższych klasach gimnazjalnych i ja i kilku moich kolegów byliśmy przeciwnikami sanacji, to jest obozu, który wtedy rządził krajem.

Z tej 1-majowej defilady w Krzywym Rogu pozostały mi jeszcze takie wspomnienia: Była słoneczna pogoda ale wiał wyjątkowo chłodny wiatr, który nam "bojcom"/żołnierzom/nie dokuczał, bo byliśmy normalnie ubrani, ale obok nas stały grupy dziewcząt szkolnych w strojach gimnastycznych. A ja wtedy nie zdobyłem się na chrześcijańskie współczucie dla tych biednych dziewcząt. Wręcz przeciwnie w duchu mówiłem "dobrze wam tak, bo dla czego wystąpiłyście półnago". Nie wiedziałem wtedy, że one były poddane terrorowi szkolnemu i musiały przyjść w strojach gimnastycznych nie zważając na zagrożenie dla zdrowia a może i życia. Ta straszna zasada tresowania okrutnego już od ławy szkolnej była stosowana i w szkołach PRL, bo na pochód 1-majowy "wychowawcy" w płaszczech wyprowadzali młodzież szkolną w strojach gimnastycznych, by wychować obywateli zdolnych ginąć z okrzykiem: "za rodzinę - za Stalina".

Młodsze dzieci nosiły na patykach portrety wszystkich "świętych" nowej religii bolszewickiej. Ale dzieci są dziećmi. Widziałem jak po pochodzie w sposób nieszkodliwy okładały się kijkami, na których były portrety - zapewne do jednorazowego użytku. Tylko tyle widziałem z miejsca, gdzie nasz oddział, który po defiladzie musiał odmaszerować do "bazy".

W czasie marszu z bazy i do bazy mijaly nas samochody osobowe z dobrze odżywionymi dyrektorami. Pod ich adresem w naszym oddziale padały bardzo krytyczne uwagi. Widocznie na całym świecie chudzi pracownicy podwładni nie kochają tłustych przełożonych, a mieszkańcy hoteli robotniczych - właściciele budynków willowych.

Nie wiem, jakie uczucia były w sercach tych, którzy czasem zaczynali start mieszkaniowy w Krzywym Rogu od ziemiarki. Chodząc na ćwiczenia wojskowe przechodziłem przez głęboki jar, w którego ścianach z gliny były pomysłowe ziemiarki robione w formie tunelu poziomego. Głina była związ-

tak, że trzymała się bez specjalnych umocnień. Wystarczyły drzwi ~~z~~ ze starych desek. Otwór pionowy w sklepieniu glinowym służył za komin. Ale raz ci ludzie z takich ziemianek - przynajmniej niektórych - musieli uciekać. Zwykle w Krzywym Rogu opady dosyć obfite wczesną wiosną i jesienią a skąpe latem były normalne. Raz tylko zdarzyła się tak klęskowa ulewa - "oberwanie chmury", że woda wypełniła wszystkie wklęsłości gruntowe a jary zamieniły się w rwące potoki wody, która w pewnych miejscach podeszła do ziemianek. Mieszkańcy ziemianek ratowali się wyłazając na wyższe poziomy ściany jary. Tu i ówdzie woda wypłukała skąpe mienie mieszkańców ziemianek. Ja tego nie widziałem ale następnego dnia na ćwiczeniach wojskowych naoczni świadkowie opowiadali, jak woda niosła prowizoryczne łódki z drzewek korytkami do prania, puste beczki. Nie wiem, czy miejscowa władza "chłopsko-robotnicza" przyszła tym powodzianom z ziemianek z pomocą.

Niedaleko od naszego obszczeżyctwa był domek, którego połowa była w ziemi a połowa nad ziemią. Ta nadziemna połowa z oknami na poziomie ziemi wyglądała solidnie z dachem krytym papą. Podobno wewnątrz było dobrze urządzone i schludnie. Mieszkała tam rodzina chyba z dwoma córkami "na wydaniu". Widocznie dziewczęta były atrakcyjne, bo było kilku "starających się". Szczegóły na ten temat opowiadali na jednym z ćwiczeń rówieśnicy dziewczęta. Chodziło o przedstawienie sposobu na "wykurzenie" z takiego domku rywala. Otóż bardziej zapobiegliwi amanci przyszli wcześniej do dziewczęta a ich przeciwnikom, którzy się spóźnili, nie wypadało wchodzić do domku. Wpadli na pomysł "wykurzenia" rywali. Wleźli na dach, wzniesiony około 1,1/2 m od poziomu ziemi i zatkali "trubę"/komin/. Dym zapewne wypełnił mieszkanie i w ten sposób chyba doszło - może tylko do chwilowego - "wykurzenia" rywali. Cóż w ustroju radzieckim sprawy między młodymi układały się w sposób odwiecznie ustalony w myśl powiedzenia: miłość nie zna granic.

Radzieckie szkolenie wojskowe obejmowało także sztukę dobrego śpiewania marszowego, stosowaną zresztą i za caratu i chyba we wszystkich armiach na świecie. Śpiew w czasie marszu był ułatwiony. Najpierw fragment pieśni śpiewał pojedynczy żołnierz /"zapiewajło"/ a później ten fragment powtarzał cały oddział. Ludzie radzieccy śpiewali chętnie. Ja w zasadzie śpiew lubię, ale w tamtych warunkach rodził się we mnie taki bunt przeciw śpiewaniu na komendę, że maszerowałem w milczeniu. Ze wstydem przyznaję, że obserwowałem szkolącego nas podoficera idącego zwykle obok maszerującego oddziału. Ile razy podoficer patrzył w stronę naszej czwórki, to ja wtedy ruszałem ustami do taktu pieśni nie wydobywając z siebie głosu. Ten brzydotny nawyk unikania starcia z "władzą" w sprawach drugorzędnych i maskowania się niestety ujawnił się u mnie także w innych okolicznościach.

Ja też zacząłem bać się "władzy" w sposób nadmierny. Niedaleko od placu ćwiczeń wojskowych była na najwyższym wzniesieniu część miasta nazywana Socgorod /miasto socjalistyczne/. Któregoś dnia zwiedziłem ten Socgorod wyróżniający się nie tylko położeniem, z którego można było widzieć inne dzielnice miasta, ale także dużymi kilkupiętrowymi domami mieszkalnymi, niedawno zbudowanymi. Mieszkańcy tej dzielnicy mogli korzystać z komunikacji tramwajowej. Tam też zobaczyłem aleję, którą określiłem jako ulicę "świętych" religii bolszewickiej. Na cokółkach po jednej i drugiej stronie ulicy stały dużej wielkości portrety takich ojców ideologii, jak Marks, Engels, Lenin, Stalin ale i portrety pomniejszych wielkości. Sądzę, że w tej swoistej wystawie była i rotacja. Zapewne od czasu do czasu zdejmowano jakiś portret a na jego miejsce dawano nowego zasłużonego. Na dalszym planie tej dzielnicy stał szereg wysokich i nieczynnych pieców martenowskich. Mój brygadier wyjaśnił mi, że te piece z powodu jakiejś wady okazały się niezdatne do produkcji stali. Przypuszczam, że winnych znaleziono i surowo ukarano. Piece pozostały jako swoisty eksponat gospodarki.

X. Wybuch wojny między zaborcami

1. "Bronirowka".

W niedzielę dnia 22 czerwca 1941r. zaraz z rana wyszedłem w stronę ^{sub}przedmieścia. Miałem tam coś załatwić, ale obecnie już nie pamiętam, co to miało być. W drodze zauważyłem, że milicjanci mają przewieszzone przez ramię maski przeciwgazowe. Pomyślałem, że widocznie znowu odbywa się szkolenie w ramach obrony przeciwlotniczej. Takie ćwiczenia już zdarzały się wcześniej. Gdy znalazłem się w naszym obszczeżytiu, w naszej izbie, Polacy współmieszkańcy powiedzieli mi, że z naszego głośnika radiowego /"kołchoźnika"/ słyszeli powtarzany już kilka razy komunikat, że należy słuchać radia o godz. 10-tej. Ponieważ dotychczas nigdy takich komunikatów nie nadawano, uznałem, że audycja zapowiadana na godz. 10-tą ma szczególną wagę w mniemaniu władz. Postanowiłem uważnie wysłuchać zapowiadanej audycji. Dodaję, że z wszystkich Polaków - mieszkańców obszczeżytia ja ja najlepiej znałem język rosyjski.

Doczekałem godz. 10-tej. Usłyszałem przemówienie Mołotowa zaczęte stwierdzeniem, że dzisiaj o świcie wojska niemieckie napadły na Związek Radziecki a lotnictwo nieprzyjacielskie zbombardowało szereg miast radzieckich. Podał nazwy miast a wśród nich i Kijów. Ten początek przemówie

nia zrobił na mnie takie wrażenie, że już ze wzruszenia - bardzo ra-
wzruszenia - nie mogłem zrazu wydobyć z siebie głosu, by czekającym
gom powiedzieć, że dwóch naszych odwiecznych wrogów, do dnia wczorajszego
współpracujących ze sobą, rozpoczęło między sobą śmiertelny bój stwa-
sytuację mogącą przyspieszyć odzyskanie wolności przez naród polski.
Gdy wreszcie odzyskałem zdolność mówienia i powiedziałem kolegom, co
stało, wszystkich tak, jak i mnie ogarnęła radość. Radości tej jednak
wykazywaliśmy w obecności ludzi radzieckich, bo baliśmy się donosu.
Zresztą instynktownie wyczuwaliśmy, że rdzenni Rosjanie przeżywali
ciężko przebieg wojny nie tylko z ogólnoludzkich względów - wszak na-
giną ludzie - w tym ludzie bardzo bliscy - ale to była wojna z ich
państwem. W kilka dni później, jak z komunikatów wynikało, że wojska ni-
ckie posuwają się w zwycięskim pochodzie na wschód, miałem możliwość
obserwowania przy słuchaniu radia tych dwóch starych Rosjan z naszej
brygady ciesielskiej, którzy często mile wspominali carskie czasy a
narzekali na biedę współczesną. Otóż ci Rosjanie obaj mieli lzy w oczach
z żalu, że ich ojczyzna jest zagrożona. Wprawdzie komunikaty były bardzo
skąpe - a więc nie zawierały zwrotów o cofaniu się, o przewadze nieprzy-
jaciela ale podawały tylko, ó rejonie jakich miast ważniejszych toczą
się zaciekle walki. Ludzie radzieccy na ogół wiedzieli, gdzie leżą wymi-
nione miasta i doskonale rozumieli, że armia czerwoną szybko cofa się.
Komunikaty dowództwa radzieckiego były skąpe ale audycje propagandowe
były obfite, pełne zwrotów patriotycznych, oraz pełne wypowiedzi o wstr-
sajających okrucieństwach niemieckich najeźdźców i o przykładach świadc-
cych o bohaterstwie obrońców rosyjskiej ojczyzny.

W następnym dniu po wybuchu wojny zastało zakończone nasze
szkolenie wojskowe. Nie mieliśmy w tym dniu zajęć ściśle wojskowych
a tylko obszerne i bardzo patriotyczne wystąpienie polityka/wychowawcy
politycznego/połączone ze śpiewaniem pieśni żołnierskich, mających wzmo-
nić naszego ducha bojowego i naszą wiarę w zwycięstwo "matuszki Rassij".
Byłem przekonany, że po przejściu przeszkolenia mnie i innych przeszkol-
nych skierują na front. Chyba na trzeci dzień otrzymałem wezwanie, bym się
zgłosił natychmiast do urzędu prowadzącego sprawę wojskowe w naszej
dzielnicy. Myślałem, że otrzymam kartę powołania. Otrzymałem kartę ale inn-
nazwaną "broniówka". Ten dokument stwierdzał, że jestem zmobilizowany,
podlegam rygorom dyscypliny wojskowej, ale pozostawia się mnie do bliżej
nieokreślonego terminu w przedsiębiorstwie wykonującym ważne zadania
związane z obroną kraju. Taka rola "broniowanego" mnie odpowiadała, bo
rzecz oczywista - nie chciałem narażać życia na froncie a walce dwóch

śmiertelnych wrogów Polski. Obu tym wrogom życzyliśmy klęski.

Tymczasem nadal chodziłem do 10-godzinnej pracy przy budowie czwórków mieszkalnych dla przodujących w pracy górników. Ale chodziłem w innym niż dawniej nastroju. Zawsze w drodze do pracy mającej około 1 km długości odmawiałem ranną modlitwę a także głosem przyciszonym śpiewałem niektóre pieśni religijne. Teraz te same modlitwy w czasie drogi stały się bardzo gorące, bardziej ufne. Godziny pracy stały się mniej męczące - nie tylko dlatego, że tempo pracy u wszystkich osłabło, ale głównie dlatego, że myśli były bardziej przy ogólnych wydarzeniach niż przy wykonywanej pracy ciesielskiej. A o tych wydarzeniach ogólnych mieliśmy wyobrażenia nie tylko na podstawie skąpych, dwa razy dziennie podawanych komunikatów dowództwa radzieckiego ale także na podstawie własnych spostrzeżeń i na podstawie wiadomości nieurzędowych. Komunikat poranny dowództwa radzieckiego najczęściej miał takie brzmienie: "nocz przeszła spokojno". Natomiast komunikat zawierający informacje o dziennych wydarzeniach na froncie był cenniejszy, bo wymieniał, koło jakich miejscowości toczą się walki. Nas Polaków szczególnie interesował front południowy to znaczy kierunek na Kijów i Krzywy Róg. Gdy któregoś dnia podano o zażartych walkach w rejonie Nowogrodu Wołyńskiego, zrozumieliśmy, że wojska niemieckie przekroczyły naszą granicę państwową ustaloną w traktacie ryskim po naszej zwycięskiej wojnie 1920 r.

Własne obserwacje moje też stawały się z każdym dniem coraz bardziej wymowne. Niedaleko od naszego placu budowy była linia kolejowa lokalna, ze stacją o nazwie Mudriona. Otóż na tej linii widziałem coraz częściej towarowe pociągi wiozące w kierunku wschodnim maszyny różne, co świadczyło, że wojska radzieckie nie widzą możliwości powstrzymania wojsk niemieckich na zachód od Dniepru, a jednocześnie dowództwo radzieckie zostawia za sobą teren оголоcony, czyli że stosuje taktykę "ziemi spalonej". Z terenów opuszczanych zabiera się też wszystkich mężczyzn w wieku od 16 - 60 lat. Tym, którzy nie stosują się do nakazu pójścia na wschód, grozi kara śmierci. Ponieważ transport kolejowy jest przeciążony, dlatego ludzie podlegający przymusowej ewakuacji muszą iść pieszo. Wkrótce miałem możność zobaczyć, jak takie oddziały cywilów w różnym wieku - prowadzone zwykle przez podoficerów przechodziły koło naszego placu budowy. Pomyślałem, że któregoś dnia i my będziemy musieli w takich grupach marszowych wycofać się na wschód za Dniepr.

Na razie z wszystkich przedsiębiorstw zabrano wszystkich obywateli radzieckich narodowości niemieckiej i skierowano ich do prac w głębi Rosji.

Z naszego placu budowy zabrano dwóch takich Niemców - jednego w wieku około 35 lat a drugiego podchodzącego pod 60-tkę. Spotkałem się z resztkami takich Niemców na Uralu za ówczesnym Mołotowem, a dawnym i dzisiejszym Permem w latach 1945 - 1948. Podobny los spotkał wszystkich radzieckich Niemców - w tym także Niemców nadwołżańskich, którzy mieli tam własny autonomiczny kraj, wyróżniający się wysokim stopniem zagospodarowania. Tak ludzie pracownicy, uczciwi płacili poniewierką, zdrowiem i życiem tylko dlatego, że byli narodowości niemieckiej i niczym nie przyczynili się ani do zawarcia ani do rozpadu szatańskiej spółki pomiędzy dwoma totalitarnymi ustrojami: radzieckim i hitlerowskim, pomiędzy dwoma obłądnymi ideologiami/określenie Ojca Św. Jana Pawła II/. Wprawdzie Niemców tych nie skierowano do Katyniów, jak to zrobiono z naszymi polskimi oficerami, ale sporo tych Niemców wyginęło z powodu chorób, niedożywienia i złych warunków pracy.

W rejonie Krzywego Rogu zaczęli się pojawiać specyficzni uchodźcy z Małopolski Wschodniej i z Wołynia. Byli to ci, którzy tam się znaleźli jako element napływowy z terenów radzieckich. Mieli oni ugruntować panowanie radzieckie nad "wyzwoloną Zachodnią Ukrainą". Korzystali tam ze zdobyczy mieszkaniowych, ubraniowych, ^{wyposażeniowych i meblowych} mieszkaniowych itp. Musieli oni porzucić większość tych zdobyczy i uchodzić przed wojskami niemieckimi z odczuciem - zresztą trafnym - że ludność "Zachodniej Ukrainy" była do nich wrogo ustosunkowana. Ci uchodźcy usiłowali źle nastawić ludzi radzieckich do nas pochodzących właśnie z tej nieszczęsnej "Zachodniej Ukrainy". Usiłowania te nie dały wyniku, bo tych uchodźców było mało, a współziomków chyba nie wzbudzała myśl zasady "dobrze ci tak", a nadto wszyscy mieli głowy zaprzątnięte ważniejszymi wydarzeniami a w szczególności z pytaniem co będzie ze mną, co będzie z nami?

Od Dniepru napływały pogłoski, że pędzone stada bydła z trudem są przepędzane na wschodni brzeg tej rzeki przez nieliczne mosty a skąpe o tej porze w trawy pastwiska nie dają bydłu dostatecznej paszy.

My Polacy po pracy zbieraliśmy się dla wymiany wiadomości i też stawialiśmy sobie pytanie, co będzie z nami, gdyż w razie zbliżenia się frontu czekała nas ewakuacja na wschód, skąd dochodziły pogłoski o rosnących cenach i o braku żywności. Wielu z naszych wołało się dostać pod okupację niemiecką, bo wtedy można by było wrócić do stron rodzinnych. Byli nawet tacy, którzy doradzali znalezienie jakiejś kryjówki w starych chodnikach kopalnianych na czas ewakuacji. Nasze rozważania na temat "co będzie z nami" w połowie lipca 1941 r. zostały przerwane.

2. Na robotach fortyfikacyjnych.

Na naszym placu budowy było prymitywne urządzenie sygnalizacyjne kawał szyny na drucie. Uderzeniem młotka o szynę dawano znaki rozpoczęcia pracy, przerwy i zakończenia dziennej pracy. Któregoś dnia w połowie lipca koło godziny 10-tej przed południem usłyszeliśmy sygnał a mianowicie kierownictwo robót wezwało wszystkich na zbiórkę, w czasie której podano nam mobilizacyjne zarządzenie, że wszyscy mężczyźni w wieku od 16 do 50 lat oraz dziewczęta i kobiety bezdzietne w tym samym wieku mają po zabraniu z domu potrzebnych rzeczy osobistych jak odzież i bielizna, zgłosić się niezwłocznie na punkt zborny koło biura naszego przedsiębiorstwa w śródmieściu. Ja wstąpiłem do naszego obszczeżytnia, wziąłem około 1 kg chleba/więcej nie miałem/ i jakąś bluzę roboczą a następnie udałem się na punkt zborny. Tam przesiadzieliśmy beczynnie kilka godzin, w czasie których mogliśmy widzieć stada koni prowadzonych w kierunku wschodnim. Były to konie z gospodarstw rolnych. Po pewnym czasie zarządzono, że kobiety mogą wrócić do domu a nas bez wskazania celu i powodu poprowadzono na przełaj w kierunku zachodnim. Domyślaliśmy się, że idziemy do robót fortyfikacyjnych. Ja po raz pierwszy znalazłem się na polach uprawnych, z których już zdążono zebrać zboże. Widziałem w wysokich ścierniskach mnóstwo kłosów, których nikt nie zbierał nie tylko teraz w sytuacji wojennej, ale także w latach normalnych. Za zbieranie takich kłosów skazywano na rok więzienia. Przypominam, że więźniowie obowiązkowo pracowali. Dla nas było dziwne, że za zbieranie kłosów a więc za zapobieganie marnotrawstwu karano więzieniem. Władza radziecka miała na to zagadnienie taki pogląd: Gdyby ludziom pozwolono na zbieranie kłosów, to w czasie żniw celowo robiono by tak, by na polu zostawało jak najwięcej kłosów. Chyba miano jeszcze na uwadze i to, że ludzie nocami ścinałoby kłosa i w razie rewizji u nich twierdziliby, że to kłosa takie, które zostały zebrane ze ściernisk. W moim przekonaniu chodziło jeszcze o to, że ludzie mieli pracować od świtu do zmroku a przy takim założeniu nikomu nie należało zostawiać czasu na takie zajęcia dodatkowe jak zbieranie kłosów. Mógłby ktoś zauważyć, że gospodarstwa uspołecznione - a więc kołchozy i sowchozy - powinny były posiadać odpowiednie grabarki, którymi można by zebrać opadłe kłosa ze ściernisk. Właśnie w tym trudność, że gospodarstwa te albo nie miały takich grabarek albo nie miały odpowiedniej siły pociągowej, albo nie miały czasu na takie prace, jak zebranie opadłych kłosów. Znawcy stosunków w rolnictwie radzieckim mówili, że żniwa zaczynało wcześniej - często jak

zboże nie było jeszcze w pełni dojrzałe, a nieraz zdarzało się, że śnieg spadał na nie zebrane jeszcze zboże.

Tymczasem nas głodnych prowadzono polami, na których leżało mnóstwo chleba w postaci nie zebranych kłosów. Od czasu do czasu pozwalano nam na krótkie wypoczynki. W czasie jednego takiego wypoczynku rozdzieliłem mój zapas chleba na kromki pomiędzy członków naszej grupy. Był to tylko symboliczny posiłek. Z nastaniem zmroku marszu nie przzerwano. Dopiero koło północy, gdy dotarliśmy do dużej sterty słomy w pobliżu jakiejś wsi, pozwolono nam resztę nocy spędzić na legowiskach ze słomy, którą braliśmy ze sterty.

Jakkolwiek sen nasz był krótki, to trochę odpoczęliśmy, gdy wczesnym rankiem zrobiono nam pobudkę. Ponieważ prawie przez dobę nie mieliśmy posiłków i ponieważ głód wszystkim dokuczał, postanowiliśmy domagać się pożywienia. Wysłaliśmy w tej sprawie delegację do "dowództwa" ale to "dowództwo" nie tylko nie dało nam żadnego pożywienia ani nie wyjaśniło kiedy otrzymamy pożywienie, ale wysłanie delegacji uznało za przejaw buntu i zagroziło naszej delegacji rozstrzelaniem.

Tak więc w ponurym, bo głodnym nastroju rozpoczęliśmy rankiem dalszy marsz do nieznanego nam celu. Wyglądało, że idziemy kotliną rzeczną, bo grunty wzdłuż drogi były mniej ^{suche} suchnięte niż grunty na wzniesieniach. Po pewnym czasie naszą drogą weszliśmy na teren zadrzewiony. Był to duży sad po obu stronach drogi. Rosły w tym sadzie w pobliżu drogi przeważnie jabłonie. Były na nich jabłka. Pod niektórymi jabłoniami leżały opadłe jabłka. Kolumna marszowa rozsypała się, by pozbiierać jabłka. Dwaj dozorcysadu uzbrojeni w strzelby jednorurki oddali strzały ostrzegawcze w powietrze. Ponieważ nikt tymi strzałami nie przejął się, strażnicy pozostali bezradni. W naszej kolumnie marszowej było wielu chłopców po 16 - 17 lat. Ci nie zadowolili się jabłkami opadłymi - przeważnie robaczywymi - ale sprawnie weszli na drzewa i sporo owoców strzęśli. Tak więc nasza kolumna marszowa zdobyła namiastkę pożywienia w postaci jabłek w stanie nie dojrzałym. Ja swój zapas jabłek wsadziłem pod bluzę roboczą ściągniętą na biodrach paskiem. Gdy minęliśmy sad, doszliśmy do dwóch budynków kołochołnych pamiętających ozasy "pamieszczyków" /właściciele ziemskich/. Koło jednego z tych budynków mogliśmy kupić owoc brzoskwini. Ja byłem jednym z ostatnich kupujących.

Nie mogłem już dopędzić grupy, w której byli Polacy, na skutek czego przypadło mi stanąć do pracy z grupą młodych, silnych Tatarów kazańskich. Kierownictwo robót późnym popołudniem umożliwiło nam kupienie chleba i wyznaczyło każdej grupie zadania związane z wybudowaniem umocnień

obronnych na lewym to jest wschodnim brzegu rzeki Ingulec płynącej na zachód od Krzywego Rogu z północy na południe do Morza Czarnego. Umocnieniami miał być szeroki rów przeciwozołgowy a za nim na wzniesieniach kryte stanowiska ogniowe. Grupie, w której znalazłem się, wyznaczono odcinek, przeznaczony na rów przeciwozołgowy. Wewnątrz grupy zadania rozdzielono sprawiedliwie na wszystkich członków grupy. Tatarzy ostro wzięli się do kopania. Ja z konieczności musiałem dostosować się do nich ale obawiałem się, że ja nie wytrzymam fizycznie na dłuższą metę. Tatarzy byli widocznie zawodowymi ziemiokopami bo kopanie szło im sprawnie. Pomyślałem, że ten lud od wisków przywykły do uległości wobec swoich chanów a teraz wobec władców radzieckich traktuje swoje zadania nierolnicze jako coś normalnego. Ci ludzie gotowi wykonywać nawet najgorsze rozkazy aktualnych władców. Zauważył to już Sienkiewicz. Jest w "Potopie" scena, jak na rozkaz Kmicica Tatarzy wieszają swoich kolegów schwytanych na gwałtach i grabieżach. Wieszają ich bez szemrania a nawet ponaglają ^{ich} w tej "pracy", by "bagadyr" /Kmicic/ nie gniewał się za opieszałość. Ich pobratymcy w tym pierwszym dniu nad rzeką Igulec też pospiesznie wykonywali powierzone im zadanie, by zadowolic jakiegoś nowego "bagadyra"

Na szczęście moje przed zachodem słońca odnalazł mnie jeden z naszej lwowskiej grupy i ja opuściłem Tatarów a przeniosłem się do naszej grupy, która też miała wyznaczony odcinek rowu przeciwozołgowego ale pracę wykonywała w ramach "możliwości" a nie w ramach wyznaczonego zadania. Praca trwała do zachodu słońca. Na nocleg udaliśmy się w stronę wspomnianych poprzednio dwóch budynków kołchoźnianych. Jeden budynek "za pamieszczyka" był przeznaczony na zakwaterowanie służby folwarcznej. Obecnie - jak służba folwarczna awansowała na kołchoźników, to dom zajmowało kilka rodzin kołchoźników - w tym także rodzina przewodniczącego kołchozu. Jedno obszerniejsze pomieszczenie w tym domu nie było zajęte bo przecież kołchoz musiał mieć świetlicę. Drugi budynek za "pamieszczyka" był prawdopodobnie spichlerzem. Jak "pamieszczyk" uciekł, lub w inny sposób przestał istnieć, to nowi gospodarze /"chaziaje"/ nie byli w stanie utrzymać tego budynku. Zapewne zaczęło się od tego, że na dachu zrobili si dziury. Później z zacieków zaczął walić się strop z drzewa. Z opałem, jak już w innym miejscu wspomniałem, było krucho. Stopniowo zużyto na opał materiały drzewne, zostały mury. Mała część budynku miała jeszcze dach i stropy, bo w tej części był magazyn kołchoźniany. Właśnie nad tym magazynem na stropie była słoma i na tej słomie spędzaliśmy noce po pracy. Było to dosyć wygodne miejsce bo rano i wieczorem a często także w południowych przerwach w pracy kupowaliśmy mleko od kołchoźnic płacąc

po pół rubla za litr. Chleb nam sprzedawało dowództwo. To dowództwo sprzedawało nam także inne posiłki /zupę, kaszę/ po uruchomieniu prowizorycznej kuchni polowej.

W ówczesnej sytuacji nie przyszło mnie do głowy, by badać, jak funkcjonował kolchoz. Dla mnie najważniejsze było to, że mogłem kupić dobre mleko.

Bywało, że oczekaliśmy na przypędzenie krowy z pobliskiego pastwiska i na wydojenie jej. Po ilości mleka oceniałem, że krowy były dobrej rasy mlecznej. Każdy kolchoźnik miał jedną krowę. Stajenek nie było. Krowy na czas udoju i na noc były przywiązywane do słupów, na których były prowizoryczne daszki ze starej blachy - może z beczek po lepiku. Ściana nie było żadnych. Może na zimę robiono jakieś prowizoryczne ściany ze słomy. Nie widziałem zapasu paszy na zimę w postaci siana.

Poza przewodniczącym kolchozu i może jeszcze dwoma starszymi mężczyznami nie widziałem młodych mężczyzn. Widocznie zostali zmobilizowani i wysłani na front. Tam też pierwszy raz na ziemi radzieckiej zobaczyłem rower. Jeździła na nim prawie dorosła córka przewodniczącego kolchozu. Jakoś nie zainteresowałem się, jakiej marki to był rower. Może to była "zdobycza" z naszych stron?

Którejś nocy opuściliśmy w pośpiechu nasze legowiska nad magazynem. Usłyszeliśmy warkot niemieckiego samolotu, a za chwilę zaczęła spadać z nieba na spadochronie rakietą świetlna, która oświetliła pobliską okolicę i nasz "hotel polowy". Zaraz po rakiecie lotnik zrzucił 2 bomby ale daleko od nas. My w popłochu opuściliśmy nasze legowiska i do nich już nie wróciliśmy w następnych nocach. Rano dowiedzieliśmy się, że bomby spadły w pobliżu "dowództwa". Widocznie wywiad wojskowy niemiecki sprawnie działał na radzieckim zapleczu, bo lotnik miał informację, gdzie jest siedziba dowództwa, kierującego robotami fortyfikacyjnego.

A roboty trwały od wschodu słońca do zachodu słońca z przerwami na spożycie posiłków oraz z krótkimi przerwami na "perykur" / na wypalenie papierosa / Rów przeciwczołgowy pogłębiał się ale z każdym dniem w tempie coraz wolniejszym, bo "perykury" były coraz częstsze i coraz dłuższe, a pogawędki na temat "co będzie" coraz bardziej kolektywne. W pobliżu stanowiska pracy pobudowaliśmy sobie dosyć wygodne szałasys korzystając z prętów wikliny. nadrzecznej oraz z obficie rosnącej wysokiej mietlicy zwanej "burian". W szałasie spędzaliśmy noce po wyżej opisanym wizerunku ostrzegawczej lotnika niemieckiego. Ten i ów w czasie dnia też udawał się do szałasu na odpoczynek. Młodszy korzystali z kąpieli w rzece, która miała wodę nagrzaną i czystą. Praca stopniowa stawała się wczasami przy przepięknej pogodzie. Deszcze zdarzały się rzadko. Raz był większy deszcz.

Część z naszych schroniła się w szalaszach a część szukała schronienia nad magazynem kołchoźnianym i w świetlicy kołchoźnianej. Ci, co byli w tej świetlicy, stwierdzili, że dach nad nią był tak dziurawy, że woda przeciekała przez strop do świetlicy. W Krzywym Rogu zaś dzień i noc wydobywano rudę żelaza. Z tej rudy w tym samym mieście w jakiejś części wytapiano żelazo a może z niej robiono czarną blachę. W naszym przedsiębiorstwie prócz blachy czarnej była dachówka ceramiczna, eternit, papa a dach nad świetlicą o dzień drogi pieszej od Krzywego Rogu był dziurawy.

W naszej grupie lwowskiej na robotach - wczasach nad Ingulcem nie było Czechowicza i innych w jego wieku, bo oni jako "doprzywyczniki" /czekający na powołanie do zasadniczej służby wojskowej/ mieli rozkaz przebywać w Krzywym Rogu w oczekiwaniu na powołanie. Czechowicz odwiedzał nas dosyć często. Przywoził nam w czasie takich odwiedzin gazety oraz inne wiadomości. Do nas można było wygodnie dojechać pociągiem, bo niedaleko od nas była stacja kolejowa. Wprawdzie linia kolejowa uchodziła za lokalną ale dwa razy dziennie pociąg kursował w jedną i drugą stronę. W pierwszych dniach sierpnia w gazecie była podana wiadomość, że czeski rząd emigracyjny zawarł porozumienie z rządem radzieckim w sprawie zorganizowania armii czeskiej w Związku Radzieckim. Z nami był od nas starszy Stachmiewicz z Zaolzia. Mówił dobrze po polsku i chyba uważał się za Polaka. Po tej wiadomości czeskiej mówił wprawdzie dalej po polsku ale zaznaczał, że jest Czechem. Za dwa dni po wiadomości czeskiej przyjechał do nas Czechowicz z gazetą, w której podano, że rząd radziecki wznowił stosunki dyplomatyczne z emigracyjnym rządem polskim i zaznaczono, że będzie utworzona polska armia w Związku Radzieckim. Po przeczytaniu tej gazety zebrani Polacy co sił w strunach głosowych odśpiewali hymn "Jeszcze Polska nie zginęła". Ja zaraz odszukałem tego przedstawiciela dowództwa, który nadzorował nasz odcinek robót fortyfikacyjnych, i zakomunikowałem mu, że my Polacy domagamy się, by nas skierowano do wojska polskiego. Przedstawiciel dowództwa zapewnił, że da nam odpowiedź po porozumieniu się z dowództwem. Na drugi dzień zawiadomił nas, że dowództwo nie ma wytycznych w tej sprawie a w szczególności nie wie, czy i gdzie są punkty zbornie dla Polaków, którzy chcą być w armii polskiej. Dzisiaj wiemy, że rzeczywiście w pierwszych dniach sierpnia 1941 r. takich punktów zbornych nie było, bo formalny układ w sprawie wojska polskiego został zawarty dopiero 13 sierpnia 1941 r. My o tym nie wiedzieliśmy i dlatego odpowiedź dowództwa nad Ingulcem przyjęliśmy jako dowód ni szczerego stosunku władz radzieckich do spraw polskich. Od tej odpowiedzi nasze prace fortyfikacyjne były tylko udawane a udawanie takie było ułatwione

bo nadzór nad robotami był coraz słabszy.

Daty dzisiaj nie mogę ustalić. Mogło to być 7 sierpnia 1940 r. Obudziłem się w szalasię i dziwiłem się, że mimo słońca na niebie, nie słychać "dzwonu" wzywającego nas do pracy. Za chwilę wpadł do naszego szalasu trzymający z nami Ukrainiec ze wsi podlwowskiej z wiadomością, że nocą nasze "dowództwo" - uciekło i że wszyscy porzucają roboty i wracają do swych domów - mieszkań.

3. Na wschód czy na zachód ?

Nasza lwowska grupa znalazła się w sytuacji wymagającej podjęcia decyzji, co mamy dalej robić. Ja uważałem, że powinniśmy wrócić do Krzywego Rogu, by stamtąd udać się na wschód jako zorganizowana grupa wojskowa. Przypomniałem, że nad nami wisi rozkaz udania się na wschód pod groźbą kary śmierci. Wielu z naszych a szczególnie najstarszy wśród nas wiekiem Zawerbny twierdziło, że nie powinniśmy ruszać się z miejsca, doczekać się przyścia wojsk niemieckich i wtedy wracać do naszych stron rodzinnych a więc do Lwowa. Za takim stanowiskiem przemawiało przekonanie, że niemieckie wojska są już bardzo blisko, o czym świadczy nocna ucieczka kierownictwa robót fortyfikacyjnych. Wyglądało, że my już nie znajdziemy władz radzieckich w Krzywym Rogu.

Postąpiliśmy zgodnie z poglądem i pragnieniem większości to znaczy pozostaliśmy na froncie robót fortyfikacyjnych jako wierni obrońcy Związku Radzieckiego. Zajęliśmy tylko pozycję wygodniejszą a mianowicie z naszych szalasów przeszliśmy do jednego krytego stanowiska obronnego, by być bliżej kuchni mieszczącej się w podobnym pobliskim stanowisku. Okazało się bowiem, że nasza "bohaterska" grupa nie była sama. Została jeszcze kucharka z kilkoma mężożyznami i z zapasami pozwalającymi na sporządzanie posiłków. Jako dodatkowe zaplecze żywnościowe pozostała za rzeką, niezbyt daleko od nas duża plantacja z dojrzałymi i dojrzewającymi pomidorami. Plantacja ta należała do sąsiedniego czysto żydowskiego kołchozużydowscy kołchoźnicy przezornie uciekli, a plantacja pozostała do naszej dyspozycji. Mając czynną kuchnię pod bokiem poczuliśmy się nieco raźniej w naszym samotnym postanowieniu trwania do rozstrzygającego końca na wyznaczonym nam przez władzę radziecką posterunku obronnym. Nie naszą winą było, że dowództwo tak energiczne na początku, kiedy groziło rozstrzelaniem naszej delegacji za upominanie się o pożywienie, tak tohórzliwie nocą bez pożegnania porzuciło nas na niezakończonych robotach fortyfikacyjnych. Jeśli na froncie wojska radzieckie mają podobnych dowódców, jak by li nasi, to nie dziwnego, że wojska niemieckie tak szybko poruszają się

w głąb Związku Radzieckiego.

Po dwóch lub trzech dniach nasz duch bohaterskiego trwania na wyznaczonym nam stanowisku podupadł, gdy kuchnia przestała funkcjonować, bo kucharka i jej pomocnicy poszli w inni wiadomy kierunek. Wprawdzie pozostała jeszcze plantacja pomidorów ale bez chleba do nich nie można było odżywiać się w sposób wystarczający. Wiemy z historii, że nawet najdzielniejsi obrońcy kapitulowali, gdy zabrakło żywności. Doskonale o tym wiedział Zagłoba, gdy przed obroną Zbaraża niespokojnie pytał, czy aby "wiwendy" /środków do życia/ zgromadzono w potrzebnej ilości. Wypada przypomnieć, że podobno Napoleon wypowiedział pogląd, że dzielność żołnierza jest wprost proporcjonalna do zawartości żołądka tego żołnierza. Słuchałem na II roku prawa wykładów prof. Stanisława Grabskiego we Lwowie. On tłumaczył nam, że wydajność pracy jest też wprost proporcjonalna do wartości pożywienia. Potwierdzą tę prawdę później wyniki gospodarcze PRL.

Ale ostatecznie nie brak żywności ale mój pogląd, że możemy być rozstrzelani bez sądu przez cofające się wojska radzieckie, skłonił naszą grupę do wysłania Czechowicza i chyba Stachewicza do Krzywego Rogu pociągiem, by w mieście zbadali sytuację i nas o niej poinformowali. Mieli wrócić tego samego dnia znaną Czechowiczowi drogą, pieszą, bo trudno było liczyć na pociąg w naszą stronę. Po południu wyszliśmy na spotkanie z naszymi wysłannikami. Idąc na to spotkanie widzieliśmy samoohad wojskowy z żołnierzami NKWD. Był to dla nas dowód, że "kościwo władzy radzieckiej" jeszcze istnieje i działa w naszym pobliżu. Zainteresował mnie także spory plac przydrożny zarośnięty bardzo wysokim "burianem". Stwierdziłem, że to był park maszyn rolniczych zapewne zepsutych, bo dobre maszyny, chyba takie też były, zapewne już wcześniej wywieziono na wschód za Dniepr. Zaintrygował nas także kurhan dosyć wysoki. Z nauki historii wiedziałem, że na obszarach między Wisłą a Kaukazem było dużo kurhanów z przywiązany mi do nich legendami. W moich stronach rodzinnych były dwa takie kurhany: z epoki zamierzchłej i jeden święty kurhan w Zadwórzcu ku czci 318 ochotników polskich, którzy polegli w sierpniu 1920 r. w nierównej walce z oddziałem armii konnej Budiennego. Tu trzeba zaznaczyć, że władze radzieckie w ramach zacierania śladów polskich zniszczyły nie tylko Cmentarz Orląt we Lwowie ale także kurhan w Zadwórzcu. Mając ogromne zainteresowanie sprawą kurhanów mimo naszej trudnej sytuacji podszedłem bliżej do zauważonego kurhanu. Spotkało mnie całkowite rozczarowanie, bo stwierdziłem, że rzekomy kurhan, to bardzo duża sterta słomy zbutwiałej i porośniętej bardzo wysokim "burianem". I właśnie koło tego rzekomego kurhanu spotkaliśmy się z naszymi wysłannikami.

Od naszych wysłanników dowiedzieliśmy się, że władze radzieckie z przepraw dniesprowych zawróciły uciekające kierownictwa przedsiębiorstw polecając tym kierownictwom wypłacenie wynagrodzeń pracownikom, którym też należy wydać zabrane na czas robót fortyfikacyjnych dokumenty takie jak dowody osobiste. Pracownicy mogą ewakuować się bądź ze swymi przedsiębiorstwami, bądź indywidualnie, bądź w grupach wojskowych. Po uzyskaniu takich wiadomości postanowiliśmy wracać do Krzywego Rogu pociągiem przedwieczornym. Nasi wysłannicy nie mogli nam powiedzieć, jak daleko jest linia frontu od Krzywego Rogu. Powiedziały nam o tym nasze wszy - zwłaszcza przy zbliżaniu głowy do powierzchni ziemi. Słychać było słabe a więc jeszcze dalekie odgłosy strzałów z ciężkich dział. Później ustaliliśmy, że to były odgłosy ciężkich walk toczonych w rejonie Kirwogrodu, leżącego około 110 km w kierunku północno-zachodnim od Krzywego Rogu. Odgłosy tych strzałów i wybuchów artyleryjskich zrobiły na nas duże wrażenie. Ogarnęło nas dziwne uczucie, że zbliża się chwila mająca zdecydować o naszym losie. Z jednej strony pragnęliśmy nadejścia tej chwili niosącej jakąś nadzieję i dla nas i dla Polski, a równocześnie czuliśmy jakiś niepokój związany z wojną, której przebieg przeżyliśmy we wrześniu 1939 r.

Zanim skierowaliśmy się na stację kolejową, wstąpiliśmy do "naszego" kolchozu, by coś kupić do jedzenia. Gdyśmy tam zjawili się, to prócz kilku kobiet był tam mężczyzna w wieku około 60 lat i on zapytał nas dosyć urzędowym tonem "kto wy taki" /kim wy jesteście/. Widac było, że on reprezentował wszystkie władze radzieckie i miał pełnomocnictwo do zwalczania niemieckich spadochroniarzy i dywersantów. Trzeba mieć uznanie dla tego człowieka, który przypuszczalnie nie miał żadnej broni palnej. Miał podstawę do brania nas za ludzi podejrzanych. Rysy nasze wskazywały, że my z Zachodu, a opalenizna, zarosty - szczególnie moja broda - nasuwały przypuszczenie, że działamy cały czas pod gołym niebem na zgubę Związku Radzieckiego. A teraz głód nas skłonił, by podejść do siedzib ludzkich. Na szczęście nie musieliśmy tłumaczyć temu filarowi władzy radzieckiej, kim jesteśmy, bo obecne przy spotkaniu kobiety stanowczo stwierdziły, że nas dobrze znają, bo zawsze podchodziłyśmy kupować mleko. Szczególnie dobrze znają mnie. Tak więc moja broda okazała się najlepszym dowodem tożsamości.

Pociąg, do którego wsiedliśmy był pustawy. Podobno miał to być ostatni pociąg do Krzywego Rogu, do którego dojechaliśmy o zachodzie słońca. Na dworcu spotkaliśmy polskich Żydów przy pociągu, który miał odjechać w kierunku wschodnim. Zapadał zmrok, gdy wchodziliśmy do naszego

obszczeżytia pozbawionego oświetlenia i pustawego. Zawerbny poszedł przemną do naszej sali. Usłyszałem jego powiedzenie: "A ty sk...synu." Myślałem, że Zawerbny jest przez kogoś zagrożony. Miałem biec na pomoc, gdy usłyszałem brzęk stłuczonego szkła. Natychmiast uświadomiłem sobie, że Zawerbny zrealizował swoje największe marzenie i pragnienie. Mimo półmroku znalazł obok mojej kojki /łóżka/ moje czunie i jednym czuniem dokładnie trafił w wiszący na ścianie duży oszklony portret Stalinga.

Nie nocowaliśmy w naszym opuszczonym obszczeżytiu. Dla bezpieczeństwa przenieśliśmy się wszyscy z grupy lwowskiej do innego pobliskiego obszczeżytia. Rano w biurze naszego przedsiębiorstwa pobraliśmy należną nam wypłatę i nasze dokumenty. Z magazynu - przechowalni w naszym obszczeżytiu zabraliśmy nasze rzeczy. Okazało się, że mole całkowicie zniszczyły mój doskonały płaszcz jesienny ze Lwowa. Musiałem ten płaszcz wyrzucić. Gdy wracaliśmy ze śródmieścia tramwajem - było to - jak później obliczyliśmy - 12 sierpnia 1941 r. - zobaczyliśmy niesamowity widok. Mianowicie wojskowe władze radzieckie zaczęły wysadzać w powietrze wszystkie obiekty przemysłowe i górnicze. Był to obiektywnie biorąc obraz wstrząsająco smutny - dla wszystkich ludzi - i dla nas też. Ale u nas była nadto taka refleksja: Kierownictwo radzieckie zachęciło Hitlera do rozpętania II wojny światowej w przekonaniu, że Związek Radziecki będzie poza zasięgiem tej wojny czekał na dogodną okazję rozciągnięcia swego panowania nie tylko na tę część Europy, którą Niemcy hitlerowskie przyznały Rosji w układzie Ribbentrop - Mołotow z sierpnia 1939 r. ale w ogóle na całą Europę. Zapewne kierownictwo radzieckie było zadowolone, jak spadały na polskie miasta i osiedla bomby niemieckie we wrześniu 1939 r. Kierownictwo to doczekało się w dwa lata później, że samo niezależnie od ataków niemieckiego lotnictwa niszczyło kraj radziecki w sposób bardziej dokładny i barbarzyński aniżeli mogliby to zrobić Niemcy. W pustawym tramwaju jechał jakiś prosty człowiek radziecki w wieku około 60 lat. Na widok piekła wybuchów powiedział z przejmującym smutkiem po rosyjsku: trzydzieści lat budowali i w ciągu trzydziestu minut zburzyli. Ja pomyślałem: Na darmo człowiek dom "stawi", gdy Bóg nie błogosławi.

My w grupie lwowskiej musieliśmy podjąć decyzję, jak mamy postąpić. Do podjęcia takiej decyzji zmuszał nas przede wszystkim rozkaz udania się na wschód pod groźbą kary śmierci w razie jego niewykonania. Zmuszał nas także w dużym stopniu głód. Ludzie miejscowi mieli jakieś zapasy i mogli nie liczyć się z faktem, że były nieczynne sklepy i jadalnie - a zwłaszcza nasza górnicza "fabryka-kuchnia". My po powrocie z robót fortyfikacyjnych nie mieliśmy co jeść. Ja parłem, by natychmiast udać się

do "wojenkomatu"/wojskowa komenda uzupełnień/ i w grupie wojskowej ruszyć na wschód. Doradzałem taką formę udania się na wschód, bo grupa wojskowa mogła liczyć na wyżywienie. Ostatecznie przyjęto moją radę. Gdy wyszliśmy z naszymi marnymi węzełkami na ulicę, Zawerbny oświadczył że on pójdzie ale dopiero rano. Była pora popołudniowa. Bardzo mnie to zdenerwowało ale zbyt wiele mnie łączyło z Zawerbny, żeby go zostawić samego.

Postanowiłem udać się ze Stachowiczem do wojenkomatu, by uzyskać jego zgodę na zgłoszenie się rano następnego dnia do wymarszu w zorganizowanej grupie wojskowej oraz zgodę na to, by razem z nami szły także Polki. Wojenkomat był dosyć daleko od naszej dzielnicy. Gdyśmy doszli do tego wojenkomatu, zauważyliśmy, że wszyscy funkcjonariusze tego urzędu a może i innych urzędów są gotowi do odjazdu. Wszyscy byli w mundurach do wymarszu a raczej do wyjazdu, bo na dziedzińcu stały auta, także auta załadowane - przypuszczalnie aktami i ruchomym wyposażeniem biur. Przedstawiciel wojenkomatu wyraził zgodę na obie nasze propozycje. Zapewne pomyślał, że nasze propozycje będą nieaktualne rankiem dnia następnego.

Ja i Stachowicz wracaliśmy zadowoleni, że nasze spędzenie nocy w Krzywym Rogu będzie legalne. Część naszej drogi z wojenkomatu przebiegała przez pole uprawne, na którym zauważyliśmy dojrzewające słoneczniki. Zerwalismy po jednej tarczy słonecznikowej i zaczęliśmy jeść nasiona, bo byliśmy głodni. Gdy doszliśmy do stojącego przy naszej trasie szpitala zauważyliśmy kobiety niosące spore kawały mięsa świeżego, przypuszczalnie wołowiny. Dowiedzieliśmy się od tych kobiet, że mięso takie rozdają czy sprzedają właśnie w tym szpitalu, do którego dochodziliśmy. Szybko weszliśmy na dziedzińiec szpitalny w nadziei, że tam zdobędziemy cenne pożywienie dla siebie i dla całej naszej grupy. Na dziedzińcu była tylko tęga "miedsiestra"/pięlegniarka/ w białym fartuchu. Gdy ją zapytaliśmy o mięso, popatrzyła na nas bardzo nieżyczliwie i odpowiedziała, że już mięsa nie ma. Zawiedzeni wyszliśmy i ruszyliśmy drogą w stronę już niedalekiej naszej dzielnicy. Nie uszliśmy zbyt daleko, gdy usłyszeliśmy za sobą wołanie "pastoj"/stój/Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dwóch żołnierzy biegnących za nami i wzywających do zatrzymania się. Oczywiście zatrzymaliśmy się ale i żołnierze też zatrzymali się w znacznej od nas odległości. Staliśmy chwilę. Gdy żołnierze nie wykazywali ochoty, by do nas podejść odwróciliśmy się od nich i ruszyliśmy w swoim kierunku. Wtedy żołnierze ruszyli za nami z wołaniem "pastoj". Zatrzymaliśmy się i oni też zatrzymali się. Ta zabawa powtórzyła się 3 razy. Dopiero za czwartym razem

zabawa skończyła się, bo do żołnierzy doszedł uzbrojony milicjant z naszego posterunku i dopiero w jego asyście dwaj żołnierze - sanitariusze odważyli się do nas. Od obydwóch zalaływał zapach alkoholu. Starszy rangą podoficer - Żyd radziecki - polecił milicjantowi, by nas zabrał jako niemieckich spadochroniarzy i postąpił z nami zgodnie z instrukcjami. Zapewne instrukcje były krótkie i wyraźne: rozstrzelać. Żołnierze nie mogli tego zrobić, bo nie mieli broni, gdy ich niewątpliwie zaalarmowała tęga "miedsiestra", że my to jest spadochroniarze szukaliśmy mięsa. Milicjant powiedział żołnierzom, że on nas zna, że jesteśmy mieszkańcami tego rejonu służbowego. A znał mnie i on i wszyscy milicjanci, bo ja jeden w całej dzielnicy chodziłem z brodą i co trzy miesiące zgłaszałem się na posterunku, by wymienić tymczasowy dowód osobisty. Po oświadczeniu milicjanta sanitariusz - chyba rdzenny Rosjanin - powiedział pojednawczo, by nas puścić, ale sanitariusz podoficer - Żyd był zawzięty i kategorycznie zażądał, by z nami zrobić porządek. Dodał, że on postara się o sprawdzenie, jak zostanie sprawa załatwiona. Wobec takiej postawy bohaterskiego obrońcy Związku Radzieckiego milicjant zabrał nas jako aresztowanych i doprowadził do posterunku a właściwie tylko przed posterunek, bo cały personel posterunku z komendantem - oficerem Żydem na czele w pełnym wyposażeniu był przed posterunkiem obok jednego czy dwóch wozów załadowanych i z końmi karmionymi na drogę. Gdy komendant ujrzał nas w towarzystwie milicjanta, nie czekając na jego meldunek powiedział do nas: "Gitleru na wstrieziu szli?"/szliście na spotkanie z Hitlerem?/. Ja mu krótko wyjaśniłem, że wręcz odwrotnie, chodziliśmy do wojenkomatu, by uzgodnić nasz wymarsz jutro na wschód. Komendant polecił nam zgłosić się rano na posterunek celem spisania protokołu. Odeszliśmy do naszego "miejsca postoju" w pełnym przekonaniu, że rano milicji "naszej" już nie będzie.

Głodnawi położyliśmy się spać. Koło północy obok naszego zmienionego obszczeżytia zaczął się ruch. Przechodzili ludzie. Jeden z naszych wyszedł, by sprawdzić, co się dzieje. Wrócił z kuszącą wiadomością, że mieszkańcy dzielnicy dobrali się do naszej "fabryki - kuchni" nieczynnej już od chyba 3 dni i noszą z niej chleb. Nasi głodni też chcieli pójść po ten chleb ale ja w swej nadmiernej ostrożności odradzałem im pójścia po chleb. Powiedziałem tak: Rano władze mogą szukać winnych grabieży i wtedy ktoś może powiedzieć, że to właśnie Polacy z pobliskiego obszczeżytia zabierali chleb. Władze grabieżców niewątpliwie rozstrzelają na miejscu. Moja argumentacja poskutkowała: ludzie na osiedlu mieli chleb i może inne produkty a my głodni doczekaliśmy się ranka.

4. Pozostał tylko jeden kierunek - na zachód.

Ranek 13 sierpnia 1941 r./datę ustaliliśmy w dwa dni później/ zaczął się licznymi i dużymi wybuchami. Sądziliśmy, że nasza dzielnica jest ostrzeliwana przez ciężką artylerię niemiecką. Ktoś podał, że wojsk niemieckie nadciągają zamiast od zachodu, od wschodu. Nasza dzielnica była właśnie po wschodniej stronie miasta. Ponieważ obszczeżyta nie były podpiwniczone, ja udałem się do sąsiedniego budynku szkolnego i zeszedłem do części podziemnej tego budynku, mającej okna tuż nad ziemię. Część ta miała tak dobre oświetlenie dzienne, że mogłem dla skrócenia czasu przeglądać leżące na kupie książki. Gdy ustały bliskie wybuchy, wyszedłem na ulicę. Od ludzi dowiedzieliśmy się, że wybuchy były spowodowane przez radzieckich saperów, którzy wysadzali w powietrze takie obiekty, które nie zostały wysadzone w dniu poprzednim. Wkrótce zauważyliśmy wjeżdżające oddziały zmotoryzowanej artylerii niemieckiej z polowymi działami doczepionymi do wozów na gąsienicach. Na wozach siedzieli artylerzyści. Wjazd robił wrażenie defilady wojskowej. Do niemieckich wozów podchodziły dziewczęta radzieckie i wręczały naręcza kwiatów żołnierzom niemieckim. Takie witanie żołnierzy niemieckich było dla mnie zaskoczeniem.

Wkrótce bardziej niż żołnierzami radzieckimi zainteresowałem się naszą "fabryką - kuchnią". Wprawdzie w nocy wynieśli ludzie ^{dużo} i zapewne inne produkty ale z piwnic wytoczono beczki z kiszonymi ogórkami i zaczęło się bezładne zabieranie ogórków połączone z częściowym marnotrawstwem. Za chwilę do akcji włączył się młody żołnierz niemiecki ubrany tylko w spodnie i pantofle wojskowe. Odbijał toporem górne denko w beczce i zarządził podchodzenie w ogonku po ogórki. Poczuli się ten żołnierz gospodarzem nowego podbitego kraju i wprowadzał w nim "Ordnung"/porządek/. Ja też poszedłem z jakimś naczyniem i wziąłem ogórki, gdyż nic innego nie było do jedzenia. Natomiast do picia było wino i to w tak dużej ilości, że po pewnym czasie wszyscy mieszkańcy dzielnicy - z wyjątkiem mnie - byli w winnych humorach. Niemieccy żołnierze też nie pogardzili tym winem - a nawet orzekli, że nie ustępuje winom, jakie niektórzy z nich pili we Francji, Jugosławii i w Grecji. Mój kolega gimnazjalny postarał się o duży garnek aluminiowy - używany jako tzw mieszalnik przy sprzedaży mleka i do tego baniaka dał kilka wiader wina. Obok baniaka stał kubek i każdy mógł gasić pragnienie. Wszedłem do sali jadalnej naszej stołowni. Przedstawiała żalosny widok, bo na podłodze leżały pobite talerze a wśród nich posąg Lenina. Stał on zawsze na poczesnym

podwyższonym miejscu w jadalni otoczony palmami i wyciągniętą ręką wskazywał ludowi roboczemu kierunek marszu do lepszej przyszłości, a lud radziecki, gdy zabrakło dostatecznego strachu na radzieckim strachomierzu, przewrócił lenina pomiędzy pobite talerze. I nie tylko przewrócił tego w jadalni ale powrozami ściągnął mocno osadzonego na cokole przed pałacem kultury. Tamtego "świętokradztwa" osobiście nie widziałem z braku czasu i ochoty. Mnie bardziej interesowała sytuacja militarna, bo dookoła miasta a zwłaszcza od strony zachodniej słychać było strzelaninę, a nad miastem i okolicą krążyły niemieckie samoloty. Następnego dnia też było słychać strzelaninę ale my ze względu na głód postanowiliśmy się przygotować do wymarszu w stronę Lwowa. Udaliśmy się do śródmieścia - trochę z ciekawości a trochę w nadziei, że coś zdobędziemy do jedzenia. Ta ostatnia nadzieja zawiódła, mimo że dotarliśmy do spalonego młyna. Młaki w nim nie było ale była duża ilość pszenicy. Ogień zniszczył tylko cienką warstwę na wierzchu. Ludzie przezorni najróżniejszymi wózkami wozili tę pszenicę do swoich domów. Zapewne niektórzy porobili zapasy na rok albo i na dłużej. My niezaraadni nie wpadliśmy na pomysł, żeby zabrać ze sobą ze dwa wiadra takiej pszenicy. Po namoczeniu i po ugotowaniu mielibyśmy wspaniałą pokarm, przypominający tradycyjną kutię robioną obowiązkowo w naszych domach na każde Boże Narodzenie. Z nie dopalonego magazynu młynowego wzięliśmy sobie worki jutowe, byśmy mogli w nich nieść nasz "dorobek". Ja wziąłem dwa takie worki. Niesłem w nich później moje rzeczy w taki sposób, że jeden worek był na plecach a drugi - mniej obciążony był na piersiach. W czasie marszu, nie stając co jakiś czas worek na piersiach związany z workiem na plecach przekładałem z jednego barku /ramienia/ na drugi bark. Taki sposób niesienia nie powodował zmęczenia.

W drodze do młyna i z powrotem przyglądaliśmy się oddziałom niemieckim nie biorącym udziału w walkach. Oddziały te robiły wrażenie dużej wycieczki turystycznej, która zatrzymała się dla odpoczynku. Prawie wszyscy żołnierze pozrzucali mundury i tylko w spodenkach gimnastycznych niektórzy opalali się, a większość leżała na hamakach rozciągniętych pomiędzy drzewami oddając się drzemce lub słuchaniu muzyki z głośników radiowych. Uzbrojonego wartownika widziałem tylko przed bramą jakiegoś dziedzińca, na którym byli jency radzieccy, niektórzy obandażowani. Wartownik miał ciemny mundur, karabin, za pasem granaty oraz odznakę z trupią czaszką. Coś mnie odpychało od tego wartownika. Co jakiś czas w kierunku dziedzińca z jencami prowadzono nowe grupy jenców. W jednej

grupie jechał wóz a na nim byli ranni jeńcy. Smutek nas ogarnął na widok tych jeńców.

Kis Droga powrotna

1. Wymarsz z Krzywego Rogu.

Przynaglani tęsknotą za stronami rodzinnymi a jeszcze bardziej głodem spakowaliśmy nasz "dobytek" do worków i wyszliśmy na ulicę przez obszczeżyte żegnani przez tych naszych rodaków, którzy - mając jakieś zapasy - postanowili opuścić Krzywy Róg w terminie późniejszym w nadziei że za kilka tygodni będzie można wracać pociągiem do Lwowa. Zanim ruszyliśmy w drogę, postanowiliśmy ustalić datę kalendarzową naszego wyjścia z Krzywego Rogu, bo pod wpływem biegu wydarzeń zatraciliśmy czas kalendarzowy. Po skrupulatnym badaniu stwierdziliśmy, że jest właśnie 15 sierpnia 1941 r. - Święto Matki Boskiej Zielnej - rocznica Cudu nad Wisłą w 1920 r. - dzień odpustu w Zawerbno i mojej parafii w Winnikach - oraz dzień imienin mojej żony. Zawerbno i ja przypomnieliśmy sobie jego proroctwo sprzed roku, że następny dzień 15 sierpnia będzie zupełnie inny dla Polaków, Polski i dla nas. Cudowne spełnienie się proroctwa wypowiedzianego przed rokiem przez Zawerbno takie zrobiło na nas wrażenie, że z wdzięczności za ten nowy cud i z prośbą o Boże błogosławieństwo na drogę powrotną do Ojczyzny, wszyscy pielgrzymi ukłękliśmy na środku drogi i odmówiliśmy wspólną modlitwę, po której z ufnością ruszyliśmy w stronę zachodnią miasta.

Po drodze wstąpiliśmy po Zacharczenkę, który chciał z nami wrócić do swojej rodzinnej wsi Kocowki, leżącej w połowie drogi między Krzywym Rogiem a Kirowogradem. Gdy doszliśmy na zachodni skraj miasta, dowiedzieliśmy się od ludzi, że droga na zachód jeszcze nie jest wolna, gdyż tuż za ostatnimi domami jest jeszcze linia frontu. Musieliśmy zatrzymać się pod domem jednorodzinny, pod którym już siedziało z 20 młodych mężczyzn żołnierzy poprzebieranych w prowizoryczne ubrania robocze. Żołnierze ci przekradli się przez bardzo luźnie obsadzoną przez Niemców linię frontu i czekali, kiedy front zostanie zwinięty, by można było wrócić do swoich domów, do swoich rodzin. Dom, pod którym siedzieliśmy, był na dole a nieco dalej na wzniesieniu stał jeszcze jeden dom, już na linii niemieckich stanowisk bojowych. Od czasu do czasu drogą w stronę tych stanowisk przejeżdżał w jedną i drugą stronę niemiecki żołnierz na motocyklu z przyczepą, w której dowoził amunicję na linię frontu. Z tej linii dosyć często było słychać krótkie serie strzałów z karabinu maszynowego.

Raz czy dwa razy przeszedł obok nas konwój z jeńcami. Taki konwój prowadzili dwaj żołnierze niemieccy – jeden na przodzie a drugi na końcu sporej grupy jeńców. Po pewnym czasie zdecydowałem się zatrzymać niemieckiego motocyklistę wracającego z pustą przyczepą z linii frontu. Zapytałem go po niemiecku, jak długo jeszcze będzie trwała walka. Odpowiedział, że on tego nie wie, ale poradził mi, bym o to zapytał dowódcę odcinka frontu. Wskazał dom na wzniesieniu jako punkt dowodzenia. Poszedłem w swojej naiwności cywila w stronę wskazanego domu. Przed domem od strony osłoniętej od kul stał koń spożywający swoją kónską porcję paszową a u wejścia do domu stał żołnierz z karabinem. Nieco dalej na prawo od domu było stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego z obsługą. To z tego właśnie karabinu strzelano od czasu do czasu w stronę rozległych pól porośniętych niezbyt wysoką kukurydzą. Zapewne wszędzie na odległość wzrokową były takie niemieckie stanowiska ogniowe. Podszedłem do żołnierza i powiedziałem mu, że chcę wiedzieć, kiedy będzie wolna droga z miasta na zachód. Żołnierz wszedł do domu. Po chwili wyszedł i powiedział, że mogę wejść do domu, by przedstawić moją sprawę dowódcy. Wszedłem do schłodzonej izby, z której zapewne ewakuowano mieszkańców na czas walki. Na zasłanym łóżku leżał mundur oficerski a przed lusterkiem wiszącym na ścianie stał młody blondyn tylko w spodenkach gimnastycznych i golił się. Przedstawiłem mu, że nasza grupa Polaków chce wracać do Lwowa i dlatego przyszedłem zapytać, kiedy będzie droga wolna. Oficer nie przerywając golenia uprzejmie odpowiedział, że za dwie godziny droga będzie wolna, gdyż trwa jej oczyszczenie z rozbitków. Podziękowałem mu i wróciłem z tą wiadomością do oczekujących na mnie kolegów oraz byłych czerwonarmiejców.

Nie upłynęły nawet dwie godziny, jak z linii frontu obok nas przemaszerował oddział niemieckiej piechoty. Na czele jechał ten młody oficer, który niedawno mógł spokojnie na linii frontu tylko w spodenkach gimnastycznych wykorzystać wolny czas na ogolenie się. Czuł się tak bezpieczny, że pozwolił wartownikowi wpuścić do izby osobnika w jego wieku, który przecież mógł mieć ze sobą broń. Tak na dostępnym mnie odcinku frontu wyglądała dla Niemców pierwsza faza wojny. Wkraczających Niemców do Krzywego Rogu witały radzieckie dziewczęta kwiatami, klaniały się im powalone pomniki czerwonowładców, wielu krasnarmiejców pragnęło nie walki a powrotu do domu, do lepszego niż mieli życia, bo wielu w Związku Radzieckim po zetknięciu się z ludnością Polski na zajętych terenach Polski i we wszystkich zakątkach Związku Radzieckiego do których wywieziono Polaków, uwierzyło, że zmiana poprawi ich warunki życia, że nie warto ginąć za to, co im dała władza radziecka. Rozdarta przez

zaborców Polska brała rewanż na swoich zaborcach wschodnich. Nam na ju Krzywego Rogu, na początku naszej drogi powrotnej do Lwowa wydawało się, że Związek Radziecki może przestać istnieć, zanim my pieszo dojdemy do Lwowa. Byliśmy w błędzie, bo już tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy sygnał, że bieg wypadków może być inny, że dokonany w 1939 r. rozstrzelania - izolatora między dwoma imperializmami zabórczymi - doprowadził do milionowych ofiar u obu zabórców.

Słońce już dobrze zeszło z południa, jak mogliśmy ruszyć na za drogą wiodącą wśród pól porośniętych kukurydzą. Początkowo nie było widać śladów 3-dniowych walk. Może zakrywała je kukurydza. Przed samym zachodem słońca dotarliśmy do linii, gdzie wojska radzieckie na zaplece swojej linii obronnej musiały zająć prowizoryczne stanowiska, by zatrzymać Niemców, którzy przez zajęcie Krzywego Rogu zaszli na tyły radzieckiej linii obronnej. Nie mogliśmy uzyskać informacji, czy Niemcy dokonali ruchu oskrzydłającego od strony północno-zachodniej to jest od Kirowa, czy też od strony południowo-zachodniej. Na prowizorycznej linii frontu wojska radzieckie nie zdążyły zrobić żadnych ziemnych umocnień. Przy drodze do Krzywego Rogu zostało tylko jedno działo przeciwpancerne ze strasznym widokiem dwóch spalonych na ciemny brąz żołnierzy obsługujących tego działka. Zapewne z samolotu oblano ich i działo płonącym płynem. Schowali się pod tarczę ochronną na działka i tak w pozycjach skulonych zginęli okrutną śmiercią. Zwłoki tych żołnierzy i zwłoki milionów ludzi zniszczonych przez "obłądne ideologie"/Określenie Ojca św. Jana Pawła II powinny być ostrzeżeniem, jaki los czeka ludzi za dopuszczenie zbrodniarzy do władzy i za pozwolenie zbrodniarzom na sprawowanie władzy.

Na pobojuwisku było jeszcze kilka wozów. Były też konie ale ludzi z pobliskiej wsi pokępalili już co lepsze konie. Nam został tylko mały koń z dużą raną na grzbiecie w pobliżu szyi. Rana była z tak zwanego odparzenia spowodowanego przez nieodpowiednią uprzęź. Wzięliśmy tego konia i niewielki wóz, z którego ostrożnie zdjęliśmy skrzynki z pociekami do mózdzierzy. Zacharczenko poprawił uprzęź w taki sposób, by nie dotykała ona rany na grzbiecie konia. Pokładaliśmy węzłki nasze na wóz ale sami szliśmy pieszo obok wozu, bo koń był tak słaby, że nie mieliśmy serca, by go zmuszać do ciągnięcia wozu obciążonego. Później, gdy koń "przyszedł do siebie" wsiadaliśmy na wóz, gdy droga była równa. Tego dnia już zmrok zapadał, gdy zbliżyliśmy się do doliny rzecznej. Właśnie w tej dolinie zauważyliśmy około 20 jeźdźców, którzy od strony południowej w kierunku północnym przecięli naszą drogę. Byli to żołnierze radzieccy. Zapadający zmrok nie pozwalał na stwierdzenie, czy byli to żołnierze uzbrojeni.

Wyglądało, że chyba już nie mieli karabinów. Odnieśliśmy wrażenie, że oni w jakis ^{ch} komyszach ukryli się i dopiero z nastaniem nocy postanowili przedp^{re}ć się do wojsk radzieckich. A może tylko w taki sposób ratowali się przed^o do niemieckiej niewoli. Po dojściu do wsi podzieliliśmy się na grupy po 2-3 ludzi i rozeszliśmy się, by prosić o pożywienie i nocleg. Szczególnie chodziło o pożywienie, bo przespac się przy tamtejszej cieplej pogodzie można było i koło domów, co zresztą często czyniliśmy, by ludziom nie sprawić kłopotów. Bywało początkowo, że urządzaliśmy sobie noclegi w szczerym polu ale później zaniechaliśmy tego, gdy doszliśmy do przekonania, że w razie złapania nas przez Niemców na spaniu zdale od sadyb ludzkich, mogliśmy być przez nich wzięci za partyzantów i rozstrzelani. Niemcy zaraz po wkroczeniu na jakiś teren ogłaszali zakaz poruszania się w porze nocnej i zakaz posiadania nawet noży. Za naruszenie tych zakazów grożono karą śmierci. Prawdopodobnie można było ukarać śmiercią tych żołnierzy radzieckich, którzy po porzuceniu broni nie szli do niewoli niemieckiej a starali się wrócić do swoich rodzin. Właśnie w tej wsi, do której doszliśmy na pierwszy nocleg, zginął bezbronnym żołnierz radziecki zastrzelony przez okrutnego żołnierza niemieckiego. Opowiedziała nam o tym kobieta, którą poprosiliśmy o jedzenie i o nocleg. Przejmującym głosem powiedziała, że nas nakarmi i nakarmiła, ale na nocleg nie wyraziła zgody. Wskazała nam sąsiedni dom, pod którym przed dwoma dniami zginął bezbronnym żołnierz radziecki. Porzucił on broń i nocował w tym sąsiednim domu. Rano wyszedł przed dom. W tym czasie nadjechał na motocyklu żołnierz niemiecki - umundurowany zbrodniarz - zapewne wyznawca ^{ludz} zabójczej ideologii hitlerowskiej. Ustawił bezbronnego żołnierza radzieckiego pod ścianą i mimo błagań kobiet zastrzelił tego żołnierza, który może czekał na przyście Niemców - wyzwolicieli. Słuchając tego ostrzegającego opowiadania kobiety pomyślałem, że krew niewinnie zamordowanego woka o pomstę do nieba. Wiesc o takich mordach rozleci się lotem błyskawicy i doleci do szeregów radzieckich jako groźne ostrzeżenie, że idzie bardziej groźny reżim aniżeli reżim radziecki. Każda kobieta miała kogoś bliskiego w wojsku radzieckim: męża, brata, ojca. Śmierć bestialsko zamordowanego bezbronnego żołnierza radzieckiego musiała zrobić na wszystkich kobietach wstrząsające wrażenie i ustosunkować je wrogo do Niemców, na których może i wpi^{erw} czekały jako na wyzwolicieli od władzy radzieckiej, która nie była kochana przez ludzi prostych. A ja i wtedy i jeszcze dzisiaj myślę, czy Pan Bóg - Sędzia Sprawiedliwy ale i Mołosierny odłożył karę dla mordercy do ostatecznego rozliczenia po śmierci, czy

może już na tym też padole wymierzył mu karę bodaj "zaliczkowo". O takim "zaliczkowym" wymiarze kary widzialnej oczyma ludzkimi opowiadał mnie przed 20 laty mój rówieśnik z okolic Rybnika. Właśnie ten, który z obozu jenieckiego dla polskich lotników uciekł z jeszcze jednym kolegą. Wrócił szczęśliwie do rodzinnej wsi koło Rybnika. Ponieważ wieś ta została wcielona do "Reichu", to mój informator został wcielony do Wehrmachtu i jako żołnierz niemiecki brał udział w walce z Amerykanami po powstaniu drugiego frontu we Francji. W czasie tych walk zaistniał taki wymierzony wypadek. Mój informator obsługiwał niemiecki karabin maszynowy jako celowniczy pod nadzorem podoficera - rodowitego Niemca. Na przedpolu ukazał się młody żołnierz amerykański, którego wysłano jako tak zwanego szperacza na zwiad. Podoficer dał rozkaz Polakowi spod Rybnika, by serią z karabinu maszynowego "skosił" samotnego żołnierza amerykańskiego. Celowniczy odmawia wykonania morderczego rozkazu, argumentując, że żołnierza amerykańskiego należy przepuścić, bo go w tyle inni żołnierze niemieccy wezmą do niewoli. Podoficer wściekły ze złości odsunął celowniczego Polaka i sam z karabinu maszynowego zastrzelił młodego żołnierza amerykańskiego. Po tej serii z karabinu maszynowego na stanowiska niemieckie posypały się pociski amerykańskie i żołnierze niemieccy zaczęli uciekać pod gradem pocisków amerykańskich. Podoficer uciekał pierwszy. Nie uciekł daleko. Polak spod Rybnika wkrótce dopędził go leżącego z wyrwanymi wnętrznościami. Minął konającego z poczuciem satysfakcji, że kara, czy tylko raczej "zaliczka" kary przyszła tak szybko.

A my o żebraczym chlebie dawany z serdeczną gościnnością mimo dużej biedy zbliżaliśmy się do Kocowki - rodzinnej wsi Zacharczenki, który w drodze prosił nas, żeby mu zostawić konia i wóz. Chętnie przystaliśmy na rezygnację z konia i wozu. Tak więc jak znaleźliśmy się przed domem Zacharczenki, gdzie w tym czasie mieszkał jego zięć, Zacharczenko po przywitaniu się z córką i zięciem, po przedstawieniu nas jako gości, pochwalili się zięciowi, że przyprowadził mu konia i wóz. Na to zięć tak powiedział "Tato, na co mi kon i wóz, my tu w kolchozie będziemy gospodarzyć bez jakichkolwiek zmian". A więc kolchoźnicy w tym czasie nie chcieli powrotu do gospodarstw indywidualnych nie tylko w Kocowce ale w żadnej innej miejscowości, przez które wypadała nam nasza długa droga do naszej polskiej granicy na Zbruczu. Niemcom też odpowiadało utrzymanie kolchozów i sowchozów. Władza radziecka siłą skolektywizowała rolnictwo. Kolektywizacja pochłonęła milionowe ofiary. Ludzie odzwyczaili się od indywidualnego gospodarowania na roli a z biegiem lat przyzwyczaili się do warunków życia w sowchozach i kolchozach. Przyzwyczaili się do tych warunków i zięć Zachar-

czeki. Był kierowcą i z tego tytułu miał większą od innych możliwość osiągnięcia dodatkowych dochodów - zwłaszcza przy wożeniu zboża. Raz na nielegalnej sprzedaży zboża przyłapano go. Otrzymał wyrok na pobyt w łagrze. Wyrok nie był zbyt wysoki. Skazanego skierowano na pomocnika maszynisty kolejowego. Prawdopodobnie na nowym stanowisku było mu lepiej niż w kółchozie, bo szybko ustalił, że można bardzo korzystnie nabywać towary w jednym mieście i sprzedawać w innym jeżdżąc lokomotywą pomiędzy tymi miastami. Od moich spostrzeżeń z roku 1941 upłynęło prawie 50 lat. Prawdopodobnie niewiele zmieniło się nastawienie ludności włościan w Związku Radzieckim do form gospodarowania na roli. Mówi się w formie żartu, że kółchoznik ten lepiej żyje, który przez część nocy nie spi, bo coś w tym czasie zdobędzie kradnąc ze wspólnego dobra. Gdyby przeszedł na indywidualną formę gospodarowania, też musiałby w nocy czuwać dla pilnowania własnych plonów a takie czuwanie nie dałoby mu dodatkowych korzyści.

2. Kirowograd.

Następnego dnia opuściliśmy gościnny dom Zacharczenki w Kocowce i po serdecznym pożegnaniu się z Zacharczenką wyruszyliśmy do Kirowo-gradu. Dochodząc do tego dosyć dużego miasta zauważyliśmy, że niemieckie władze wojskowe zdołały już ponaprawiać wojenne szkody drogowe, oznakować odpowiednio drogi i zorganizować służbę cywilną do sprzątnięcia miasta. Do tej służby skierowano Żydów radzieckich - przeważnie ludzi starych, bo chyba tylko tacy pozostali w mieście. Żydów zmuszono do noszenia opasek na rękawach z niebieską gwiazdą syjońską. Od tych opasek płynęło poczucie grozy ludobójstwa. Przypominało to cechowanie/znakowanie w lesie drzew przeznaczonych do wycięcia, do usunięcia ze społeczności leśnej. Czuliśmy wtedy, że reżim stosujący ludobójstwo zastosuje je nie tylko w stosunku do Żydów ale także w stosunku do wszystkich, których uzna za groźnych lub zbędnych. Przekonaliśmy się o tym w kilka dni później, gdy spotykaliśmy na swej drodze takich jeńców, których władze niemieckie zwalniały wyjątkowo z obozów jenieckich, by ci jeńcy po powrocie do swoich miejscowości na Ukrainie pomagali zbierać plony zbożowe przeznaczone nie tyle dla wyżywienia ludności cywilnej, co na wyżywienie wojsk niemieckich. Tacy zwalniani jeńcy byli tak wycieńczeni, że mimo pomocy udzielanej przez mieszkańców wsi ukraińskich szli jak ludzie ciężko chorzy. Często przysiadali na poboczach drogi i odpoczywali.

Po wejściu do Kirowogradu postanowiliśmy wszcząć starania o uzyskanie przepustek niemieckich pozwalających na bezpieczny powrót do Iwowa. Odszukaliśmy niemieckie dowództwo wojskowe zajmujące duży budynek, który był wybudowany z przeznaczeniem na biura.

Zgłosiłem się u wejścia do budynku do dyżurnego żołnierza niemieckiego. Przedstawiłem mu cel mego zgłoszenia się. Ten dyżurny telefonicznie porozumiał się z kimś i polecił mi zgłosić się do pokoju oznaczonego podanym mi numerem. Przyjął mnie w tym pokoju młody oficer niemiecki. Po wysłuchaniu mnie wyjaśnił, że dowództwo wojskowe nie zajmuje się takimi sprawami jak wydawanie przepustek. Sprawy te należą do innych władz, które pojawiają się nieco później. Podziękowałem za informację i swobodnie wróciłem do czekających na mnie kolegów. Zaznaczam, że ani dyżurny żołnierz ani nikt inny nie sprawdzał, czy ja nie posiadałem broni ze sobą. Trochę dziwiłem się temu z uwagi na sytuację wojenną. We Lwowie, gdy w nim byłem do kwietnia - maja 1940 r., nie wolno było przechodzić chodnikiem przylegającym do obiektów zajętych przez wojska radzieckie, na przykład koło koszar, bo chodnik był strzeżony przez uzbrojonych wartowników, którzy do usiłujących iść tym chodnikiem przechodniów z daleka uprzedzająco krzyczeli: "kuda"/którędy/.

Kirowograd szybko opuściliśmy - nie tyle dlatego, że nam było śpieszno do Lwowa, ale głównie dlatego, że na wyżywienie mogliśmy liczyć tylko w miejscowościach wiejskich, gdzie wprawdzie ludziom brakowało chleba ale kobiety bardzo uczynne często karmiły nas mlekiem, bo władze radzieckie zabrały tylko stada krów kołchoźnianych natomiast krowy kołchoźników /zwykle jedna na rodzinę/ pozostawiono. Bywało, że dobra kobieta i mleka nie miała, to często proponowała, byśmy zaczekali na przypędzenie krowy z pastwiska na udój południowy lub wieczorny. Zdarzało się, że częstowali nas kiszonymi ogórkami, bo nic innego w domu nie było. Chleba brakowało głównie dlatego, że młyny były nieliczne i te właśnie młyny zostały zniszczone przez wycofujące się władze radzieckie. Nie słyszałem, by ludność miała żarna. Koło Lwowa w wielu domach były żarna, na których można było zrobić razową mąkę.

Podziwialiśmy ze wzruszeniem i wdzięcznością ofiarność kobiet, bo takich jak my przechodzących o żebraczym wyżywieniu w różnych kierunkach było bardzo wielu. Najmniej było takich, którzy jak my wracali z robót. Najwięcej było takich, którzy po rozbiciu ich oddziałów, mieli szczęście przedostać się do niewoli. Wspominałem już o takich - chyba niezbyt licznych, których zwalniano z niewoli do robót w sowchozach i kołchozach. Może wśród tułaczy byli i zwolnieni z więzień, bo często kobiety pytały nas, czy my nie jesteśmy zwolnieni z jakiegoś więzienia. Zwykle wymieniały nazwy większych więzień. Widocznie dużo mężczyzn przebywało w więzieniach.

Jak z powyższego wynika, mieliśmy dużą konkurencję w sprawach wyżywienia. Z tego względu najchętniej wybieraliśmy drogi boczne a unikaliliśmy

dróg głównych, a miejscowości przy drogach bocznych były mniej "objęzione" przez podróżnych. Na odchylenia od dróg głównych mogliśmy sobie pozwolić, bo mieliśmy ze sobą mapę Ukrainy z ważniejszymi miejscowościami. Mapę taką wyrwał Czechowicz jeszcze przed wybuchem wojny z jakiejś książki pożyczonej z biblioteki, mieszczącej się w domu kultury w Krzywym Rogu. Już wtedy liczyliśmy się z tym, że nam taka mapa może będzie potrzebna. Rzeczywiście przydała się nam. Staraliśmy się unikać głównych dróg także dlatego, że na nich panował duży ruch niemieckich oddziałów wojskowych a zwłaszcza wojskowego transportu samochodowego. Linie kolejowe zostały zniszczone przez cofające się wojska radzieckie. Niemiecki front musiał się oprzeć na transporcie samochodowym. Oczywiście na pewnych odcinkach korzystaliśmy z głównych dróg i wtedy mogliśmy przypatrzeć się z jednej strony transportowi niemieckiemu a z drugiej strony widzieć ogromne ilości radzieckiego sprzętu bojowego, armat, czołgów itp, pozostawionych na poboczach dróg. Wydawało się nam, że tylko tym pozostawionym sprzętem bojowym można było skutecznie powstrzymać wojska niemieckie, bo wycwiczonych żołnierzy armii czerwonej nie brakowało. Koło samego Kirowogrodu mieliśmy możliwość widzieć w jednej grupie kilka tysięcy jeńców konwojowanych przez Niemców. Żał nam było tych jeńców, mimo że wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jaki okrutny los czekał takich jeńców.

Jednego dnia na trasie bocznej oddalonej od głównej drogi, przy schodzeniu do wsi, a wsie zwykle były w dolinach ze względu na zaopatrzenie w wodę /dolinami płynęły rzeki, względnie strumienie/, zauważyliśmy na pastwisku deseczkę ze skrzynki. Na deseczce był napis "Drożdże lesienickie". Zatrzymaliśmy się koło tej deseczki jak opiłki koło silnego magnesu - zwłaszcza Zawerbny i ja, bo fabryka drożdży lesienickich była na wschodnim krańcu Lwowa przy szosie przechodzącej przez Winniki. Koło tej fabryki przejeżdżaliśmy pociągiem, autobusem i przechodziliśmy pieszo jedną z najpiękniejszych okolic podlwowskich, przypominających okolice podgórskie. Obok fabryki były bardzo bogate złoża przepięknego piasku białego a dalej była Czartowska Skała najwyższe wzniesienie w okolicy Lwowa. Fabrykę drożdży uruchomiono po I wojnie światowej w budynkach dawnego browaru. Gdy był czynny browar, to w porze letniej mieszkańcy Lwowa chętnie szli na spacer w stronę tego browaru, bo atrakcją było nie tylko tanie i dobre piwo ale także zadaszone duże podium, na którym przy dobrej orkiestrze można było tańczyć zgodnie z ochotą i wytrzymałością. Właściciele drożdżowni produkowali drożdże służące do specjalnych celów. Była to produkcja zyskowna. Przez jakiś czas właściciele mieli kłopoty bo ówczesni obrońcy środowiska zarzucali, że drożdżownia zatrzuwa strumień

płynący przepiękną doliną w stronę Winnik i wydziela woń nieprzyjemną. Właściele obronili się ale musieli wodę oczyszczać idealnie i tak oczyszczać powietrze, by ludzie nie narzekali. Na dowód dokładnego oczyszczania wody hodowali w niej różne gatunki ryb.

Powyższe wspomnienia opanowały nas, gdy zobaczyliśmy deseczkę z naszych stron podlwowskich. Pomyśleliśmy także, ile to żywności i artykułów przemysłowych wysłano ze Lwowa do wszystkich zakątków rozległego Związku Radzieckiego od września 1939 r. do czerwca 1941 r., kiedy ślad tych wysyłek znaleźliśmy nawet w pobliżu wsi na zachód od Kirowogradu. Zastanawialiśmy się, jak te przesyłki ze Lwowa wędrowały do takich wiejskich miejscowości. Szczególnie interesowało nas, czy wysyłka paczek pocztą ze Lwowa w przypadku, gdy nadawcami byli ludzie radziecy, była uprzywilejowana, czy też podlegała takim utrudnieniom, z jakimi zetknęliśmy się i ja i Zawerbny w Krzywym Rogu, gdy od czasu do czasu wysyłałismy z tego miasta paczki do naszych rodzin w Winnikach, a także - szczególnie Zawerbny - do naszych Polaków wywiezionych na Sybir i do Kazachstanu. A najważniejsze wymogi pocztowe były takie: Przesyłka musiała być w wytrzymałej skrzynce z drzewa obszytej płótnem, obwiązanej jednolitym sznurkiem przewleczonym przez dziurki zrobione w krawędziach skrzynki w której nic nie mogło przesuwac się i która nie mogła przekroczyć dopuszczalnej wagi. Już teraz tej wagi nie pamiętam. Może to było do 10 kg a może tylko do 5 kg. My mieliśmy ułatwienie o ile chodzi o robienie skrzynek, bo Zawerbny wykonywał je w zakładzie stolarskim, w którym był zatrudniony. Trudności były ze zdobyciem płótna na obszycie skrzynki. Lepiej kalkulowało się wysłanie pieniędzy niż paczki, jeśli adresat mieszkał w okolicy, w której można było kupić żywność. My do rodzin wysyłałismy tylko płótno i cukier a Zawerbny do Kazachstanu także kaszę jęczmienną i makaron. Już wcześniej podałem, że na kartę górniczą mogliśmy kupić 1 kg cukru miesięcznie. Przy takim przydziale można było posłać komuś cukier tylko wtedy, gdy wysyłający nie używał płynów słodzonych. Tak było ze mną. Szybko przeszedłem na żywienie się bez używania cukru. W stołowni jadałem zupy z chlebem. Często kupowałem mleko. Latem dużo jadałem ogórków, pomidorów i wspaniałych kawonów. Nauczyłem się pić "kipiałek" zamiast słodzonej herbaty. Zjadałem chleb z margaryną lub umoczony w oleju słonecznikowym popijając gorącą przegotowaną wodą bez cukru. Taki płyn nazywano powszechnie "kipiałek". Tak więc deseczka z napisem "Drożdże lesienickie" przypomniiała nam nie tylko nasze strony rodzinne ale i nasze doświadczenia niedawne związane z wysyłaniem paczek i żywieniem się moim do wybuchu wojny radziecko - niemieckiej.

W czasie naszej wędrówki często przypominałem sobie opowiadania Zacharczenki o zwyczajach panujących na Ukrainie. Sprawdzały się słowa jego o dobroci - a dokładnie o gościnności kobiet na Ukrainie, mimo że warunki gospodarze uległy po zaprowadzeniu kolektywizacji wielkiemu pogorszeniu a warunki wojenne wprost pozbawiły ludność Ukrainy wielu środków do życia. W czasach carskich i w czasach przed kolektywizacją - jak mówił Zacharczenko - kobiety wiejskie widząc przechodnia obcego w ich wsi zwykle pytały takiego przechodnia, czy nie jest głodny i proponowały, by wstąpił do ich domu na posiłek. Oczywiście gospodarzom na wsi mającym własne gospodarstwa doskonale się powodziło. Nakarmienie podróżnego nie było utrudnione. Po kolektywizacji kolchoźnicy sami mieli poważne kłopoty z wyżywieniem własnej rodziny i dlatego stary zwyczaj zapraszania podróżnych na posiłek zaczął wygasać. W czasie powszechnego braku chleba po przesunięciu się frontu w stronę Dniepru w zasadzie poza mleki i jarzynami wieś ukraińska nie miała na co zapraszać wędrowców. W tej sytuacji trudno było spodziewać się, że nas kobiety same będą zapraszały na nakarmienie.

A jednak zdarzyło się nam jeden raz, że kobieta sama nas zaprosiła na posiłek i to zdarzyło się nam w tej wsi, przed którą na pastwisku widzieliśmy deseczkę z napisem "Drożdże lesieniokie". Schodziliśmy w dolinę, w której była wieś i jak zwykle w podobnych sytuacjach głośno rozmawialiśmy po polsku zbliżając się do pierwszych domów. Na drodze przed jednym z domów stała kobieta w wieku zbliżającym się do 50 lat. Gdy nas usłyszała mówiących po polsku, szybko do nas podeszła i rozplakała się z radości. Nie tylko zaprosiła nas po polsku mówiąc na posiłek do jej domu ale wymogła na nas obietnicę, że zatrzymamy się w jej domu tak długo, aż ona przyprowadzi swoją rówieśnicę. Rzeczywiście wkrótce przyszła ze swoją rówieśnicą, która też z radości miała łzy w oczach. Dowiedzieliśmy się w czasie rozmowy, że kobiety te w czasie I wojny światowej jako całkiem młode dziewczęta wraz ze swymi rodzinami zostały ewakuowane z tych terenów Polski, na których ustabilizował się na pewien czas front pomiędzy wojskami carskiej Rosji a wojskami niemieckimi. Carskie władze kierując się motywami uzasadnionymi dobrem ludności cywilnej usunęły ze strefy walk ludność cywilną kierując ją w głąb ówczesnego imperium rosyjskiego. Rodziny dziewcząt znalazły się aż we wsi położonej pomiędzy Kirowogradem a Humaniem. Pobyt w tej wsi trwał dłużej. Obie dziewczęta wyszły za mąż za kawalerów z tej wsi. Gdy nadeszły warunki pozwalające na powrót do stron rodzinnych, rodziny obu dziewcząt - a w tym czasie

już młodych mężatek, powróciły do Polski a one pozostały z mężami. Po zaprowadzeniu ustroju bolszewickiego utrzymała się łączność z krewnymi w Polsce. Lata leciały a kobiety nie zatraciły duchowej łączności z narodem polskim. Czuły się dosyć obce w nowym środowisku i odczuwały boleśnie, że to nowe ich środowisko uważa je za ludzi obcych. Marzyły, żeby kiedyś zetknąć się bodaj na krótki czas z kimś lub z czymś, czym żyły do zamążpójścia. Spotkanie z nami uważały za częściowe spełnienie ich marzeń. Prosiły nas przy wzruszającym pożegnaniu się z nimi, byśmy im pozostawili jakąś pamiątkę, przypominającą im Polskę i nas. Zostawiliśmy im różaniec, jako najlepszy symbol łączności Polaków z ojczyzną doczesną i ojczyzną Niebieską. Dlaczego nasz naród nad Wisłą tak mało zajmuje się losem takich bezgranicznie oddanych Polsce Polaków, jak te dwie kobiety, jakie spotkaliśmy między Kirowogradem a Humanem ?

3. Human.

Zbliżaliśmy się do Humania, bo przebyta droga od Kirowogradu była dłuższa od tej, którą mieliśmy przebyć, by dojść do Humania. Na tym odcinku drogi opuścili naszą grupę Stachiewicz z Zaolzia i trzymający z nami Ukraińiec z jednej z podlwowskich wsi. Dochodząc do jakiejś miejscowości, w której mieliśmy zatrzymać się na nocleg i na wyproszenie nakarmienia, rozdzielaliśmy się w taki sposób, że chodziliśmy pojedynczo lub po dwóch po miejscowości a później spotykaliśmy się w określonym miejscu, na przykład u wyjścia ze wsi. Na jedno takie umówione miejsce nie zgłosili się dwaj wyżej wymienieni towarzysze podróży. Widocznie dołączyli do innej podobnej grupy idącej w kierunku zachodnim, bo grup takich, jak już wcześniej zaznaczyłem, szło bardzo dużo. Często z takimi grupami wymienialiśmy interesujące nas wiadomości. Raz w czasie takiej rozmowy międzygrupowej idący z nami Roman "Stopka" spotkał się z próbą nieszkodliwego kłamstwa. Mianowicie jego młody rozmówca przechwalał się, że nie obawia się zetknięcia z Niemcami, bo zna język niemiecki. Stopka zaproponował rozmówcy, by udowodnił, że zna rzeczywiście język niemiecki. Rozmówca z wielką łatwością zaczął mówić po ... polsku, nie wiedząc, że Stopka jest Polakiem, bo obaj usiłowali mówić wpiersw po rosyjsku. Okazało się, że Stopka natknął się na grupę młodych Polaków wracających do swoich miejscowości rodzinnych położonych koło Kamieńca Podolskiego, gdzie były duże skupiska ludności polskiej. Wiele tych skupisk utrzymało się do wybuchu wojny mimo stosowania przez władze radzieckie polityki usuwania ludności polskiej w głąb Związku Radzieckiego. Do czasu rewolucji bolszewickiej w Kamieńcu Podolskim była siedziba biskupa rzymskokatolickiego.

Teraz, gdy piszę te wspomnienia, jest polska parafia rzymsko-katolicka w Kamieńcu Podolskim.

Po zmniejszeniu się naszej grupy szło nas dalej w kierunku Lwowa tylko czterech : ja, Kasimierz Zawerbny, Władysław Czechowicz i Roman "Stopka". Jednego razu byłem zmuszony zagrozić "Stopce", że go usuniemy z naszej grupy za naruszenie interesu żywnościowego naszej grupy. Doszło do tego tak : Zaczęliśmy wchodzić na tereny, na których opady atmosferyczne bywały częstsze i obfitsze aniżeli na byłych stepach w rejonie Krzywego Rogu, gdzie suchy klimat nie sprzyjał zadrzewieniom. Tylko w dolinach rzek mogły tam rosnąć drzewa owocowe i inne. Poza dolinami rzek rosł tylko sztucznie to znaczy przez ludzi sadzony klon - zwany tatarskim. Władze radzieckie tu i ówdzie sadiły ten klon w formie długich a bardzo wąskich pasów celem uzyskania przegród pozwalających na utrzymanie pokrywy śnieżnej na polach. Chodziło o to, by silne wiatry nie mogły znieść śniegu do głębokich jarów. Na terenach o obfitszych opadach zdarzały się lasy naturalne. W miarę posuwania się w kierunku zachodnim rosła ilość i wielkość lasów naturalnych. Któregoś dnia droga nasza przebiegała skrajem takiego lasu a raczej lasku, bo to, co ja określałem jako lasy, to powinno się nazywać laskami w porównaniu z lasami występującymi w Polsce. Wówczas na skraju tego lasku rosła dzika grusza, na której były dosyć duże owoce. Wprawdzie owoce te były jeszcze daleko od stanu dojrzałości ale nadawały się do zmniejszenia głodu a zwłaszcza nadawały się do zmniejszenia pragnienia. Z tym bowiem gaszeniem pragnienia mieliśmy kłopoty. Pogoda była cały czas upalna. Woda do picia występowała tylko w dolinach rzek a więc we wsiach, przez które przebiegała nasza droga. Wsie były duże ale dosyć od siebie oddalone. Odległość między wsiami często wynosiła ok. 15 km. W Związku Radzieckim butelki były trudno dostępne. Mieliśmy po jednej półlitrowej butelce. Taki mały zapas wody w czasie marszu szybko zniknął i przed dojściem do następnej miejscowości cierpieliśmy z powodu pragnienia. Gdy więc natknęliśmy się na owoce dzikiej gruszy, zabraliśmy sporo tych owoców do ^{swych} ~~tych~~ węzłków. Dopilnowałem, by Stopka mający najmniej swoich rzeczy wziął odpowiednią ilość gruszek przeznaczonych dla nas wszystkich. Dosyć szybko w drodze zjedliśmy gruszki i postanowiliśmy dobrać się do gruszek, które dałem Stopce do niesienia. Okazało się, że Stopka nie miał gruszek, bo je ukradkiem wyrzucił, by nie mieć żadnego obciążenia. To rzadki wśród ludzi lenistwo Stopki i taki brak u niego poczucia solidarności grupy ^{niez} oburzyły mnie do tego stopnia, że zapowiedziałem mu usunięcie z grupy, jeśli jeszcze raz naruszy swoje obowiązki wobec grupy. Usunięcie z grupy dla Stopki niezaradnego i leniwego byłoby najwyższym wymiarem

kary. Starał się przez dalszą wspólną wędrówkę, by nie doszło do zastosowania takiej kary.

Z faktem wchodzenia w okolice, w których zaczęły się pojawiać lasy, wiąza się dwa zagadnienia. Pierwsze to takie, że w niektórych lasach rozkładały się nie pochowane zwłoki ludzkie. Szczególnie bolesne wrażenie zrobił na nas jeden las, z którego przy upalnej pogodzie dolatywała tak mocna woń, że musieliśmy odsunąć się od tego lasu nakładając drogi. Prawdopodobnie w lasach takich kryły się wojska radzieckie. Lotnictwo niemieckie poddawało takie lasy silnemu bombardowaniu, w czasie którego było dużo ofiar śmiertelnych wśród żołnierzy radzieckich. Zwłok ich nikt nie pogrzebał mimo upływu około 20 dni od walk. Drugie leśne zagadnienie, to informacja od ludzi, że po lasach kryją się żołnierze radzieccy z rozbitych oddziałów i że żołnierze ci tworzą lokalne grupy partyzanckie. My nie mieliśmy ochoty na spotkanie się z taką grupą partyzancką.

Nie mieliśmy ochoty na spotkanie się także z oddziałami niemieckimi a mimo to i mimo korzystania z dróg bocznych przed Humanem trzy razy zetknęliśmy się z niemieckimi oddziałami. Pierwszy raz do spotkania takiego doszło nad niewielką rzeką. Zatrzymaliśmy się przy tej rzece koło mostu, by skorzystać z kąpieli i by dokonać prania bielizny. W tym czasie zatrzymał się także niewielki konny tabor niemiecki, by napaść konie. Taboryci niemieccy nie ^{wyprzedali} ~~wyprzedali~~ koni i nie sprowadzali tych koni do kiryta rzeki i wiadrami donosili wodę do koni. Jeden z nich uważał zapewne, że nie przystoi jemu - członkowi wyższej rasy nosić wodę, gdy jest okazja zaangażowania do tej poniżającej czynności kogoś z rasy niższej w kraju podbijanym. Zwrócił się do Zawerbego z poleceniem, by napoił jego konie. Zawerbny umiał mówić po niemiecku, bo jako młody czeladnik stolarski pracował przed I wojną światową przez jakiś czas w Wiedniu. Wykorzystał swoją znajomość języka niemieckiego, odmówił noszenia wody i dał Niemcowi krótką lekcję wychowawczą stwierdzając, że Niemiec powinien wstydzić się, że daje polecenie człowiekowi, który ma dzieci dorosłe. Niemiec odczepił się od Zawerbego, może nie dlatego, że uznał nie stosowność swego zachowania, jak raczej dlatego, że Zawerbny zaimponował mu znajomością języka niemieckiego.

Drugie spotkanie nastąpiło w wiosce, do której w porze obiadowej zeszedliśmy z drogi, by zdobyć coś do jedzenia. Okazało się, że w wiosce tej zatrzymał się niemiecki tabor konny, który przybył tam przed nami. Taboryci włóczyli się po wsi nie tyle z ciekawości, co z chęcią zdobycia urozmaiconych dodatków do pożywienia. Jednego takiego zobaczyliśmy jak do żołnier-

skiej czapki wybierał jaja kurze z ruchomego kurnika wywiezionego przez kołchoźników na ściernisko koło wsi, by kurom dać możliwość żywienia się żarnem z kłosów leżących na ściernisku. Inny z takich taborytów - łasików podszedł do nas, by zrewidować zawartość naszych tobołków - zapewne w celu dokonania grabieży. Nasz "dobytek" nawet w naszych oczach nie przedstawiał większej wartości, tym bardziej nasze rzeczy nie stanowiły większej atrakcji dla Niemca. W worku jednak Zawerbnego zobaczył brzytwę. Chciał ją zabrać pod pretekstem, że nie wolno nosić ze sobą przedmiotów niebezpiecznych dla armii niemieckiej i dla władzy niemieckiej. I tym razem Zawerbny wyszedł bez szkody, bo zaimponował Niemcowi swoją znajomością języka niemieckiego.

Do trzeciego spotkania doszło we wsi, w której zatrzymaliśmy się na nocleg. Dobra gospodyni, u której zatrzymaliśmy się, ugotowała kolację dla swej rodziny i dla nas. Zjedliśmy tę kolację na podwórzu przed domem i w tym czasie podszedł do nas taboryta niemiecki w wieku około 35 lat. Wdał się w rozmowę z Zawerbny. Wyraźnie był zainteresowany, skąd wracamy i jak się nam żyło w Krzywym Rogu. Zawerbny w skrócie opisał nasze warunki bytowe w Krzywym Rogu. Podkreślał, że warunki te były złe, a dla wielu podstawą wyżywienia był czarny chleb w ilości 1 kg. Na to niemiecki taboryta powiedział, że w Niemczech dzienna porcja chleba wynosi 20 dkg i po tym stwierdzeniu odszedł. Mam wrażenie, że odszedł z ostrożności, bo w jego mniemaniu za wiele nam powiedział. Po jego odejściu uświadomiliśmy sobie, że sytuacja ludności pod okupacją/materialna sytuacja/niemiecką jest i będzie jeszcze cięższa niż była w Związku Radzieckim. Przekonaliśmy się także, że nawet w wojsku niemieckim mimo sukcesów militarnych są przeciwnicy ideologii hitlerowskiej. Niewątpliwie nasz rozmówca nie był zwolennikiem Hitlera.

Dochodząc do Humania pamiętaliśmy, że w tym mieście w 1968 r. zbuntowane bandy chłopskie wymordowały ludność polską i żydowską. Bandy te były zachęcane do tego przez wysłanników Rosji carskiej, zwalczających w ten sposób zwolenników konfederacji barskiej a przeciwników rosyjskiego ujarzmania Polski. Pamiętaliśmy także, że po zduszeniu konfederatów barskich wojska rosyjskie wspólnie z wojskami polskimi współdziałającymi z Rosją we krwi utopiły bunt chłopskie. Powtórzyła Rosja taktykę zastosowaną już wcześniej, kiedy to poparła bunt Chmielnickiego przeciwko Polsce a później w okrutny sposób zlikwidowała kozaczyznę ukraińską - Sioz zaporoską. Nie uświadomiliśmy sobie wtedy, że wkrótce rozegra się jeszcze jeden akt dramatu tępienia Polaków rękami banderowców, bulbowców, upowców po to, by umożliwić Rosji radzieckiej ostateczne opanowanie terenów uzyskanych w wyniku porozumienia rozbiorowego z Niemcami hitlerowskimi.

Będąc wtedy koło Humania obawiałem się, że w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu zaślepieni przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów /OUN, są groźni dla Polaków i że swymi poczynaniami przeciwpolskimi wprowadzić niczego nie osiągną dla ludności ukraińskiej ale znacznie pomogą hitlerowskiemu Niemcom w utrzymaniu Polski pod okupacją niemiecką. Moje obawy okazały się słuszne. Wtedy jednak nie miałem podstawy przypuszczać, że z ludobójczych poczynań OUN skorzysta ostatecznie najwięcej Związek Radziecki, bo będzie miał ułatwione wysiedlenie resztek Polaków za San i Bug i będzie mógł mocno związać ze sobą tak zwaną Zachodnią Ukrainę po wytopieniu zwolenników "samostijnej Ukrainy". Mógł Chmielnicki nie zdawać sobie sprawy, że odrywając od Polski prawobrzeżną Ukrainę oddaje ją pod bezwzględne panowanie Moskwy. Zapewne nie rozumiały bandy Gonty Zeleznia-ka w 1768r., że swymi rzeziami torują Moskwie opanowanie lewobrzeżnej Ukrainy. Zdumienie ogarnia, że przywódcy OUN pomagali Związkowi Radzieckiemu w zduszeniu ukraińskiej świadomości narodowej, jaka utrzymała się i rozwinęła w Polsce międzywojennej.

Będąc koło Humania miałem mgliste wiadomości, że OUN korzysta z zajęcia Małopolski Wschodniej przez wojska niemieckie i współpracuje z Niemcami przeciwko Polakom. Bardzo mocno wahałem się, czy wracać do stron rodzinnych. Narastała we mnie chęć pozostania w Związku Radzieckim do czasu, aż się upewnię, że Niemcy ukrócili poczynania antypolskie przywódców OUN. W jednej wsi dowiedziałem się, że tamtejszy kołchoz chce zatrudnić ludzi do pracy związanej ze zbiorem plonów. Postanowiłem zgłosić się do pracy w tym kołchozie. Prawdopodobnie byłbym pozostał przez jakiś czas w tym kołchozie, ale nie było wtedy przewodniczącego kołchozu i dlatego nie pozostałem w tej wsi.

W samym Humaniu zatrzymaliśmy się bardzo krótko. W tym mieście zjedliśmy pierwszy obiad w prywatnej jadłodajni płacąc za ten obiad rublami, wypalonymi nam w Krzywym Rogu. Do Humania nikt od nas za żywienie nie chciał, pieniędzy.

4. Winnica.

Nie uszliśmy zbyt daleko od Humania, jak trafiliśmy na naszej drodze na pierwszy posterunek żandarmerii niemieckiej. W otwartym polu przy drodze był słup z daszkiem dającym cień w czasie pogody słonecznej i schronienie w razie deszczu. Był zainstalowany wojskowy telefon polowy. Obok tego słupa przebywał jeden żandarm. Dziwiłem się, że w takim polu odległym od wsi pełni służbę tylko jeden żandarm. Gdy nasza grupa podeszła do miejsca, w którym żandarm przebywał, on nas zatrzymał celem sprawdzenia

celu naszej podróży. Zapytał nas, czy mamy obowiązujące przepustki. Wyjaśnił mi, skąd i dokąd idziemy i podaliśmy mu, że dotąd nie znaleźliśmy władz wydających przepustki. Nie zatrzymał nas, ale polecił, byśmy postarali się o przepustki, bo już są władze, które takie przepustki wydają.

Gdy schodziliśmy do doliny, w której wśród drzew była wieś, zauważyliśmy na lewo od drogi cerkiew otoczoną drzewami i plac przed cerkwią też zacieniony drzewami. Na tym placu odpoczywał niewielki oddział pieszoty niemieckiej. Od tego oddziału podszedł do nas podoficer o dosyć odpychającym wyglądzie twarzy. Zatrzymał nas. Powtórzyła się rozmowa, jaką wcześniej mieliśmy ze wspomnianym żandarmem. Ta rozmowa nie zakończyła się puszczaniem nas. Podoficer postanowił dowieźć nas do najbliższej niemieckiej komendantury wojskowej/Ortskommendantur/. Zaczął zatrzymywać jadące w kierunku zachodnim niemieckie samochody ciężarowe chcąc nas do któregoś z tych samochodów załadować, by nas dowieźć do najbliższej komendantury. Było nam wszystkim trochę nieswojo ale ja nawet żartowałem po niemiecku, że tyle razy prosiliśmy w czasie drogi, by nas niemieccy kierowcy podwieźli trochę ale się nam nie udało jechać, dopiero teraz będziemy mieli "szczęście" i pojedziemy. Ale zrazu na to wymyślone przez gorliwego podoficera "szczęście" nie zanosilo się, bo zatrzymywani kierowcy odmawiali zabrania nas. Widocznie mieli na samochodach ładunki, przy których zgodnie z wojskowymi przepisami nie wolno było wieźć cywilów, do tego cywilów niepewnych. Wreszcie podoficer trafił na samochód bez ładunku. Jechał tylko kierowca z pomocnikiem. Kierowca otworzył tylną burtę, byśmy mogli wygodnie wleźć na samochód ciężarowy z solidnym pokryciem brezentowym i z wygodnymi odchylanymi częściami bocznych burt służącymi za ławki. Kierowca, młody żołnierz niemiecki, przy zamykaniu za nami tylnej burty powiedział po polsku w gwarze śląskiej: "Dzierżo się krzepko, bo droga zła". Byliśmy tym odezwaniem się kierowcy mile zaskoczeni. Ale nastrój nasz niewiele się poprawił mimo oddalenia się od wrednego podoficera, bo przed nami była perspektywa przeprawy na komendanturze. Trochę obawialiśmy się, że komendantura może nas skierować do obozu jakiegoś. Widocznie Niemcy postanowili zlikwidować wędrówkę ludów. Może ten wypoczywający obok cerkwi oddział niemiecki to fragment aparatu niemieckiego biorącego zdobyty teren w karby hitlerowskiego porządku. Z niepokojem oglądaliśmy kolejne słupki przydrożne, na których z wzorową niemiecką dokładnością były strzałki w kierunku najbliższej komendantury z podaniem odległości od niej. Ale odległości szybko zmniejszały się, a nasz niepokój narastał. Wreszcie

ostatni drogowskaz skierowany na krótką boczną drogę wiodącą do budynku, w którym była komendantura. A nasz kierowca bez zmiany szybkości minął tę komendanturę. Troszeczkę odetchnęliśmy. I tak kolejno nasz kierowca mijał inne komendantury. Nam kamień z serca spadł, bo zrozumieliśmy, że nasz kierowca odważył się nie wykonać polecenia dowieszenia nas do jakiegokolwiek komendantury. Było nam wreszcie przyjemnie, bo jechaliśmy na zachód, było nam sucho, mimo że padał ciągle deszcz, który zaczął paść po oddaleniu się od miejsca, gdzie zatrzymał nas wierny wykonawca ludobójczych zamierzeń hitlerowskiego reżimu.

Deszcz ciągle padał a my jechaliśmy w stronę Winnicy, bo droga mimo wybojów była utwardzona. Ale w pewnym momencie władzom radzieckim czegoś nie wystarczyło i zaczął się odcinek drogi o nawierzchni gruntowej. Nasz samochód zaczął się ślizgać i wyraźnie stracił szybkość. Innym samochodem - zwłaszcza obciążonym - szło jeszcze gorzej. Zauważyliśmy, że cała kolumna samochodów zatrzymała się na drodze. Zatrzymał się także niemiecki motocyklista. Tego nasz kierowca zabrał na "nasz" samochód wraz ze wspaniałym angielskim motocyklem. Motocyklista był młodym i inteligentnym żołnierzem prawdopodobnie studentem. Posiadany przez niego i chwany przez niego motocykl angielski to łup wojenny spod Dunkierki. Wiemy z historii II wojny światowej, że Anglicy mimo ciężkiej sytuacji wojennej ich wojsk otoczonych latem 1940 r. w rejonie Dunkierki we Francji zdołali przewieźć swoich żołnierzy do Anglii spod Dunkierki ale nie mogli przewieźć sprzętu, który stał się łupem wojsk niemieckich.

Tymczasem nasz kierowca nie mogąc jechać dalej drogą o nawierzchni gruntowej, zjechał z niej na ściernisko i jakiś czas jechał ścierniskiem. Wnet okazało się, że czarnoziem ukraiński mimo dosyć wysokiego ścierniska zaczyna hamować samochód. Na miejscach trudniejszych pohaliśmy samochód a także pod jego koła rozścielaliśmy snopy pszenicy, biorąc je z rozstawionych po ścierniskach kupek, nazywanych popularnie mendlami /mendel - 15 sztuk/. Kierowca chciał koniecznie dojechać do niedalekiej wsi, od której droga ponownie miała nawierzchnię utwardzoną. Nie udało się dojechać do tej wsi. Zapadł zmrok. Trzeba było spędzić noc w samochodzie. Nasz kierowca okazał się wspaniałym człowiekiem i Polakiem. Stanowczo zabronił nam mówienia do niego po niemiecku. Do nas mówił wyłącznie po polsku w gwarze śląskiej. Doskonale ^{znajdował} mówił po niemiecku, biegle nim władał w rozmowie ze swym pomocnikiem i zabrany po drodze motocyklistą. Widocznie pochodził z tej części Górnego Śląska, która należała do Niemiec przed wrześniem 1939 r. Mijając innego niemieckiego kierowcę

na trudniejszym odcinku drogi powiedział do niego - zapewne znali się: Ja, ja, hier ist nicht Oberschlesien /tak, tak, tu nie jest Górny Śląsk/ Postanowiliśmy spożyć kolację. My - wędrowcy mieliśmy tylko pomidory zebrane po drodze z bardzo zarosniętej plantacji. Poczęstowaliśmy nimi trzech żołnierzy niemieckich. A nasz kierowca poczęstował nas wspaniałą żołnierską konserwą mięsną i żołnierskim chlebem. Można powiedzieć, że mieliśmy ucztę a po niej dosyć wygodne spanie na ławkach samochodowych.

Gdy nastał dzień, kierowca udał się do niedalekiej wsi i tam "zorganizował" 2 konie, które szczęśliwie dociągnęły samochód do wsi, skąd znowu można było jechać, bo była droga utwardzona. Pogoda też się poprawiła. Zrobiło się słonecznie i na dworze i w naszych sercach, gdy wspaniała nas kierowca poczęstował nas żołnierskim śniadaniem. Motocyklista mógł dalej jechać samodzielnie na motocyklu. Jemu się śpieszyło a nasz kierowca zatrzymywał się w każdej większej miejscowości i z naszą pomocą prowadził handel wymienny. Wiózł dwie paki paczkowanej machorki radzieckiej. Naszym zadaniem było sprzedać tę machorkę na dogodnych warunkach: paczka machorki - 2 jaja. Jednocześnie informowaliśmy kobiety, że kierowca ma naftę do lamp ale sprzedaje ją za masło. Szybko wypełniały się skrzynki przeznaczone na jaja, mimo że część jaj kierowca przeznaczał na nasze posiłki. Nim dojechalismy do Winnicy, machorka została zbyta, kierowca miał dużo jaj i chyba sporo masła. Chciał nas wieźć dalej - do celu jego jazdy to jest do Berdyczowa ale pożegnaliśmy się serdecznie w Winnicy, ponieważ Berdyczów leżąc na północ od Winnicy nie przybliżał nas do Lwowa a leżąc na szlaku walk utrudniałby nam zdobywanie żywności od ludności. Winnica - duże miasto - wracała do "normalnego życia". Kursowały już w niej tramwaje. Jadąc tramwajem w stronę śródmieścia i rozmawiając po polsku spowodowaliśmy, że dwaj współpasażerowie zaczęli z nami rozmawiać po polsku. Był to ojciec - inżynier z zawodu - i jego dorosły syn. Byli w drodze do Mohylowa nad Dniestrem, gdzie przed rewolucją bolszewicką mieli duży dom. Jechali obejrzeć ten dom i zacząć tam "nowe życie". Otrzymaliśmy kilka cennych wskazówek, gdzie będziemy mogli załatwić sprawę przepustek.

Trzeba było w Winnicy zacząć od zgłoszenia się na miejskiej komendzie milicji a raczej policji, by uzyskać skierowanie na nocleg. Komendantem był młody Ukraińiec polski. Jak stwierdził, że jesteśmy Polakami, to spojrział na nas z taką pogardą, z jaką może spoglądać tylko ozłowiek o niskiej cywilizacji a wielkiej nienawiści, której nie może zrealizować. Odniosłem wtedy wrażenie, że mam przed sobą bardzo niebezpiecznego drapieżnika, któremu nowy pan obciął pazury a na mordę nałożył

kaganiec. Gryźć będzie dopiero wtedy, gdy nowy pan zdejmie kaganiec i poszczuje. Do tego momentu może tylko warczeć oraz spoglądać nienawistnie i wzgardliwie. A nowym panem było zapewne gestapo. Nowy komendant musiał zająć się w pierwszej kolejności rekrutacją ludzi do nowej policji, bo do współpracy z niemieckim okupantem na Ukrainę wybrało się zbyt mało ochotników spośród Ukraińców polskich. Trzeba było skłonić do organizowanej policji Ukraińców radzieckich, a ci wyraźnie unikali współpracy z Niemcami. Posłużono się werbunkiem według takiego wyboru: jeśli nie chcesz zginąć w obozie jenieckim, to zgłoś się do policji. Przypatrzyłem się policjantom tak zawerbowanym. Żał mi było tych ludzi i byłem przekonany, że oni przy nadarzającej się sposobności ujdą z policji, której nie można było nazywać policją ukraińską, gdyż była całkowicie podporządkowana władzom niemieckim i spełniać miała zadania przez te władze wyznaczone. Wprawdzie w tym czasie tacy ukraińscy policjanci mieli na ramieniu opaskę "syno-żółtą" /niebiesko-żółtą/ to jest w barwach uważanych przez nacjonalistów ukraińskich za narodowe ale te barwy były dla nich całkowicie obce. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Krzywego Regu nikomu nie wpadło do głowy, by wywiesić flagę niebiesko-żółtą. Takiej flagi nie widzieliśmy ani w Kirowogradzie, ani Humaniu ani w Winnicy, w której nowym policjantom kazano nosić opaski niebiesko-żółte.

Nas na nocleg skierowano do sołtysa dzielnicy peryferyjnej, a sołtyś ulokował nas w trzech domach jednorodzinnych należących do Polaków, którzy już od dwóch pokoleń mieszkali w Winnicy. Ich przodkowie pochodzili z okolic Kałusza, leżącego w województwie stanisławowskim, słynnego z pokładów soli potasowej. Do Winnicy ściągnął ich właściciel cukrowni. Ich egzystencja była związana z cukrownictwem. Gleby i klimat koło Winnicy sprzyjały plantacji buraków cukrowych i dlatego w rejonie Winnicy już za carskich czasów rozwinął się przemysł cukrowniczy. Większe gospodarstwa rolne szczególnie zajmowały się sadzeniem buraków cukrowych posługując się przy pielęgnacji tych buraków pracą rączną robotników sezonowych. Mianowicie z przeludnionych rejonów Rosji środkowej zgłaszały się grupy robotników, przeważnie całe rodziny, zawieraly odpowiednią umowę sezonową a po sezonie wracaly do swoich stron rodzinnych. Często takimi sezonowymi robotnikami byli "starowiery" - odłam ludności prawosławnej.

Mój sąsiad spod lwowskiego Mikłaszowa jako podoficer w wojsku austriackim w I wojnie światowej brał udział w zajmowaniu Ukrainy - właśnie okolic Winnicy. Jego oddział został skierowany do służby wartowniczej, która miała pilnować dużych magazynów z cukrem.

Przy odbiorze nadzoru nad magazynami mój sąsiad jako komendant grupy wartowniczej w pierwszej kolejności doskonale zbadał, w jaki sposób będzie można zabierać cukier bez naruszenia zamknięć i plomb. Znalazł szybko ten sposób i prawie każdej nocy jego żołnierze wywozili z magazynów pewną ilość cukru uzyskując za sprzedany cukier pieniądze na urezmalenie żołnierskiego życia. Jestem przekonany, że cofające się władze radzieckie w roku 1941 r. nie zostawiły magazynów z cukrem.

Po spędzeniu nocy u Polaków, którzy na ogół byli słabo uświadomieni narodowo, udaliśmy się następnego dnia do urzędu burmistrza i tam uzyskaliśmy przepustki upoważniające nas do powrotu do naszych stron rodzinnych. Przepustki nasze podpisywał człowiek w średnim wieku. Wydawało się mi, że był to Ukraińiec miejscowego pochodzenia.

Po uzyskaniu przepustek skierowaliśmy się na plac targowy nazywany popularnie bazarem we wszystkich miastach radzieckich. Na bazarze jak na stosunki wojenne było dużo ludzi załatwiających interesy bazarowe. Nas w pierwszej kolejności zainteresowały stoiska z posiłkami sprzedawanymi za ruble. Ponieważ mieliśmy ruble, to kupiliśmy takie posiłki gotowane. Proste ławy i stoły pozwalały na spożycie zakupionych posiłków. Pomyślałem wtedy, że lata rewolucji bolszewickiej zniszczyły warstwę kupiecką ale jakieś skłonności do kupiectwa samodzielnego widocznie pozostały i przejawiały się na bazarze w Winnicy.

Nasze twarze a zwłaszcza mowa polska przyciągnęły do nas na bazarze polską Żydówkę w średnim wieku. Od niej dowiedzieliśmy się, że w Małopolsce Wschodniej Niemcy zlikwidowali "Samostijną Ukrainę" a kraj nazwali "Distrikt Galizien" i włączyli do tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa. Informacja ta była dla nas ważna, bo mogliśmy wracać do swych stron rodzinnych bez obawy zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich. Dziwiłem się, że nasza polska Żydówka uciekła przed Niemcami tylko do Winnicy, a nie uciekała dalej na wschód.

Na tym bazarze w Winnicy podszedł do nas w roboczym ubraniu młody - jak się później dowiedzieliśmy od niego - Białorusin radziecki. On przed rozmową z nami zorientował się, że my wracamy od strony Dniepru. Chciał wiedzieć, jaka jest możliwość przedostania się przez front na stronę wojsk radzieckich. Podaliśmy mu, że w naszym mniemaniu nie ma większych trudności z przekroczeniem linii frontu, który jest w ciągłym ruchu, bo wojska radzieckie wypierane są na wschód. Zaznaczyliśmy, że wojska niemieckie jako jednostki zmotoryzowane posuwają się głównie drogami bez specjalnego przeszukiwania pól. Nasza opinia o możliwości stosunkowo łatwego przedostania się przez front ucieszyła naszego rozmówcę, bo on

postanowił dostać się do wojsk radzieckich a zwłaszcza do własnej jednostki wojskowej, by żołnierzom radzieckim powiedzieć, jaki los czeka jeńców w niemieckich obozach jenieckich. Nasz rozmówca był wprawdzie człowiekiem młodym i z warstwy "ludu roboczego" ale o dużej inteligencji wrodzonej. Miał dużo przysłowowego rozumu chłopskiego. Opowiedział nam swoją tragedię. Jako Białorusin był wrogo ustosunkowany do reżimu radzieckiego. Uważał, że nie warto było walczyć w obronie tego reżimu. Tak myślało bardzo wielu żołnierzy radzieckich. Marzył, żeby dostać się do niewoli niemieckiej. To jego marzenie spełniło się w pierwszych dniach wojny i wtedy przekonał się, że reżim hitlerowski jest stokrotnie gorszy od reżimu radzieckiego, gdyż reżim hitlerowski założył zniszczenie jeńców radzieckich. Wprawdzie oficerowie polityczni /"politrukcy"/ w czerwonej armii ciągle powtarzali żołnierzom, że Niemcy niszczą jeńców ale politrukami z reguły nie wierzą. Okazało się, że twierdzenie o niszczeniu jeńców jest jak najbardziej prawdziwe. Przekonał się o tym nasz rozmówca po dostaniu się do niewoli niemieckiej. Niemcy w rejonie Przemyśla gromadzili jeńców strzeżonych przez niemieckich żołnierzy lasie. To zgrupowanie jenieckie, w którym on się znalazł, nie otrzymało przez tydzień ani żywności ani wody. Jeńcy z głodu i pragnienia sjadli wszystką zieloną roślinność. Zdzierali korę z młodszych drzew do wysokości, do jakiej mogli sięgnąć. Naszemu rozmówcy udało się wymknąć z tego koszmarnej las. Idzie od Przemyśla i chce koniecznie dotrzeć do żołnierzy radzieckich, by ich ostrzec przed strasznym losem, jaki Niemcy postanowili zgotować jeńcom. Nasz rozmówca był przekonany, że słowa takich naczynych świadków jak on, będą przyjęte z wiarą. Dodał - Politrykom nie wierzą ale mnie uwierzą, bo w mojej jednostce wiedzą towarzysze broni, że nie byłem zwolennikiem władzy radzieckiej. Jak żołnierzy radzieccy dowiedzą się, co ich czeka w niewoli niemieckiej, to ostatni nabój będą trzymali dla siebie by raczej popełnić samobójstwo niż dostać się do niewoli niemieckiej. A ja słysząc powyższą wypowiedź młodego Białorusina pomyślałem, że bieg wojny na wschodnim froncie może radykalnie zmienić się na niekorzyść wojsk niemieckich. Żołnierz, który trzyma ostatni nabój dla siebie, jest żołnierzem najtrudniejszym do pokonania. Nasza duża pewność, że armia czerwona zostanie pokonana, zanim my dojdziemy pieszko z Krzywego Rogu do Lwowa, zachwiała się. Miałem pewność, że takich uciekających z niewoli, jak nasz Białorusin, było wielu, i że im udało się dotrzeć do wojsk radzieckich i wzbudzić w tych wojskach ducha walki. Okrucieństwo niemieckie w stosunku do jeńców radzieckich było powszechne. W roku 1943 opowiedział

mnie Karol Uryga z Hanaczowa koło Przemyśla^W swoje przeżycia jako żołnierza radzieckiego. Do armii czerwonej został wcielony jako poborowy. Jego jednostka walczyła w rejonie Smoleńska. Tam otrzymał ranę postrzałową. Dostał się do lazaretu polowego w pobliżu głównej szosy Smoleńsk - Moskwa. Mógł chodzić. Cofające się wojska radzieckie nie zajęły się ewakuacją tego lazaretu, na skutek czego lazaret znalazł się na terenie zajęty przez Niemców. Któregoś ciepłego i słonecznego dnia ranni, którzy mogli chodzić, siedzieli przed budynkiem lazaretu i obserwowali niedaleką szosę. Właśnie szosą pędzono mnóstwo jeńców radzieckich pod silnym konwojem niemieckim, a konwojenci niemieccy od czasu do czasu puszczały w tłum jeńców serie z ręcznych karabinów maszynowych. Po każdej takiej serii padali jeńcy zabici lub ciężko ranni. Widok takiego bestialskiego mordowania jeńców był tak wstrząsający, że wszyscy ranni przebywający w lazarecie, opuścili lazaret uchodząc w las, który był na zapleczu lazaretu. Lżej ranni prowadzili względnie nieśli ciężiej rannych, których powierzono następnie ludności cywilnej. Karol Uryga grupę rannych - rekonwalescentów mogących chodzić manowcami doprowadził pod Moskwę. Tam z tą grupą przedostał się przez front i złożył relację o mordowaniu jeńców. Taka relacja wystarczyła, by zachęcić żołnierzy radzieckich do walki. Karol Uryga otrzymał stopień kapitana i odtąd jako dowódca kompanii tak dzielnie walczył przeciwko Niemcom, jakby walczył w szeregach armii polskiej. Po pewnym czasie ranny w dłoń dostał się do niewoli niemieckiej. Ponieważ wiedział, jaki los czeka jeńców, w rejonie Skarżyska - Kamiennej wyskoczył z pociągu wiozącego jeńców i szczęśliwie dostał się do domu znajomej dziewczyny, która mieszkała w tym rejonie. Wrócił do Hanaczowa ale nie dane mu było przebywać w nim dłużej. Pracował w naszej grupie AK. Został aresztowany przez gestapo i skierowany do obozu. Przeżył obozy a po wojnie pozostał u zachodzie.

O strasznym losie jeńców radzieckich wiedzieli także żołnierze niemieccy. Mój brat ciocieczny Michał Berek z Bilki Królewskiej odbywał zasadniczą służbę wojskową w czerwonej armii w miejscowości Iwanowo. W czasie wojny dostał się do niewoli niemieckiej w kotle koło Briańska. Był w grupie jeńców, których przejściowo ulokowano w dużej stajni czy oborze. Ulokował się wraz z kilkoma innymi Polakami - jeńcami w pobliżu drzwi, koło których stał wartownik niemiecki. Wartownik ten wyraźnie obserwował brata i jego kolegów. Po zmianie wartownika poprzedni wartownik, żołnierz niemiecki podszedł do jeńców - Polaków i tak powiedział do nich "Chłopcy uciekajcie z niewoli, bo z was robią mydło." Przypuszczalnie

Dodatkową trudność sprawiała konieczność dostosowania szerokości toru kolejowego. W Związku Radzieckim tor kolejowy był nieco szerszy aniżeli w Europie środkowej. Przy okazji zobaczyliśmy spalone warsztaty kolejowe, z których nie wymontowano maszyn. Właśnie koło tych spalonych warsztatów zobaczyliśmy niewielką grupę jeńców radzieckich pilnowanych przez żołnierzy niemieckich. Prawdopodobnie była to grupa jeńców zabranych z obozu do prac. Jeńcy siedzieli na ziemi. Niedaleko nich stały kobiety, które przyszły z miejscowości wiejskich, żeby jeńcom pomóc. Kobiety niektórym przyniosły jabłka. Żołnierze niemieccy nie pozwalali kobietom na dawanie jabłek jeńcom bezpośrednio. Pośredniczyli w tym dawaniu jabłek. Jeden z żołnierzy urządził sobie z tego dawania rodzaj zabawy. Rzucił pojedyncze jabłka sprawdzając zręczność jenieckich rąk w chwytaniu jabłek w locie.

5. Płoskirów.

Okolice między Winnicą a Płoskirowem były bardziej urozmaicone aniżeli te, które przechodziliśmy na trasie Krzywy Róg - Kirowograd - / Humani - Winnica. Tamta trasa biegła terenami bezleśnymi, natomiast nowy odcinek wykazywał, że obfitsze opady sprzyjają wyrastaniu drzew. Nie mijaliśmy większych zalesień ale na horyzoncie widać było mniejsze lasy. Zwiększała się falistość terenu. Tam po opuszczeniu doliny rzecznej szło się 10 - 15 km wzniesieniem, zanim doszło się do następnej doliny. Obecnie wzniesienia były znacznie krótsze. Po dawnemu korzystaliśmy z dobroci ludzi - a dokładnie z dobroci kobiet, które nas żywiły. Na noclegach rozkładaliśmy się obok domów. Ciepłe noce na to pozwalały, mimo że kończył się sierpień a zaczynał się wrzesień. Na drodze naszej było trochę mniej wędrowców. Ślady wojny były też mniej liczne. Nie spotykaliśmy przy drodze takiej obfitości pozostawionego sprzętu wojennego, jaki widzieliśmy między Kirowogradem a Humanem. Jak już było powiedziane, drogę pomiędzy Humanem a Winnicą przejechaliśmy w większości samechodem. W czasie jazdy mijaliśmy chyba dwa razy takie umocnienia ziemne, jakie budowaliśmy nad rzeką Ingulec na zachód od Krzywego Rogu. W umocnieniach tych rzucał się w oczy rów przeciwczołgowy. Na pewnym odcinku drogi, w pewnym oddaleniu od niej, ułożone były na wysokość około 4 m skrzynie - prawdopodobnie z amunicją. Taka ściana skrzyń ciągnęła się kilka kilometrów. Ściany tej pilnowali żołnierze niemieccy.

Echa wojny toczonej nad Dnieprem nie docierały do nas. Raz tylko w nocy spędzonej na podwórzu gościnnego domostwa obudził nas warkot przelatującego wysoko samolotu. Po rodzaju warkotu stwierdziliśmy, że

przelatywał samolot radziecki. Rano po wyjściu w dalszą drogę znaleźliśmy ulotkę drukowaną po rosyjsku. Zapewniała, że Niemieccy najściścy zostaną pokonani przez wszystkie narody pragnące wolności. Właśnie w Moskwie odbyła się narada przedstawicieli tych narodów. Polaków reprezentował między innymi generał Januszajtis. Ucieszyliśmy się tą ulotką a szczególnie tym, że pozostał przy życiu wymieniony generał, którego poznałem przed wybuchem wojny w Katerburgu i Krzemieńcu na Wołyniu. Później dowiedziałem się, że nasza grupa konspiracyjna z zimy 1939/40 była w kontakcie z generałem poprzez Juliana - Stanisława Rojka. Kontakt ten urwał się z chwilą aresztowania generała przez radziecką służbę bezpieczeństwa.

Wędrując w stronę Płoskirowa z żalem patrzyliśmy na samochody wojskowe mijające nas w kierunku zachodnim. Często mijaliśmy oddziały naprawiające drogi. Widać było, że oddziały te mają dużą wprawę w wykonywaniu robót naprawczych.

Przebyliśmy 2/3 drogi, jak nadarzyła się okazja dostania się do węgierskiej bagażówki wojskowej. Jechali nią kierowca i jego pomocnik a w części bagażowej pod plandeką było kilka osób cywilnych, przeważnie kobiet. Samochód zatrzymał się koło jednego z domów. Były jeszcze wolne miejsca, które szybko zajęliśmy. Tak się złożyło, że kobieta w wieku około 35 lat siedząca obok mnie była Polką, nauczycielką z zawodu. Mąż jej był tamtejszym Ukraincem. On zgodnie z ogólnym zarządzeniem uszedł na wschód. Uczynił to nie tylko ze względu na zarządzenie ale także dlatego, że jako partyjny czułby się szczególnie zagrożonym przez reżim niemiecki. Z tym zjawiskiem uchodzenia partyjnych przed Niemcami ja zetknąłem się już w pierwszych dniach wojny w Krzywym Rogu. Wyglądało, że władze partyjne dokładały wszelkich starań, by członków partii chronić. Jednym ze sposobów chronienia było wycofywanie swoich członków we właściwym czasie z rejonów zagrożonych. Oczywiście dotyczyło to członków ważniejszych, bo o pionkach często zapominało. Na budowie, gdzie byłem zatrudniony w Krzywym Rogu, było tylko dwóch rzemieślników członkami partii. Jeden w wieku około 50 lat był zdunem i trwałym mieszkańcem Krzywego Rogu a drugi około 40 lat był murarzem "zawerbowanym". Nazywał się Pronski. Nie miałem śmiałości pytać, skąd wziął takie polskie nazwisko. Mieszkał u kogoś na kwaterze. Gdy szliśmy z swoimi węzełkami, by wyjść z Krzywego Rogu w stronę Iwowa, przechodziliśmy koło domu, gdzie miał swoją kwaterę Pronski. Przyszedł do nas, by pożegnać się z nami. Nie omieszkał wtedy powiedzieć z niepokojem, co będzie z takimi jak on, to jest z partyjnymi. Mąż jadącej obok mnie Polki był przezorniejszy aniżeli Pronski. Moja rozmówczyni

biegle władała językiem polskim. Wyjaśniła, że jej matka w czasach carskich przeniosła się z Warszawy w rejon Płoskirowa w celach zarobkowych. Była krawczynią. Próbowałem zbadać, jak mocno jest związana z polskością moja rozmówczyni. Wyjaśniła, że czuje się Polką, ale nie zna historii Polski, bo nie miała dostępu do polskich książek. Matka starała się przekazać jej swoje przywiązanie do wiary katolickiej, ale to przywiązanie u rozmówczyni było słabe, jak to sama zaznaczyła.

Na miłej rozmowie z sąsiadką zleciał nam szybko czas. Słońce już mocno pochyliło się ku zachodowi, gdy dojechaliśmy do Płoskirowa. Wysiedliśmy przy pierwszych domach, a uczynnemu kierowcy węgierskiemu daliśmy po kilka rubli za przejazd.

Jakkolwiek nasza uwaga w czasie naszej wędrówki skupiała się głównie na sprawach związanych z celem wędrówki i z warunkami umożliwiającymi osiągnięcie tego celu, to zauważaliśmy często odmienności krajozobrazowe, a także jakiejś odmienności w wyglądzie ludzi. Idąc w stronę śródmieścia musieliśmy zauważyć, że Płoskirow jest obsadzony przez węgierską jednostkę wojskową. Widziało się dużo żołnierzy – w tym także żołnierzy spacerujących w towarzystwie młodych kobiet i dziewcząt. Ja do tych towarzyszek spacerowych jakoś niechętnie byłem ustosunkowany.

W śródmieściu ktoś nam wskazał punkt żywieniowy. Podeszliśmy do tego punktu. Prowadziły go bardzo miłe i sympatyczne starsze panie. Wyglądało, że to była już zorganizowana społeczna pomoc dla takich jak my wracających w jedną lub drugą stronę do swych stron rodzinnych. Spożyliśmy posiłek – chyba na zasadzie bezpłatności – tego już dzisiaj nie pamiętam. Te właśnie panie doradziły nam, byśmy udali się do pobliskiej wsi o nazwie Hreczana, gdyż z noclegami w samym mieście Płoskirowie są trudności, natomiast w Hreczanej bez trudności będziemy mogli uzyskać noclegi. Posłuchaliśmy rady uprzejmych pań i przed zachodem słońca dotarliśmy do Hreczanej. Właśnie chłopcy pędzili krowy z pastwiska. Wydało mi się, że jeden z chłopców pokrzykiwał na swoją krowę w języku polskim. Pomyślałem sobie, że w miarę zbliżania się do naszej państwowej granicy na Zbruczu zaczynam ulegać halucynacjom w swym stęsknieniu za mową polską. Doszliśmy do sołtysa, człowieka pod sześćdziesiątkę. Koło niego stał mężczyzna w sile wieku z karabinem i opaską niebiesko-żółtą na ramieniu, z czego wnosiłem, że jest miejscowym policjantem. Ja po rosyjsku poprosiłem sołtysa o zapewnienie nam noclegu. Sołtys odpowiadał nam po rosyjsku, a w końcu zwrócił się do policjanta i powiedział mu po polsku, do jakich domów ma nas zaprowadzić na nocleg. Dopiero wtedy wy-

wyjaśniło się, że Hreczana - ważna stacja kolejowa, to miejscowość zamieszкана od niepamiętnych czasów przez Polaków i że podobnych miejscowości polskich jest dużo koło Płoskirowa. Tak więc uzasadnione było objęcie się tak zwaną linią Dmowskiego rejonu Płoskirowa, Kamieńca Podolskiego a na północy Minska i Połocka.

Policjant zaprowadził mnie i Zawernego do starszej kobiety, którą sęktys nazwał Łukaszową, a pozostałych dwóch naszych: Czechowicza i Stopkę ulokował w innym domu. Nasza gospodyni, wdowa, jak się od niej dowiedzieliśmy, przyjęła nas bardzo serdecznie - i - co ważniejsze - miała czym przyjąć, bo Hreczana na całej naszej trasie była pierwszą miejscowością, w której wszyscy mieszkańcy mieli mąkę... dzięki wojnie. Jak już zaznaczyłem, Ukraina na całej naszej trasie była jednym wielkim spichlerzem zbożowym. Bliżej Krzywego Rogu zboże zdążono zebrać, częściowo wywieźć na wschód, częściowo spalono w magazynach/spaliła się tylko wierzchnia warstwa, jak to widzieliśmy w Krzywym Rogu/. Dalej od Krzywego Rogu zboże ścięte wymagało wymłócenia. W jednym miejscu widzieliśmy młócenie w szczyrim polu. Widocznie nie zdążono ani wywieźć ani zniszczyć młóskarni dużej. Sypała się z niej wspaniała, czysta pszenica, którą dawano obok na niczym nie przykrytą ziemię. W ten sposób powstawała sterta wspaniałego ziarna. Nie widziałem w pobliżu żadnych brezentów, płacht, czy oszosa, czym by można było przykryć tę stertę ziarna w razie deszczu. Znawcy stosunków radzieckich zgodnie utrzymywali, że taki sposób magazynowania ziarna wymłóconego był zjawiskiem powszechnym w Związku Radzieckim. Przy okazji odkryto, że samoczona wierzchnia warstwa zboża po skiełkowaniu i szielenieniu się stanowi naturalne zadaszzenie dla warstw głębszych zboża. Później dobre zboże wyłobywane jak z przechowalni. Z takim sposobem magazynowania zboża spotkałem się mój znajomy w 1944 r. na dworcu kolejowym w Kijowie, gdy tam był jako żołnierz z armii Berlinga. Zainteresował go duży zielony kopiec. Chciał do niego podejść ale na to nie pozwolił wojskowy wartownik. Mój znajomy zaszedł od drugiego końca i przekonał się, że kopcem zielonym jest ogromna hałda zboża zmagazynowanego na dworcu bez przykrycia. Oburzony takim marnotrawstwem zboża i brakiem dostatecznej ilości chleba nawet dla żołnierzy, berlingowiec zapytał swego dowódcę, który miał wprawdzie mundur berlingowski ale był Rosjaninem, dlaczego tyle zboża marnuje się w Związku Radzieckim. Dowódca początkowo zaprzeczał, że istnieje marnotrawstwo zboża ale gdy sorientował się, że jego podkomendny widział hałdę porośniętągo zboża, dał takie wyjaśnienie: Gdyby nie było warstwy skiełkowanego zboża, to wszystko zboże przerobiono by na chleb, a teraz dobre zboże pójdzie na chleb a skiełkowane na spirytus, dzięki czemu

wojsko będzie miało i chleb i spirytus /"spirt"/. Tak więc nie tylko nie było marnotrawstwa ale był dodatkowy sukces. O takich sukcesach mówiło się i pisało w PRL "dalsza poprawa sytuacji zaopatrzeniowej". Wracając do moich spostrzeżeń, to w rejonie Winnicy były jeszcze łany nie zżętej pszenicy z kłosami pełnymi, smutnie zwieszonymi ku ziemi. Podziwiałem odmianę tej pszenicy. Ona mimo miesięcznego opóźnienia żniw nie "sypała się" to znaczy ziarna nie wypadają z kłosów. Mimo tak wspaniałych zbiorów ludzie nie mieli ani chleba ani mąki, bo młyny były poniższone. Nic dziwnego, że zdumienie nas ogarnęło, gdy w Hreczanej ludność obfitowała w mąkę. Stało się tak dlatego, że lotnictwo niemieckie przy bombardowaniu dworca kolejowego w Hreczanej uniemożliwiło wywiezienie długiego transportu kolejowego. W unieruchomionych wagonach było dużo mąki, którą mieszkańcy Hreczanej zabrali z wagonów. Nasza gospodyni nie mogła zabrać zbyt wiele, bo jako wdowa nie miała odpowiedniej pomocy. Początkowo nawet "zagubiła się" to znaczy nie mogła zabrać się do szybkiego i celowego działania. Ten wyraz "zagubiła się" jest moim tłumaczeniem, bo kobieta mówiąc o swym stanie użyła wyrazu "potirala się". Muszę wyjaśnić, że Polacy w Hreczanej zachowali swój wspaniały język przodków ohyba z Mazowsza ale nie mają styczności ze współczesną polszczyzną zapożyczali się trochę z rosyjskiego języka. Takim zapożyczeniem był właśnie wyraz "potirala się". Tak więc dzięki bombom niemieckim mieliśmy wspaniałe wyżywienie w Hreczanej. Pokrzepiliśmy swoje ciała bez wyrzutów sumienia, że narażamy gospodarzy na braki. W czasie kolacji dowiedzieliśmy się, że czeka nas najwspanialsze pożywienie dla duszy. Przechodząca obok domu kobieta zapytała naszą Łukaszową, czy pójdzie dzisiaj na różaniec. Oczywiście zainteresowaliśmy się tą sprawą. Otrzymałam informacje zaliczam do najwspanialszych w moim życiu. W Hreczanej zachował się budynek kościelny. Gdy zabrakło księdza, budynek przeznaczono na magazyn zbożowy. Z chwilą zajęcia Płoskirowa przez wojska węgierskie, mieszkańcy nawiązali kontakt z węgierskim kapłanem wojskowym, który zaczął w kościele odprawiać Msze Św a następnie przywiózł węgierskim samolotem wojskowym polskiego księdza ze Iwowa. Właśnie jutro jest niedziela i ma być Msza Św. Oczywiście rano znacznie przed godziną rozpoczęcia Mszy Św wybraliśmy się do kościoła położonego na malowniczym wzniesieniu. Po drodze umówiliśmy się z Zawerbny, że zgłosimy się do księdza na ministrantów, bo zakładaliśmy, że po tylu latach zamknięcia kościoła, może nikt z miejscowych mieszkańców nie zna łacińskiej ministrantury. Okazało się, że nie byliśmy potrzebni na ministrantów, bo byli miejscowi ministranci. Mimo wczesnej pory kościół był nabitý ludźmi tak, że musieliśmy wraz z

z ciągle powiększającym się tłumem wiernych pozostać na placu koło kościoła. Plac ten był jednocześnie omentarzem z licznymi dobrze utrzymanymi nagrobkami. Ze wzruszeniem odczytywaliśmy po polsku pisane nazwiska "chłopskie" typu /podaję przykładowo/: Kaniak, Sitnik, Bartnik. A wierni szli z wszystkich kierunków, nie tylko z Hreczanej, ale zapewne z sąsiednich miejscowości. Przeważały dziewczęta i kobiety, bo młodych mężczyzn zagarnęła wojna. Miała to być nasza pierwsza Msza Św. po opuszczeniu Lwowa w maju 1940 r. - a więc po 15 miesiącach. Bóg Miłosierny wyszedł ze Swą Przenajświętszą Ofiarą na spotkanie z nami przed polską granicą na Zbruczu. Chciał nam może pokazać, jak On jest władny wrócić do tych, którzy jak mieszkańcy Hreczanej, pozostaną Mu wierni nawet w najgorszych warunkach. Gdy zaczęła się Msza Św., nie mogliśmy pohamować łez radości i rozrzewnienia, zwłaszcza gdy usłyszeliśmy mocnymi głosami śpiewane polskie pieśni religijne. Ten polski Lud Wierny umiał głośno wyrażać swoje oczekiwania na ponowne przyjście Pana i swą wdzięczność za to przyjście. W połowie lat osiemdziesiątych w Hałuszczyńcach - po "polskiej stronie", odbyła się wielka uroczystość jubileuszu święceń kapłańskich ks. Bronisława Mireckiego. Na uroczystość tę zjechali się przedstawiciele z prawie wszystkich parafii polskich. Była także na tej uroczystości delegacja z Hreczanej na znak, że polska i ogólnoludzka stacja w Hreczanej zachowuje swoją narodową i religijną tożsamość. Zawsze wzruszała mnie melodia i treścią pieśń o "rycerzach od kresowych stanic, o obrońcach naszych polskich granic". Z pieśnią tą utożsamiam tych, z którymi modliłem się w Hreczanej, tego starego Polaka, który umierał pod Korosteniem z żalem, że nie zobaczy Polski, takich bohaterów jak ksiądz Bronisław Mirecki. Zyciorysy takich ludzi powinny w formach książkowych trafiać do rąk polskich dzieci, polskiej młodzieży.

Na drugi dzień pożegnaliśmy gościnną i polską Hreczanę, bo lwowska siła przyciągania działała na nas coraz mocniej. W Hreczanej dowiedzieliśmy się, że linia kolejowa z Hreczanej poprzez Podwoleczyska do Tarnopola jest już czynna. Nie ma niej ruchu osobowego ale jest już ruch towarowy. Inaczej mówiąc są już warunki przejazdu kolejowego do Tarnopola. Poradzono nam udać się do następnej stacji kolejowej za Hreczaną w stronę Tarnopola i tam szukać możliwości dostania się do pociągu, bo w samej Hreczanej ze względu na wzmożony nadzór niemiecki dostanie się do pociągu będzie bardziej utrudnione niż na następnej stacji. Posłuchaliśmy dobrej rady i doszliśmy pieszo do najbliższej stacji. Tam już było więcej takich jak my. Od nich dowiedzieliśmy się, że młody niemiecki naczelnik stacji ma młodą gospodynię domową, która jako kobieta uczynna stara się pomagać

ludziom w dostaniu się do pociągu. Gospodyni ta była miejscowego pochodzenia. Zobaczyliśmy się z nią i przedstawiliśmy naszą prośbę. Od niej dowiedzieliśmy się, że wnet z Hreczanej będzie jechała w stronę Tarnopola lokomotywa, która zatrzyma się na stacji i wtedy będzie można próbować dostać się do "pociągu". Rzeczywiście po niedługim czasie wjechał zapowiadany "pociąg" złożony z lokomotywy, jednego krytego wagonu towarowego za nią i z węglarki przed nią. Wagon kryty już miał pełno ludzi, którzy wsiedli w Hreczanej. Były jeszcze na szczęście wolne miejsca w węglarce. Skorzystaliśmy z tych miejsc mało wygodnych ale dających możliwość oglądania krajobrazów a zwłaszcza szyn kolejowych znikających pod węglarką. Na pewnych odcinkach tych szyn nie było widać, bo na skutek silnych opadów na szynach stała woda. Nasza węglarka prukała tę wodę, jak torpeda płynąca po powierzchni morza. Co gorza od czasu do czasu padał deszcz tak, że wkrótce byliśmy przemoknięci do nitki. Na domiar złego gnębił nas niepokój, jak będzie wyglądał przejazd przez Zbrucz, nad którym po stronie radzieckiej jest miejscowość Wołoczyska a po stronie polskiej Podwołoczyska. Mówiło się wśród jadących, że władze niemieckie stosują szykany graniczne pomiędzy Dystryktem Galizien a pozostałymi terenami zajętymi. Wprawdzie mieliśmy przepustki ale nasza nieufność wobec Niemców wzrastała z każdym dniem. Mimo posiadania na sobie mokrej odzieży zrobiło się nam "cieplej" jak nasz "pociąg" przejechał przez Zbrucz nie zatrzymując się ani w Wołoczyskach ani w Podwołoczyskach. Jakoś różniej spojrzeliśmy na przepiękne doliny naszej Tarnopolszczyzny. Wzruszenie nas ogarniało na widok polskich kolejowych rogatywek na mijanych stacjach. A jeśli ktoś nie ma dawniejszych map, to będzie miał trudność w znalezieniu Płoskirowa na mapie, bo na teraźniejszych mapach Płoskirow nazywa się Chmielnicki. Nazwano tak to miasto nie tylko dlatego, że Chmielnicki bardzo przyczynił się do opanowania Ukrainy przez zaborcze imperium rosyjskie, ale przede wszystkim dlatego, że w nazwie Płoskirow/"Proskurów"/był ważny element religijny wzięty z religii prawosławnej. Przy sposobności przypominam, że w Płoskirowie nie tylko my nie nocowaliśmy ale nie mogli tam zostać na nocleg Zagłoba, Wołodyjowski, Rzędzian i Helena. Po trzystu latach nasza droga kilka razy przecięła się z drogami bohaterów "Ogniem i mieczem" H. Sienkiewicza

6. Tarnopol.

Maszynista kolejowy - niewątpliwie stary polski kolejarz -

przezornie zatrzymał "pociąg" przed wjazdem na stację tarnopolską. Wszyscy wysiedliśmy a wtedy maszynista pojechał na "służbowe miejsce". My po stromej skarpie dostaliśmy się do pustawej ulicy, przy której stał pusty sklep masarski. Przez wybite okna wleźliśmy do tego sklepu. Rozegraliśmy się do naga i starożytnym systemem praczek rzecznych kręcąc naszą garderobę wyciśleliśmy z niej prawie wszystką wodę. Wprawdzie nasza bielizna i nasza odzież były jeszcze wilgotne ale nie były mokre i miały realne warunki szybkiego wyschnięcia na nas. W takiej odzieży mogliśmy pokazać się ludziom.

Ja jako wróg podróży nigdy nie byłem w Tarnopolu, mimo że to miasto było mi bardzo bliskie, ze względu na swoją prężność polską i ze względu na to, że z Tarnopolszczyzny miałem wielu kolegów. Stosunkowo szybko od dworca doszliśmy do Rynku. W samym Rynku a może w sąsiedniej ulicy była czynna restauracja, w której można było płacić rublami za posiłki. Zjedliśmy w tej restauracji przyzwoity obiad, a na nocleg postanowiliśmy dostać się do wsi leżącej przy szosie w kierunku Lwowa. Musieliśmy przejść pomiędzy dwoma dużymi stawami nad Seretem do dzielnicy zachodniej zwanej Zagrobela. Szosa biegła groblą pomiędzy stawami. Właśnie na tej grobli zauważyliśmy niemieckich żandarmów. Wzrósł w nas niepokój. Na szczęście dla nas żandarmi zajęli się inną podobną grupą "wędrowców", dzięki czemu przeszliśmy koło nich bez zatrzymania.

Interesująca nas wieś leżała niedaleko od miasta to jest od dzielnicy zwanej Zagrobela. Na pierwszych ogrodzeniach i budynkach zobaczyliśmy ultranacjonalistyczne hasła ukraińskie i afisze z odezwami nie istniejącego już rządu "Samostijnej Ukrainy". Trafiliśmy źle bo do wsi o ludności ukraińskiej. Był już wieczór i z konieczności postanowiliśmy ubiegać się nocleg w tej wsi. Udaliśmy się do sołtysa a ten nas skierował do dosyć dostatniego gospodarza, jak wnosiliśmy po dużych i dobrze utrzymanych budynkach. Kobiety przyjęły nas z wyraźną niechęcią. Nawet nas nie zapytały czy jesteśmy głodni. Jak już zaznaczyłem, nie byliśmy głodni, bo zjedliśmy obiad w restauracji tarnopolskiej. Gospodarz starszy wskazał nam miejsce na nocleg w szopie z sianem. Zaryliśmy się w tym sianie i po przeżyciach dnia przespaliśmy dobrze noc. Byliśmy nastawieni, że rano wyjdziemy z gospodarstwa bez śniadania. Byliśmy mile zaskoczeni, gdy rano młody Ukraińiec - zięć gospodarzy - zaprosił nas na śniadanie złożone z mleka i chleba. Młody Ukraińiec był człowiekiem rozgarniętym i rozmownym. Właśnie wrócił do domu z przymusowych robót na lotnisku wojskowym położonym daleko od Tarnopola. Puszczono jego i innych po zakończeniu robót. Przeszedł więc

doskonałą lekcję u Niemców. Zrozumiał, co to znaczy poniewierka i zapewne narzucił kobietom konieczność nakarmienia nas. Takich jak on Ukraińców było bardzo wielu. Niestety szewiniaci spod znaku OUN rozwijali taki terror w stosunku do swoich rodaków, że ci rodacy nie mieli odwagi zdradzić się z chęcią dobrego współżycia z Polakami.

Jakoś nie miałem sposobności zbadać, czy ta wieś, w której wypadł nam pierwszy nocleg po "polskiej stronie" ocalała, bo Tarnopol w 1944 r. prawie przestał istnieć, gdy front zatrzymał się na dłuższy czas właśnie nad Seretem. Zagrobela była w rękach wojsk niemieckich właściwa zaś część miasta została zajęta przez wojska radzieckie.

Przed nami w drodze do Lwowa był Zborów znany z dramatycznej bitwy pomiędzy wojskami polskimi pod wodzą Jana Kazimierza a przeważającymi siłami kozackimi i tatarskimi. Wojska polskie od klęski ocaliła zręczność dyplomatyczna kanclerza polskiego, który za znaczny okup skłonił Tatarów do ugody. My w swoim marszu nie myśleliśmy zbyt o tamtych wydarzeniach bo nas bardziej interesowały przejeżdżające samochody ciężarowe onób, które zaczęły organizować handel. Były to nieliczne samochody i przeważnie na gaz drzewny. Rzeczywiście na kilka kilometrów przed Zborowem udało się nam dostać na taki samochód, który niestety jechał tylko do Zborowa. Tak więc musieliśmy zatrzymać się w Zborowie. W tym mieście była też restauracja, w której za ruble zjedliśmy obiad.

Po opuszczeniu Zborowa nie mieliśmy szczęścia do samochodów. Musieliśmy iść pieszo. Na tym odcinku drogi stwierdziliśmy, że najstarszy z nas Zawerbny zaczął nadawać tempo intensywnie naszemu marszowi. Jemu najbardziej śpieszyło się, by wreszcie być w swoim domu w Winnikach. Przed wieczorem dotarliśmy do dużej wsi zwanej Zarwanica. Postanowiliśmy w niej przenocować. Ten drugi nocleg na "naszej ziemi" był bardzo gościnny. Na kolację gospodyni ugotowała ziemniaki i dała do nich kwaśne mleko. W swojej gościnności posunęła się tak daleko, że do kwaśnego mleka dosypała nam cukru. Widocznie w tamtejszej okolicy był zwyczaj dodawania cukru do kwaśnego mleka. Ja do takiego kwaśnego mleka nie byłem przyzwyczajony. Wypiłem to mleko z największą trudnością i z dobrą miną, by nie sprawić przykrości gościnnej kobiecie. Rano na śniadanie mieliśmy mleko gotowane z chlebem. Po śniadaniu ruszyliśmy w stronę niedalekiego Złoczowa.

7. Złoczów.

W godzinach przedpołudniowych dotarliśmy do Złoczowa. Zatrzymaliśmy się w tym mieście krótko w poszukiwaniu możliwości zdobycia czegoś do jedzenia. W tym czasie podszedł do nas przyzwyczajony umundurowany oficer

niemiecki w wieku około 45 lat i zainteresował się, co my mamy w swoich workach. Wyjaśniłem mu po/niemiecku, że mamy nasze marne rzeczy, jakie niesiemy z Rosji. Może w to uwierzył ale na wszelki wypadek dotknął mojego brudnego worka, co zrobiło na mnie jak najgorsze wrażenie. Wyobrażałem sobie, że oficer nie powinien poniżać się do takich czynności jak macanie worka brudnego niesionego przez człowieka niższej rasy. Oczywiście, że nasze worki w ciągu długiej podróży były brudne, bo często w czasie odpoczynków kładliśmy te worki na ziemi a często też na nich siedzieliśmy. Frzypuszczam, że oficer "polował" na lepsze produkty dostarczane przez ludność wiejską do miast.

Po opuszczeniu Złoczowa dotarliśmy do okolicy, w której na polach stała duża ilość czołgów radzieckich ustawionych w szyku bojowym. Zainteresowaliśmy się tymi czołgami. Podeszliśmy do czołgów stojących bliżej szosy i stwierdziliśmy, że w czołgach tych nie było żadnych uszkodzeń. Od miejscowych ludzi dowiedzieliśmy się, że czołgom nie dostarczono paliwa. Nie mogły jechać dalej na wschód. Czołgści musieli ujechać ze swych czołgów tak pięknie przedstawianych w pieśniach czołgistów. Po drodze mijaliśmy dużą miejscowość zwaną Lackie. W tej miejscowości Niemcy później urządzili obóz pracy - głównie dla Żydów. Niedaleko tego obozu w oparciu o polską wieś bohaterską Hanaczów istniała żydowska partyzantka. Po roku 1944 obóz w Lackim nadal istniał. W tym obozie trzymały władze radzieckie między innymi moich profesorów z lwowskiego Uniwersytetu - Przybyłowski i Makarłowicz.

Dla nas najważniejszym wydarzeniem dnia w Lackim było pojawienie się samochodu ciężarowego jadącego w stronę Lwowa ze sporą liczbą pasażerów takich jak my. Wóz wspinał się pod górę niezbyt szybko. Ja, Czechowicz i Stopka zdołaliśmy w biegu wgramolić się na samochód ale Zawerbny jak znacznie od nas starszemu nie udało się wsiąść. Było mi bardzo przykro, że na ostatnim odcinku naszej bardzo długiej drogi zostawiliśmy samego naszego towarzysza. Gryzące mnie sumienie uspokajałem myślą, że tak zaradny człowiek jak Zawerbny da sobie radę mając już tylko około 50 km do domu. Rzeczywiście miał szczęście, bo zaraz po nas zatrzymał samochód osobowy i tym samochodem był znacznie wcześniej w Winnikach aniżeli ja. Od Kurwio, położonych niedaleko od Lackiego, znałem już dobrze okolice i miejscowości. Można powiedzieć, że byłem już w stronach rodzinnych. Z każdym kilometrem zbliżania się do Winnik wzrastał mój niepokój o moich najbliższych, z którymi łączność korespondencyjna zerwała się w dniu 22 czerwca 1941 r. Każda wojna niesie zniszczenia i

i pochłania ludzi. Ta wojna ze względu na dużą rolę lotnictwa była gorsza dla ludności cywilnej aniżeli I wojna światowa. Nadto miałem już informacje ogólne o poczynaniach OUN po wkroczeniu wojsk niemieckich do Małopolski Wschodniej. Mój narastający niepokój był uzasadniony. Wrzesień samochodem zbliżył się do Winnik a dokładnie tej części, która nazywała się Weinbergen. Była to długa prawie na 2 km ulicówka, zbudowana bardzo solidnie dla kolonistów niemieckich osiedlanych na gruntach zabranych jakiemuś polskiemu zgromadzeniu zakonnemu. W zimie z 1939/1940 r. koloniści niemieccy zostali zabrani przez władze niemieckie w ramach "powrotu do ojczyzny". Prawdopodobnie osiedlono ich w Sudetach. Dom mojej teściowej był w północno-zachodniej części Winnik - w pobliżu cegielni, za którą szosa do Lwowa przebiegała już okolicą zalesioną. Ze względu na mój wygląd, na moje ubranie i moje dwa worki postanowiłem wysiąść przy wyjeździe samochodu z Winnik a następnie przemknąć się koło nielicznych domów w taki sposób, by mnie nikt nie rozpoznał. Korzystając z małej szybkości samochodu jadącego pod górę, pożegnałem się z Czechowiczem i Stopką i zeskoczyłem ze swoim mieniem. Bez spotkania z ludźmi dotarłem do domu jednorodzinnej teściowej. Ucieszyłem się, że dom nie ucierpiał w czasie wojny.

8. "Po coś przyszedł ?!"

Dom teściowej był nieco oddalony od ulicy. Furtka w ogrodzeniu z siatki była zwykle zamknięta. Trzeba było wołać z ulicy, żeby ktoś przyszedł otworzyć furtkę. Ludzie dobrze znający stosunki stawali na ulicy naprzeciw okna tej izby, w której była kuchnia. Zawsze ktoś, kto był w domu spoglądając przez okno zobaczył "gościa". Ja stanąłem naprzeciw tego okna i spowodowałem, że szybko wyszła żona, by mnie otworzyć furtkę. Po serdecznym przywitaniu się i po przedstawieniu mnie już 14-miesięcznego synka Andrzejka padło z ust żony zdanie: "Po coś przyszedł ?!". Było w nim wszystko. Gdy następnego dnia w towarzystwie żony odwiedziłem w sąsiednim Mikłaszowie - 9 km od Winnik na wschód - moją "starą" rodzinę, a więc matkę, dwóch braci, dwie siostry, to tam nie usłyszałem wprawdzie tego samego zdania: "Po coś przyszedł ?!" ale moje pojawienie się było zaskoczeniem, gdyż moja rodzina była przekonana, że ja dostałem się do zorganizowanego w Związku Radzieckim wojska polskiego. Rozumowali logicznie tak: Jeśli ja już we wrześniu 1939 r. miałem ujść za granicę do wojska polskiego, jeśli z narażeniem życia wraz z kolegami próbowałem w kwietniu 1940 r. przejść na Węgry, by dostać się do wojska polskiego na zachodzie, to dla nich było oczywiste, że będąc w głębi Związku Radzieckiego wykorzystam - w ich mniemaniu - wspaniałą okazję, by dostać się do wojska polskiego,

które zapominając o haniebnym sojuszu Stalina z Hitlerem przeciwko Polsce, teraz wspólnie z wojskami radzieckimi i wojskami wszystkich pozostałych państw walczących z Niemcami hitlerowskimi przyniesie zwycięstwo, odbuduje Polskę potężniejszą aniżeli była do wybuchu II wojny światowej. Tak rozumowała moja żona, moja "stara" rodzina, tak rozmawiali chyba wszyscy Polacy, nawet ci ciężko doświadczeni w czasie okupacji radzieckiej od września 1939r. do czerwca 1941 r. "Diabeł radziecki" walczący o swe przetrwanie na przedpolach Leningradu, Moskwy, za Dnieprem stał się mniej czarny w porównaniu z "diabłem niemieckim". A z Londynu "diabła wschodniego" przedstawiano jako potężnego sojusznika walczącego z ludobójczym hitleryzmem. Trzymano przed narodem polskim w tajemnicy, że zabód, nie pomógł Sikorskiemu uzyskać zapewnienia ze strony Związku Radzieckiego, że nasze granice na wschodzie nie będą kwestionowane po zwycięskim zakończeniu wojny. Tym bardziej trzymano w tajemnicy fakt "zniknięcia" około 15.000 polskich oficerów wyselekcjonowanych przez specjalne organy radzieckie z obozów jenieckich.

W pierwszych dniach po moim powrocie nie chcąc uchodzić za dezertera, który nie zgłosił się do organizowanego w Związku Radzieckim wojska polskiego szczegółowo przedstawiałem, dlaczego nasza grupa w Krzywym Rogu nie dostała się do wojska polskiego. W miarę upływu czasu wyjaśnienia moje nie były potrzebne - zwłaszcza, jak społeczeństwo dowiedziało się, że zasądzi konieczność wycofania armii Andersa z terytorium Związku Radzieckiego. Moja żona wypowiadając zdanie "Po coś przyszedł ?!" miała na uwadze zarówno powyższe zagadnienia, jak też fakt, że w okresie mordowania Polaków i Żydów przez bojówki OUN po wkroczeniu wojsk niemieckich do Iwowa byłem poszukiwany przez oficjalnych przedstawicieli tych bojówek to jest przez miejscową policję ukraińską. Żona otrzymała polecenie, by mnie zawiadomić, że mam się zgłosić na posterunek policji ukraińskiej w Winnikach. W dniach mordów w Winnikach zginęło około 10 osób: Poleków i Żydów. Wiedząc, że Niemcy wstrzymali dalsze mordy samowolne, zgłosiłem się na posterunku policji ukraińskiej w Winnikach. Udano, że sprawa mojego zgłoszenia się, stała się nieaktualna. Do ponownego mordowania Polaków włączyła OUN policję ukraińską na szeroką skalę na rok przed ponownym zajęciem Małopolski Wschodniej przez wojska radzieckie.

W czasie mego pobytu w Krzywym Rogu Ukraińcy w Mikłaszowie rozebrali materiały zgromadzone na budowę kościoła w tej miejscowości a także rozebrali mury kościoła doprowadzone do połowy wysokości.

Mój brat Józef uzyskał od władz niemieckich polecenie odebrania gruntów

naszych rozdzielonych przez władze radzieckie. Powstało ponownie nasze gospodarstwo ale bez siły pociągowej, odpowiedniej obsady bydła, bez materiału siewnego. Sprawę w rolnictwie skomplikowały katastrofalne deszcze, które utrudniały wiosną 1941 r. uprawę gruntów, na skutek czego urodzaje były w 1941 r. katastrofalne. Ilość skrobii w ziarnach zbóż była ogromnie mała i dlatego wartość odżywcza chleba i mąki była bardzo niska. Pierwszy raz w moim życiu spotkałem się ze zjawiskiem głodu przedniówkowego przed żniwami 1942 r. Doszło do tego, że wśród masowo wyjeżdżających na Wołyń za chlebem znalazły się także dwie moje siostry - starsza mężatka Katarzyna i młodsza Józefa, która w tym czasie mając 16 lat dźwigała czasem i 50 kg zboża i innych produktów uzyskiwanych w drodze wymiany za artykuły przemysłowe. Dźwiganie było jeszcze połączone z ryzykiem odebrania produktów przez władze niemieckie. Starsza siostra w czasie takiego jednego wyjazdu została ukarana za przekroczenie granicy pomiędzy Dystryktem Galizien a Wołyniem na kilka tygodni aresztu. Karę tę odbywała w Stryju pracując na pobliskiej plantacji buraków. Odwiedzałem ją dowożąc paczki za pośrednictwem stryjskiej organizacji RGO. Dowiedziałem się o okrutnym wymordowaniu więźniów w lwowskich więzieniach przez władze radzieckie przed opuszczeniem Lwowa. W tym czasie najwięcej więźniów było w więzieniu przy ul. Kazimierzowskiej. Więzienie to popularnie nazywano Brygidkami, gdyż budynek więzienny był kiedyś klasztorem sióstr zakonnych ze zgromadzenia Św. Brygidy. Radzieckie władze więziennicze "normalnie" zwłoki zmarłych lub zamordowanych więźniów wywoziły w miejsca nieznane. Gdy władze te otrzymały instrukcję "zlikwidowania" więźniów, postanowiły uprościć procedurę likwidacji dużej ilości więźniów w najkrótszym czasie. Więźniów sprowadzono na dziedziniec więzienny przylegający do bocznej ulicy Byka /nazwisko jakiegoś komisarza policji/. Dziedziniec ten otaczał wyaoki mur. Na dziedzińcu zapuszczono motory kill radzieckich ciągników celem zagłuszenia strzałów i ewentualnych krzyków. Zwłoki mordowanych więźniów wrzucano do piwnic i cel więziennych a następnie zamurowywano takie tymczasowe groby masowe. Krew mordowanych miała spływać do kanałowego otworu znajdującego się na dziedzińcu więziennym czyli do tak zwanego gulika. Ponieważ ten więzienny gulik zatkał się, krew mordowanych więźniów płynęła popod bramą więzienną na ulicę Byka a następnie na składowisko żelaza "długiego" przy tej ulicy i dopiero na tym składowisku poprzez sprawny gulik dostawała się do miejskiej sieci kanalizacyjnej. Tę właśnie spływającą krew widział mój krewny, który pracował na składowisku żelaza. Po powrocie z pracy do domu mimo głodu

nie mógł zabrać się do jedzenia obiadu, gdyż ciągle miał przed oczyma strugę krwi ludzi w tak okrutny sposób mordowanych. Po opuszczeniu Lwowa przez wojska radzieckie ludzie natychmiast przystąpili do szukania zwłok pomordowanych więźniów we wszystkich lwowskich więzieniach a w Brygidkach przy ul. Kazimierzowskiej, przy ul. Łackiego i w innych. Wyciągano zwłoki a najbliżsi rozpoznawali swoich najbliższych. Powtórzył się ponury scenariusz tak wspaniale przedstawiony w książce wspomnieniowej Kozickiej p.t. "Burza od wschodu" wydanej w latach międzywojennych. Po wyparciu wojsk bolszewickich z Kijowa przez wojska Denikina ludzie rozkopywali dziedzińce i ogrody tych domów, w których były bolszewickie więzienia. Z dołów wyciągano zwłoki, by umożliwić rozpoznanie zwłok przez członków rodziny. Kozicka wraz z innymi zwiedzała tak odkryte masowe groby, bo jej mąż też był w tym czasie więźniem bolszewickim. Męża wśród zamordowanych nie znalazła, gdyż jego statkiem rzeczonym wywieziono w górę Dniepru a później do Moskwy. Ocalał a później wrócił do Polski. W podobny sposób "zlikwidowano" więźniów prawie we wszystkich więzieniach w Małopolsce Wschodniej. Znam tylko jeden przypadek, gdzie było inaczej. Chodzi o los więźniów, których wybuch wojny zastał w więzieniu przemyskim. O losie tych więźniów opowiedział mi mój kolega mgr. Emil Komisar /obecnie nazwisko: Rosłowski/. Należał on do grupy konspiracyjnej, do jakiej i ja należałem we Lwowie na początku 1940 r. Gdy ja przebywałem w Krzywym Rogu, radzieckie organy bezpieczeństwa z główną siedzibą w Przemyśle wykryły naszą działalność konspiracyjną. Aresztowano wtedy m.in. Piszczałka z Gródka Jagiellońskiego i Emila Komisara ze Lwowa. Po bardzo ciężkim śledztwie, w czasie którego Komisarowi zakamano rękę, zapadły wyroki śmierci na aresztowanych a na mnie zaoczny wyrok śmierci. Skazani na śmierć złożyli prośby o ulaskawienie. Nim nadeszła odpowiedź na ich prośby, wybuchła wojna niemiecko - radziecka. Do Przemyśla nie dotarła jeszcze instrukcja w sprawie likwidacji więźniów. Bezpośrednie zagrożenie niemieckie było tak duże, że władze więzienne musiały natychmiast wyprowadzić wszystkich więźniów w kierunku Lwowa. Nie było dostatecznych środków transportowych i dlatego więźniów pod silnym konwojem prowadzono pieszo szosą w stronę Lwowa. Kolumna marszowa więźniów znalazła się w rejonie Bądowej Wiszni, gdy na horyzoncie pojawił się niemiecki podjazd motocyklowy. Na ten widok wszyscy konwojenci - nie chcąc dostać się w ręce niemieckie popełnili zbiorowe samobójstwo. Byli tacy, którym jakoś brakło odwagi do osobistego zastrzelenia się, ci prosili kolegów o trafny strzał. W taki sposób więźniowie z przemyskiego więzienia ocalali.

W czasie mego pobytu w Krzywym Rogu radzieckiego organu bezpieczeństwa wykryły podziemną działalność młodzieżowej grupy narodowej. Zostali wtedy aresztowani bracia Mieczysław i Jan Weissowie oraz ich siostra. Wszyscy aresztowani zostali skazani na śmierć i straceni przed wybuchem wojny niemiecko - radzieckiej. Miejsce pochowania zwłok nie jest znane. Z Janem Weissem utrzymywałem łączność organizacyjną od jesieni 1939 r. do stycznia 1940 r.

Nie są wyjaśnione okoliczności aresztowania i zaginięcia szeregu członków Stronnictwa Narodowego z powiatu lwowskiego, na przykład Marcin Kowalskiego z Prus, Pawlaczka z Krzywoczo.

O powyższych smutnych wydarzeniach dowiedziałem się po moim powrocie z Krzywego Rogu. Wkrótce po tym powrocie nawiązałem łączność z Julianem - Stanisławem Rojkiem a zimą z 1941 r. na 1942 r. z inż. Jerzym Rübenauserem "Mariuszem", który stał się miim przełożonym w Narodowej Organizacji Wojskowej. Ale to już odrębny rozdział w moim życiu.

Prudnik, dnia 4 marca 1989 r.

Jan Wojdyła - rocznik 1913

Z brulionopisu napisanego zwykłym ołówkiem przepisała na maszynie Beata Kloc - rocznik 1969 .

II/1686/1K
Zaprietnaja zona = zakazana strefaI. Kak wasza familia ?

Bohaterski ośrodek polskiego oporu przeciwko ludobójczym bandom Ukraińskiej Armii Powstańczej /UPA/ znejdujący się w Biłce Szlacheckiej i w Biłce Królewskiej - 20 km na wschód od Lwowa - musiał być zwinięty w kwietniu 1945 r. a ludność tych wsi oraz przebywająca w nich ludność polska ze wsi sąsiednich musiała opuścić odwieczne ziemie przodków i przenieść się za San gdyż dalsze przebywanie w tych wsiach groziło tej ludności zagładą ze strony band UPA.

Obie Biłki - należące do obwodu wiejskiego Lwów - Wschód Armii Krajowej kierowanego przez komendanta "Antka" - Jerzego Węgierskiego - w przyszłości profesora Politechniki Śląskiej i wybitnego specjalisty w zakresie kolejnictwa - miały doskonałą samoobronę zapewniającą ludności bezpieczeństwo. Władze radzieckie tę samoobronę zlikwidowały wciągając przymusowo wszystkich młodych mężczyzn do tak zwanego wojska polskiego. Ludność - przeważnie kobiety i dzieci - została bez obrońców. Jednocześnie władze radzieckie nie przystąpiły do skutecznej likwidacji band UPA. Wyglądało, że między władzami radzieckimi a kierownictwem UPA doszło do faktycznej współpracy mającej na celu pełną realizację hasła szowinistów ukraińskich "Lechy za San". Na taką faktyczną współpracę wskazywało już wcześniejsze ogłoszenie amnestii powszechnej dla tych, którzy mordowali ludność polską. W związku z tą amnestią władze radzieckie nie pociągały do odpowiedzialności Ukraińców, którzy mordowali Polaków a także swoich współrodaków, natomiast władze te skazywały na pobyt w obozach takich Ukraińców którym zarzucano współpracę z Niemcami, mimo że ta współpraca ograniczała się na przykład do rozprowadzania nawozów sztucznych

przez tak zwanych wiejskich agronomów.

Po ciężkich ranach postrzałowych zadanych memu bratu bezbro-
nnemu Józefowi w dniu 3 czerwca 1944 r. przez morderców z UPA
przy wjeździe do Mikłaszowa, moja rodzina z Mikłaszowa w dniu
następnym wraz z innymi polskimi rodzinami z tej wsi została ewaku-
owana do Biłki Królewskiej przez dzielnych mieszkańców tej wsi.
Brat mimo udanej operacji w lwowskim szpitalu umarł 7 czerwca 1944 r.
gdyż osłabiony po operacji organizm nie przetrzymał zapalenia płuc.
Po zajęciu Lwowa przez wojska radzieckie w dniu 27 lipca 1944 r.
moja rodzina nie wróciła do Mikłaszowa, gdyż nasze budynki w Mikła-
szowie w ciągu czerwca i lipca 1944 r. Ukraińcy zniszczyli. I dobrze
się stało, że rodzina nie wróciła do tej miejscowości, gdyż w nocy z
16 na 17 listopada 1944 r. bandyci z UPA wykorzystując bezczynność
władz radzieckich i licząc na dalszą bezkarność dokonali w Mikła-
szowie największego masowego mordu zarówno na Polakach jak też na
takich Ukraińcach, których posądzali o ugodowość w stosunku do
władz radzieckich.

Gdy stało się oczywiste, że moja rodzina, a więc matka i siostra
Józefa /brat Michał został zabrany do wojska jesienią 1944 r./
będzie musiała opuścić Biłkę Królewską wraz z mieszkańcami tej wsi,
moja matka zaproponowała mi, bym wziął do Winnik jedną krowę, bo
wysiedlanym Polakom pozwalano brać tylko ograniczoną ilość żywego
inwentarza. Mając w tym czasie dwoje małych dzieci /Andrzej z 1940 r.
i Teresa z 1944 r./ postanowiłem skorzystać z propozycji matki.
W dniu 10 kwietnia 1944 r. pociągiem wyjechałem ze Lwowa. Na pier-
wszej za Lwowem stacji to jest w Podborcach do tego samego pociągu
wsiadła także moja żona Maria. Razem dojechaliśmy do następnej
stacji to jest do Barszczowia, skąd doszliśmy do pobliskiej Biłki
Królewskiej, w której nie byłem od maja 1943 r. to jest od otrzymania

wiadomości, że renegat Roman Wojcicki jako współpracownik gestapo, wykazał gestapo mnie wraz z wieloma innymi Polakami jako należącego do AK

Mimo przepięknej słonecznej kwietniowej pogody w Biłce opanowały mnie uczucia i myśli dalekie od słonecznych. Uświadomiłem sobie, że ta odwieczna polska ludność /parafia w Biłce Szlacheckiej powstała 10 maja 1441 r./ po przeszło 500 latach swego polskiego zakorzenienia się w tej wsi jest zmuszona opuścić tę wieś na dłuższy okres czasu. Nie dopuszczałem wtedy do siebie myśli, że to opuszczenie następuje może raz na zawsze, bo nawet dzisiaj w marcu 1989 r., nie mogę uwierzyć, że to opuszczenie nastąpiło "na zawsze". Gdy w czasie krótkiego spotkania z rodziną, krewnymi i znajomymi doszło do wymiany poglądów na temat polskiej sytuacji ówczesnej i spodziewanej w najbliższej przyszłości, starałem się u spotkanych podtrzymać wiarę, że wyjazd ludności polskiej z naszej Małopolski Wschodniej jest zjawiskiem przejściowym i odwracalnym, bo po zwycięskim zakończeniu wojny z hitlerowskimi Niemcami niewątpliwie zwycięskie państwa zachodnie pomogą Polsce usunąć wschodnich najeźdźców z naszych ziem do granic wschodnich ustalonych w traktacie ryskim po naszej zwycięskiej wojnie z bolszewikami w 1920 r.

Nie mieściło się w mojej głowie - zresztą w głowach ogromnej większości Polaków - przypuszczenie, że państwa zachodnie po krwawym przekonaniu się, jakie zagrożenie niesie dla ludzkości każdy totalitarny ustrój, pozostawią po rozgromieniu hitlerowskiego totalitaryzmu, równie groźny a może jeszcze groźniejszy totalitaryzm sowiecki. Nie budowałem swojej wiary w lepszą przyszłość na przekonaniu, że nasi zachodni sojusznicy będą lojalni wobec Polski, kierując się swymi zobowiązaniami sojuszniczymi wobec Polski. Ja swoją wiarę budowałem na czymś znacznie trwalszym, a mianowicie na przekonaniu, że Anglia

a pod jej wpływem i Stany Zjednoczone dla własnego bezpieczeństwa, dla zapewnienia sobie i światu trwałego pokoju, nie dopuszczają, by w centrum Europy powstała niezwykle groźna potęga zaborczego imperializmu rosyjskiego, zręcznie operującego ideologią komunistyczną. Nie wiedziałem wtedy, że samobójcza krótkowzroczność państw anglosaskich, źle skalkulowany, bo na krótką metę egoizm zaprawiony brakiem moralnego poczucia odpowiedzialności za losy ludów, co szczególnie wystąpiło u Roosevelta, ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, dadzą Związkowi Radzieckiemu szansę stania się największą militarną potęgą świata. Po latach musiałem uznać trafność przepowiedni Goebbelsa, który napisał w wydawanym przez siebie czasopiśmie "Das Reich", że jeśli Niemcy przegrają wojnę, to nad światem zawiśnie niebezpieczeństwo sowieckie o bardziej katastrofalnych następstwach, niż niebezpieczeństwo niemieckie. Goebbels straszył Zachód trafnie ale bezskutecznie. Dyplomacja radziecka, propaganda radziecka i agenci radzieccy działali bardzo skutecznie na Zachodzie. Miał rację Lenin, który utrzymywał, że głupota kapitalistów obliczana na szybkie zyski jest tak wielka, że oni gotowi są sprzedawać na kredyt także takie powrozy, na których będzie można tych kapitalistów wywieszać.

W Białce Królewskiej już działali pełnomocnicy zajmujący się formalnościami związanymi z przesiedleniem ludności polskiej na zachód. Na stacji kolejowej w Barszczowicach już wyładowywano ludność ukraińską z zachodu przeznaczoną do osiedlenia w Białkach. A ja pożegnałem się z matką i siostrą, zabrałem krowę, którą w drodze miała podpedzać moja żona i pieszo ruszyliśmy do Winnik ale nie najkrótszą drogą przez niebezpieczny dla Polaków Mikłaszów ale drogą okrężną przez Barszczowice - Pikułowice - Prusy - Kamienopol - Podborce, na skutek czego nasza piesza droga wydłużyła się z 14 km do 20 km. Przechodząc przez Pikułowice i Prusy widzieliśmy krzątanicę związaną z przygotowaniem do przesiedlenia na zachód. Późnym wieczorem

dotarliśmy z naszą krową do Winnik. Raniutko dnia następnego
wziąłem się do wybudowania prowizorycznej stajenki dla krowy.
Przy budowie wykorzystałem odpowiednio ścianę domu od strony ogrodu
tak, że stajenka nie była widoczna oś ulicy. Żona tymczasem udała się
do Czystek, dużej polskiej wsi obok Winnik, by kupić siano od wyje-
żdżających na zachód gospodarzy - Polaków. Ja do południa skleciłem
stajenkę i nie czekając na powrót żony wziąłem jej ręczny zegarek
szwajcarski i ruszyłem pieszo do Imowa, by zdążyć na ważne spotkanie
konspiracyjne z kolegą, którego tutaj umownie nazwę "Lekarzem".
Spotkanie było umówione na moim punkcie kontaktowym na dzień
11 kwietnia 1945 r. na godz. 16-tą. W tym czasie moim punktem kontak-
towym był przystanek tramwajowy przy ul. Legionów obok Teatru Wiel-
kiego. Wyjaśniam, że przy wzmożonym nadzorze sowieckich organów
bezpieczeństwa unikałem domowych punktów kontaktowych. Ustalałem
na krótki czas punkty kontaktowe w najruchliwszych punktach miasta.
Punkt kontaktowy na przystanku tramwajowym był aktualny może od
dwóch tygodni. Znalł ten punkt tylko moi najbliżsi współpracownicy
Podałem ten punkt Lekarzowi i w zasadzie tylko z nim miałem plano-
wane spotkanie. Z moich współpracowników mogli się zgłosić tylko ci,
których mogła do tego skłonić jakaś pilna sprawa, bo z reguły ja zna-
łem miejsca pobytu moich współpracowników i z nimi kontaktowałem
się poprzez ich miejsca pobytu, lub za pośrednictwem łączników-
łączniczek. Tu trzeba dodać, że tych współpracowników było coraz mniej
Sowieckie organy bezpieczeństwa były daleko groźniejsze od gestapo.
Już w sierpniu 1944 r. został aresztowany nasz redaktor konspiracyj-
nego tygodnika pod nazwą "Słowo Polskie", młody lekarz Stanisław
Buryłopó "Prostar". Wpadł z materiałami przypadkowo na punkcie
kontaktowym, gdzie był sowiecki "kocioł". W tym czasie została także

aresztowana współpracownica "Prostara" Magdalena Lukas, wspaniała młoda dziennikarka z przedwojennego "Słowa Narodowego". Na miejsce "Prostara" przyszedł Kazimierz Dunajewski "Sulima", również młody dziennikarz ze wspaniałego "Słowa Narodowego". Funkcję redaktora w "Słowie Polskim" pełnił przez jesień 1944 r., bo został aresztowany - prawdopodobnie prewencyjnie. Na mnie jako kierownika wydziału propagandy Narodowej Organizacji Wojskowej i Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego we Iwowie odpowiedzialnego za wydawanie "Słowa Polskiego" spadł obowiązek także redaktora. Wystąpiły w tym czasie także trudności w powielaniu i kolportażu. Po aresztowaniu "Prostara" zaszła konieczność zaniechania powielania w gmachach Anatomii człowieka przy ul. Piekarskiej prowadzonego przez trzech braci Chodyniów : Stanisława, Jana i Władysława występujących pod firmą "Yolosy". Przez jakiś czas powielał "Słowo Polskie" Mieczysław Nowakowski ps. "Meka". Gdy jego przenoszącego "Słowo Polskie" wspólnie z Romualdą Krzywoszyńską aresztowano na ulicy, zabrakło nie tylko wspaniałego "drukarza" ale także wspaniałej kierowniczkii kolportażu. Sytuację tragiczną pomogli mi przebrnąć mój zastępca Jerzy Paszyński "Jastrzębiec" i młoda lekarka "Szczur". Nazwisko jej dopiero niedawno ustalił prof Jerzy Węgierski. Przed aresztowaniem Romualdy Krzywoszyńskiej "Wiewiórki" - późniejszej żony Stanisława Buryły - byliśmy zmuszeni wyprawić za San zagrożoną aresztowaniem Janinę Akielaszek "Bazyliszek", która wspaniale razem z "Wiewiórką" prowadziła kolportaż w latach 1943 i 1944. Bardzo cennym współpracownikiem w wydziale propagandy był mgr Józef Romański "Hubick". Jego jako dobrze zapowiadającego się prawnika /był asystentem/ też aresztowano. Byłem bardzo przeciążony, bo prócz pracy konspiracyjnej musiałem mieć pracę taką, jaka chroniła przed zabraniem do tak zwanego wojska

polskiego. Zrazu pracowałem jako stolarz w fabryce mebli, później u prof. Marciniaka jako starszy preparator. Gdy praca w zakładzie anatomii człowieka nie chroniła przed wojskiem, byłem zmuszony stać się głównym księgowym /głównym buchalterem/ w przedsiębiorstwie zajmującym się hodowlą ryb. Ale i to stanowisko nie zabezpieczało mnie przed poborem bo zabrano mnie do przejściowych koszar przy ul. Pierackiego. Wkrótce wydostałem się z tych koszar, bo lekarz Polak - laryngolog orzekł, że mam tak poważną wadę słuchu, że nie nadaję się do wojska.

W dniu 11 kwietnia 1945 r. było bardzo słonecznie i bardzo ciepło. Po przejściu pieszo 9 km drogi między Winnikami a Lwowem wpadłem na chwilę do mojej siostry Katarzyny Wielgan mieszkającej we Lwowie po opuszczeniu Mikłaszowa i po zabraniu jej męża Jana Wielgana do wojska polskiego. Właściwie u niej mieszkałem a swoje mieszkanie przy ul. Pijarów odstąpiłem młodej mieszkance Mikłaszowa Marysi Juszczyńskiej której rodzice zginęli z 16 na 17 listopada 1944 r. od wrzuconego przez okna granatu ręcznego. Ona w tym czasie została poraniona odłamkami. Ponieważ było ciepło, zostawiłem u siostry kurtkę i czapkę a sam w marynarce tramwajem dojechałem dokładnie na godz. 16-tą na Wały Hetmańskie i skierowałem się na punkt kontaktowy na przystanku, przy ul. Legionów obok Teatru Wielkiego. Kiedy znalazłem się na przystanku, podeszło do mnie dwóch osobników w ubraniach cywilnych i jeden z nich postawił mnie powszechnie znane w Związku Radzieckim pytanie : "Kak wasza familia ?"/Jakie jest wasze nazwisko? Ja oczywiście powiedziałem swoje nazwisko doskonale zdając sobie sprawę, że dla mnie skończył się dotychczasowy okres życia. Po usłyszeniu mego nazwiska moi opiekunowie oświadczyli, że jestem aresztowany i że mam iść z nimi, przy czym uprzejmie dali mi miejsce między nimi. Ja zdążyłem spojrzeć na ludzi stojących na przystanku. Nie zauważyłem nikogo z moich współpracowników, natomiast stwierdziłem, że na przystanku było kilku umundurowanych oficerów, którzy pilnie obserwowali

mnie i moich opiekunów. Krótko mówiąc przystanek był dobrze przygotowany na moje przyjęcie. Sądzę, że za nami i przed nami szli pozostali członkowie obstawy. Skierowaliśmy się na ulicę Kazimierzowską a z niej na ulicę Krasickich wychodzącą na t.zw. Ogród Jezuicki czyli park, przy którym był nowy budynek mego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po drodze sięgnąłem dyskretnie do kieszonki w marynarce. Wyciągnąłem z niej małą karteczkę z zapisami tylko przeze mnie rozumianymi. Zwinąłem karteczkę w kulkę i połknąłem. Cały czas zastanawiałem się, kto mnie "wsypał" i co o mnie mogą wiedzieć. Przypomniłem sobie dobre rady mego zastępcy Jerzego Paszyńskiego, który szczęśliwie przeszedł przez gestapo aresztowany w maju 1944 r. Rady te tak wyglądały : do niczego nie przyznawać się, dać się bić aż od prześladowców będzie można dowiedzieć się, jakie są dowody w ich dyspozycji. Moi konwojenci doszli ze mną do dużej willi w ogrodzie przy ul. Krasickich.

II. "Kapezet"

Willi przy ul. Krasickich miała solidne żelazne ogrodzenie z rozciągniętymi u góry drutami kolczastymi. Nie było żadnej tablicy informującej, jaka instytucja zajmuje willę. Po drutach kolczastych nad ogrodzeniem i po braku tablicy informacyjnej przeciętny mieszkaniec wiedział, że w willi mieści się najważniejsza instytucja sowiecka. Rzeczywiście był to tarnopolski kolejowy oddział KGB /komitietu gosudarstwiennoj biezopasnosti/. Oddział ten nie mógł przebywać w Tarnopolu, ponieważ miasto to leżało w gruzach w wyniku ciężkich walk, jakie tam toczyły się wiosną 1944 r. Zresztą siedziba dla takich organów sowieckich nie miała większego znaczenia. Tak samo nie miał większego znaczenia terytorialny zasięg

działania, bo każdy organ sowieckiej bezpieki miał w zasadzie nie ograniczony "obwód łowiecki". Z nazwy organu przy ul. Krasickich można by mylnie wnioskować, że zajmuje się on tylko zapewnieniem bezpieczeństwa na kolejach w Tarnopolszczyźnie. Istotnie takie zadanie miał ten organ ale zadanie to nie wyczerpywało jego "zainteresowań", bo w willi przy ul. Krasickich nie znalazłem się tylko ja, mimo że nie miałem żadnej łączności z kolejnictwem na terenie Tarnopolszczyzny, ale znalazło się w niej wielu mieszkańców Lwowa, Sambora, Stanisławowszczyzny.

Moi opiekunowie wprowadzili mnie do obszernej izby, którą ja określiłem jako "izbę przyjęć". Takie przyjęcie "zwierzyny" złowionej na ulicy zaczynało się od polecenia, żeby wyłożyć na stół wszystko, co się miało ze sobą. Ponieważ nie miałem żadnej teczki ani bagażu innego, więc wyłożyłem z kieszeni bardzo nikłą ich zawartość, w szczególności niewielki pugilares z bardzo niewielką sumą pieniędzy. Przy sprawdzaniu zawartości pugilaresu jeden z moich "opiekunów" znalazł w pugilarzesie mój medalik z obrazem Matki Boskiej. Przed aresztowaniem urwał się łańcuszek. Nie zdążyłem go naprawić i nosiłem medalik w pugilarzesie zamiast na szyi. "Opiekun" na widok medalika tak powiedział po rosyjsku: "To Matka Boska. Ty wierzyłeś, że Ona Ciebie ochroni przed nami. I nie ochroniła". Ja na tę jego wypowiedź nie zareagowałem żadnym odezwaniami ale byłem całkowicie przekonany w tym momencie, że właśnie dzięki interwencji Matki Boskiej doznam Bożej Pomocy. Pomoc ta przyszła nadszpedziewanie szybko i właśnie dzięki tej pomocy mogę o tym pisać po upływie 44 lat.

Oczywiście musiałem oddać do "depozytu" ręczny zegarek mojej żony, najlepszej firmy szwajcarskiej z okresu międzywojennego. Do dnia dzisiejszego moja żona nie może mi darować, że straciłem jej pamiątko

wy zegarek. A straciłem go w bardzo charakterystyczny sposób w kilka tygodni po aresztowaniu, gdy już miałem "śledztwo" zakończone i gdy łaskawie pozwolono mi na przyjmowanie paczek żywnościowych zwanych "peredaczami". Paczki robiła żona ale doręczała te paczki moja siostra Katarzyna Wielgan, bo w tym czasie żona obawiała się jeszcze aresztowania. Otóż któregoś dnia szef komórki a mój śledczy - oprawca kapitan Gółubkow stwierdził, że zapewne moja siostra jest biedną kobietą i on może jej wydać mój zegarek, gdy ja dam taką pisemną dyspozycję. Dałem taką dyspozycję ale moja siostra zegarka nie otrzymała. Zapewne podsunęto jej do podpisu jakąś kartkę pod jakimś pretekstem. Kartkę tę potraktowano jako dowód wydania siostrze zegarka. W taki to sposób Gółubkow stał się właścicielem doskonałego zegarka szwajcarskiego. W tym czasie największym marzeniem największej ilości ludzi sowieckich było posiadanie zegarka. Realizowano to marzenie w końcowej fazie wojny poprzez grabież. Prości żołnierze przemogą odbierali ludziom zegarki. We Lwowie niebezpiecznie było znaleźć się na ulicy mniej ruchliwej, bo na nich - zwłaszcza wieczorami - grasowały kilkusobowe grupy sowieckich żołnierzy-rabusiów, wyspecjalizowanych w zabieraniu pieniędzy i zegarków. Ja raz uniknąłem ograbienia przy ul. Fiekarńskiej we Lwowie, gdyż na czas cofnąłem się na teren zakładu anatomii człowieka, gdzie w tym czasie pracowałem u prof. Marciniaka jako starszy preparator. Innym razem też miałem duże szczęście, bo straciłem niewielką kwotę i bochenek chleba, a ocalałem cały miesięczny zarobek. Stało się to tak późną jesienią 1944 r.: Żona moja z dwojgiem małych dzieci: Andrzejkiem ur. 2 lipca 1940 r. i Tereską ur. 16 czerwca 1944 r. mieszkała w tym czasie u swojej matki w Winnikach a ja mieszkałem we Lwowie przy ul. Pijarów. Od czasu do czasu odwiedzałem rodzinę w Winnikach. Pracowałem wtedy

jako stolarz w fabryce mebli przy ul. Zielonej. Wziąłem wypłatę, kupiłem bochenek chleba i postanowiłem odwiedzić rodzinę, by z nią spędzić niedzielę. Był dzień sobotni i zapadał już zmrok, gdy opuszczałem Lwów mając 9 km pieszej drogi do Winnik. Gdy mijalem ostatnie domy lwowskiej dzielnicy zwanej Jałowcem, podeszli do mnie dwaj sowieccy żołnierze z żądaniem, bym im przedstawił dowód osobisty w ramach często stosowanej "pieriewierki" dokumentów. Wprawdzie żołnierzy tych uważałem od początku za rabusiów ale nie miałem wyboru i dałem im mój dowód osobisty do sprawdzenia. Wzięli dowód i polecili mi wracać z nimi w stronę Lwowa. Tłumaczyłem im wracając w stronę Lwowa, że jestem ubogim robotnikiem, wracam do domu z pracy że mam tylko bochenek chleba i niewielką ilość pieniędzy. Widziałem, że oni też boją się powrotu do ludniejszej części miasta. "Zaproponowali" mi polubowne załatwienie sprawy : dam im chleb i pieniądze, a oni zwrócą mi dowód osobisty. Poszedłem na taką ugodę, dzięki czemu dotarłem szczęśliwie do rodziny. Straciłem tylko chleb i kilka rubli. Rabusiom nie przyszło na myśl, by sprawdzić moje kieszenie. W ten sposób ocaliłem moją zapłatę za pracę.

Często w pobliżu lwowskich szpitali widziało się grupy żołnierzy sowieckich w bieliźnie ^{nap} składających na stragany. Jakoś w tej jawnej grabieży żadne sowieckie organy nie przeszkadzały im. Był to widocznie półlegalny sposób dożywiania rekonwalescentów. Dosyć szybko doszedłem do przekonania, że w ustroju sowieckim ogromna większość ludzi korzysta z "dodatkowych źródeł dochodu". Ja też trochę z takich źródeł korzystałem. Mianowicie jako stolarza skierowano mnie do uzupełniania okien w zarządzie lasów państwowych przy ul. Chorążczyzny. Szczególnie chodziło o oszklenie okien, gdyż przy chaotycznym bombardowaniu Lwowa przez lotników sowieckich dużo okien było bez szyb. Dyrektor

zarządu lasów współpracując z "trofiejnymi komandami" /oddziałami zdobywczy"/ściągnął z poniemieckich składów z rejonu Stryja bardzo duże zapasy szkła, którym oficjalnie handlował wymieniając szkło za potrzebne mu materiały. Urządził się wspaniale w niedalekiej od Cytadeli willi. Ja jako pomocnik szklarza często po pracy pomagałem wstawiać szyby w prywatnych mieszkaniach. Szkło i kit braliśmy z zakładu pracy. Środkami płatniczymi była najczęściej wódka. Dzięki niej unikałem wysyłki na roboty leśne w rejon Janowa. Nią też odwdzięczyłem się lekarzowi za to, że stwierdził, że nie nadaję się do wojska. Oczywiście on na tę wódkę nie liczył ale ja uważałem, że trzeba lekarzowi okazać wdzięczność. Gdy zostałem głównym księgowym w gospodarstwie rybnym : "Rybchoz zołoczowskawe reijona", to przekonałem się, że "ryba bierze", to znaczy bierze wszystkich, którzy ją dostają. Gdy mimo grasujących band UPA udało się wyłowić ryby z jakiegoś stawu, to pewna część połowu była kierowana do wszystkich, którzy ułatwiali istnienie gospodarstwa rybnego. Najwięcej dawało się do "wojenkomatu" za to, że nie brał naszych rybaków na front. Ci rybacy na ten cel dawali także mąkę i wędliny. Posyłało się po kilka kilogramów ryb do milicji i prokuratora. Wyjaśniam, że prokurator miał także funkcję ściągania pieniędzy od naszych dłużników. Bank finansujący też był przez nas zaopatrywany w ryby. Ten bank sprawdzał nasze plany produkcyjne i finansował je. Opracowałem doskonały plan hodowli ryb, by uzyskać pieniądze na finansowanie naszej hodowli, w tym na nasze płace. Przedłożyłem ten plan dyrektorowi. Spojrzał na ten plan i powiedział : "Ja rybu nie wiżu" /Ja ryby nie widzę/. Zabrałem plan i powtórzyłem zdanie powyższe memu dyrektorowi Polakowi - Nowakowskiemu, który zakomunikował mnie, że właśnie po południu będzie dostawa ryb i że nasza sprzętaczka zaniesie dyrektorowi.

dyrektorowi banku do jego mieszkania 4 kg ryb. Gdy następnego dnia zjawiłem się w banku, plan został podpisany bez trudności a dyrektor banku powiedział : "Da, ja uznał, że ryba jest"/tak, przekonałem się, że ryby są/. Wspominam o takich dochodach dodatkowych ludzi, by podkreślić, że znałem układy ustrojowe. Ale wtedy nie przypuszczałem, że układy te objęły w tym czasie także oficerów sowieckiej "bezpieki". W swojej ówczesnej naiwności wierzyłem, że moja żona otrzyma zegarek.

Po ceremonii oddania wszystkich przedmiotów i po skrupulatnym sprawdzeniu, czy czegoś nie ukryłem, zostałem poddany następnej ceremonii sprawdzania, kim jestem i czym się zajmuję. Na tę ceremonię szczególnie czekałem, bo chciałem zorientować się, co o mnie wiedzą i w jaki sposób do mnie doszli. Odbyła się między mną a kapitanem Gołubkowem "przyjacielska" rozmowa. Gołubkow był dorodnym mężczyzną po trzydziestce. Miał bardzo sympatyczny wygląd. Zaczął od stwierdzenia, że wszystko o mnie wie i radził mi, bym przyznał się do wszystkiego, bo w razie mego uporu będą rozmawiali ze mną inni w sposób dla mnie nieprzyjemny. W czasie rozmowy zapytał mnie, jaka była moja "kliczka". Udałem, że tego wyrazu nie znam, więc dał wyjaśnienie, że "kliczka" to pseudonim. Oczywiście kategorycznie zaprzeczyłem przynależności do jakiegokolwiek organizacji podziemnej. Na to mój "sympatyczny" rozmówca napisał na karteczce, że mój pseudonim jest taki : G----k, co przy użyciu liter rosyjskiej "grażdanki" wychodziło "Gorniak" /Górniak/. Miałem wystarczający dowód, że jestem ujęty jako człowiek właściwy. Chodziło mi teraz o zdobycie, co więcej o mnie wiedzą i w jaki sposób doszli do mnie. Ponieważ w dalszym ciągu utrzymywałem, że nie mam nic wspólnego z konspiracją, mój rozmówca zostawił mnie na pewien czas w spokoju

a w nocy przystąpił do właściwej "rozmowy", w której głównym organem była gumowa pałka policyjna. Wtedy okazało się, że to właśnie Gołubkow był najokrutniejszym oprawcą w całej willi.

Tak się moje życie układało od lat chłopięcych do 32 roku życia, że tylko w latach chłopięcych od czasu do czasu ojciec paskiem naprowadzał mnie na właściwą drogę. Brałem wprawdzie od czasu do czasu udział w studenckich manifestacjach ulicznych, gdzie policja używać musiała pałek gumowych ale na mnie ani raz żadna pałka nie spadła. Dopiero sadyśta Gołubkow dał mi poznać bolesność bicia pałką gumową zwłaszcza, jak uderzenia spadały w miejsca poprzednio obite. Na ból nigdy nie byłem wytrzymały. Przyznaję, że pod wpływem bólu wrzeszczałem zarówno z bólu jak też z efektu, że mój wrzask powodował przerwę w biciu. Wprawdzie przesłuchania połączone z biciem odbywały się nocami ale willa przy ul. Krasickich była w ludnej dzielnicy Iwowa i zapewne była instrukcja, by wrzaski nie dochodziły do sąsiednich domów. Oprawca też męczył się. Chciał odpocząć i zbadać, czy seria pałek spadających na plecy, pośladki, nogi a dokładnie na pięty dała efekt. Gdy przekonywał się, że efektu nie ma, powtarzał bicie. Tak upłynęła noc. Mój kat udał się na "zasłużony" odpoczynek a mnie zbitego, głodnego, spragnionego kazał trzymać w postawie stojącej przez cały dzień w oddzielnym pokoju. Miał nade mną czuwać niższej rangi funkcjonariusz. Chodziło głównie o to, by mnie załamać stanieniem i bezsennością. Gdy w czasie stania zapadałem w drzemkę lub gdy byłem bliski przewrócenia s podbiegał do mnie mój nowy "opiekun" i biciem po twarzy korygował moją postawę. Szybko stwierdziłem dwa fakty, po pierwsze, że bicie po twarzy uważane powszechnie za bardzo poniżające jest znacznie mniej bolesne aniżeli bicie pałką gumową, po drugie - memu "opiekunowi" takie bicie sprawiało szczególną satysfakcję. To "ozuwanie" nade mną trwało

długo. W czasie tego "czuwania" dowiedziałem się, że mój "opiekun" jest polskim Żydem o niskiej inteligencji a wysokiej nienawiści do Narodu Polskiego. Był on potrzebny sowieckim organom bezpieki właśnie ze względu na znajomość języka polskiego i ze względu na nienawiść do Narodu Polskiego. Dużo było takich Żydów polskich w sowieckich organach bezpieczeństwa. Inteligentniejszych skierowano później do "bezpieki" w PRL. Gołubkow po pracowni zakończonej nocy zapowiedział mnie, że przedstawi mnie ludzi, którzy mnie w "ocznej stawce"/w konfrontacji/ powiedzą, że należałem do podziemnej organizacji i co w tej organizacji robiłem. Odpowiedziałem mu, że takich ludzi nie ma, a jeśli będą, to będą to kłamcy. Po wypoczynku Gołubkow kazał mnie wprowadzić do "pokoju przesłuchań". Pozwolił mi usiąść. Gdy przekonał się, że ja w dalszym ciągu nie przyznaję się do przynależności do organizacji podziemnej, polecił żołnierzowi, by kogoś przyprowadził. Czekałem z ogromnym napięciem na to, kogo przyprowadzą. Po chwili wprowadzono dobrze mnie znanego Michała Łajdziaka. Poznałem go w końcu lata 1943 r. u Leona Mrzygłockiego "Niwy" a właściwie u żony Leona Marii. Wtedy nie było mowy o pracy konspiracyjnej ale ja orientowałem się, że Michał jest w AK - NOW na terenie Tarnopolszczyzny. Po wycofaniu się wielu członków AK-NOW z Tarnopolszczyzny wiosną 1944 r. Michał - absolwent Wydziału Prawa UJK we Lwowie, żołnierz Września, osiedlił się we Lwowie i otrzymał we Lwowie konspiracyjny przydział organizacyjny. Ze mną nie miał bezpośredniej łączności organizacyjnej. Spotkania nasze były przypadkowe, na przykład w czasie walk o Lwów w lipcu 1944 r. spotkaliśmy się na pl. Św. Antoniego, gdzie mnie Michał poczęstował świeżymi owocami porzeczeki. W jesieni 1944 r. Michała aresztowano na ulicy, gdy wracał z pracy.

Dotychczas nie wyjaśniono, kto Michała wskazał. W tym czasie aresztowano także Adolfa Leśniaka. Adolf Leśniak ps. "Twardy" mówił mi, że jego wskazał osobnik o nazwisku "Pręt". Może ten sam osobnik wskazał też Michała. Leśniak utrzymywał, że Pręt jako kępusz został zlikwidowany przez AK. Podaję powyższe okoliczności, by zaznaczyć, że Michał i ja znaliśmy się dosyć dobrze. Jak się później od Michała dowiedziałem, to jego w czasie śledztwa pytano o Górniaka a nawet pokazywano mu moje zdjęcie robione prawdopodobnie z jakiegoś zdjęcia grupowego. Informacja o zdjęciu jest dla mnie do dzisiejszego dnia zdumiewająca, gdyż ja przed wrześniem 1939 r. bardzo rzadko fotografowałem się a w czasie wojny chodziłem do fotografa tylko wtedy, gdy zdjęcie było mi potrzebne do dokumentów. Był konspiracyjny nakaz robienia swoich zdjęć. Tego nakazu nie przekraczałem. Michał był już po wyroku skazującym na 10 lat pobytu w łagrach. Właśnie w obozie przejściowym przy ul. Fołtewnej we Iwowie, czyli na tzw "peresyłce" czekał na wysyłkę w głąb Związku Radzieckiego, co w żargonie obozowym określano jako oczekiwanie na "etap". Nie poszedł na ten etap, bo wycofano go na konfrontację ze mną. Gdy Michała wprowadzono do "izby przesłuchań" natychmiast zorientowałem się, że Michał nie przyzna się do znajomości ze mną, gdyż nawet nie spojrzał w moją stronę i miał wygląd człowieka mocnego fizycznie i psychicznie. Po wprowadzeniu patrzył tylko na śledczego to jest na Gołubkowa. Między nimi odbyła się taka krótka rozmowa - Gołubkow mówił po rosyjsku a Michał po polsku.

Gołubkow zapytał : Czy znasz tego człowieka ? Wskazał na mnie.

Lopiero wtedy Michał spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem i stanowczo odpowiedział : Nie znam go Gołubkow : Ty zeznawałeś, że znałeś Górniaka. Michał : Tak ale to był inny człowiek. Na twarzy Gołubkowa

widac było zawód i wściekłość. Kazał Michała odprowadzić.

Po chwili wprowadzono lekarza, z którym, jak to już zaznaczyłem, miałem się spotkać dnia 11 kwietnia 1945 r. na moim punkcie kontaktowym obok Teatru Wielkiego. Wygląd fizyczny i psychiczny lekarza był taki, że ja zrozumiałem, że lekarz mnie "sypnął" i że on mnie w esy powie, jaka była moja rola w konspiracji. Z lekarzem miałem częste kontakty konspiracyjne od lata 1943 r. Jeszcze częstsze kontakty miałem z koleżanką, która latem 1944 r. wyszła za mąż za lekarza. Między wprowadzonym lekarzem a Gołubkowem nastąpiła taka wymiana zdań. Gołubkow wskazując na mnie zapytał: Czy ty znasz tego człowieka? I co on robił w organizacji podziemnej? Lekarz w odpowiedzi podał moje imię, nazwisko, pseudonim oraz stwierdził, że ja jestem redaktorem pisma podziemnego pod nazwą "Słowo Polskie". Po podaniu tak istotnych danych dotyczących mojej pracy konspiracyjnej lekarz poprosił Gołubkova, by mu pozwolił wyjaśnić mi zaistniałą sytuację. Gołubkow wyraził zgodę. Gdy lekarz zaczął do mnie mówić, ja mu przerwałem podniesionym głosem stwierdzając, że to, co on podał jest kłamstwem, że jego nie znam, i domagam się, by przestał do mnie mówić. Lekarz ze smutkiem zamilkł a Gołubkow kazał ^{mi} ~~nie~~ odprowadzić.

Po opisanej konfrontacji zrozumiałem, że sowiecka bezpieka ma dostateczne dowody przeciwko mnie. Postanowiłem mimo tych dowodów zaprzeczać im, bo wiedziałem, że będę maltretowany, gdyż bezpieka szukała ode mnie wskazania moich współpracowników. Gdy zaczęło się nocne przesłuchiwanie, konsekwentnie zaprzeczałem temu, co podał lekarz. Prawie przez całą noc z przerwami byłem bity. Oczywiście z bólem wreszczałem. Nad ranem postanowiłem podpisać protokół zawierający przyznanie się do tego, co podał lekarz. Po podpisaniu takiego protokołu mój oprawca Gołubkow polecił swemu podkomendnemu - wspomnianemu

już młodemu Żydowi polskiemu, by przyniósł dla mnie obiad z restauracji. Dał mi przy mnie pieniądze na kupno tego obiadu. Rzeczywiście po pewnym czasie ten podkomendny przyniósł obiad, który mnie po dwóch dniach głodu bardzo smakował. W czasie jedzenia nasunęło mi się podejrzenie, że obiadu nie przyniesiono z restauracji. Skombinowano ten obiad z paczek i posiłków przyniesionych dla więźniów przez ich rodziny.

Po posiłku wprowadzono mnie do sąsiedniego pokoju, bym mógł w nim przespać się, przy czym dano mi do nakrycia się kapitański płaszcz Golubkowa. Płaszcz ten bardzo mi był potrzebny, bo można było położyć się tylko na podłodze a w tym dniu oraz w dniach następnych zrobiło się bardzo chłodno. Temperatura spadała nawet poniżej zera. W tym sąsiednim pokoju przebywał także lekarz. Tam doszło do złożenia przez lekarza następujących wyjaśnień :

Sowiecka bezpieka aresztowała lekarza i jego żonę w ich mieszkaniu. Żona była w wysokiej ciąży. Lekarz zdawał sobie sprawę, że pobyt żony w więzieniu sowieckim jest równoznaczny ze śmiercią mającego się urodzić dziecka i z prawdopodobną śmiercią żony. Takie tragiczne losy ciężarnych kobiet były ciężkimi częste i lekarz o tym wiedział. Oprawcy też wiedzieli, jaki atut mają w postaci ciężarnej żony lekarza. Postanowili atut ten wykorzystać. Zaproponowali lekarzowi wypuszczenie żony pod warunkiem, że wyda im albo redaktora "Słowa Polskiego" albo przedstawiciela delegatury rządu ^{londyńskiego} lubelskiego na obszar lwowski. Lekarz znał doskonale mnie i mógł mnie podać jako redaktora "Słowa Polskiego". Znał także zastępcę delegata a w pewnych okresach faktycznego delegata rządu londyńskiego na obszar lwowski w tym czasie zastępcą był Leon Mrzygłocki ps. "Niwa". Lekarz wybrał

mie, bo mnie było łatwiej ująć ze względu na umówione spotkanie. Żeby ująć "Niwę", trzeba by było wskazać mieszkanie starszych ludzi Ksawerego i Kamilli Paciorkowskich w budynku przy ul. Kętrzyńskiego bo z tego mieszkania "Niwa" często korzystał. Nim doszłoby do ujęcia "Niwy" poprzez to mieszkanie, to w ręce "bezpieki" dostaliby się nie tylko Paciorkowscy ale i inne osoby, a "Niwa" mogłoby nie dostać się w ręce bezpieki. Tak więc Lekarz wybrał w jego ocenie najmniejsze zło to znaczy spowodował moje aresztowanie. W czasie "przesłuchiwania" mnie lekarza trzymano w sąsiednim pokoju. On dokładnie słyszał, jak mnie maltretował Gołubkow. Lekarz błagał, by go puszczono do mnie na rozmowę. Chciał mnie powiedzieć, że moje zaprzeczenia są bezcelowe. Chciał mnie w ten sposób namówić do przyznania się. Był przekonany, że ja po przyznaniu się nie będę bity. Dziwna rzecz, ja słuchając tych wyjaśnień, nie miałem żalu do lekarza, że mnie "sypnął". Ja odczułem jego tragiczną sytuację. W jakimś stopniu usprawiedliwiłem jego postępek. Dla ratowania żony i dziecka poświęcił mnie. Później i teraz też tłumaczyłem sobie, że może to moje aresztowanie w dniu 11 kwietnia 1945 r. ochroniło mnie przed znacznie gorszym losem, jaki mógł mnie spotkać po wyjeździe ze Lwowa na zachód. Niewątpliwie w PRL byłbym też w organizacji podziemnej, los aresztowanych Polaków w PRL był bez porównania znacznie gorszy od mego losu i od losu wielu Polaków którzy dostali się bezpośrednio w ręce sowieckiej bezpieki. Lekarz mylił się sądząc, że ja już nie będę maltretowany po przyznaniu się do funkcji redaktora "Słowa Polskiego". Ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że Gołubkow biciem zechce zmusić mnie do wskazania moich współpracowników a zwłaszcza do wskazania drukarni. Byłem pewny, że nadchodząca noc będzie dla mnie bardzo ciężka. Postanowiłem przed nią wyspać się. Owinąłem się kapitańskim płaszczem, położyłem się na

podłogę i zapadłem w pokrzepiający sen.

Gdy mnie obudzono, byłem sam, bo lekarza skierowano do "normalnej" celi dla więźniów. Spotkałem się z nim ponownie dopiero za kilka tygodni, gdy urządzono fikcję rozprawy. Mnie zabrano do sąsiedniej "izby przesłuchań". Zgodnie z moimi przewidywaniami Gołubkow zażądał ode mnie wydania moich współpracowników i wskazania "typografii" /drukarni/. Obrąłem taktykę człowieka załamane go, gotowego wydać współpracowników ale mającego zasadniczą trudność polegającą na tym, że kontakty były nieliczne, uliczne a współpracownicy nie byli znani ani z nazwiska ani z pseudonimów. O rysopisy mnie Gołubkow nie pytał ale miałem opracowany sposób podawania rysopisów, a mianowicie ich odwrotność. Przy takim sposobie przy powtarzających się przesłuchaniach nie można się pomylić. Oczywiście Gołubkow nie wierzył moim zeznaniom i dlatego noc była dla niego bardzo "pracowita", bo bicie też jest pracą, a dla mnie bardzo bolesna. W przerwach między jednym a drugim biciem było pisanie protokołu. W czasie takiej jednej przerwy usiłowałem przekonać Gołubkova, że gdybym nawet znał adresy moich współpracowników, to i tak po trzech dobach od mego aresztowania żaden współpracownik nie czekałby w swoim mieszkaniu na aresztowanie, gdyż zgodnie z instrukcją każdy ma obowiązek zmienić miejsce pobytu, bo aresztowany może wypadnąć. To, że mnie aresztowano pod Teatrem Wielkim nastąpiło tylko dlatego, że wyjechałem ze Imowa i nie wiedziałem, że lekarza aresztowano. Gdybym był wiedział o jego aresztowaniu, byłbym nie przyszedł na umówione miejsce. Usiłowałem przekonać Gołubkova, że człowiek pełniący ważną funkcję w konspiracji posługiwał się łącznikiem względnie łączniczką i w ten sposób unikał kontaktów bezpośrednich z innymi współpracownikami. Ja znałem tylko jeden adres łączniczki. Podałem ten adres : Akielaszek - ul. Wyspańskiego nr 20. Podając też

adres byłem przekonany, że jest on znany "bezpiece", gdyż w sierpniu 1944 r. po aresztowaniu Stanisława Buryły "Prostara" - ówczesnego redaktora "Słowa Polskiego", przedstawiciele "bezpieki" przyszli na wskazany adres, by aresztować Janinę Akielaszek "Bazyliśzek", kierowniczkę kolportażu ale jej nie zastali, bo ona spodziewając się aresztowania opuściła mieszkanie w domu rodziców. Przed moim aresztowaniem opuściła Lwów i była w bezpiecznym miejscu za Sanem. Golubkow skorzystał z mojej informacji, wysłał kogoś na wskazany adres i w kilka dni później miał do mnie pretensję, że mu wskazałem kogoś, kto opuścił mieszkanie. Ja mu wtedy powtórzyłem moje twierdzenie, że nikt z moich współpracowników nie pozostał w swoim mieszkaniu po moim aresztowaniu. Ten przypadek upewnił mnie, że różne komórki sowieckiej bezpieki nie przekazywały sobie posiadanych informacji.

Po trzeciej nocy "przesłuchiwań" odprowadzono mnie do celi w piwnicy. Wszystkie piwniczne pomieszczenia pod willą zamieniono na cele. "Moja" cela była od ulicy. Miała dosyć duże okno okratowane ale okno było pozbawione szyb. Ta okoliczność przez kilka dni była dla mnie równie dotkliwą udręką jak bicie w czasie nocnych przesłuchiwań. Przypominam, że byłem lekko ubrany a temperatura spadała przez kilka dni poniżej zera. Było mi ciągle zimno. Czekałem nocy, bo bodaj częściej nocy, a w braku przesłuchiwań całą noc mogłem spędzić w pozycji leżącej na piwnicznej podłodze obok młodego Polaka Jerzego Gardinika ze Lwowa / teraz jest mgr inż Jerzy Gardinik w Gliwicach/. Poznałem go dopiero w celi. Jemu siostra przekazała kołdrę i on mnie tą kołdrą ratował. Niestety w ciągu dnia nie było można korzystać z kołdry, bo aresztowani w ciągu dnia nie mogli leżeć. Musieli albo siedzieć albo chodzić. Siedzieć można było tylko na podłodze, bo

w celi piwnicznej nie było żadnych przedmiotów do siedzenia. Część piwnicy miała podłogę z desek, a część posadzkę z betonu. Gdy cela była o pełnej "obsadzie", część aresztowanych kładła się na spoczynkowy na posadzkę cementową. Tak były wyposażone wszystkie cele w willi przy ul. Krasickich pełniące funkcję "kapezet" - skrót rosyjskiej nazwy aresztu śledczego - Pełne brzmienie tego skrótu było takie : "kamiera przedwaritielnawo zakliuczienia". Takich "kapezetów" było we Lwowie dużo. Niedaleko od ulicy Krasickich wszystkie budynki przy ul. Sądowej /do 1939 r. budynki sądowe/ były zamienione na kapezet. Przy ul. Kadeckiej było "kapezet" sowieckiej "kontrrazwiedki". Dawne więzienie wojskowe przy ul. Zamarsztynowskiej było też "kapezetem". Właściwie we Lwowie nie było w tym czasie więzień sowieckich, były tylko "kapezety" i jeden obóz przejściowy słynna lwowska "peresyłka" przy ul. Feltewnej. To trzeba wyjaśnić, że w sowieckim systemie aresztowany był trzymany w kapezecie do wyroku. Skazywano w tym czasie, kiedy ja byłem aresztowany, z reguły na 10 lat, czasem na więcej lub mniej pobytu w łagrach. Rzadkie były wtedy wyroki śmierci a jeszcze radsze wyroki na pobyt w więzieniu. Łagry były z reguły w głębi Związku Radzieckiego - zwykle na dalekiej północy lub na Syberii. Najbliższy łagier koło Lwowa był w Leckiem koło Złoczowa. W tym łagrze - dawnym niemieckim obozie dla Żydów - byli moi profesorowie z UJK - Przybyłowski i Makarewicz. Pierwszy po uwolnieniu wyjechał do PRL a drugi pozostał we Lwowie.

W "kapezetach" a do pewnego stopnia i w łagrach ogromna większość aresztowanych względnie skazanych, niemal instynktownie unikała rozmów na temat spraw będących powodem aresztowania względnie skazania. W śledztwie było to podyktowane koniecznością utrudniania prac kapusiom /donosicielom/. Unikanie to utrzymywało się tak, że i po skazaniu

przestrzegano zasady niemówienia o swojej podstawie skazania i nieinteresowanie się cudzymi podstawami skazania.

W celi piwnicznej było kilku jeszcze Polaków prócz wspomnianego już Gardinika. Było kilku Ukraińców - przeważnie z województwa stanisławowskiego. Zaraz pierwszego dnia zaczął ze mną rozmawiać starszy ode mnie Polak Sieniawski pochodzący z terenów, które nie należały przed wojną do Polski. We Lwowie znalazł się wtedy, gdy Lwów został zajęty przez wojska sowieckie w jesieni 1939 r. Z relacji jego wynikało, że został aresztowany za to, że pozostał we Lwowie po zajęciu miasta przez ^{wzjako} Niemców. Pracował w lwowskiej garbarni - prawdopodobnie na jakimś urzędniczym stanowisku. Spodziewał się, że nie zostanie skazany. Zwierzył się, że pomoże mu fakt wskazania miejsca, w którym były ukryte kosztowności Żydów. Podejrzywałem, że te kosztowności są wymysłem. Może to miała być cena zwolnienia. Bardziej zainteresowała mnie informacja Sieniawskiego, że w naszym kapezecie przebywa aresztowany Leśniak Adolf, który mimo ciężkiego śledztwa nie przyznaje się do AK. Oczywiście przed Sieniawskim udałem, że o Leśniaku nic nie wiem. Istotnie nigdy go nie widziałem ale o nim wiele słyszałem od swego szefa Zbigniewa Nowosada "Bieleckiego". W czasie okupacji niemieckiej Leśniak "Twardy" kierował konspiracyjną żandarmerią w naszej grupie wojskowej. "Bielecki" był zachwycony postawą organizacyjną "Twardego" a także jego zaradnością życiową w utrzymaniu rodziny złożonej z żony i trzech małych synów. Gestapo aresztowało go ale został wtedy zwolniony, ponieważ w czasie rewizji nocnej nie znaleziono u niego w domu żadnych materiałów obciążających. Miał wtedy plik "Słowa Polskiego" ale plik ten ukrył pod plecami najmłodszego syna. Trudno mi powiedzieć, czy Sieniawski wspomnieli o Leśniaku jako

o ciekawym więźniu, czy też miał zadanie zbadania, czy mnie coś łączy z Leśniakiem. Samego Leśniaka poznałem osobiście dopiero w dniu naszej fikcyjnej rozprawy.

Zaraz następnego dnia a może nieco później Gołubkow zaproponował mi, bym udał się na mój punkt kontaktowy obok Teatru Wielkiego celem wskazania moich współpracowników, jeśli oni zjawią się na tym punkcie. Ja trzymając się taktyki "załamano" nie sprzeciwiałem się tej propozycji ale uprzedziłem, że udanie się na punkt kontaktowy nie da wyniku, ponieważ o moim aresztowaniu wszyscy wiedzą i zgodnie z instrukcją nikt na taki punkt nie przychodzi. Mimo mego zastrzeżenia ubrano mnie w płaszcz kapitana, na głowę wsadzono czapkę kapitana i samochodem osobowym na krótko przed godziną szesnastą zawieziono mnie na przystanek tramwajowy obok Teatru Wielkiego. Obok mnie na tylnym siedzeniu siedział ten funkcjonariusz, który brał udział w moim aresztowaniu i który zaznaczył na widok mego medalika, że Matka Boska nie ochroniła mnie przed aresztowaniem. Tu wypada zaznaczyć, że wśród aresztowanych ten funkcjonariusz miał dobrą opinię w tym sensie, że nie bił aresztowanych w czasie przesłuchiwań. Gołubkow - jego przełożony - zapewne chwalił się przed swymi podkomendnymi, że mnie mocno bił, bo wkrótce właśnie ten funkcjonariusz zainteresował się moim stanem. Oglądnął mnie częściowo rozebranego i jako "fachowiec" stwierdził obiektywnie, że ja zostałem bardzo solidnie zбитy. Na przystanku nasz samochód zatrzymał się. Kierowca wysiadł i zaczął poprawiać działanie motoru udając, że samochód zdefektował się. Na przystanku stali osobnicy - zapewne "obława". Było też sporo ludzi czekających na różne numery tramwajów. Wśród czekających zauważyłem młodą dziewczynę, która dosyć często przychodziła na

moje punkty jako łączniczka. Widocznie jeszcze nie wiedziała o moim aresztowaniu. Ja tymczasem uważałem za wskazane tłumaczyć memu sąsiadowi i "opiekunowi", że jest zgodnie z moimi przewidywaniami - a mianowicie na przystanek nikt nie przyszedł, bo wszyscy już wiedzą o moim aresztowaniu. Postaliśmy jakiś czas. Kierowca udał że już naprawił samochód i wróciliśmy z połowu bez "zwierzyny". Mój opiekun złożył Gołubkowowi relację, że ja nie tylko nikogo nie wskazałem ale celowo rozmawiałem z opiekunem, aby jego uwagę odwrócić od ludzi czekających na przystanku. Moja rozmowa takiego celu nie miała ale właśnie za ten zarzut miałem w czasie nocnego przesłuchiwania dodatkowe bicie.

Wspomniałem już, że przy uwagach na temat mojego medalika, byłem przekonany, że doznam szczególnej opieki ze strony Matki Boskiej. Zaznaczyłem już, że ta opieka przejawiała się szczególnie szybko, o czym dowiedziałem się już po skazaniu mnie na 10 lat pobytu w łagrach. Opieka ta polegała w pierwszej kolejności na tym, że bezpieka nie ujęła mojej żony, a niewątpliwie chciała tego dokonać. Może spodziewano się, że ja po ujęciu żony, matki pięcioletniego syna i rocznej córeczki załamie się tak, jak załamał się lekarz, gdy aresztowane jego ciężarną żonę.

Już zaznaczyłem, że w tym czasie, kiedy mnie aresztowano, nie mieszkałem z żoną. Ja mieszkałem we Lwowie przy ul. Pijarów w domu emerytowanego inspektora szkolnego Żakliki a moja żona przeniosła się z dziećmi do swojej matki w Winnikach. Zrobiła tak głównie dlatego, że nie mogła liczyć na moją pomoc jako męża i jako ojca. Doszła do przekonania, że jej i dzieciom w Winnikach u jej matki będzie lepiej aniżeli ze mną. Istotnie nie okazałem się ani dobrym mężem ani dobrym ~~dziankiem~~ ojcem i to od początku naszego małżeństwa.

Zaraz po ślubie naszym w dniu 12 września 1939 r. wybrałem się w stronę Rumunii. Wróciłem ale zagrożony aresztowaniem przebywałem rzadko z żoną a od pierwszej masowej wywózki Polaków ukrywałem się we Lwowie a następnie w maju 1940 r. wyjechałem do Krzywego Rogu, skąd wróciłem jesienią 1941 r. W czasie niemieckiej okupacji częściej przebywałem u mojej matki w Mikłaszowie aniżeli u żony w Winnikach. Od maja 1943 r. ukrywałem się we Lwowie, do którego żona spodziewając się drugiego dziecka przeniosła się na wiosnę 1944 r. a już w sierpniu 1944 r. wróciła do Winnik do swej matki. To takie nasze nieszczególne życie małżeńskie i rodzinne nasuwało podejrzenie, że ja jestem wiarołomnym mężem i człowiekiem nie nadającym się do życia rodzinnego i małżeńskiego. Rzeczywiście pewne fakty świadczyły przeciwko mnie. Od czasu do czasu znajomi widywali mnie w towarzystwie młodych dziewcząt i kobiet. Trudno było mnie wyjaśnić, że to są moje łączniczki lub współpracownice konspiracyjne. Do szczytu ludzka podejrzliwość doszła zapewne, gdy po przeniesieniu się żony do Winnik z tego mieszkania musiała korzystać przez kilka dni zagrożona aresztowaniem kierowniczka kolportażu a także mój zastępca Jerzy Paszyński "Jastrzębiec". W tym samym domu mieszkała rodzina chłopska, która musiała z rejonu Kamionki Strumiłowej uciec do Lwowa przed bandami UPA. Ludzie ci mieli krowy. Kupowałem od nich mleko. Gdy w moim mieszkaniu była także kierowniczka kolportażu, to brałem mleko i dla niej. Ludzie próci tłumaczyli sobie ten fakt w bardzo prosty sposób : że żonę zastąpiłem sobie inną kobietą. Tak zapewne zeznawali, gdy funkcjonariusze bezpieczeństwa po moim aresztowaniu przeprowadzili rewizję w moim mieszkaniu przy ul. Pijarów. A w mieszkaniu tym zastali bardzo młodą dziewczynę Marię Juszcyszyn z Mikłaszowa, bo ja jej po

zamordowaniu jej rodziców odstąpiłem to mieszkanie a sam ukrywałem się u mojej siostry Katarzyny Wielgan, która mieszkała w niedalekim domu po opuszczeniu Mikłaszowa. Gołubkow wysłał swoich podkomendnych do Winnik ale ci na szczęście nie zastali żony w domu. W tym czasie w domu nie było także teściowej, bo wyszła coś załatwić. Była tylko 11-miesięczna córeczka. Wysłannicy Gołubkowa dostali się do mieszkania przez okno. Jak teściowa wróciła, to oni już splądrowali mieszkanie a jeden z nich zabawiał rozbudzone dziecko. Wyjaśnili kim są i uszli zabierając nie tylko to, co w ich mniemaniu wiązało się z moją osobą ale także takie przedmioty, jak doskonałą teczkę, którą ofiarowałem żonie w latach narzeczeńskich, jej szlafrok itp. Zapewne traktowali te przedmioty jako dowody stwierdzające, że rzeczywiście zrewidowali dom w Winnikach. Ponieważ byli głodni, to także wypili pewną ilość jaj. Uważali, że "gościom" należy się przyjęcie.

Ja w czasie śledztwa dowiedziałem się o rewizji w domu przy ul. Pijarów w ten sposób, że Gołubkow zapytał mnie o tę dziewczynę, która zajmowała moje mieszkanie. Postanowiłem wykorzystać tę okoliczność. Mianowicie bardzo prosiłem Gołubkowa, by nie doszło do mej żony, że w moim mieszkaniu była dziewczyna. Wyjaśniłem, że mogę liczyć na pomoc w formie paczek tylko od żony. Gdyby żona dowiedziała się, że w moim mieszkaniu mieszkała dziewczyna, to oczywiście żona odmówi mi pomocy. Wiadziałem, że Gołubkow tym razem mnie uwierzył, że ja żonę zdradzałem. W ówczesnej sowieckiej mentalności nie mogło mieścić się, że młody mężczyzna może zachować wierność małżeńską mając okazje łamania tej wierności. Gołubkow do tego stopnia uwierzył, że moja pożyłka z żoną było złe, że później nie czynił dalszych prób, by ująć moją żonę a po skazaniu mnie pozwolił.

Jej na zobaczenie się ze mną w izbie "przyjęć" w willi przy ul. Prasickich. Żona przyszła na to widzenie z pięcioletnim Andrzejkiem i z roczną Tereską. Andrzejek zapytał mnie o brzytwę, gdy zobaczył mnie z brodą. Tereska bez oporu ale i bez entuzjazmu dała się wziąć na chwilę na moje ręce. Zapewne teraz, gdy miałem brodę byłem dla niej całkiem obcym człowiekiem w porównaniu z tym, którego ostatni raz widziała przed trzema miesiącami. Nie wiedziałem wtedy, że zegnaliśmy się z dziećmi na przeszło 3 lata. Szczegółowo przedstawiłem powyższe okoliczności mego życia małżeńskiego i rodzinnego, bo byłem i jestem przekonany, że moja żona i moje dzieci uniknęły okrutnego losu, jaki im groził w przypadku aresztowania mojej żony. To była pierwsza i szybka pomoc za wstawiennictwem Matki Boskiej. Ciężkie życie miała ze mną moja żona. Może ekwiwalentem za to życie było to, że ją ominęła tragedia aresztowania

Druga pomoc za wstawiennictwem Matki Boskiej też była szybka. Gołubkow ciągle chciał biciem zmusić mnie do wskazania drukarni i moich współpracowników. Dostyc często kroki nocnych "wywoływaczy" zatrzymywały się koło drzwi naszej celi. Wszyscy z napięciem słuchali tych kroków. Najpierw słuchali, koło których drzwi te kroki się zatrzymają a następnie słuchali kogo z celi wyrwą na przesłuchanie, które zwykle było połączone z biciem. Wśród śledczych tylko dwóch w zasadzie nie było przesłuchiwanym. O jednym już wspomniałem. Nazwiska jego nie pamiętam, a drugi nazywał się Kolenko. Ten miał też pałkę gumową ale walił nią od czasu do czasu po stole i krzesłach i mocno krzyczał na aresztowanego. Mnie wprowadzono nie każdej nocy ale dostyc często wołano do Gołubkowa na przesłuchiwanie połączone z biciem. Któregoś dnia ku memu zdziwieniu zawołano mnie w biały dzień, wsadzono do samochodu, zawieszono na pobliską ulicę Sądową i wprowadzono

do wspaniale urządzonego gabinetu, w którym za biurkiem siedział generał rosły w wieku około 60 lat a obok biurka siedział mój oprawca Gołubkow z bardzo sympatycznie wyglądającą twarzą. Generał - później dowiedziałem się, że to był wiceminister bezpieczeństwa na całą Ukrainę czyli południową część europejskiej Rosji - łaskawie zaproponował mi, abym sobie usiadł. Ja instynktownie poprosiłem go po rosyjsku, aby mi pozwolił stać. On zapytał mnie, dlaczego nie chcę siedzieć. Odpowiedziałem mu krótko: Nie mogę siedzieć. Gołubkow wtrącił, że ja udaję. Generał na to tak stwierdził: On nie udaje. Po nim widać. Tak nie można. W trakcie rozmowy, bardzo długiej rozmowy ostrożnie usiadłem. Stroną mówiącą byłem przeważnie ja. Widziałem, że generał z uwagą słucha moich wywodów, w których starałem się wykazać, że należy stosunki polsko - sowieckie oprzeć na poszanowaniu polskiej odrębności i polskiego ~~przekazania~~ umiłowania ~~przekazania~~ wianości. Między tych stosunków stanie się podstawą współpracy a nawet przyjaźni pomiędzy Polakami a Rosjanami. Rozmowę zakończył generał dwoma stwierdzeniami: Ciebie tutaj już nikt nie dotknie. O tym, jak się będą układały stosunki pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim, nie będą decydowali nie tylko tacy, jak ty ale nawet tacy jak ja. Mówiło się wśród aresztowanych, że generał przybył do Lwowa ze szczególną misją a mianowicie celem wyszukania świadków - dowodów na pokazowy proces przeciwko podziemnemu kierownictwu polskiemu reperzentowanemu przez Okulickiego. Zapewne Gołubkow nie omieszkiał poinformować swych przełożonych a wśród nich i generała, że ma ważnego przedstawiciela polskiego podziemia to jest redaktora pisma podziemnego. Generał uznał za wskazane porozmawiać z tym redaktorem to jest ze mną. Po rozmowie ze mną generał doszedł widocznie do przekonania, że ewentualne moje zeznania na procesie moskiewskim nie tylko nie obciążą grupy Okulickiego a wręcz

przeciwnie wykaza, że polskie podziemie dążyło do właściwego ułożenia stosunków pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim. Później na Uralu poznałem skazanego na 10 lat pobytu w łegrach Jana Świtalskiego z lwowskiej grupy AK. Jego jako radiotelegrafistę nadającego wiadomości do władz polskich w Londynie uznano za kwalifikującego się na świadka w procesie moskiewskim. Nie wiem, czy zeznawał w tym procesie ale był w tym czasie w Moskwie w pokazowym więzieniu na Łubiance. Przebywał tam niedługo ale w warunkach wprost bajkowych w porównaniu z warunkami panującymi w "normalnych" więzieniach sowieckich a zwłaszcza w takich "kapezetach", jakim była willa przy ul. Krasickich we Lwowie. Jan Świtalski na Łubiance korzystał z oddzielnego pokoju, w którym było łóżko z materacami, czyściutką pościelą, krzesłem, stolikiem. Mógł korzystać z ubikacji i łazienki a także z czasopism i książek. Jedzenie podawano na talerzach i w zasadzie wystarczające. Otrzymywał dzienny przydział papierosów. Ponieważ nie przydzielano zapalek, każdej chwili mógł korzystać z uprzejmości dozorca, który poprzez otwór specjalny w drzwiach celi zwany "judaszem", zapalał papieros więźnia.

A w "kapezecie" przy ul. Krasickich we Lwowie w celach piwnicznych z brakującymi szybami w oknach piwnicznych było tylu aresztowanych że zwykle przy nocnym leżeniu cała posadzka była pokryta leżącymi ludźmi. Jak już zaznaczyłem, w celach nie było żadnych sprzętów poza tak zwaną "paraszą"/nazwa od zdrobniałego imienia żeńskiego Paraskwia/ to jest blaszanym kubłem, z którego aresztowani korzystali w czasie całej doby, bo do ustępu albo w ogóle nie wyprowadzano albo robiono to raz dziennie rano. W piwnicznej kondygnacji ustępu nie było. Były ustępy w kondygnacjach nadziemnych. Podawana dwa

razy codzienne lichą zupę w ilości około pół litra brało się do puszek po konserwach, jeśli ktoś nie miał własnego naczynia."Parapełne wynosili aresztowani do ustępu zrobionego w tym celu w podwórzu. Za porządek w celi odpowiadał jeden z więźniów zwany "starostą". W "kapezet" przy ul. Krasickich nie palono papierosów. Aresztowanych nie wyprowadzano na przechadzkę. Od czasu do czasu wyprowadzano do łaźni, której nie było przy ul. Krasickich. Pierwszy raz szedłem w grupie pod konwojem do łaźni położonej w rejonie ul. Leona Sapiehy. W tym czasie miałem na piętach rany po pęcherzach powstałych na skutek bicia pałką gumową w pięty. Kulałem wtedy. W grupie ludzi czekających pod willą, a zawsze ktoś czekał bądź z paczką - jedzeniem, bądź po informacje o aresztowanych, był ktoś, kto mnie znał. On podał mojej siostrze, że widział mnie i zauważył, że kulałem.

Przydzielana w kapezecie porcja chleba - chyba 550 gramów przy lichej zupie nie wystarczała na zaspokojenie głodu i na utrzymanie organizmu w znośnej formie. Rodziny aresztowanych starały się mimo trudnej sytuacji materialnej pomagać donosząc paczki z żywnością to jest z gotowanymi potrawami i produktami mogącymi utrzymać się przez kilka dni. Moja rodzina w pierwszych dniach mego aresztowania nie mogła mnie pomóc, gdyż nie wiedziała, w jakim "kapezet" przebywałem. Później otrzymywałem taką pomoc ze strony mojej rodziny, że nie byłem zagrożony wynędznieniem. Rodziny przychodzące z paczkami dla aresztowanych i czekające na łaskawe przyjęcie paczek nawiązywały między sobą łączność i w ten sposób powstawały nowe znajomości. Dzięki tym znajomościom i dzięki "grypsom" rodziny na ogół były zorientowane, co się dzieje z aresztowanym. Informacje rodzinom przekazywali także ci, których z braku dowodów przynależności

do AK zwalniano z "kapezet". Zwolnień takich było bardzo mało ale zdarzały się. Z kręgu aresztowanych, z którymi zetknąłem się, został zwolniony pracownik pocztowy ze Iwowa Rudnicki. On przyznał się, że należał do AK ale tylko w czasie okupacji niemieckiej. Jego siostra nauczycielka - jak się wtedy mówiło "profesorka" uczyła do 1939 r. w żeńskim Gimnazjum im Królowej Jadwigi we Iwowie. On za pośrednictwem swej siostry przekazał mojej rodzinie dokładne informacje o mnie.

W "kapezet" przy ul. Krasickich najczęściej było aresztowanych Polaków, na drugim miejscu byli Ukraińcy. Zdarzali się sporadycznie także mieszkańcy z tych terenów, które przed 1 września 1939 r. należały do Związku Radzieckiego. W celi piwnicznej, w jakiej początkowo przebywałem, był - jak już wspominałem Polak Sieniawski z terenów sowieckich. Był także inny człowiek z tamtych terenów w wieku około 40 lat. Mówił po rosyjsku. Było dla nas zaskoczeniem, gdy właśnie tego człowieka i młodego Ukraińca z polskich terenów jednej nocy zabrano na "specjalne przesłuchanie", na które tej nocy zabrano "wybranców" także z innych cel - wyłącznie Ukraińców Polaków tej nocy nie brano. "Przesłuchanie" odbywało się w tak wczesnej porze nocnej, że my jeszcze nie rozkładaliśmy się na spoczynek nocny, gdy do naszej celi wrzucono z powrotem naszych "wybranców" tak zbitych, że obydwaj nie mogli nie tylko stać ale nawet siedzieć. Do "normalnego" bicia aresztowani byli przyzwyczajeni. Stan tych dwóch z naszej celi był taki, że wszyscy zapadliśmy w ponure milczenie. Uważany przez nas za Rosjanina człowiek leżał na brzuchu i ciężko stękał. W pewnym momencie powiedział po rosyjsku : Nawierno budiet so mnoj Opuszczam ten ostatni wyraz, bo

bo w prawidłowym języku rosyjskim powinien on brzmieć "kanie" a Moskał bliski śmierci powiedział wyraz zastępczy o brzmieniu bardzo nieprzyzwoitym z zakończeniem na "ieo". Użycie tego wyrażenia mimo ponurego nastroju wywołało u nas głośny śmiech. Przekonaliśmy się, że zepaskudzony język rosyjski wyrazami nieprzyzwoitymi jest w użyciu nawet w sytuacjach przedśmiertnych. Ci dwaj nie umarli obicia. Szybko dowiedzieliśmy się, dlaczego ta nieszczęsna noc była "nocą ukraińską". W dzień nasi "opiekunowie" zrobili wypad na "łowy" i w czasie tych "łowów" jeden z nich zginął od kuli ukraińskiej. Pozostali jego koledzy z bezpieki postanowili uciec przed śmiercią kolegą wyjątkowym biciem aresztowanych Ukraińców. Dlaczego bicia był poddany także człowiek uważany przez nas za Rosjanina nie mogłem wyjaśnić. Może pomyłono się, a może on stał pod zarzutem współpracy z UPA.

Po wspomnianej mojej rozmowie z generałem, wiceministrem sowieckiej bezpieki na Ukrainie, moja sytuacja jako aresztowany bardzo zmieniła się na moją korzyść. Byłem przekonany, że zapowiedzi generała, że mnie nikt nie dotknie, będzie przestrzegana. Rzeczywiście przez dalszy czas mego pobytu w kapezet przy ul. Krasickich całkowicie ustały fizyczne i moralne represje w stosunku do mnie. W takiej sytuacji Pan Bóg - ciągle zaznaczam za pośrednictwem Matki Przenajświętszej - pozwolił mi osiągnąć najważniejszy cel, a mianowicie ochronić moich współpracowników i moją rodzinę. Byłem wprowadzany co jakiś czas wzywany przez Golubkova na przesłuchania polegające na spokojnym pisaniu protokołów o mojej działalności ale bez stosowania gróźb. Często te protokoły pisałem sam własnoręcznie po rosyjsku. Podawałem to, co nie mogło nikomu zaszkodzić. Wiedziałem, że zostanę skazany na 10 lat, bo taka była zasada.

cza norma wyroków ale tym nie przejmowałem się, bo wierzyłem, że po zakończeniu wojny stosunek władz sowieckich pod naciskiem Zachodu zmieni się do Polaków tak, że żaden ze skazanych Polaków nie będzie dłużej w sowieckich łagrach czy więzieniach. Jak się później okazało, moja wiara w Zachód i wiara w rozsądek sowiecki nie sprawdziły się.

Gołubkow nie mogąc mnie maltretować próbował mnie "wziąć na wolność". Któregoś dnia powiedział mi, że ja mogę uniknąć skazania, jeśli zgodzę się na współpracę. Miałem wtedy wrażenie, że była to propozycja nieszczerza ze strony Gołubkowa. Nie zamierzał mnie on wypuścić na wolność za cenę współpracy. Wydawało mi się, że była to z jego strony chęć sprawdzenia mego charakteru. Dałem oczywiście odpowiedź odmowną taką : Jestem przekonany, że w rękach sowieckich zachowam życie i doczekam się zwolnienia, natomiast w razie zwolnienia mnie bez skazania, polska organizacja, do której należałem, zlikwiduje mnie jako zdrajcę i kapusia. Przypuszczam, że moja argumentacja została ~~przyjęta~~ ^{nie} przyjęta przez Gołubkowa, bo już nie powrócił do powyższej propozycji.

Powyższa metoda angażowania współpracowników była szeroko stosowana przez sowiecką bezpiekę. Najbardziej znaną ofiarą tej metody był Bolesław Piasecki - twórca Paxu. Dostał się w ręce sowieckie. Groziła mu kara śmierci. Zostawiono go za cenę, że stworzy taką organizację katolicką, dla której papieżem będzie każdorazowy władca sowiecki a prymasem każdorazowy przedstawiciel sowiecki w Warszawie .

W moim okręgu organizacyjnym przed moim aresztowaniem zgłosiła się do mnie bardzo ofiarna w pracy konspiracyjnej kole-

żanka i zakomunikowała mnie, że musi na jakiś czas odsunąć się od pracy konspiracyjnej i od nas, bo uważa się za zagrożoną, obawia się że może być pod obserwacją sowieckich organów bezpieczeństwa. Podana, że na jakiś czas przed ponownym zajęciem Lwowa przez wojska sowieckie, w środowisku jej młodszej siostry oficer wywiadu węgierskiego szukał współpracowników dla wywiadu węgierskiego a konkretnie do obsługi krótkofalówki, którą ze Lwowa miały być przekazywane wiadomości wywiadowi węgierskiemu po spodziewanym zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie. W imię polsko-węgierskiej przyjaźni siostra mojej rozmówczyni zgodziła się na proponowaną obsługę krótkofalówki. Po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie w lipcu 1944 r. oficer zgłosił się do siostry i wyjaśnił, że nie jest i nie był oficerem węgierskim a jest funkcjonariuszem sowieckiej kontrrazwiedki. Dodał, że kandydatka na węgierską radiotelegrafistkę dopuściła się zbrodni wobec Związku Radzieckiego i za to czeka ją kara śmierci. Tej kary może uniknąć po spełnieniu takich warunków : zostanie żoną tego oficera, wyjedzie razem z nim do Krakowa, gdzie będzie spełniała zadania na rzecz Związku Radzieckiego. Dziewczyna przyjęła te warunki. Istniała obawa, że przez wyjazd do Krakowa mogła spełnić zadania sowieckie na terenie Lwowa. Licho się z tym jej siostra uznała za wskazane odsunąć się od pracy konspiracyjnej. Przed kilkoma laty zainteresowałem się losem tej dziewczyny. Podano mi, że po wojnie wyjechała ^z PRL, wyszła za mąż za Włocha, osiedliła się w Australii, żyjąc tam w dobrobycie. Jej siostra mieszka w Warszawie ale ja z nią nie nawiązywałem kontaktu, bo wątpię, czy otrzymałbym informację, jak wyglądała współpraca jej młodszej siostry z sowieckimi organami.

Zmiana moich warunków w Kapezet po rozmowie z generałem nie ograniczyła

się do sprawy dla mnie najważniejszej to jest do zaniechania stosowania przemocy wobec mnie w czasie przesłuchiwań. Zmiana ta przejawiała się także w przeniesieniu mnie ^z do celi piwnicznej do jednej z cel poddaszowych mających dużo światła dziennego i prawidłowe podłogi z desek. W nowej celi skład narodowościowy aresztowanych był podobny jak w celi piwnicznej - większość stanowili Polacy - głównie z Sambora i jego okolic a mniejszość Ukraińcy. Na kondygnacji poddaszowej były ustępy oddzielne, do których rano wypuszczano nas pojedynczo wszystkich z poszczególnych cel kolejno. W ustępach były umywalki, w których można było obmyć się. W jakiś sposób dowiedziałem się, że w jednej z dalszych od ustępów cel poddaszowych był lekarz. Do jego celi docierała prasa. Któregoś dnia przy przechodzeniu koło naszej celi lekarz wrzucił przez "judasza" gazetę z obszernym artykułem o powstaniu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Oczywiście z powstaniem tej Organizacji ja i inni aresztowani wiąźaliśmy nadzieję na korzystną zmianę losu Polski i naszych losów osobistych. Jeszcze wcześniej a mianowicie 8 maja 1945 r. w czasie dziennego przesłuchiwania, a moje przesłuchiwania w tym czasie były jużienne, Gołubkow w rozmowie ze swym współpracownikiem podał wiadomość o zakończeniu działań wojennych a więc o kapitulacji Niemiec hitlerowskich. Gdy w nocy z 8 na 9 maja rozszalała się we Lwowie radosna strzelanina, wiedzieliśmy, że to w ten sposób "ludzie radzieccy" cieszą się z zakończenia wojny i zapewne wierzą, że jej zakończenie poprawi ich warunki życia. My aresztowani też wierzyliśmy, że zakończenie wojny stworzy warunki do naszego zwolnienia i do powstania Polski niepodległej. Wtedy dalecy byliśmy od podejrzeń:

że Zachód wyda Polskę i inne kraje Europy środkowej zabórczemu imperializmowi rosyjskiemu. Nie przypuszczaliśmy, że nas wchłonie potężny system zniewolenia tak trafnie później określony przez Solżenicyna jako "Archipeląg Gułag".

W kapezet przy ul. Krasickich okna były oczywiście zakratowane ale nie były zasłonięte blaszanymi "koszami", jakie można było obserwować do niedawna na więzieniach w PRL. Mogliśmy z naszych cel - zwłaszcza z cel poddaszowych od strony ogrodu - parku - obserwować majowe okrywanie się drzew listowiem. Wraz z tym listowiem rosła nasza nadzieja w lepszą przyszłość, rosło przekonanie, że losy poszczególnych ludzi, los narodów i ludzkości w ostatecznym rozrachunku są w rękach Boga. Do Niego często zwracaliśmy się w naszych modlitwach. Nie zapominaliśmy, że maj w Polsce jest poświęcony szczególnemu nabożeństwu ku czci Matki Boskiej. W naszej poddaszowej celi odprawialiśmy codziennie majowe nabożeństwo, składające się z litanii loretańskiej odmawianej wspólnie i ze śpiewów religijnych śpiewanych głosami przyciszonymi, bo regulamin więzienny nie pozwalał na śpiewy. Nabożeństwo kończyliśmy marszem, w czasie którego śpiewaliśmy następujący hymn z przepiękną melodią : "Błękitne rozwiniemy sztandary,

Czas zrzucić zwątpienia już pleśń.

Niech w sercach zapłonie znicz wiary

I gromka niech ozwie się pieśń.

Spod znaku Maryi rycerski by huf,

Błogosław nam, Chryste, na bój

Stajemy jak ojce, by służyć Ci znów

My Polska, my naród, lud Twój

Już świta, już grają pobudki
Już Jezus przybliża się k nam
Żyj święta radości, precz smutki
Pan idzie i pierzcha w cień kłam
Pan idzie, słoneczność rozlewa się w krag
Pan idzie na świata siąść tron
Drży szatan, wysuwa się berło mu z rąk
Słyszycie pobudki gra dzwon."

Jak w każdej celi, tak i w naszej nowej celi Gołubkow miał swoją wtyczkę, swego donosiciela. Uważaliśmy, że tym donosicielem był Ukrainiec w wieku około 50 lat. W czasie okupacji niemieckiej należał do kierownictwa garbarni lwowskiej, która nazywała się przed wojną "Nowość". Oczywiście garbarnia pracowała pod bezpośrednim nadzorem jakiegoś Niemca ale Niemcy zwykle posługiwali się ludźmi niższej rasy - w tym przypadku lojalnymi wobec Niemców Ukraińcami. W garbarni tej byli też zatrudnieni Polacy. Z tą garbarnią miałem przed aresztowaniem luźne i sporadyczne kontakty handlowe a mianowicie od czasu do czasu kupowałem - zwykle dla kogoś - wyprawione skóry cielęce na obuwie /"boks"/. Ukrainiec z naszej celi był czynnym działaczem ukraińskim. Jako młody człowiek w latach 1918 i 1919 walczył w wojsku ukraińskim przeciwko Polakom. Gdy wojska polskie ostatecznie zajęły Małopolskę Wschodnią, część wojska ukraińskiego schroniła się na terenie Czechosłowacji. Tam też przebywał Ukrainiec z naszej celi ale później wrócił do Polski. W czasie niemieckiej okupacji jako patriota ukraiński współpracował z Niemcami nie tylko w garbarni zajmując w niej jakieś ważne stanowisko ale także na płaszczyźnie szerszej. Prawdopodobnie bardzo

czynnie zachęcał do tworzenia ochotniczej dywizji ukraińskiej po stronie niemieckiej, dywizji znanej pod nazwą niemiecką SS Schützen-division Galizien a pod krótką nazwą ukraińską Halyczyna. Za tę współpracę z Niemcami sowiecka bezpieka trzymała go w kapezet przy ul. Krasickich. Prawdopodobnie Gołubkow robił nadzieję temu Ukraińcowi, że nie będzie skazany i za tę nadzieję kazał płacić donosicielstwem. Aresztowani zwykle doskonale orientują się, kto może być donosicielem. Jak znalazłem się w celi poddaszowej, uprzedzili mnie inni Polacy, że ten właśnie starszy Ukrainiec jest najprawdopodobniej informatorem Gołubkowa. Zresztą i bez uprzedzenia aresztowani zwykle nie mówili, jak to już zaznaczyłem, niczego, co mogło im lub innym zaszkodzić. Ja zwróciłem baczniejszą uwagę na wskazanego Ukraińca i szybko stwierdziłem, że co jakiś czas w biały dzień był wzywany do Gołubkowa, mimo że śledztwo chyba miało zakończone. Widocznie niewiele ciekawego i niewiele ważnego przekazywał Gołubkowowi o nas. Bezsprzecznie przekazał mu o naszych majowych nabożeństwach a zwłaszcza o śpiewaniu powyższej pieśni religijnej "Błękitne rozwińmy sztandary" w czasie naszego marszu po celi, bo Gołubkow w czasie jednego przesłuchiwania mnie zapytał mnie, jaki jest hymn AK. Odpowiedziałem mu, że AK nie miała własnego hymnu. Widocznie Ukrainiec poinformował go, że my codziennie śpiewamy hymn AK. Ten fakt donosicielstwa nie wpłynął na zmianę mego stosunku do Ukraińca. Odnosiłem się do niego z dużą wyrozumiałością i chętnie słuchałem jego opowiadań. Miał dosyć duży dar opowiadania. Zwykle do treści tych opowiadań nie przywiązywałem większej wagi. Tylko jedno opowiadanie zrobiło na mnie duże wrażenie i dlatego przytoczę je w dużym skrócie. Ukrainiec miał motocykl, co w czasie

okupacji niemieckiej było rzadkością. W lecie 1942 r., gdy jeszcze wielu Żydów pozostawało w swoich skupiskach miejskich, Ukrainiec wybrał się do rabina żydowskiego w miasteczku Beż , na motocyklu. Rabin ten uchodził za jasnowidza. W połowie drogi postanowił w cieniu drzewa odpocząć. I tam pomyślał, że może niepotrzebnie jedzie do durnego Żyda. Chciał zawrócić z drogi ale ostatecznie mając tylko połowę drogi ruszył w kierunku Beżza. Gdy zjawił się u rabina to ten mu na wstępie powiedział : A jednak Pan zdecydował się przyjechać do tego durnego Żyda. Jeszcze bardziej był Ukrainiec zdumiony, gdy usłyszał z ust rabina cały swój życiorys. Ale najważniejszego celu swej wyprawy do rabina Ukrainiec nie osiągnął, bo rabin zapytany o przyszłe koleje losu dał taką odpowiedź : To, co będzie, zna tylko Pan Bóg. Tak więc wtedy nie dowiedział się Ukrainiec, że wpadnie do kapezet przy ul. Krasickich i że mimo możliwych a kłamliwych obietnic Gołubkova nie mu donosicielstwo nie pomoże. Któregoś dnia został wywołany z celi. Był dłużej niż zwykle poza celą. Wrócił bardzo zmartwiony, bo odbyła się "rozprawa" po której ogłoszono mu wyrok chyba na 10 lat pobytu w "isprawitielno - trudowych lagieriach". Podobno do skazania najbardziej przyczyniły się zeznania Sieniawskiego, który pracował też w garbarni w czasie okupacji niemieckiej. Wyglądało, że Sieniawski nie został skazany. Ukrainiec głośno wypowiadał najgorsze życzenia pod adresem Sieniawskiego. Z Ukraincem tym spotkałem się później jeszcze raz na lwowskiej "peresyłce" i byłem świadkiem bardzo przykrego zajścia obrazującego mentalność więźniów. Jak już wspominałem, Ukrainiec ten umiał w sposób bardzo interesujący opowiadać. Na ogół więźniowie chętnie słuchają opowiadań, bo one

skracają nudny czas więzienny. Ukraińiec coś opowiadał na dużej celi w ciekawy sposób. Inni słuchali w milczeniu ale jeden młody Ukraińiec nie interesował się opowiadaniem a sam coś drugiemu opowiadał, czym przeszkadzał głównemu mówcy. Ten główny mówca poczuł się urażony, podszedł do młodego współplemieńca i spoliczkował go. Młody zamilkł. Zapewne Sienkiewicz napisałby, że spoliczkowany pomyślał: Widocznie policzkujący jest kimś ważnym, bo bije. Ale młody był członkiem jakiejś większej grupy takich samych, jak on. Grupa uznała, że spoliczkowanie jest dla niej obrazą. Po pewnym czasie cała grupa podeszła do Ukraińca, który spoliczkował współziomka i teraz spoliczkowany spoliczkował starszego wiekiem patriotę ukraińskiego.

W poddaszowej celi przy ul. Krasickich zainteresował mnie szczególnie młody Polak z Nadyb koło Sambora. Nazywał się Kazimierz Paszowski. Wtedy dokładnie nie rozmawialiśmy, za co go aresztowano. On twierdził, że oskarżenia są niesłuszne. Dopiero przed kilkoma laty nawiązałem z nim kontakt i dopiero w czasie naszego pierwsze go spotkania we Wrocławiu dowiedziałem się, że był aresztowany pod zarzutem zniszczenia wagonu z materiałami wojskowymi na stacji w Samborze. Zarzut był bezpodstawny, bo w tym dniu, w którym wagon został zniszczony, Paszowski jako sowiecki kolejarz pełnił służbę kolejarską w Przemyślu, na co były dowody. Mimo tych dowodów trzymano go w kapeket, do którego później dostała się spora grupa młodych Polaków z Sambora, Nadyb i innych miejscowości z okolic Sambora. Prawie wszyscy nowi aresztowani znali Paszowskiego, gdyż razem byli w AK-owskim oddziale partyzanckim. Paszowski żył w napięciu nerwowym obawiając się, by któryś z aresztowanych nie wygadał się,

że w ich grupie był także on. Na szczęście chłopcy dochowali tajemnicy i Paszowski mógł mieć nadzieję, że zostanie zwolniony z kapezet bez skazania. Któregoś ranka ta nadzieja przerodziła się u niego w pewność pod wpływem snu, jaki miał w nocy. Po obudzeniu się opowiedział nam ten sen. We śnie widział samborską wieżę - chyba ratuszową - z zegarem, na którym wskazówki były tak ustawione, jak były ustawione w czasie innego snu, gdy przebywał w samborskim więzieniu wsadzony do niego przez Niemców za to, że jako przymusowy robotnik Baudienstu nie zgłosił się do pracy. Wtedy wskazówki były tak ustawione, że duża wskazywała w przekonaniu Paszewskiego - dzień a mała - miesiąc jego zwolnienia z niemieckiego aresztu. Rzeczywiście zwolnienie nastąpiło w dniu wskazanym przez samborski zegar. Mając tak dokładnie spełniony jeden sen, Paszowski niezachwianie wierzył w spełnienie się drugiego snu to jest w zwolnienie bez wyroku. Istotnie wyroku na niego nie wydano ale go nie zwolniono a tylko wraz z innymi przeważnie skazanymi przewieziono na lwowską peresylkę, gdzie go ponownie spotkałem. Ciągle wierzył i na peresylce w zwolnienie bez wyroku. Miał na peresylce dobrą funkcję a mianowicie roznosił jedzenie więźniom Korzystałem z jego funkcji, bo często dostarczał mnie i innym dodatkowe porcje wspaniałych rybek, w tym także wędzonych. Po pewnym czasie zabrano go z peresylki. Byłem przekonany, że wypuszczono go do domu/ w tym czasie był już żonaty/. Dopiero w czasie wrocławskiego spotkania dowiedziałem się, że z peresylki ponownie ściągnięto go do kapezet przy ul. Krasiekich i podjęto jeszcze raz śledztwo i dopiero po tym śledztwie uznano go za niewinnego i wypuszczono do domu.

W czasie wspólnego pobytu w kapezet dowiedziałem się od Paszowskiego, że siostra jego żony czyli szwagierka była żoną mojego młodszego kolegi gimnazjalnego Tchórznickiego, właściciela majątku ziemskiego w Pohorylcach - niedaleko Przemyślan. Gdy we wrześniu 1939 r. znalazłem się w Pohorylcach w związku z zamiarem przedostania się do Rumunii - było to przed 17 września czyli przed wkroczeniem wrogich wojsk sowieckich do Polski, wstąpiłem do dworu z całą naszą ówczesną grupą ale Tchórznickiego nie zastałem, gdyż wybrał się z ciężarną żoną na dalszą przechadzkę, a my nie mieliśmy czasu czekać na jego powrót. Od Paszowskiego i jego żony dowiedziałem się, jak smutny był los Tchórznińskiego i jego rodziny, po inwazji sowieckiej na Polskę. Teść Tchórznińskiego - doświadczony polski kolejarz - trafnie ocenił, że córka, zięć i ich małe dziecko nie mogą przebywać w Pohorylcach. Potajemnie zabrał młodą rodzinę do siebie koło Sambora. Tchórzniński, o którym wszyscy wiedzieli, że był ziemianinem, nie czuł się bezpieczny i w rejonie Sambora. Ukrywał się i tam w trudnych warunkach. W tych trudnych warunkach zapadł na gruźlicę i zmarł. Doczesne szczęście jeszcze jednej polskiej rodziny uległo zburzeniu.

Od Paszowskiego dowiedziałem się także, że w czasie jego powtórnego pobytu w kapezet przy ul. Krasickich Gołubkow miał już stopień podpułkownika. Możliwe, że złowienie mnie przyczyniło się do awansu. Widocznie o tym myślał, bo w czasie "spokojnych" śledztw raz z ust jego padło takie zdanie: Ty nie myśl, że ja za ciebie otrzymam awans. Ja wtedy o tym nie myślałem ale jego wypowiedź świadczy, że on o tym myślał i chyba trafnie myślał. W tamtych czasach i w tamtym ustroju tacy jak Gołubkow szli w górę

Inna rzecz, że na samej górze często też szli pod "stienkę"

Któregoś dnia zabrano mnie z celi poddaszowej i dano do sąsiedniej celi poddaszowej, znacznie mniejszej, gdzie przez kilka dni byłem we dwójkę z Janczakiem aresztowanym we Lwowie za pracę w AK. Był to człowiek pod czterdziestkę. Do 1939 r. pracował w straży granicznej na Górnym Śląsku a przez jakiś czas na granicy polsko-rumuńskiej. Chętnie opowiadał o przemytnikach. Gdyby takim opowiadaniom nadał formę książkową, to książki takie byłyby najbardziej poczytne. I z tej dwójkowej celi też od czasu do czasu schodziłem na pisanie protokołów. Widocznie wielokrotne pisanie było nakazane celem sprawdzenia, czy aresztowany nie pomyli się w swych zeznaniach. W czasie takiego jednego pisania protokołu zauważyłem na stole polskie książki. Zapewne zabrano je od kogoś. Poprosiłem Gołubkova o zezwolenie na zabranie jednej książki do celi. Zezwolił. W ten sposób mogłem dwie czy trzy ciekawe książki przeczytać. Na koniec był tylko "Kapitał" Marksa. Wziąłem i tę książkę ale mimo ogromnego głodu książkowego tylko kawałek tej książki przeczytałem. Od tego czasu współczułem tym, którzy musieli w czasie studiów czytać "Kapitał". Zarówno styl, jak jeszcze bardziej świadomość odmiennego układania się stosunków odpychały mnie od czytania tej książki.

Pewnego dnia do mnie i do Janczaka "dokwaterowano" młodego, dobrze utrzymanego aresztanta, Polaka pochodzącego z Tarnopola. Pamiętam jego nazwisko ale tu go nazwę "Skoczkiem". Z jego oczu i licznych wypowiedzi, a zwłaszcza z propozycji ucieczki wynikało, że Gołubkow podrzucił mnie i Janczakowi swego donosiciela. Oczywiście sprawowaliśmy się tak, by donosiciel nie

miał co nieść Gołubkowowi. Baliśmy się o mieszkanki - kobiety z sąsiedniej celi, której okno prawie przylegało do naszego okna, dzięki czemu stojąc przy oknach można było swobodnie rozmawiać między celami. Ja i Janczak nie korzystaliśmy z możliwości rozmowy ale Skoczek zaczął rozmawiać z jakąś niewiastą, która cieszyła się, że może sobie porozmawiać z jakimś chłopcem. Na szczęście Skoczka wywołano do Gołubkowa a my w czasie jego nieobecności ostrzegliśmy kobietą celę, że Skoczek jest prawdopodobnie kapusiem. Po naszym ostrzeżeniu pogawędki ustały. Zresztą szybko Skoczka wycofano z naszej celi jako nieprzydatnego

Tu wypada wspomnieć o nadzorcy /"nadzierateli"/, pod opieką którego były poddaszowe cele. Wygląd miał taki i robił takie groźne miny, że nazywaliśmy go pogromcą. W rzeczywistości był to człowiek dobry. Nigdy nikogo z aresztowanych nie tylko nie uderzył ale nawet nie potraktował złym słowem. Donoszone przez niego paczki żywnościowe trafiały w całości do każdego aresztowanego. Tak więc w obsłudze kapezet zdarzali się funkcjonariusze którzy zachowali cechy ludzkie.

Wreszcie w czerwcu - daty nie pamiętam - uznano, że ja, Lekarz i Leśniak dojrzeliliśmy do wyroków. Pojedynczo musieliśmy stanąć przed lekarzem - a właściwie lekarką, bo to była kobieta. Oglądnęła każdego półnagię i zapewne napisała notatkę, że możemy stanąć przed "sądem". Przypuszczam, że chodziło nie tyle o stan naszego zdrowia fizycznego i psychicznego, co o stwierdzenie, że na ciele już nie ma znaków po biciu. Po tym badaniu lekarskim sprowadzono nas z trzech różnych cel do obszernej izby, którą wypada nazwać salą rozpraw. Tu pierwszy raz zobaczyłem Adolfa

Leśniaka - "Twardego". Wszyscy trzej wiedzieliśmy, że rozprawa będzie fikcją. Za stołem sędziowskim usiedli trzej oficerowie czyli trójka sędziowska. Obok stołu usiadł Gołubkow. Wezwano nas do przedstawienia naszego stanowiska. Ja zaproponowałem, by mnie zwolniono od mówienia, gdyż ja wszystko napisałem własnoręcznie i niczego nowego nie mam do powiedzenia. Mojej propozycji nie przyjęto i ja musiałem w skrócie powiedzieć, co robiłem. Zaznaczyłem, że moją działalność uważałem za zgodną z obowiązkami Polaka i działalność ta nie była wroga wobec Związku Radzieckiego. Lekarz też w podobny sposób przedstawił swoją działalność. Sprawy nasze nie miały powiązania ze sobą, były zupełnie oddzielnymi sprawami. Leśniak oświadczył stanowczo, że nie działał w żadnej organizacji podziemnej i stwierdził, że zarzuty przeciwko niemu nie mają żadnego uzasadnienia w "zebranych" dowodach. Po naszych przemówieniach polecono nam wyjść na korytarz, by "sąd" mógł naradzić się nad wyrokiem. Oczywiście wiedzieliśmy, że narady nie będzie, bo wyroki zostały napisane przed rozprawą. Lekarz zauważył, że "sąd" chce swobodnie coś zjeść. Tak było istotnie, bo gdy Lekarz zaglądnął przez dziurkę od klucza, zobaczył, że "sąd" przystąpił do jedzenia drugiego śniadania.

Gdy staliśmy na korytarzu w oczekiwaniu na ogłoszenie wyroków, podszedł do nas śledczy Kolenko, uchodzący za najbardziej ludzkiego śledczego. Wdał się z nami w bardzo życzliwą rozmowę. Wtedy dowiedziałem się od lekarza, że ujęto mnie na podstawie jego wskazówek dotyczących mego wyglądu. Najcenniejszą wskazówką był wygląd moich bucików. Lekarz dał nawet rysunek tych bucików. Rzeczywiście były to wtedy buciki rzadko noszone. Były to prawdziwe buciki narciarskie.

Kolenko z ⁱwidocznym zrozumieniem odnosił się do nas jako przedstawicieli polskiego podziemia. Bardzo pochlebną opinię miał o mnie. Ponieważ mojej sprawy nie prowadził, widocznie taką opinię urobił sobie na podstawie rozmów z Gołubkowem a może także na podstawie zalecenia wiceministra, by nie stosowano wobec mnie przemocy. Leśniakowi wystawił Kolenko najlepszą opinię powiedzeniem "Ty diejstwitelno Twardyj" /ty rzeczywiście Twardy/. Największą radość sprawił mnie Kolenko - a uczynił to świadomie i celowo, gdy powiedział, że "Słowo Polskie" dalej wychodzi. Po spożyciu drugiego śniadania przez "sąd" wezwano nas do "izby rozpraw" i ogłoszono nam, że zostaliśmy skazani na pobyt w "isprawitielno-trudowych łagieriach" przez 10 lat. Wyrok ten nie zrobił na nas żadnego wrażenia, gdyż na taki właśnie wyrok byliśmy przygotowani, a nadto żaden z nas nie wierzył, że dojdzie do wykonania tego wyroku w tak wysokim wymiarze czasu. Po wyroku zabrano nas z naszych dotychczasowych cel i dano do wspólnej celi piwnicznej, przeznaczonej na krótki pobyt przed przewiezieniem na pereszykę lwowską. Jakkolwiek w celi tej spędziliśmy tylko kilka dni, mogąc w niej korzystać z podwyższonego pomostu z desek i mogąc w nią rozmawiać ogólnie o naszych sprawach polskich i rodzinnych, to pobyt w tej celi ze względu na ograniczony dopływ świeżego powietrza zaliczam do najcięższych moich doświadczeń życiowych. Właśnie w tej celi odczułem męczarnie ludzi ginących z braku tlenu w powietrzu. Cella miała niewielkie okienko, przez które powietrze w dostatecznej ilości mogło wpłynąć do celi tylko wtedy, gdy zaistniał warunek przewiewu, to znaczy, gdy były otwarte drzwi celi na korytarz piwniczny. Regulamin

więzienny nie pozwalał na pozostawianie drzwi otwartych, o co błagaliśmy dozorców. Tylko niektórzy dozorczy, u których regulamin nie zabił ludzkiego współczucia, odważali się uchylać drzwi o jakiś czas, by umożliwić dopływ świeżego powietrza do naszej celi. Noc spędzaliśmy na posadzce a nie na podwyższonym pomoście z desek, bo niżej było więcej powietrza z tlenem niż na podwyższonym pomoście. Lekarz dodatkowo cierpiał, gdyż według jego obliczenia jego żona właśnie w tych dniach miała urodzić dziecko. Obawiał się komplikacji porodowych. Nasze rodziny wiedziały, że mamy być przewiezieni do obozu "peresylnego" przy ul. Pełtewnej we Lwowie, bo dostarczone nam paczki zawierały produkty na drogę. Ja otrzymałem sporo sucharów w specjalnym woreczku płóciennym.

Wreszcie usłyszeliśmy znane powszechnie w więzieniach i obozach powiedzenie "dawaj z wieszczami" /wychodź z rzeczami/. Opuściliśmy celę pozbawioną wentylacji i z rozkoszą wciągnęliśmy do swych płuc powietrze prawdziwe. Będąc więźniami z wyrokami dziesięcioletnimi poczuliśmy się szczęśliwymi. Bardzo względnie bowiem ma wymiary szczęście. Lekarz miał dodatkowy powód do radości, że opuszcza żywy kapezet przy ul. Krasickich. W celi ze złą wentylacją zwierzył się mnie i Leśniakowi, że przez cały czas pobytu w kapezet obawiał się o swoje życie z powodu 40 tys rubli znalezionych w jego mieszkaniu w czasie jego aresztowania. Była to poważna suma pieniędzy w owych czasach i warunkach. Pieniądze te miał na wydatki organizacyjne. Pieniądzy tych nie wciągnięto do protokołu, co było równoznaczne z przywłaszczeniem tych pieniędzy przez kierownictwo bezpieczeństwa. Prawidłowo pieniądze po ujawnieniu w aktach sprawy podlegały konfiskacie na rzecz sowieckiego skarbu państwa.

Kierownictwo bezpieki przy ul. Krasickich potraktowało te pieniądze jako własną zdobycz i jako dodatkowy okup za wypuszczenie żony Lekarza. Głównym okupem byłem ja jako redaktor "Słowa Polskiego". Lekarz znał mentalność funkcjonariuszy bezpieki, bo był już raz w ich rękach w czasie ich pierwszego pobytu w Małopolsce Wschodniej to jest przed 22 czerwca 1941 r. Wiedział, że oni dla ostatecznego wyeliminowania ujawnienia faktu, że przywłaszczyli sobie pieniądze "państwowe" mogli pozbyć się takiego świadka sprawy jak Lekarz. Myśl o Lekarzu jako świadku nurtowała ich, bo któregoś dnia pułkownik, któremu podlegał Gołubkow, wprost zapytał Lekarza, czy u niego w czasie rewizji znaleziono i zabrano jakieś pieniądze. Lekarz ketegorycznie stwierdził, że nie zabrano mu żadnych pieniędzy. Łupieżcy z bezpieki doszli do przekonania, że Lekarz będzie milczał i dlatego żywy wraz ze mną, Leśniakiem i kilkoma innymi został przewieziony do lwowskiej peresyłki.

III. Lwowska "pieriesyłka".

1. Rola pieriesyłek

Podzielał pogląd wielu, że w Związku Radzieckim najlepiej zorganizowaną dziedziną życia były więzienia i łagry czyli to, co Solżenicyn nazwał "Archipeląg Gułag". Bogaty dorobek w tej dziedzinie po carach przejęli bolszewicy i udoskonalili, dostosowując do swego ustroju, sprowadzającego się w praktycznym wyniku do zniewolenia ludzi i to zniewolenia totalnego, bo ostatecznie zniewoleniu ulegają wszyscy - z ewentualnym dyktatorem włącznie. Głównymi wykładnikami tego zniewolenia są : strach i uzależnienie. Na takie

powszechne zniewolenie zwrócono uwagę już w pierwszych latach istnienia Rosji sowieckiej. Małżonkowie Sołoniewiczowie /nazwisko podaję z pamięci/ w latach międzywojennych napisali o tym książkę pod wszystko mówiącym tytułem : "Rosja w obozie koncentracyjnym" I pod tym względem niewiele się zmieniło do końca życia Breźniewa bo większość rozsądniejszych ludzi w Związku Radzieckim odczuwało że przebywa w ogromnym łagrze. Ale w tym ogromnym łagrze skala zniewolenia była bardzo zróżnicowana. Na to ogromne zróżnicowanie zwrócił moją uwagę na Uralu w roku 1946 polski Żyd, który jako współwięzień z wyrokiem 10-letnim był obozowym lekarzem. Zaczęła się nasza rozmowa od mego stwierdzenia, że ludzie sowieccy jako łagiernicy mimo wysokich wyroków czują się w łagrze wyjątkowo dobrze. Wyjaśnienie mego rozmówcy było takie : Wielu ludziom sowieckim w łagrach jest lepiej niż byłoby im w ich domach czyli na tak zwanej wolności, bo prawdziwej wolności w Związku Radzieckim nikt nie ma - ze Stalinem włącznie. Wszyscy bowiem są w "zaprzetych strefach" /strefach zakazanych/. Różnica jest tylko taka, że są bardzo różnej wielkości strefy zakazane, których nie można przekroczyć. Można te strefy porównać do kół na tarczy strzeleckiej. Najmniejsze koło to ogrodzenie dookoła łagru z wieżyczkami strażniczymi /"wyszkami"/, na których są dozorczy uzbrojeni. Ci dozorczy nie mogą oddalić się od łagru, mimo że dla nich strefa jest większa i bez wieżyczek. Nad nimi jest komendant obozu i też od niego nie może się oddalić. Tak stopniowo po coraz większych strefach można dojść do ministers^{tu} i do samego Stalina. Mój rozmówca wskazał na zdumiewające powiązanie strachu ze strefami. Im większa strefa tym większy strach. Najmniejszy strach był wśród mieszkańców najmniejszej strefy to jest wśród łagierników. Im w zasadzie nie groziła mniejsza strefa/pomijając

krótkotrwały pobyt w "izolatorze"-karczerze/.Każdy mieszkaniec większej strefy musiał obawiać się ciągle, że może spaść do niższej, a nawet najniższej strefy. A ci z najwyższych stref musieli się obawiać dodatkowo pójścia "pod stienkę". Najwymowniejszym przykładem powiązania strachu ze strefami był sam Stalin. Teoretycznie miał największą strefę ale przeżywał tak duży strach, że chyba czuł się mniej swobodny aniżeli łagiernicy. W ustroju "zaprzetych zon"/zakazanych stref/ izwiązanej z nimi piramidą strachu logiczną koniecznością stało się utrzymanie rozbudowanego i dobrze zorganizowanego aparatu dozoruującego wszystkie strefy i podtrzymującego strach na poziomie zabezpieczającym ustrój. Ten właśnie aparat może być najbardziej zainteresowany w utrzymaniu zaprzetych zon a w szczególności, by najmniejsze zaprzetyne zony były stale pełne. Dzisiaj - w dobie głośności - wiemy, że nawet w pewnych okresach ustalano odgórne plany aresztowań i skazań. Tu trzeba dodać, że wypełnianie więzień i łagrów skazanymi wynikało także z motywów potwornej ekonomiki stosowanej już za carów. Chodziło o zagospodarowanie zagarniętych ziem, do których nikt nie chciał iść dobrowolnie. Do tych ziem kierowano przymusowych przesiedleńców oraz więźniów. W przekonaniu sowieckiego kierownictwa zaistniała państwowa konieczność pakowania dużej ilości ludzi do łagrów, by utrzymać i rozwijać potęgę militarną Związku Radzieckiego. Można bez przesady powiedzieć hasło : "Matuszka Rossija" woła o jak największą liczbę łagierników. I hasło to gorliwie realizowano - zwłaszcza w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej, bo w czasie wojny dużo łagierników skierowano na front a po wojnie trzeba było

skierować do łagrów tych, którzy widzieli za dużo, by nie "deprawowali" innych swymi opowiadaniem, jak żyje się poza Związkiem Radzieckim.

Wzmógłony "nabór" do łagrów wymagał sprawnego przewożenia skazanych. W ramach tego właśnie "naboru" skazanych ich kierowania do najbardziej odległych zakątków Związku Radzieckiego bardzo ważną rolę odgrywały więzienia i obozy etapowe zwane w skrócie "pieriesyłki". Były to niejako punkty zbornie nowoczesnych niewolników. Na nich sortowano tych niewolników i z nich wysyłano transporty do miejsc przeznaczenia. Cały Związek Radziecki był pokryty siecią peresyłek. Były one we wszystkich większych miastach i w najważniejszych węzłach komunikacyjnych. Lwów dostąpił szczególnego "wyróżnienia", bo lwowska "peresyłka" po zakończeniu II wojny światowej miała szczególnie wysoką "przepustowość".

W wieku XVI Lwów odgrywał ważną rolę w handlu, gdyż przez Lwów szły towary w kierunku Morza Czarnego i odwrotnie. Z rozbiorem Polski ta kupiecka rola Lwowa zanikła. Tuż po II wojnie światowej mieszkańcy Lwowa z osłupieniem i smutkiem patrzyli, jak nastąpił poprzez Lwów olbrzymi przepływ łupów /"trofiej" / z Zachodu na Wschód i przepływ skazańców.

2. Położenie lwowskiej "pieriesyłki".

Na południe od toru kolejowego z lwowskiego głównego Dworca do lwowskiej stacji. Lwów - Podzamcze wyburzono w czasie okupacji niemieckiej część starych domów a na ich miejscu Niemcy wybudowali murowane bloki obozowe. Po wyparciu Niemców ze Lwowa

bloki ~~że~~ "zagospodarowali" do podobnych celów Rosjanie, a mianowicie urządzili w nich peresyłkę. Takie położenie peresyłki było wygodne tak dla kierownictwa i nadzoru, jak też dla więźniów i ich rodzin. Aparat ucisku korzystał ze wszystkich dogodności dużego miasta a w szczególności z obszernych i umeblowanych mieszkań po Polakach uciekających na zachód i zmuszonych do wyjazdu na ten zachód. W Łwowie można było kupić wiele towarów przemysłowych i żywność, a o takie towary i żywność było trudno w zniszczonych przez gospodarkę kunistyczną i wojnę rejonach Związku Radzieckiego. Dla przykładu podam, że główna księgowa z głębi Związku Radzieckiego, zatrudniona przede mną w gospodarstwie rybnym uważała, że ją nawiedziło kolosalne szczęście, gdy ją kierownik gospodarstwa, Polak Nowakowski, zaopatrzył w worek ziemniaków.

Rodzinom więźniów było stosunkowo łatwo widywać się ze swoimi bliskimi. Wystarczyło stanąć w odpowiedniej odległości od ogrodzenia z drutów kolczastych, a już przez to ogrodzenie można było wzajemnie widzieć się. Byli tacy, którzy opanowali technikę przekazywania wiadomości za pomocą znaków robionych rękoma w powietrzu. Fewne grupy więźniów były wyprowadzane do różnych robót poza obóz. Na takich robotach dochodziło do spotkań z rodzinami i znajomymi. Duże znaczenie miało także to, że były ułatwienia w przekazywaniu paczek dla więźniów oraz ułatwienie przemyślenie korespondencji /"grypsów"/ w jedną i drugą stronę. Dobre stosunkowe zaopatrzenie Łwowa w żywność korzystnie wpływało na wyżywienie więźniów w obozie. Do takiego to obozu przywieziono nas w lipcu 1945 r. /dokładnej daty nie znałem i nie znam/

3. Przyjęcie

Pierwszy raz doznałem na sobie procedury zdawczo - odbiorczej "żywego towaru". Strona przekazująca wręczała stronie przejmującej "teczkę osobową" każdego więźnia. Strona przejmująca sprawdzała głośno dane osobowe każdego więźnia, który po wyczytaniu jego nazwiska podawał swoje imię, imię ojca, datę urodzenia i artykuł, na podstawie którego nastąpiło skazanie. Więźniowie polityczni, a my do nich należeliśmy, byli skazywani przeważnie z art. 58, który był rozbudowany na szereg punktów. Dzisiaj już nie pamiętam, który punkt był podany w mojej sprawie. Po takim sprawdzeniu pozwolono nam wejść do obozu. Zaraz skierowano nas do niewielkiego budynku celem oczyszczenia naszych ciał i naszych rzeczy to znaczy bielizny i odzieży. W drodze do tego budynku spora grupa "mieszkańców obozu", więźniów-rabusiów usiłowała nam wydrzeć nasze węzeczki, w których mieliśmy zapasową bieliznę, odzież oraz pożywienie przekazane nam przez naszych najbliższych. Dzięki naszym siłom i pomocy naszych obozowych konwojentów-przewodników uniknęliśmy w tym miejscu grabieży. W budynku-łaźni zostaliśmy poddani dosyć gruntownemu oczyszczeniu. Wszystką bieliznę i odzież oddać musieliśmy do "prożarki" to jest do pieca ogromnego z blachy, gdzie wysoka temperatura powietrza miała zniszczyć wszelkie pasożyty i drobnoustroje a w szczególności wszy odzieżowe. Pozostałe dwa rodzaje wszy : głowowe i łonowe mieli na nas wytępić fryzjerzy i fryzjerki / tu naturalny wstyd nie miał znaczenia/. Usunięto z nas brzytwami i nożyczkami wszelkie owłosienie. Ctrzymaaliśmy specjalne mydło i mogliśmy pod prysznicami usunąć z naszych ciał wszelki brud.

Po takiej kąpieli wydano nam naszą bieliznę i odzież z "prożarki". Ten zabieg oczyszczenia w Związku Radzieckim nazywano "sanobrabotka" i zabieg ten powszechnie administracja sowiecka i propaganda sowiecka nazywały szczególnym osiągnięciem kultury czy cywilizacji sowieckiej. Gdy w rozmowie z nami dowiadywali się, że w Polsce czegoś podobnego jak "prożarka" nie było, uważali, że my byliśmy na bardzo niskim poziomie kultury. Poważnie trzeba stwierdzić, że dzięki "sanobrabotce" poziom zaszawienia w Związku Radzieckim był stosunkowo niski a groźba epidemii tyfusu plamistego niewielka. Dodac trzeba, że sanobrabotce musiała się poddawać i ta część ludności "wolnej", która chciała dostać się do pociągów dalekobieżnych. Na przejazd takimi pociągami trzeba było w owych czasach mieć nie tylko pozwolenie ale i zaświadczenie sanitarne. Myślę, że takie zaświadczenia sanitarne można było kupić bez poddawania się "sanobrabotce". Może wystarczały pobieżne oględziny. Gdy jechałem w grupie większej zawerbowanych do pracy w Krzywym Rogu w maju 1940 r., to nie przechodziliśmy sanobrabotki we Lwowie. Może Lwowa wtedy nie uważano za groźnego roznościela wszy. Może jeszcze nie zdążono we Lwowie zainstalować dostatecznej ilości prożarek. W lipcu 1945 r. lwowska peresyłka miała już właściwy poziom sanitarny.

Po opuszczeniu łaźni skierowano nas do jednego dużego budynku parterowego, racjonalnie zbudowanego z cegły przez niemieckich okupantów. Przez środek budynku biegł oświetlony korytarz, a po jego obu stronach znajdowały się duże cele bez sprzętów. Na końcu korytarza były dobrze utrzymane ustępy. Drzwi do sal nie były zamknięte tak, że można było swobodnie wychodzić na korytarz. Sale były pełne więźniów siedzących i leżących na podłodze. Były

Były przejścia, którymi można było chodzić ale tego miejsca na chodzenie było niewiele. Wprowadzono nas do takiej sali przepelnionej. Nim zdążyliśmy się usadowić na wskazane przez "starostę" miejsca, nastąpił na nas atak współwięźniów-rabusiów. Dzięki sile i odwadze Iasniaka zasadniczą część naszych węzełków ocaliliśmy. Ja obawiając się o moje suchary wieczorem przekazałem mój woreczek jednemu starszemu Ukraincowi, którego oceniałem jako człowieka uczciwego. Zawiodłem się, bo rano otrzymałem woreczek ze zmniejszoną ilością sucharów.

4. "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się".

Niewątpliwie najbardziej okrutnym kpiarzem jest szatan, który poczynając od Adama i Ewy zawsze ludziom głosił takie szczytne ideały, które stawały się największymi klęskami człowieka. Pierwszym ludziom zaproponował, by stali się równi Bogu. Wiemy, co z tego wyszło. Bolszewicy zawołali na cały świat: proletariusze wszystkich krajów łączcie się. I wielu, bardzo wielu podchwyciło to hasło wierząc, że po zrealizowaniu tego hasła nastanie raj na ziemi pod rządami bolszewików.

Na lwowskiej peresylce zobaczyłem proletariuszy wielu krajów już połączonych i już kosztujących owoce tego połączenia. Najwięcej proletariuszy pochodziło z samego Związku Radzieckiego - z jego granic sprzed 1 września 1939 r. W przekroju narodowościowym byli to rodowici Rosjanie, Ukraińcy, sowieccy, Białorusini sowieccy, Azerbejdżanie, Ormianie, Gruzini, Kazachowie, Żydzi sowieccy. Z terenów zajętych w wyniku II wojny światowej

doszli Polacy, Ukraińcy polscy, Słowacy, Czesi, Niemcy, Rumuni, Węgrzy, Litwini, Estończycy, Łotysze, Żydzi polscy. Wszyscy ci proletariusze na równych prawach otrzymywali pożywienie, mieli wspólne dach nad głową, byli wyprowadzani dwa razy dziennie na spacery pomiędzy blokami zwanymi "korpusami". Wszyscy czekali na "etap" czyli na podróż do różnych zakątków Związku Radzieckiego, gdzie swoją pracą stworzyć mieli taką potęgę tego państwa, by ono mogło objąć swoim rąkami takich dalszych proletariuszy, jak Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Skandynawowie a w dalszej perspektywie także proletariuszy z innych kontynentów.

A w sztach na naszym "korpusie" było tylko proletariuszy, że nie sposób było kontaktować się z nimi w tak dużej ciasnocie, że nie można było przespać tylko na węższym wymiarze ciała ludzkiego to znaczy na boku. To ciało ludzkie było przeważnie wychudzone i dlatego zachodziła konieczność przewracania się na drugi bok. tę konieczność wykonywali wszyscy jednocześnie - można powiedzieć na komendę. Tak uczyli się proletariusze wielu krajów zgodnego współżycia pod dobrym nadzorem władz sowieckich. W takich ciasnych warunkach natknąłem się na Estończyka, bardzo inteligentnego studenta politechniki. Mogliśmy rozmawiać po niemiecku. On dobrze znał ten język, ja słabo ale wystarczająco do wymiany poglądów. Ojciec tego młodego Estończyka był przed wybuchem II wojny światowej dyplomata estońskim w Finlandii. Młody Estończyk walczył po stronie Finów przeciwko wojskom sowieckim a później walczył przeciwko tym wojskom sowieckim jako żołnierz ochotniczego oddziału estońskiego po stronie niemieckiej. Dostał się do niewoli sowieckiej i jako wróg został skazany na 10 lat pobytu w łagrach. Do Lwowa przywieziono go z Legnicy, która w tym czasie

była główną zbiornicą skazywanych przez sowieckie "sądy" wojskowe. Na południe od Karpat taką zbiornicą był węgierski Szopron. Przez kilka dni wspólnie z Estończykiem zastanawialiśmy się, jakie będą możliwości ponownego odzyskania niepodległości przez nasze narody. Czy on przeżył katordę obozową i czy doczekał się że jego rodacy domagają się bodaj częściowej wolności narodowej? Zetknąłem się także z młodym Litwinem. Na imię miał Józas /Józef/. Mówił dosyć dobrze po polsku, bo matka jego była Polką. Wzięli go do wojska sowieckiego a on nie chciał zginąć za Związek Radziecki i dlatego przestrzelił sobie dłoń. Zrobił to fatalnie, ponieważ zniekształcona dłoń czyniła go inwalidą na całe życie. Udowodniono mu samookaleczenie się i skazano na kilka lat łagru.

Poznałem także skazanego starszego Żyda polskiego. Dopadł go na terenie Austrii. Oględnie pytałem go, dlaczego jego skazano. Odpowiedział dyplomatycznie i jednocześnie bardzo chyba trafnie, że skazano go za to, że przeżył niemiecką akcję zagłady Żydów. Ogromną większość stanowili skazani ludzie sowieccy - najczęściej byli żołnierze sowieccy - głównie tacy, którzy jako jeńcy byli w Niemczech. Potraktowano ich jako zdrajców ojczyzny. W moim przekonaniu chodziło o to, by oni nie wrócili do swoich stron rodzinnych i nie deprawowali swego otoczenia opowiadaniem o stopie życiowej mieszkańców innych krajów. Część pewna skazanych żołnierzy sowieckich popełniła w czasie pobytu w armii przestępstwa pospolite takie, których władze wojskowe nie mogły tolerować. Głównie z kręgu takich skazanych pochodzili rabusie obozowi, działający grupowo. Oni stanowili udrękę największą dla spokojnych współwięźniów.

5. Praca w obsłudze obozowej .

Z charakteru peresyłki wynikało, że nasz pobyt w niej ma być krótkotrwały, gdyż właściwy cel peresyłki to skompletowanie więźniów na "etap" to jest do pełno pociągowego transportu w głąb Związku Radzieckiego. Skompletowanych skazańców gromadzono w oddzielnym budynku /"korpucie"/ a następnie wyprowadzano w dużej dobrze pilnowanej kolumnie z obozu, prowadzono przez Lwów i ładowano na Głównym Dworcu do pociągu złożonego z krytych wagonów towarowych. Stację docelową takiego pociągu trzymano w tajemnicy przed wywożonymi.

Więźniowie wszyscy - a zwłaszcza Polacy - byli bardzo zainteresowani, żeby jak najdłużej utrzymać się na lwowskiej peresyłce - inaczej mówiąc, żeby jak najpóźniej dostać się na etap. I wio taktyka odwlekania wywózki udawała się. Jednym ze sposobów unikania wywózki było dostanie się do tak zwanej obsługi obozowej i do warsztatów obozowych. Byli tacy skazani, że już siedzieli - a dokładnie mówiąc - pracowali w obozie po roku i więcej czasu. Do takich zakorzenionych w obozie skazanych należała między innymi pani Magdalena Lukas - nazywana popularnie Magdą. Nazwisko jej było znane dosyć powszechnie w środowisku akademickiej młodzieży narodowej, gdyż należała do bardzo czynnych członków lwowskiej Młodzieży Wszechpolskiej i lwowskiej Czytelni Akademickiej. Ja na gruncie tych organizacji nie spotkałem się z nią, ponieważ w życiu akademickie nie byłem wciągnięty. W moich latach studenckich działałem w ramach lwowskiego zarządu powiatowego Stronnictwa Narodowego. Dopiero na IV /ostatnim/ roku Wydziału Prawa - po zaangażowaniu mnie do pracy w redakcji dziennika pod nazwą "Słowo Narodowe".

w wymiarze 1 godziny dziennie - miałem możliwość codziennego widywania koleżanki Magdy, gdyż ona w redakcji pełniła ważną funkcję a mianowicie prowadziła sekretariat redakcji a nadto często były w tym dzienniku publikowane jej cenione felietony i inne artykuły. Wtedy stwierdziłem, że koleżanka Magda miała nie tylko zdolności publicystyczne i organizacyjne ale miała dużą umiejętność pozytywnego oddziaływania na otoczenie. Ta nasza znajomość bardzo urzędowa trwała przez rok, to jest do wybuchu II wojny światowej. Gdy z końcem lata 1943 r. przeszedłem do pracy w wydziale propagandy zajmującym się m.in. wydawaniem podziemnego "Słowa Polskiego", dowiedziałem się od swego szefa Zbigniewa Nowosada-"Bieleckiego", że koleżanka Magda daje dużo cennych artykułów do tego tygodnika. W tym czasie kontakt z nią utrzymywał Bielecki i redaktor tygodnika Stanisław Buryło-"prostar". W połowie sierpnia 1944 r. sowiecka bezpieka aresztowała i "Prostara" i kol. Magdę. Obydwoje otrzymali wyroki 10-letnie. "Prostara" szybko wywieziono ze Lwowa na daleką północ to jest do Workuty, gdzie pracował w swoim zawodzie to jest jako lekarz. Kol. Magda utrzymała się natomiast ponad rok na lwowskiej przesyłce. Gdy ja się znalazłem na tej przesyłce, kol. Magda była kierowniczką pracowni krawieckiej i zabawkarskiej skupiwszy w tej pracowni dosyć pokaźną liczbę Polek. Miała też tak dobrą łączność z administracją obozową, że mogła pomagać innym skazańcom w uzyskaniu pracy w obsłudze i innych warsztatach obozowych. Gdy dowiedziała się, że ja jestem w obozie, postarała się dla mnie o pracę w warsztacie naprawy samochodów. Warsztat ten prowadził były właściciel takiego warsztatu w latach do wojennych przy ul. Zielonej we Lwowie. Nie jestem pewny nazwiska - chyba nazywał

się Delimowski. Jako pracownik tego warsztatu przeszedłem do budynku, w którym przebywali więźniowie-pracownicy. W tym budynku były już piętrowe legowiska zwane "narami" z siennikami i jakimś kocami. Mogliśmy swobodnie chodzić po całym obozie. Leśniak też stał się jakimś pracownikiem obozowym. Ale nad nami ciągle wisiało niebezpieczeństwo skierowania na etap. Gdy takie pierwsze niebezpieczeństwo zagroziło i mnie i Leśniakowi, to uratował nas lekarz, który jako rzeczywisty lekarz obozowy wstrzyknął nam domięśniowo mleko. Po tym zastrzyku wystąpiła u nas tak wysoka temperatura, że musiano nas wycofać z grupy przeznaczonej na etap. Ponowne wstrzyknięcie mleka nie spowodowało podwyższenia temperatury, bo organizm już uodpornił się na takie zastrzyki. Gdy próba podbicia temperatury na termometrach nie udała się, bo gorliwa pielęgniarka-więźniarka nam przeszkodziła w tej próbie, zaszła konieczność stwierdzenia u nas biegunki. W tym nam pomógł Polak - więzień z Sambora /Finik/, który jako sanitariusz stwierdził u nas biegunkę, dzięki której wycofano nas z grupy etapowej. Po pewnym czasie wyznaczono mnie i Leśniaka po raz trzeci na etap. Z tego etapu kol. Magda zdołała wyciągnąć tylko mnie jako fachowca od naprawy karoserii samochodowych. Leśniaka wywieźli tym razem aż do Workuty, skąd wrócił dopiero w 1955 r. wraz z wieloma wtedy zwolnionymi Polakami z sowieckich obozów i z przymusowych osiedleń.

Gdy po jego powrocie spotkaliśmy się w Prudniku, dowiedziałem się od niego, że mimo bardzo ciężkich warunków obozowych i klimatycznych radził sobie stosunkowo dobrze a nawet pomagał żonie finansowo. Żona jego nie opuściła Lwowa, gdzie miała po rodzicach dom jednorodzinny, w którym mieszkała razem z małym synkiem. Mieli

trzech synów ale dwóch starszych chłopców Leśniak przed ponownym zajęciem Lwowa przez wojska sowieckie - przed lipcem 1944 r. - wywiózł w Rzeszowskie do swojej matki i tam oni przebywali przez cały czas pobytu Leśniaka w Workucie. Gdy stało się pewne, że Polacy z Workuty wrócą do PRL, Leśniak mając prawną możliwość jednoczesnego zabrania ze sobą żony i dziecka, poprosił żonę, by mu nadesłała odpowiednie oświadczenie i inne dokumenty. Żona odmówiła wyjazdu do PRL. Leśniak chcąc zabrać ze sobą przynajmniej synka był zmuszony prosić Polki z Wilna, by mu pomogły w tajemnicy zabrać chłopca ze Lwowa w tym dniu, w którym transport Polaków będzie przejeżdżał przez Lwów. Polki przybyły wcześniej do Lwowa i informowane telegraficznie przez Leśniaka o zbliżaniu się transportu do Lwowa zdołały we właściwym czasie zjawić się na Głównym Dworcu we Lwowie z chłopcem, którego w tajemnicy zabrały z lekcji szkolnej. Leśniak i chłopiec byli uszczęśliwieni z połączenia się. Matka pozostała we Lwowie i z niego nie wyjechała mimo listownych próśb, jakie otrzymywała od starszych synów, którzy zamieszkali w Rzeszowie razem z ojcem. Jako precyzyjny rzeźbiarz Leśniak miał się dobrze materialnie ale w kilka lat po przyjeździe do PRL zmarł nagle na serce. Trzeba dodać, że w Workucie Leśniak spotkał się ze Stanisławem Buryłą "Prostarem", lekarzem, mgr inż Bernardem Grzywaczem "Markiem" - ostatnim komendantem NOW na obszar lwowski oraz z kilkoma podkomendnymi "Marka". Do Workuty później dobrowolnie przyjechała Romualda Krzywoszynska "Wiewiórka" i tak połączyła się katolickim węzłem małżeńskim z Buryłą. Przeżycia tej grupy polskiej przedstawił w swoich wspomnieniach "Marek". Liczę, że zaistnieją u nas warunki

na opublikowanie tych wspomnień.

Moja praca w warsztacie samochodowym była różnorodna. Przez jakiś czas prostowałem metalowe błotniki, kabiny itp. Pomagałem także w robotach kowalskich i ślusarskich. Zrobiłem nawet samodzielnie składany scyzoryk dla synka Andrzeja. Jakoś ten mój wyrób nie zachował się w rodzinie. Najdłużej pracowałem przy wyrobie misek dla więźniów. Do obozu były dostarczane konserwy sojowe. Z tych blaszanych puszek nasza pracownia wytwarzała miski. Na pomysł takiego wykorzystania misek zapewne wpadł nasz kierownik warsztatu blacharskiego. Znam jego imię i nazwisko ale tu go nazwę umownie Blacharzem. Był to człowiek młody ale z dużym doświadczeniem życiowym. Nie ukrywał, że do wybuchu wojny zdołał dostać się do polskiego więzienia na Świętym Krzyżu. W czasie wojny wszedł na właściwą drogę polską i za to dostał się na lwowską peresylkę, na której jako wszechstronnie uzdolniony rzemieślnik był ceniony i chroniony przed etapami. Gdy później znalazł się wraz z nami w obozie na Uralu, też było mu lepiej niż innym, bo dorabiał sobie na wyżywienie wyrobem łyżek aluminiowych i szyciem butów dla obozowych pracowników administracyjnych.

W czasie mego pobytu na peresylce - prawdopodobnie z końcem sierpnia 1945 r. otrzymałem poprzez żonę wiadomość smutną, że mój zastępca a po moim aresztowaniu mój następca - prawnik Jerzy Paszyński - "Jastrzębiec" został aresztowany w okolicznościach, których nie mogłem wyjaśnić do dnia ~~...~~ dzisiejszego. Gdy w latach pięćdziesiątych wyszedł z Wronek mój szef Zbigniew Nowosad "Bielecki", staraliśmy się nawiązać łączność z Jastrzębcem który po zrobieniu kursów stał się aptekarzem i pracował w Makowie Podhalańskim. Widywała się z nim nasza dawna lwowska

kierowniczką kolportażu Janina Akielaszek "Bazyliaszek". Jej powie-
dział, że aresztowała go we Lwowie sowiecka "Kontrrazwiedka".
 Trzymała przy ul. Kadeckiej, gdzie był w tym czasie także Kazimierz
 Dunajewski "Sulima", który w jesieni 1944 r. był redaktorem "Słowa
 Polskiego" po aresztowaniu w sierpniu 1944 r. Stanisława Buryły.
 Przeciwno obom nie było dowodów winy i obydwaj bez wyroków
 znaleźli się jako internowani w Riazaniu, skąd wrócili do PRL
 jesienią 1948 r. "Jastrzębiec" obiecał Jance Akielaszek, że spotka
 się ze mną i z "Bieleckim" ale obietnicę nie dotrzymał. Na moje
 późniejsze listy odpowiedzi nie było. Doszedłem do przekonania, że
 jego żona - aptekarka czynna w naszej konspiracji lwowskiej
 sprzeciwiła się odnowieniu kontaktów z nami. Takie - zresztą
 bardzo rzadkie - przypadki zerwania dawnej łączności zdarzały się
 Na ogół ogromna większość ludzi lwowskiego podziemia zachowała
 swoją niezłomną postawę polską także w trudnych warunkach PRL.
 Ja z żoną kontaktowałem się grypsami a także pismem robionym w
 powietrzu, z tym, że nadawcami były inne osoby. Wyglądało to tak, że
 ja stałem na widocznym miejscu w obozie a moja żona na widocznym
 miejscu poza obozem. Obok mnie stał więzielnik Polak, którego tu nazwę
 umownie Nauczycielem. Obok mojej żony stała żona jego. Obydwoje
 szybko pisali w powietrzu. Moje wypowiedzi nadawał Nauczyciel
 a jego żona przekazywała je mojej żonie. W ten sam sposób ja
 z drugiej strony otrzymywałem wypowiedzi mojej żony. Dzięki takiemu
 pismu powietrznemu miałem potrzebne informacje rodzinne i inne
 a moja żona miała informacje ode mnie.
 Raz doszło do mego spotkania z żoną w ogrodzie poza obozem.
 Postarała się o to żona. Było piękne przedpołudnie, kiedy mnie
 zawiadomiono, że wyjdę do pracy w ogrodzie znajdującym się poza

obożem. W ogrodzie tym czekała na mnie żona. Mieliśmy możliwość przebywania ze sobą bez świadków przez dłuższy czas. Żołnierz pilnujący więźniów-pracowników, człowiek starszy, dyskretnie był daleko od nas. Staralem się przekonać żonę, że los skazanych Polaków a więc i mój los szybko odmieni się w ten sposób, że uwięzieni Polacy zostaną zwolnieni. W to wierzyłem i z tą wiarą rozstałem się z żoną. Ona wtedy miała 30 lat a ja 32. Nasz synek miał 5 lat a córeczka 1 rok.

Któregoś dnia na peresylce zauważyłem wśród więźniów "Antka", komendanta obwodu Lwów Wschód AK. Jemu w czasie akcji scaleniowej przekazywałem kontakty z Polakami Biłki Królewskiej i Biłki Szlacheckiej i Nikłaszowa. Nazwiska wtedy nie znałem. Dopiero na peresylce mogłem dowiedzieć się, że nazywa się Jerzy Węgierski i że jest absolwentem lwowskiej Politechniki. O jego roli w AK tutaj nie wspominał, bo ma się ukazać wkrótce jego książka na ten temat.

Zbliżał się listopad, z którym - a dokładnie z rocznicą rewolucji październikowej - część więźniów wiązała nadzieję na amnestię. Na ten temat przeprowadził ze mną rozmowę Nauczyciel. W czasie tej rozmowy powiedział, że jeśli nie będzie amnestii, to on pomyśli o ucieczce z obozu. Chciał wiedzieć, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie. Odpowiedziałem, że ja wierzę, że więźniowie Polacy zostaną zwolnieni, jeśli nie w związku z rewolucją październikową, to w innym czasie niezbyt odległym. Moją ewentualną ucieczką wykluczyłem, gdyż - jak to zaznaczyłem - nie chciałem narażać żony i dzieci. Później okazało się, że Nauczyciel był upoważniony do wciągnięcia mnie do tej grupy

więźniów, która miała uciec z obozu lwowskiego.

6. Ucieczka

Mińła rocznica rewolucji październikowej. Amnestii nie ogłoszono. Była połowa listopada 1945 r. W czasie wieczornego liczenia więźniów okazało się, że brakuje 16 więźniów Polaków. Zaistniała sytuacja groźna dla wszystkich: dla kierownictwa i dozoru obozu oraz dla wszystkich więźniów spodziewających się działań represyjnych. Większość brakujących była zatrudniona w naszym warsztacie oraz w specjalnej brygadzie do naprawy urządzeń wodno-kanalizacyjnych. Właśnie ta brygada współpracując z miejską organizacją AK po otrzymaniu sieci kanalizacyjnej na planie, zrobiła zamaskowane dojscie z obozu do kolektora kanalizacyjnego, którym dosyć swobodnie można było dostać się do takiego miejsca, z którego można było wyleźć z kolektora w dosyć dużym oddaleniu od obozu. Kilka dni wcześniej tą drogą uciekł Polak - fryzjer zagrożony zabraniem na etap. Ucieczka jednego człowieka nie została wzięta pod uwagę przez kierownictwo obozowe, które często miało dopytywania, że jakiego więźnia schował się na pewien czas przed etapem a po odejściu etapu wyłaził z kryjówki. Ja spotkałem młodego chłopca z Tarnopolszczyzny mającego wyrok na 25 lat. Ten chłopiec postarał się o mundur sowieckiego żołnierza i udawał, że został skazany za dezercję. Stałe przebywał tam, gdzie było najwięcej byłych żołnierzy sowieckich. Gdy wyczytywano jego nazwisko, nie zgłaszał się. Tym, którzy rano i wieczorem liczyli więźniów liczba zgadzała się. Nie wiem, co się ostatecznie stało z tym chłopcem. Właśnie takiego chłopca należało wciągnąć na listę więźniów

kwalifikujących się do uciezki. Zbytne ostrożność "spiskowców" nie dała szansy uciezki wielu Polakom. Tę szansę ograniczył szczególnie fakt, że kierujący uciezką w obozie - nazwijmy go Prowodyr /nazwisko pamiętam/ był już na korpusie etapowym, z którego wyjść mógł tylko przed wieczornym liczeniem więźniów i dlatego on dał sygnał, by uciezka odbyła się przed liczeniem wieczornym. Przed tym liczeniem zapadał zmrok i znikanie ludzi w wykopie było mało zauważalne. Gdyby uciezka rozpoczęła się po wieczornym liczeniu, to teoretycznie mogliby uciec przez no wszyscy Polacy godni zaufania. W nocy więźniowie z niektórych korpusów wychodzili i wieczorem łażenie więźniów było praktykowane. Zbiegami byli przeważnie więźniowie z Tarnopolszczyzny. Wśród nich był i Nauczyciel. Nikt z nich nie został złapany. Po moim powrocie do PRL około roku 1960 moja znajoma tarnopolka pracująca w Prudniku poinformowała mnie, że do jej zakładu pracy dosyć często przyjeżdża jej dobry znajomy Nauczyciel /podeła prawdziwe nazwisko i imię/. Ucieszyłem się, że go zobaczę i że porozmawiamy sobie o lwowskiej peresylce i o ich uciezce z niej. Istotnie Nauczyciel zjawiał się w zakładzie prudnickim wtedy, gdy ja też byłem w tym zakładzie. Zewnętrznie Nauczyciel nie zmienił się w ciągu 15 lat. Ja też byłem podobny do siebie z roku 1945. Nauczyciel udał, że mnie nigdy w życiu nie widział. Nie przywitał się ze mną i nie przystąpił do rozmowy ze mną. Zrozumiałem, że Nauczyciel z nadmiernej ostrożności z nadmiernego strachu nie chce wracać do przeszłości i nie chce kontaktować się z ludźmi znającymi tę przeszłość. Trochę mnie to smuciło a trochę i bewiło. Zacząłem Nauczyciela pytać, jak czują się tacy to i tacy ludzie. Wymieniałem nazwiska tych, którzy razem z Nauczycielem uciekli z lwowskiej peresylki. Nauczyciel zdawkowo odpowiad

że czują się dobrze. Załatwił szybko sprawę, odszedł i od tego czasu już nigdy nie zaglądał do prudnickiego zakładu pracy. Podaję powyższe zdarzenie jako dowód, jak strach i przesadna przezorność mogą porazić psychikę człowieka. Obiektywnie patrząc Nauczyciel mógł się obawiać, że władze PRL mogły go wydać Związkowi Radzieckiemu jako zbiega z obozu sowieckiego. Bardziej patologiczny przykład przezorności i strachu stwierdziłem wtedy u człowieka starszego, który oceniał mój referat opracowany do wygłoszenia na sesji rady narodowej. W jednym miejscu tego referatu było takie ujęcie "Tym sprawom trzeba poświęcić...". Oceniający nalegał na mnie, bym zmienił to ujęcie w taki sposób, by znikł wyraz "poświęcić". I zmieniłem, by uspokoić człowieka, który bał się że przez użycie takiego wyrazu wzbudzi się podejrzenie, że jesteśmy wrogami ustroju.

Wracam do relacji wydarzeń na peresylce spowodowanych ucieczką 16 Polaków. Na drugi dzień w obozie zapanował nastrój stanu wojennego. Zjawił się z Kijowa jakiś generał i postanowił osobiście zobaczyć peresylkę i znajdujących się na niej więźniów. Otoczony grupą wyższych oficerów, wśród których był także komendant obozu w stopniu pułkownika, zwiędzał wszystkie pomieszczenia, w których byli więźniowie. Wszedł i do pomieszczenia, w którym byli więźniowie obsługi i warsztatów. Napiętnował nasze postępowanie i wydał polecenie, żeby nam za karę nie dać jeść przez 40 dni. Widac było, że był tak mocno pijany, że z trudem trzymał się na nogach. Zapewne w młodości słyszał o poście 40-dniowym i dlatego zalecił stosowanie takiego postu wobec więźniów. W naszej sekcji był młody więzień Rosjanin - Łońka - były partyzant

Podobno został skazany za zabicie Żyda. Otóż ten Łonka usłyszawszy polecenie generała w sprawie postu osmielił się powiedzieć, że on jako Rosjanin powinien być wolny od zbiorowej odpowiedzialności. Generał podtrzymał swoje stanowisko, że karą postu powinni być objęci wszyscy więźniowie. Może Łonka dalej dyskutowałby z generałem na ten temat ale zaniechał dalszej dyskusji, gdy zauważył, że nasz komendant obozu stojąc za generałem daje znaki, by nie sprzeciwiać się pijanemu generałowi.

Zapowiedzianego przez generała postu nie było ale przystąpiono pospiesznie do przygotowywania więźniów na etap. Tym razem na etap przeznaczono prawie wszystkich Polaków. Przeznaczonych na etap spędzono do etapowego pawilonu, gdzie rozpoczęła się stale w takim przypadku praktykowana grabież prowadzona przez zorganizowanych więźniów-rabusiów, zwanych w języku obozowym "worami". Taka grabież była tolerowana przez władze obozowe, gdyż znaczna część zrabowanych rzeczy - głównie odzieży - była nabywana od worów za bezcen przez konwojentów bądź przed załadowaniem więźniów do wagonów bądź w czasie długiej podróży. Ja miałem doskonały sweter nadający się do sprzedaży. Jeden z worów podszedł do mnie i pokazując na mój sweter powiedział ugodowo słowo "machniom"/dokonajmy zamiany/. Wiedząc, że nie uniknę grabieży a w razie oporu i pobicia przystałem na propozycję, domagałem się jedynie czegoś ciepłego w zamian. Grabieżca zadowolony z mojej ugodowości przyniósł mi ciepłą marynarkę, którą zapewne zabrał jakiemś więźniowi - "zapadnikowi". Zapadnikami nazywano mieszkańców ziem polskich przyłączonych do Związku Radzieckiego. Wyznaczonym na etap więźniom wydano ciepłą odzież i pod silnym

konwojem wyprowadzono z lwowskiej peresyłki.

IV. Etap w nieznane

Ogromną kolumnę więźniów mających wypełnić wielowagonowy transport prowadzono ulicami Lwowa w kierunku Głównego Dworca. Mieszkańcy Lwowa przystawali na chodnikach i z bezsilnym smutkiem oraz współczuciem patrzyli na pochód podobny do tych, jakie Niemcy urządzali dla Żydów i jeńców sowieckich. Na ulicy Gródeckiej dojrzałem na chodniku dobrze mnie znaną szwagierkę lekarza.

Stała jak porażona smutną bezsilnością.

My Polacy w czasie formowania kolumny marzowej skupiliśmy się razem w nadziei, że uda się nam dostać razem do jednego lub dwóch wagonów, w których będziemy mogli przeciwstawić się wrogom. W czasie marszu wory kilka razy bezskutecznie usiłowali rozbić naszą zwartość. Dopiero przy ładowaniu do wagonów kierownictwo transportu współdziałając z worami postarało się o to, by Polacy stanowili mniejszość. Wsadzono nas do dużego wagonu towarowego nazywanego "pulmanem". Większość stanowili wory. Zaczęli od tego, że zajęli więcej powierzchni podłogowej aniżeli wypadało na osobę. Mogli wygodnie rozłożyć się a my mieliśmy wielką ciasnotę i ograniczoną możliwość wypoczywania nocą. Wagon na skutek pośpiesznego organizowania transportu nie był przygotowany tak, jak wymagała praktyka bo zwykle w wagonach robiono pomosty z desek przy ścianach wagonu. Część więźniów mogła rozłożyć się na podłodze pod pomostami a część na pomostach. Nasz transport był bez pomostów. Na środku naszego wagonu był żelazny piecyk do ogrzewania, który w miarę jazdy w głąb Związku Radzieckiego i w miarę spadku temperatury był opalany dostarczonym przez obsługę węglem. Opalanie to nie było wystarczające. Na ścianach wagonu zaczął pojawiać się szron.

Ja w końcowych dniach jazdy doznałem odmrożenia palców u nóg. Może byłoby nie doszło do tego odmrożenia, bo byłem ciepło ubrany ale na skutek ogromnej ciasnoty na moich nogach spoczywał inny więzień, na skutek czego do moich nóg nie było należytego dopływu krwi.

Do wagonów załadowano nas w dniu 22 listopada 1945 r. i w dniu tym nasz transport ruszył na wschód. Słońce zachodziło, gdy pociąg wiozący nas w "nieznane" minął stację Iwów • Podzamcze. Zachodzące słońce mogliśmy widzieć małą szparą, jaka była między zasuwanyimi drzwiami a ścianą wagonu. Tylko jedne drzwi mogły być odsuwane po zdjęciu zamknięć znajdujących się na zewnątrz drzwi. Drugie drzwi były stale zamknięte i przy tych zamkniętych drzwiach był prowizoryczny ustęp.

Zapewne każdy z więźniów - "zapadników" ciężko przeżywał moment opuszczania Lwowa i to w dniu, w którym w roku 1918 "lwowskie orlęta" po otrzymaniu posiłków zza Senu wyparły oddziały ukraińskie poza rogatki miejskie. Jako uczeń niższych klas gimnazjalnych najchętniej wychodziłem na spacery na cudowny pełen jarów Kdäserwald na północno-wschodnich krańcach Lwowa. Niedaleko od Czartowskiej Skały przebiegała droga, którą jako chłopiec jeździłem do Lwowa. Około 7 km na północpołudnie od toru, którym jechał nasz transport, była w Winnikach moja żona z dziećmi a w sąsiednim Mikłaszowie grób mego ojca. Oddalałem się fizycznie ale nie duchowo od miejsc moich przeżyć, marzeń i dążeń z lat chłopięcych i młodzieńczych. Wywożono nas - jak naszych przodków - w nowoczesny jasyr. Bywało w minionych wiekach, że oddziały polskie dopadały wschodnich łupieżców i odbijały jasyr.

My nie mogliśmy liczyć na takie odbicie. Może ten i ów Ukrainiec spodziewał się, że jego ziomkowie z UPA zatrzymają transport ale oni byli zdolni tylko do mordowania bezbronnej ludności. Jechaliśmy więc bez przeszkód coraz dalej na wschód a później na północny wschód nie znając stacji docelowej. Otrzymywaliśmy prawie regularnie należne porcje chleba i gotowanej "bałandy" /zupy/ oraz wodę do picia. Udręką byli dla nas wory, którzy często rewidowali naszą odzież w nadziei, że znajdą bądź ukryte pieniądze bądź taką część odzieży, którą będą mogli przekazać obsłudze transportu za machorkę lub żywność. Ja miałem niewielką sumę rubli danych mi przez żonę. Schowałem ją tak dobrze w swojej kufajce watowanej, że rubli tych u mnie nie znaleziono. Gdy rewizje u "zapadników" nie dawały pożądaných rezultatów wory odważyły się zaczepić dobrze ubranego więźnia, który przed skazaniem był prokuratorem. Siedział on stale w części wagonu przeznaczonej przez "worów" dla zapadników. Siedział w towarzystwie Rosjanina, który nazywał się Stelmach a na peresylce prowadził "izolator"/karcery. Można było przypuszczać, że Stelmach był wtyczką kierownictwa transportu. "Wory" albo o tym nie pomyśleli albo to zlekceważyli i zaczęli napastować byłego prokuratora. Stelmach przy najbliższym otwarciu drzwi coś szepnął konwojentowi. Stelmacha wywołano. Po jego powrocie konwojenci zabrali z naszego wagonu najbardziej zuchwałych "worów". Po przejechaniu sporego kawałka drogi worów dano² z powrotem do naszego wagonu. Byli to ludzie całkowicie odmienieni - można by powiedzieć - nawróceni. Siedzieli cicho i potulnie. Potulność ich ogarnęła także pozostałych ich współników. Okazało się, że kierownictwo transportu wsadziło ich lekko ubranych do wagonu bez piecyka. Tam w czasie jazdy bardzo zmarzli. W taki to

sposób wystygły w naszym wagonie zapaly złodziejskie. Myślę, że Stelmach osiągnął swój cel - a tym samym i nasz cel - nie donosem że wory grabią współwięźniów ale donosem, że wory szykują się do ucieczki. Kierownictwo transportu bardzo dbało, by nie doszło do ucieczki. Przed załadowaniem do wagonów poddano wszystkich ściślejszej rewizji i odebrano wszystkie przedmioty metalowe. Odcięto wszystkie guziki metalowe. Zniszczono niektórym więźniom obuwie przy odrywaniu okuc podeszwowych. Stale na postojach stacyjnych specjalnymi młotkami z drzewa na długich trzonach opukiwano ściany a szczególnie ^{perforacji} wagonów, by wykryć na czas przygotowania do zrobienia dziury w ścianie lub w podłodze.

Tym młotkom na długich trzonach mieliśmy sposobność przypatrzeć się i odczuc je w połowie naszej podróży. Doszło do tego tak. Jechaliśmy około 12 dni w ciasnocie i bez możliwości chodzenia. Wytrzymałość nerwowa malała a strach przed nieznaną przyszłością wzmagał się. Trapił nas głód a czasem i pragnienie. Zwykle obsługa transportu zostawiała nam wodę pitną w jakimś pojemniku ale czasem zapomniała o wodzie i wtedy spragnieni więźniowie na postojach domagali się dostarczenia wody. Właśnie zaistniała na jakimś postoju sytuacja domagania się wody przez więźnia - Rosjanina. Przechodzący obok wagonu człowiek z obsługi słysząc wołanie o wodę zareagował odpowiedzią odmowną. Wtedy więzień z wagonu zabezpieczony anonimowością obrzucił swego rozmówcę wyzwiskami. Reakcja na wyzwiska była szybka. Otwarto drzwi wagonu, do którego weszło kilku żołnierzy - konwojentów. Mieli w swych rękach wspomniane wyżej młotki z drzewa. Mieli ze sobą latarnie. Więźniowie zerwali się ze swych miejsc i ciasno zbili się w dwóch końcach wagonu tak, że środek wagonu stał się pusty.

Komendant konwojentów stanowiących w tym przypadku ekspedycję karną zażądał, by ten więzien, który obraził władzę w osobie konwojenta, wystąpił. Winny nie zgłosił się. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że słowa obraźliwe wypowiadał osobnik z naszej części wagonu to jest z części dalszej licząc od lokomotywy. Tę część zajmowali przeważnie zapadnicy to jest Polacy i Ukraińcy. Ja miałem miejsce środkowe i dlatego znalazłem się w pierwszym szeregu stłoczonych więźniów. Gdy winowajca nie zgłosił się, konwojenci zaczęli bić młotkami stłoczonych więźniów. Mnie jako stojącemu w pierwszym szeregu przypadły 2 czy 3 uderzenia, których zbytnio nie odczułem mając na sobie ciepłe ubranie z waciaków i płaszcz wojskowy. Bijący konwojenci byli na swój sposób osobnikami sprawiedliwymi i po razach spadłych na pierwszy szereg zaczęli bić dalsze szeregi. My z pierwszego szeregu otrzymywaliśmy razy na tułów, natomiast więźniów w dalszych szeregach można było bić tylko po tym, co wystawało ze zbitej masy ciał ludzkich to jest po głowie i barkach. Wprawdzie każdy na głowie miał ciepłą a więc grubą czapkę ale razy w głowę nawet w czapce były bolesne i niebezpieczne. Ponieważ trzony młotków pozwalały na bicie tylko kilku przednich szeregów, niektórzy konwojenci wleźli na zbitą masę więźniów i zaczęli stojąc na głowach i barkach więźniów bić najdalsze szeregi więźniów. Wtedy nagle z ciasnej i bitej masy rozległ się donośny głos: To ja krzyżuję z wagonu. Przerwano bicie więźniów a kierujący ekspedycją karną komendant kazał wyjść winowajcy na opustoszały środek wagonu. Wyszedł ku zdumieniu wszystkich a zwłaszcza ku zdumieniu nas Polaków Zbyszek Krakowski z Sambora, z którym przebywałem w kapezet lwowskim przy ul. Krasickich.

Dla nas - a dla mnie w szczególności - było oczywiste, że Zbyszek nie krzyczał z wagonu do konwojenta. Krzyczał Rosjanin stojący niedaleko mego miejsca i ten Rosjanin zapewne w czasie bicia więźniów był w przedniej - uprzywilejowanej części wagonu. Prawdopodobnie komendant ekspedycji karnej też był zdumiony, że rzekomy winowajca zgłosił się sam i że to był "zapadnik". Wbrew oczekiwaniom tylko dwa razy uderzył Zbyszka po plecach. Widac było, że były to uderzenia tylko pozorne. Może bijącemu też zaimponował Zbyszek dobrowolnym zgłoszeniem się, by zapobiec dalszemu biciu więźniów. Może bijący instynktownie wyczuł, że Zbyszek nie był winowajcą. Po wyjściu ekspedycji karnej z wagonu Zbyszek stał się bohaterem dla wszystkich a w szczególności dla ludzi sowieckich, w których mentalności nie mieściło się pojęcie, że ktoś niewinny odważy się poświęcić, by ratować innych. Do końca podróży Zbyszek był pierwszą osobą w naszym wagonie.

Zbyszek /w dokumentach osobowych było i pozostało imię Teofil/ pochodził z ubogiej rodziny samborskiej. Zaraz po ukończeniu szkoły podstawowej poszedł do pracy zarobkowej a mianowicie samborski sprzedawca gazet i czasopism powierzał mu sprzedaż gazet i czasopism w pociągach kursujących pomiędzy Samborem a lwowem. Zbyszek miał głowę handlową mimo młodego wieku. Na końcowych stacjach zawsze sprawdzał puste wagony i pozbierał w nich cenniejsze czasopisma porzucone i sprzedawał je powtórnie uzyskując w ten sposób dodatkowy dochód. Niewątpliwie w pokojowych warunkach wyrósłby na doskonałego handlowca. Wojna zniweczyła możliwości handlowe. Zbyszek jak wielu jego samborskich rówieśników wstąpił do AK i do lokalnej partyzantki. Ożenił się ale nie zaznał szczęścia rodzinnego, bo on i żona

otrzymali wyroki na pobyt w sowieckich łagrach. Właśnie jechał z nami do tych łegrów a żona dostała się do innych łegrów. Tak się złożyło, że wracałem ze Zbyszkim do PRL. Przed kilkoma laty nawiązałem z nim kontakt, który przerwała śmierć Zbyszka w 1988r

W miarę przeciąganie się naszej podróży w nieznane rosła nie tylko udręka ciasnoty w wagonie ale rósł także nasz niepokój o to, na jakie warunki trafimy. Już w czasie pobytu na lwowskiej peresylce dowiedzieliśmy się od sowieckich bywalców obozowych, że najlepsze warunki będą wtedy, gdy dostaniemy się do obozu dobrze zorganizowanego i położonego w strefie klimatu znośnego. Najgorsza sytuacja będzie wtedy, gdy na końcowej stacji wyładują więźniów i pieszce popędzą kolumną skazanców w pustkowie - najczęściej zalesione. Po uciążliwym marszu w jakimś miejscu zatrzymają kolumnę i powiedzą: Tu będzie wasz łagier, który trzeba będzie zbudować. Zacznie się budowa przy różnym zaopatrzeniu w żywność, narzędzia i materiały, przy pogodzie złej - zimą mroźną i śnieżną. W lesnej okolicy będą płonęły ogniska. Od strony ogniska będzie niebezpieczeństwo zapalenia się odzieży a druga część ciała będzie marzła. O choroby w takich warunkach bardzo łatwo. Śmierć może zwolnić od odbycia wieloletniej kary.

Mając ponure perspektywy przed sobą tym mocniej przeżywaaliśmy żal za "utraconym rajem", jakim była dla nas Polska rzeczywista sprzed września 1939 r. a jeszcze bardziej Polska, którą chcieliśmy stworzyć, do której dążyliśmy. Jeśli nas wtedy w tym upiornym transporcie a także później nie ogarniała rozpacz to zawdzięczamy to religii, wierze, że Bóg po ojcowsku czuwa nad nami i nawet po najgorszych przeżyciach osiągniemy swój człowieczeń;

cel to jest połączenie się z Nim. Ta religijna świadomość łagodziła nasze cierpienia fizyczne i duchowe. Wtedy sobie uświadomiłem, jak ciężki jest los w podobnych sytuacjach tych ludzi, którzy w swej świadomości nie mają poczucia Obecności Boskiej.

A nasz pociąg z żywą siłą roboczą w dzień i noc gnał w nieznane. Gnał już terenami pogrążonymi w śnieżnej i mroźnej szacie zimowej. Korzystaliśmy z pierwszeństwa drogi zaraz po transportach wojskowych, które często nas mijaly wioząc na zachód takie wyposażenie pokojowe, jak czołgi i działa okryte plandekami. Z zakończeniem wojny Związek Radziecki mógł przystąpić do zwiększenia produkcji wojennej. Czuliśmy, że my też będziemy wykorzystani do zwiększenia tej produkcji wojennej.

V. Uralski dom niewoli

- - - - -

1. Pociąg skończył bieg

Przez szpary koło drzwi wagonu zauważyliśmy przy świetle dziennym że nasz pociąg wjechał w zalesione i ośnieżone tereny górskie. Znaleźliśmy się na Uralu. Wreszcie w dniu 14 grudnia po 22 dniach jazdy śpiesznej i nie przerywanej nasz pociąg zatrzymał się, czyli jak to mówią kolejarze w krajach cywilizowanych : pociąg skończył bieg. Nam tego nie powiedziano ale to wyczuliśmy czekając w napięciu, jaki będzie nowy akt tragedii ludzi zdegradowanych do roli niewolniczej siły roboczej.

Po pewnym - niezbyt długim - czasie konwojenci podeszli do naszego wagonu i odsunęli drzwi. Padło pytanie, czy są chorzy. Pytanie tak ludzkie, że nas w tych nieludzkich stosunkach zaskoczyło -1

i zdumiało. Oczywiście było kilku więźniów chorych - a wśród nich "Antek"-Jerzy Węgierski - po latach profesor Śląskiej Politechniki i wysokiej klasy specjalista w dziedzinie budowy linii kolejowych. Zabrano chorych - w tym "Antka", który po ciężkiej chorobie wrócił do zdrowia.

Po upływie pewnego czasu kazano nam wszystkim wyjść z wagonu i wleźć na duży odkryty samochód ciężarowy. Zgodnie z przepisami dotyczącymi przewożenia więźniów mieliśmy jechać w pozycji siedzącej. Gdy usiedliśmy, ku naszemu miłemu zdumieniu nakryto nas ocieplaną plandeką, która miała nas wycienionych zabezpieczyć przed mrozem. Samochody z nami posuwały się drogą prowizoryczną dosyć szeroką doliną rzeczną. Później dowiedzieliśmy się, że była to dolina uralskiej rzeki o nazwie Kośwa wpadającej do Kamy. Po niezbyt długiej jeździe wysadzono nas koło bramy obozu, którego numeru już nie pamiętam. Każdy obóz /"kołonna"/ miał swój numer. Wpuszczono nas do obozu w porze wieczornej po sprawdzeniu naszych dokumentów. Wprowadzono nas do baraków ogrzanych, a po gruntownym obmyciu się w łaźni dano kolację obozową. Fakt dostania się do prawidłowego obozu uznaliśmy za wielkie szczęście w naszej doli nieszczęsnej. I znowu wypada stwierdzić, że poczucie szczęścia jest bardzo względne. Później dowiedzieliśmy się, że baraki były ogrzane, bo tuż przed nami zabrano z nich do innej kołony kobiety-więźniarki. Im - jak to często w życiu bywa - my mężczyźni zawdzięczamy, że pierwszy dzień naszego pobytu w uralskim domu niewoli był dla nas zaskakująco przyjemny.

2. "Wśród nocnej ciszy..."

Dwa lub trzy dni upłynęły nam na przygotowaniach do pracy przy wyrębie drzew /"lesopowal"/. Podzieleni na grupy robocze /"brygady" liczące przeciętnie po 20 osób mających swego kierownika /"brygadiera"/ więźnia odpowiedzialnego za porządek i właściwy poziom pracy, wynagradzanego dodatkowym czerpakiem zupy i nie zobowiązanego do pracy, przed świtem wyszliśmy przed obóz zaopatrzeni w siakiery i piły. Tam przejęli nas uzbrojeni w karabiny konwojenci. Padło stale wypowiedziane w takich sytuacjach na niezmiernych obazarach rosyjskiego "Domu Niewoli" ostrzeżenie takie :Brygada wnimanijsze. Szag w lewo, szag w prawo - acz itajetsza pabieg. Kanwoj prisieniajet oruzże bez prieduprieżdżdienija /Brygada - uwaga. Krok w lewo, krok w prawo uważa się za ucieczkę. Konwój użyje broni bez uprzedzenia. /Po tym ostrzeżeniu ruszyliśmy drogą po ubitym śniegu. Po jakichś czterech kilometrach schodziliśmy z drzew i podchodziliśmy do właściwego miejsca pracy. W tym czasie robiło się dosyć jasno. Jeden konwojent zostawał z brygadą - czasem z kilkoma brygadami a drugi z brygadierem względnie z brygadierami - czasem w towarzystwie kierownika robót /"prorab"/ obchodzili teren ścińki drzew robiąc kolistą ścieżkę w śniegu. Po zrobieniu takiej ścieżki, za którą miała być "zaprzeczona zona"/strefa zakazana/wprowadzano więźniów do strefy otoczonej wydeptaną w śniegu ścieżką i uprzedzano, że przekroczenie tej ścieżki będzie uważane za ucieczkę zagrożoną zastrzeleniem. Następna czynność brygadiera polegała na rozpaleniu dwóch ognisk - jednego dla konwojentów a drugiego dla siebie i pozostałych więźniów, którzy mogli od czasu do czasu podejść do ogniska, by się ogrzać. Ja rzadko podchodziłem do takiego ogniska, gdy przekonałem się, że po odejściu od ogniska marzło się szybciej niż przed podejściem do ogniska.

Zresztą po ścięciu pierwszych drzew paliliśmy wiele ognisk, bo praca nasza nie ograniczała się do ścięcia drzew, odcięcia od nich gałęzi i pocięcia ściętych drzew na kłose po 6 m i 4 m, ale do pracy naszej należało ściąganie gałęzi na kupy i spalenie tych kup gałęzi. Ściąganie gałęzi było bardziej męczące aniżeli ścinanie drzew, bo chodzenie w śniegu było utrudnione. Śnieg wprawdzie był bardzo sypki ale głębokość śniegu narastała z każdym dniem tak, że w lutym grubość pokrywy śnieżnej wynosiła przeszło 1 m. W porze obiadowej do brygad dowożono należne porcje chleba, gorąca zupę i ciepłą kaszę względnie groch. Zupę wydawaną rano w obozie i w południe w miejscu pracy wydawano czerpakiem o przewie litrowej pojemności /950 gramów/. Taka ilość zupy byłaby wystarczająca, gdyby ta zupa zawierała składniki wartościowe. Niestety nigdy ta zupa takich składników nie miała. Kasza czy groch to były właściwie gęste zupy w ilościach śmiesznie małych. Właściwie najwięcej kalorii zawierał chleb, mimo że jemu było bardzo daleko do chleba znanego w świecie cywilizowanym. Ilość chleba danego dziennie w trzech porcjach wynosiła od 650 gramów do 950 gramów. Od Polaka samborskiego Franciszka Draguły - piekarza zawodowego - pracującego w piekarni obozowej - wiedzieliśmy, że do ciasta chlebowego z lichej mąki razowej żytniej dodawano ziemiaki i dawano tyle wody, że według receptury przypiek wynosił 50 %/w Polsce 30 %/ Rzeczywisty przypiek był jeszcze wyższy, bo trzeba było dać chleba więcej osobom uprzywilejowanym /"prydurom"/. Tak rozwodnione ciasto chlebowe nie nadawało się do formowania bochenków chleba i dlatego wypiek odbywał się wyłącznie w blaszanych foremkach, do których wlewano ciasto. By w czasie pieczenia takie ciasto nie wykpięło poza forenkę, nakrywano to płynne ciasto plackami

z ciasta gęstego. Tak upieczony chleb nazywał się "chlib nalewnej". Był on upieczony a raczej ugotowany we własnej parze. Posiadał dziurki ale te dziurki wyglądały jakby były zlane wodą. Kawał tak obciążonego wodą i ziemniakami chleba ważył znacznie więcej niż chleb normalny. I ten właśnie oszukanczy chleb był bardzo skrupulatnie krojony na porcje ważone tak dokładnie, że więzien otrzymywał zapracowaną normę chleba w zależności od wyników pracy osiągniętych przez brygadę : 650 gramów, 750 gramów, 850 gramów i 950 gramów. Brygady mające dobre wyniki w pracy otrzymywały także pewną ilość kaszy na kolację. Na uznanie zasługuje transport ciepłej zupy i kaszy do miejsca pracy. Te bardzo gorące stawy wlewano w obozie do drewnianych kadzi okrytych pewnego rodzaju kołdrami. Mimo mrozów średnio około -25 C - dochodzących często do -40 C potrawy te dowożono w stanie ciepłym i dawano do kociołków, jakie więźniowie ze sobą nosili. Dbano o posiadanie kociołka i łyżki, była bardzo wielka. Kociołków administracja obozowa nie przydzielała. Więzień musiał postarać się o kociołek i łyżkę. Konwojenci co jakiś czas szli wydeptaną ścieżką dla sprawdzenia, czy jakiś więzień nie przekroczył tej ścieżki. Nie opowiadano o jakiejś próbie ucieczki w porze zimowej w warunkach uralskich śniegów i mrozów.

Po kilku dniach pracy w lesie wypadło święto Bożego Narodzenia. - nasze pierwsze święto z dala od rodzin, z dala od Polski. Postaraliśmy się spędzić wieczór wigilijny razem. Ja miałem ocalone przed rebusami ruble. Michał Łajdziak kupił od kogoś trochę krup i ugotował tyle kaszy, że można nią było poczęstować w małych porcjach wszystkich Polaków znajdujących się w naszej kolonii.

Z lasu przynieśliśmy choinkę. Zebraliśmy się w jednym baraku przy tej choince. Odmówiliśmy wspólnie modlitwę, połamaliśmy się chlebo

jak tradycyjnym opłatkami. Złożyliśmy sobie życzenia szybkiego powrotu do Polski. Byliśmy daleko od naszych rodzin ale stanowiliśmy jedną polską rodzinę uralską. Czuliśmy, że w naszym rozśpiewanym koleśdami baraku była także Święta Rodzina z Betlejem. Gdy staniemy do Ostatecznego Rozliczenia niewątpliwie wiele nam będzie darowane za te kolędy śpiewane 24 grudnia 1945r w uralskim baraku. A kolęd tych słuchali także przedstawiciele innych narodowości. Jestem przekonany, że echa takich śpiewów z woli Bożej jakoś docierają do serc ludzkich nawet po latach i powodują to, co my nazywamy "cudem przemiany". Dobro ma właściwości promieniotwórcze za pośrednictwem Bożym.

3. Niemcy sowieccy.

Dosyć wczesnie dowiedzieliśmy się, że dobrze zbudowane baraki zawdzięczamy Niemcom sowieckim, których w to miejsce przywieziono po wybuchu wojny pomiędzy Niemcami Hitlerowskimi a Związkiem Radzieckim Stalina. Przywieziono ich w porze chłódów jesiennych na miejsce porośnięte lasem uralskim. Niem zbudowali baraki, wielu z nich zmarło z chorób i wycieńczenia. Byli wprawdzie "ludźmi wolnymi" ale warunki życia może mieli gorsze niż więźniowie. Gdy nasz transport przybył na Ural, resztką tych Niemców pracowała już w normalnych warunkach i miała się lepiej od więźniów. Wykonywali prace fachowe i lepiej płatne. Tej reszcie Niemców w 1947r pozwolono wyjechać na Ukrainę, gdzie mieli odbudować to, co uległo zniszczeniu w czasie wojny. Na Uralu mieli dużą orkiestrę. Przed wyjazdem dawali wzruszający koncert pożegnalny w poszczególnych kolumnach. Nie mogę powiedzieć, czy tam, dokąd ich kierowano, mogli się połączyć ze swymi rodzinami. Wyglądało, że na Uralu byli bez rodzin. Taktyka niszczenia większości narodowych

polegała między innymi na tym, że mężczyźni zabierano od rodzin, a rodziny też czasem przesiedlano ale do innych rejonów Związku Radzieckiego tak, by rodziny pozostawały w rozbiciu. Zaraz po wybuchu wojny taktyka oderwania mężczyzn od ich rodzin dotknęła Niemców sowieckich. Wiemy, że po wyparciu wojsk niemieckich z południowej części Związku Radzieckiego wysiedlono z Krymu Tatarów krymskich a z terenów przylegających do Kaukazu wysiedlono kilka narodowości - w tym Czeceńców. Spotkałem w obozie uralskim jednego Czeceńca ale nie próbowałem dowiedzieć się, w jaki sposób znalazł się w obozie uralskim.

4. Kustołajnen.

Zespoły robocze /brygady/ nie były trwałe. Skład tych zespołów zmieniał się między innymi dlatego, że reżim sowiecki w ogólności a obozowy w szczególności był niechętnie a nawet wrogo ustosunkowany do wszelkich trwałych więzów między ludźmi. Tak więc często w obozie ktoś z brygady odchodził a na jego miejsce ktoś przychodził. W ramach takiego mieszania więźniów do naszej brygady przydzielono sowieckiego Finą. Nazywał się Kustołajnen i pochodził z okolic Leningradu. Z wykształcenia był geologiem. Skierowano go do pracy na Uralu. Czuwano nad nim i dosyć szybko zarzucono mu sianie propagandy antysowieckiej i za to skazano go na 10 lat pobytu w obozach. Mimo dobrej budowy fizycznej zdrowie miał słabe. Wyglądało, że jest podatny na choroby dróg oddechowych. Miał trafny pogląd zarówno na reżim sowiecki jak też na życie obozowe. Gdy w ramach ściłki drzew staliśmy się obaj "naparnikami"/praca we dwójkę/, bo do użycia piły poprzecznej konieczna była dwójka więźniów, Kustołajnen przyhamował moją ochotę wykonania zadania dziennego a tym samym uzyskania

zwiększonej normy chleba. Jego pogląd na to zagadnienie był taki : Dla osiągnięcia dodatkowych gramów chleba więźniów traci znacznie więcej kaloryj aniżeli daje te kalorie dodatkowy chleb. Każdy nadmierny wysiłek nie mający równoważnika w pożywieniu powoduje utratę sił, ohudnienie, choroby, staczanie się do stanu "dochodniagi" a w końcu śmierć z wycieńczenia. Rada Kustozajnena była taka, by jak najbardziej oszczędzać siły. W rosyjskim ujęciu brzmiała ta rada tak "nie rabotaj a tolko szewielis" /nie pracuj a tylko powolutku ruszaj się/. Rada ta w praktycznym wykonaniu naszej dwójki wyglądała tak przy ścinaniu drzew. Ciągnęliśmy piłę krótko, by ruchem ogrzać się, odpoczywaliśmy prowadząc rozmowy pożyteczne. Po odpoczynku znowu następowała krótka praca a po niej następny odpoczynek.

Spostrzeżenie Kustozajnena o nadmiernym wyniszczaniu organizmu pracą było bardzo trafne, bo niska jakość wyżywienia nie zapewniała regeneracji sił. Ludzie zdrowi podupadali na zdrowiu tak, że w końcowym rozrachunku wypadali z pracy.

Trzeba zaznaczyć, że już sam pobyt przez cały dzień na mrozie wynoszącym średnio - 25⁰C wymagał odpowiedniego wyżywienia, a tego właśnie odpowiedniego wyżywienia więźniów nie otrzymywali.

5. Sangorodok.

W imię prawdy podaję, że kierownictwo zespołu obozów /kołonn/ uralskich, przez jakie przeszliśmy, było dalekie od wymiszczania więźniów. Wyglądało, że więźniów traktowano jako żywy inwentarz roboczy podlegający wykorzystaniu bez zniszczenia. Spisanie takiego inwentarza na straty było połączone z koniecznością sporządzenia odpowiedniego protokołu lekarskiego, z którego miało wynikać, że mimo racjonalnej eksploatacji

inwentarza żywego i mimo zabiegów remontowych i właściwego leczenia, inwentarz żywy zmarł.

W związku z powyższą zasadą postępowania lekarze obozowi, będący też więźniami mieli obowiązek codziennego przyjmowania zgłaszających się do nich chorych więźniów i ich leczenia. To leczenie było w jakimś stopniu fikcją nie tyle z powodu zwykle niskiej fachowości lekarzy co z braku leków. Ważne natomiast było to, że lekarz po stwierdzeniu, że więzień jest rzeczywiście chory /wysoka temperatura, biegunka. itp. oczywiste objawy niezdolności do pracy/ mógł więźnia skierować do obozu leczniczego /sangorodok/ a w każdym razie zwalniał więźnia od pracy na czas choroby.

Prócz powyższej roli lekarskiej odbywały się okresowe lekarskie badania wszystkich więźniów dokonywane przez kilkusobową komisję lekarską pod przewodnictwem kierownika oddziału zdrowia /naczelnik saneczastki/. Głównym celem tego badania było wycofanie z pracy na jakiś czas tych więźniów, którzy na podstawie fachowych oględzin mieli wygląd "dochodiąg". Dochodiągą w żargonie obozowym nazywano takiego więźnia, który doszedł do kresu sił. Taki więzień z reguły miał wygląd szkieletu obciążonego skórą. Na przeglądzie więźniowie byli nadzy. Szczególnie oglądano ich zaplecza /tyłki/. Zanik zaplecza był wymownym dowodem wyczerpania fizycznego i przemawiał za wycofaniem więźnia z pracy na pewien okres - zwykle na okres jednego do trzech miesięcy. Takich wycofanych okresowo z pracy więźniów pozostawiano w kolonii dotychczasowej lub - co było częściej stosowane - kierowano do Sangorodka. Na początku kwietnia 1946r więźniowie naszej kolonii prowadzącej lesopowal /ścinkę drzew/ zostali poddani generalnemu przeglą-

dowi lekarskiemu. W wyniku tego przeglądu kilku więźniów - wśród nich i mnie skierowano do niedalekiego sangorodka na kapitalny remont polegający na tym, że otrzymywało się wyżywienie nieco lepsze niż w czasie pracy, nie wchodziło się do pracy oraz dużo leżało się. W czasie takiego wypoczywania większość chudzielców przybywała na wadze i mogła być ponownie skierowana do pracy - początkowo w brygadzie lekkiej pracy a później normalnej pracy.

W sangorodku spotkałem następujących więźniów z Polski:

Marzałka - starszego kolejarza z Tarnopola, Ziębę z Tarnopolszczyzny. Zbigniewa Kowalczyka z Zakopanego, Marię Dąbrowicką i Zofię Cyparę. Lekarzami w tym sangorodku byli między innymi Poznański z Krakowa i dentysta Koziół z Tarnowa.

Wzruszające było spotkanie z Marią Dąbrowicką i Zofią Cyparę. One otrzymały paczkę od rodziny. Była właśnie Wielkanoc - pierwsza moja Wielkanoc na Uralu. Do baraku, w którym leżałem, weszły obie panie i zapytały, czy w baraku jest jakiś Polak. Gdy powiedziałem, że jestem Polakiem, obdarowały mnie jakimś świątecznym smakołykiem i życzeniami świątecznymi. Najbardziej mnie obdarowały tym, że w nieludzkich warunkach obozowych zachowały tak mocne uczucia ludzkie, że przeswyciężając własny głód odstępowały część zawartości paczkowej innym więźniom, by im w ten sposób przypomnieć, że miłość obowiązuje w każdej sytuacji i że ta miłość głoszona przez "zwycięzce piekła i szatana" zwycięży także w stosunkach między ludźmi.

Zofię Cyparę widziałem przed 1939r. Miałem poufny wykład dla młodzieży gimnazjalnej klas wyższych w Kamionce Strunilowej. Ona była na tym wykładzie. Mimo warunków obozowych zachowała prawie bez zmian swoją dziewczęcą urodę z lat gimnazjalnych.

Ona mnie przypuszczalnie nie poznała nie tyle z powodu mego

wychudzenia ile raczej dlatego, że na wykładzie byłem studentem z brodą, a w sangorodku uralskim nie miałem brody. W sangorodku przebywały w tym czasie także kobiety, które urodziły dzieci. Była wśród nich także Polka młoda z Łotwy. Przez jakiś czas po porodzie kobiety takie otrzymywały dodatkowe pożywienie i nie pracowały.

Tam w sangorodku spotkałem starego Lotysza, który jako oficer łotewski współpracował z wojskami polskimi przy zajmowaniu Dyneburga, który wszedł w skład Łotwy.

Z końcem kwietnia i w pierwszych dniach maja 1946r w sangorodku przeżyłem nadejście - nagłe nadejście uralskiej wiosny. W ciągu kilku dni stopniały śnieg i zrobiło się bardzo ciepło. Ziemia i drzewa szybko pokryły się zieloną. Kierownictwo sangorodka postanowiło wykorzystać rolniczo wolną przestrzeń między barakami. Ta przestrzeń w poprzednim roku była obsadzona ziemniakami. Zaproponowano nam skopanie tej przestrzeni. Chętnie wziąłem się do kopania, bo w czasie kopania tu i ówdzie znajdowałem w ziemi ziemniaki w dobrym stanie. Po pracy mogłem upiec sobie te ziemniaki. Zawsze lubiłem pieczone ziemniaki. Oczywiście najbardziej smakowały mnie te uralskie ziemniaki. Wyjaśnić trzeba, że na Uralu pod grubą pokrywą śnieżną mimo mrozów dochodzących do -40°C ziemniaki nie zamarzała. Ziemniaki ukryte w takiej ziemi nie ulegały uszkodzeniu przez mróz. Później miałem możliwość obserwowania poletek obsadzonych koło obozu ziemniakami, które przy długich i słonecznych dniach rosły w sposób wprost zauważalny. Od końca maja do połowy września dawały ładne plony. Nie mogły podobno wykształcić oczek z kiełkami i dlatego do sadzenia używano ziemniaków dowożonych z nizin.

Ja sadzenia ziemniaków w sangołodku nie widziałem, ponieważ w połowie maja uznano mnie i wielu innych za zdolnych do lżejszej pracy i skierowano nas do sąsiedniego obozu roboczego. Numeru jego nie pamiętam. Szliśmy do niego przez dolinę wzdłuż rzeki Kośwy. Skarpy tej doliny w wielu miejscach były wysokie i urwiste, dzięki czemu można było przypatrzeć się budowie uralskich warstw geologicznych. Przypomniały mi rysunki i zdjęcia w gimnazjalnym podręczniku geografii. Może któraś z widocznych warstw koło rzeki Kośwy należała do geologicznego okresu zwanego permskim.

Obozy w których przebywaliśmy należały do oblasti, która w tym czasie nazywała się mołotowska, ale wpraw i teraz ma nazwę permska. Po obaleniu kultu Stalina Perm przestał nazywać się Mołotowem.

6. Praca w kamieniołomie.

Nowy obóz, do którego nas skierowano, uchodził za obóz karny. Prawdopodobnie taką opinię miał dlatego, że obóz był bezpośrednio przyległy do wielkiego kamieniołomu, z którego wydobywano materiały kamienne do budowy pobliskiej ogromnej przegrody na rzece Koświe. Celem przegrody było spiętrzenie wody na tej rzece, by uzyskać wodę, siłę napędową dla dużej rzecznej elektrowni mającej zasilać przyuralski przemysł i przyuralskie kopalnie w tani prąd elektryczny. Tamę budowano w miejscu zwężonej doliny rzecznej. Tama ta przy odpowiednim spiętrzeniu wody pozwalała na utworzenie w dolinie długiego i dosyć szerokiego zalewu. Zalew ten mógł pomieścić bardzo dużo wody, zwłaszcza w okresie wiosennego topnienia śniegów.

Więźniowie obozu, do którego nas skierowano, nie byli widywani przy przechodzeniu na odleglejsze miejsca pracy, bo między

obożem i kamieniołomem było wprawdzie pilnowane ogrodzenie, ale tuż za tym ogrodzeniem był duży kamieniołom też otoczony pilnowanym ogrodzeniem, tak, że obóz i kamieniołom stanowiły jedną całość dobrze strzeżoną. Więźniowie zatrudnieni w kamieniołomie nie mogli spotykać się z więźniami zatrudnionymi przy budowie przegrody i elektrowni. Może ta właśnie izolacja więźniów pracujących w kamieniołomie spowodowała powstanie opinii, że obóz przy kamieniołomie jest obozem karnym /reżymnaja kołonna/.

Po wpuszczeniu nas do obozu skierowano nas do baraku. Na na przydzielonym mnie miejscu do spania znalazłem ^Kuryty woreczek z namoczonym owsem. Znalaziskiem tym bardzo ucieszyłem się, bo przez kilka dni miałem smaczny przysmak do żucia.

Ktoś wyjaśnił, że obóz ten przejściowo zajmowały kobiety obsługujące konie. Widocznie koniarka część owsu przeznaczonego dla konia zabierała dla siebie, uważając, że koń przeżyje na sienie i na zjadanych w czasie pracy roślinach i gałęziach z drzew.

Widocznie praktyka podbierania koniom owsa była powszechna, bo konie, które ściągaly z lasu do drogi ścinane drzewa, po drodze zjadały gałęzie szpilkowe z małych drzew. Obserwowałem te konie i podziwiałem je wtedy, gdy w lutym 1946r - a więc przed skierowaniem mnie do sangorodka robiłem w głąbokim śniegu przekopy, którymi konie ściągaly kloce do takich miejsc, do których mogły dojechać auta ciężarowe.- głównie produkcji amerykańskiej. Grubszy koniec kloca ładowano na niskie prymitywne sanki, które konik małego wzrostu o masywnej budowie i długiej sierści wspaniale ciągnął.. zwykle wraz z więźniem wozakiem.

W nowym obozie stworzono z nas brygadę "lekkiej pracy".

Wspaniale się nam pracowało w tej brygadzie - głównie przy naprawie dróg w obrębie kamieniołomu. Praca była bez normy, brygadier znośny, a pogoda wspaniała. W tej brygadzie spotkałem polskiego Żyda młodego z miasta Łodzi. Do niego jeszcze wrócę w innym miejscu. On jako więzień z dłuższym stażem pracy często w czasie pracy kładł się i opalał.

Po pewnym czasie mnie przesunięto do nieco cięższej pracy a mianowicie do sortowania czyli przesiewania kruszywa skalnego i żwiru. Trzeba było łopatą rzucać kruszywo względnie żwir na siatkę ustawioną ukośnie. Często tę pracę przerywaliśmy na "perykur" /palenie papierosów/. Przerwa taka była tolerowana wszędzie - a więc i w obozach. Ja nigdy nie byłem palaczem ale chętnie korzystałem z "perykurów". Widocznie byłem bardzo wyczerpany, bo w czasie takich przerw zapadałem w drzemkę.

Któregoś dnia przesunięto mnie do kategorii więźniów zatrudnionych przy przygotowaniu kamieni do transportu. Była to praca trudna, wyczerpująca i normowana. Brygadierem był dosyć bezwzględny i wymagający Azerbejdżanin. Kamieniołom prowadził całodobowe przygotowanie materiału kamiennego. Czasem naszej brygadzie wypadła praca nocna, która dla mnie i chyba dla wszystkich więźniów była bardziej wyczerpująca aniżeli praca dzienna. Nasz obóz był w pobliżu 60° szerokości geograficznej północnej a więc w pobliżu równoleżnik przebiegającego przez Leningrad. Na tej szerokości geograficznej latem noce są krótkie i jasne. Koło północy na czas około 2 godzin robiło się nieco ciemniej i wtedy ogarniało nas największe zmęczenie i największa senność. Wtedy zwykle kładliśmy się na ziemię dla krótkiej drzemki. W czasie takiej nocnej pracy miałem możliwość raz czy dwa razy obserwować zjawisko zorzy polarnej. Zjawisko to robiło duże wrażenie, mimo że nie było tak wspaniale, jak zorze polarne widywane z miejsc bardziej na północ położonych.

Uzyskiwanie materiału kamiennego odbywało się w ten sposób, że w wysokich ścianach z bardzo starych warstw wapiennych /skała twarda koloru ciemno-szarego/ kuto chodniki poziome, w nich a dokładnie w wywierconych otworach zakładano ładunki wybuchowe. Na czas wybuchu usuwano więźniów. Po wybuchu podjeżdżały potężne koparki i wybierały materiał kamienny ładując na samochody. Większe głazy kamienne szły na ściany przegrody rzecznej, a mniejsze dawano wraz zwirem do środka szerokiej przegrody. Koparki wykonywały tylko część pracy a większość materiału kamiennego gromadzili i ładowali ręcznie więźniowie. Trzeba było ze ściany wyciągnąć głazy, większe rozbić żelaznymi ciężkimi młotami, słożyć w określonej wielkości stos, a później ten stos załadować na samochód. Była to praca bardzo uciążliwa i wyczerpująca. Trzeba było wykonać określoną normę, by uzyskać większy przydział chleba i prawo do kolacji. Brygdier- wolny od obowiązku pracy- nie znał nauki, jaką otrzymałem od Fina Kustolajna. Wymagał bezwzględnie wykonania normy. Szybko mimo małych sił opanowałem umiejętność rozbijania większych brył kamiennych. Dużym ułatwieniem w wykonaniu normy była umiejętność spowodowania obsunięcia się kamieni po to, by bez wydobywania ich ze ściany ułożyć wymagany stos. Wielu więźniom sztuka obsuwania kamieni udawała się. Zwykle wspinali się na ścianę spękaną po wybuchu i łomem żelaznym wywoływali małą lawinę kamienną. Ja postanowiłem raz też spowodować taką lawinę. Wyszedłem drogą okrężną a więc bezpieczną na szczyt ściany i w momencie, kiedy łomem chciałem spowodować lawinę kamienną, poczułem, że głaz, na którym stałem, zaczyna zsuwać się wraz ze mną w dół. Miałem czas pomyśleć, co mnie czeka. Miałem czas na zwrócenie się do Pana Boga o ratunek. Pan Bóg dał mi zbawienną myśl, by położyć się na plecach celem zmniejszenia nacisku na głaz pod nogami. Rzeczywiście ruch głazu ustał. Na lewo od siebie dojrzałem duży głaz i oceniłem, że ten głaz jest jeszcze mocno tkwiący w swoim podłożu. By dostać się do tego głazu wystarczyło zrobić obrót w pozycji leżącej o 180°.

Wykonałem ten obrót i znalazłem się na głazie, z którego wydostałem się w miejsce bezpieczne. Podziękowałem PaMu Bogu za ocalenie i ślubowałem, że już nigdy nie wejść na niepewną ścianę skalną. Moją sytuację dramatyczną zauważyli niektórzy więźniowie z dołu. Sądzę, że ich dobre życzenia dla mnie Pan Bóg uwzględnił tak, jak uwzględnił nasze życzenia, gdy ze zgrozą patrzyliśmy na dramatyczną sytuację innego więźnia, który wspiął się na starą ścianę, by spowodować lawinę kamienną. Była to w tym sensie stara ściana, że tu i ówdzie w niej wyrosły już drzewka brzoźowe i takie właśnie boże drzewko wraz z naszymi modlitwami ocaliło więźnia, który po spowodowaniu lawiny znalazł się w zasięgu staczających się kamieni. Chwytał się oburącz drzewka i nie dał się porwać kamieniom, które go tylko potłukły- szczególnie po nogach. Na ogół w kamieniołomie było mało nieszczęśliwych wypadków. Najnieszczęśliwszy wypadek zdarzył się wiertaczowi przy wierceniu młotem czy świdrem pneumatycznym otworów na ładunki wybuchowe. Trafił na ładunek, który pozostał po poprzednim wybuchu. Ładunek ten eksplodował i urwał nogę wiertaczowi.

Latem 1946 r. z obozu i z kamieniołomu zdarzyły się następujące trzy ucieczki. W pierwszej - była to niedziela- a więc dzień o małej ilości brygad pracujących- dwaj więźniowie: Polak i Rosjanin nie zważając na strzały oddawane przez żołnierza z wieżyczki strażniczej ciężkim samochodem amerykańskim rozbili bramę w ogrodzeniu okalającym kamieniołom i uciekli na drogę leśną. Zarządzony pościg doprowadził do szybkiego ujęcia obu zbiegów. Nazwiska Polaka nie zapamiętałem. Od wspomnianego już polskiego Żyda Färbera dowiedziałem się, że Polak ten- nauczyciel z Wileńszczyzny podobnie jak Färber po układzie pomiędzy Związkiem Sowieckim a polskim rządem w Londynie pracowali w jednej z placówek polskich pomagających Polakom zwolnionym z obozów i z miejsca zesłania. Po sprawie katyńskiej i po zerwaniu stosunków z rządem londyńskim władze sowieckie aresztowały przedstawicieli polskich komitetów i skazały na długoletni pobyt w obozach.

Färber został skazany na 10 lat a nauczyciel z Wileńszczyzny na 25 lat i to za rzekome szpiegostwo /art.59/.

Ża takie przestępstwo praktycznie skazańcy na wolność nie wychodzili. Nie więc dziwnego, że Polak z takim wyrokiem zdecydował się na ucieczkę. Zgodnie ze zwyczajem schwytych pokazano więźniów w obozie jako dowód, że uciekanie nie da wyniku.

Druga ucieczka była zapewne całkowicie spontaniczna. Pewnej letniej nocy rozpetala się wyjątkowa w uralskich warunkach burza z ulewnym deszczem i z taką nawalnicą piorunów, że zgasły światła elektryczne oświetlające ogrodzenie obozowe. Obóz i ogrodzenie były pogrążone w ciemności. Tę ciemność wykorzystali dwaj więźniowie należący do największych zuchów. Podeszli do ogrodzenia. Zrobili pod nim dziurę i poprzez nią wydostali się do lasu okalającego obóz. Ucieczkę ich obserwował więzień bardzo daleki od miana zucha. On skorzystał też z dziury w ogrodzeniu i uszedł w las. Po niedługim czasie obu zuchów ujęto i pokazano w obozie, natomiast przeciętniakowi ucieczka udała się, bo go do obozu nie przyprowadzono. Tu trzeba zaznaczyć, że w wypadku zabicia zbiega jego ciało pokazywano w obozie.

Najbardziej spektakularna była trzecia ucieczka dokonana przed zachodem słońca na oczach wszystkich więźniów pracujących w tym czasie w kamieniołomie. Ja byłem w takim miejscu, że uciekających nie widziałem. Gdy po usłyszeniu strzałów doszedłem do właściwego miejsca, już nie zobaczyłem zbiegów, bo zniknęli za wyniosłością terenu. Z relacji naocznych świadków wynikało, że dwaj stosunkowo młodzi więźniowie z wykszolenia lotnicy podeszli do ogrodzenia. Strażnik do nich strzelał ale ich nie trafił, a oni wylamali deski w ogrodzeniu i dziurą wydostali się poza ogrodzenie w takim miejscu, gdzie strażnik nie mógł ich dosięgnąć swymi strzałami. Korzystając z nierównego ukształtowania terenu uszli w las w kierunku rzeki Kośwy. Wnet zapadła noc. Pościg nie doprowadził do ich ujęcia.

Żeby wyczerpać ten temat ucieczek, podam, że później byłem w takiej brygadzie, w której był więzień złapany dosyć późno po ucieczce. Złapano go w Śierdłowsku na bazarze. Jemu było łatwiej uciec niż zakorzenić się na wolności. Poznałem też więźnia, którego przekupiony strażnik doprowadził do stacji kolejowej zwanej Połowinka. Od tej stacji do naszego obozu była odnoga kolejowa. W jakiś sposób ten więzień wpadł w ręce władz na tej stacji i wyspał strażnika. ^{Podobno} Ponadto matka - lekarka - pracująca w Moskwie postarała się o zorganizowanie tej ucieczki, całkowicie nie udanej ucieczki.

W czasie pracy w kamieniołomie ułatwiono mi na pewien czas zajęcie w kuchni. Byłem palaczem i "posudomojem"/myjącym naczynia. Przypatrzyłem się pracy kucharzy. Był tam wtedy także kucharzem wspomniany już wcześniej piekarz z Sambora - Franciszek Draguła. W dużych kotłach zgodnie z recepturą gotowano zupę/"balandę"/, kaszę - najczęściej owsianą a czasem zamiast kaszy groch. Przed wydaniem pożywienia więźniom przychodził lekarz obozowy - z reguły też więzień i sprawdzał, czy potrawy ugotowane nadają się do jedzenia i czy w kotłach jest właściwa ilość pożywienia. Chodziło głównie o to, by nie było nadmiernej ilości przeznaczonej na dodatkowe porcje dla uprzewilejowanych. Kucharze w tej sytuacji musieli korzystać ze sprawnej pomocy palaczy. Koło kotłów stała określona ilość wody - wrzątku we wiadrach, przeznaczonych rzekomo do mycia kotłów i innych naczyń. Gdy lekarz po zbadaniu drewnianą linią skalowaną pojemności potraw w kotle odwracał się od kotłów i szedł do stolika celem podpisania protokołu, palacze szybko wlewali oznaczone wiadra wody do oznaczonych kotłów, dzięki czemu kucharze dysponowali dodatkowymi porcjami dla uprzewilejowanych. My też należeliśmy do uprzewilejowanych, bo mogliśmy zjeść tyle, ile miejsca było w żołądku. Lekarz też coś lepszego mógł zjeść w kuchni lub zabrać na swoją

Katerę.

Uzucie głodu obozowego było tak trwałym zjawiskiem w organizmie więźnia, że zwykle więzień odczuwał głód nawet wtedy, gdy żołądek był całkowicie pełny. Stanisław Buryło "Prostar" był świadkiem zakładu w Workucie. Mianowicie więzień oświadczył, że zje wiadro /około 10^l/ kaszy- będącej faktycznie gęstą zupę. Miał w razie wygrania zakładu coś otrzymać, na czym mu zależało. Drugą stroną w zakładzie był Buryło jako lekarz obozowy. Gdy więzień zjadł połowę zawartości wiadra, Buryło w obawie, że ^uwięzień może nastąpić pęknięcie żołądka, uznał zakład za wygrany przez więźnia, który jednak powiedział: nie bieżpokojśa /nie obawiaj się/ i zjadł resztę kaszy to jest pełne wiadro i nie mu się nie stało. Mój raj pracy w kuchni szybko skończył się. Musiałem wrócić do pracy w kamieniołomie i do wyżywienia "normalnego".

W czasie pracy w kamieniołomie miałem możliwość poznania przeżyte więźnia, któremu kończył się wyrok 10-letni i "groziło" mu pójście "na wolność". Ten więzień był w tak ogromnej rozterce duchowej, że po nocach nie sypiał. Chodził po baraku i martwił się, jak on będzie żył poza obozem. Koledzy pocieszali go, jak mogli i jak umieli, że jakoś sobie życie ułoży. Tak miał ułożone życie w obozie, że bał się zmiany na życie inne, życie mniej pewne, połączone z dużymi trudnościami - w tym także z trudnościami wyżywienia się. O tych trudnościach życia "na wolności" zapewne więzień zwolniczy z obozu wiedział i dlatego ze zmartwienia nie mógł spać po nocach.

Do obozu dochodziła korespondencja do więźniów. Były to mizerne listy- zwykle na jednej ćwiartce papieru złożonej w trójkąt. Niewątpliwie mimo ostrożnego pisania informowano więźniów o warunkach życia a zwłaszcza wyżywienia. Nam te warunki najlepiej obrazował fakt, że niektórzy konwojenci nabywali od więźniów dleb za machorkę, suszyli ten chleb i wysyłali do swoich rodzin. Wspomniany już "Antek"

- Jerzy Węgierski miał możliwość pracować jako więzień w innej części

Związku Radzieckiego. Tam więźniom zatrudnionym przy fachowych pracach inżynierskich powodziło się o tyle lepiej, że czasem nie korzystali z zupy więziennej /"bałandy"/. Jednocześnie z nimi pracowali "wolni". Później jedna kobieta "wolna" zwierzyła się Legierskiemu, że byłaby chętnie zabierała zostawioną przez nich "bałandę" dla swej rodziny ale się krepowała, nie chciała przyznać się, że jej warunki wyżywienia były gorsze od warunków obozowych. Wspaniale to przedstawiła Beata Obertyńska-Rudała w swej książce wspomieniowej p.t. "W domu niewoli". Jadąc z Workuty na południe, by dostać się do Andersa, marzyła o tej "bałandzie", którą jako więźniarka miała w Workucie.

7. Pray budowie przegrody i elektrowni.

Przed nastaniem zimy 1946 na 1947r. przesunięto mnie i innych więźniów z obozu przy kamieniołomie do obozu głównego, w którym przebywało najwięcej więźniów związanych bezpośrednio z budową przegrody na rzece Koswie i z budową elektrowni na tej przegrodzie. Ten główny obóz a właściwie zespół trzech obozów oraz wspomniane już obozy filialne wraz z obozem dla kobiet, zwanym Bolinder, stanowiły "ośp"/otcień łagiernowo prawieniija/. W ośpie tym podobno w fazie szczytowej było około 8 tysięcy więźniów i więźnierek oraz odpowiednia ilość ludzi "wolnych" ^{wolnych} przyjątych w administracji, nadzorze i przy robotach fachowych. Dla tych ludzi "wolnych" były poza obozem wybudowane solidne domy z drzewa oraz szkoła dla ich dzieci.

Komendantem czy naczelnikiem ośpu był Żyd sowiecki w randze kapitana. Sądzę, że znaczne warunki obozowe były w dużym stopniu jego zasługą. Świadczyły o jego fachowości w prowadzeniu łagrów. Fachowość ta uwidoczniła się szczególnie w utrzymaniu higieny obozowej na dobrym poziomie. W końcowej fazie mego pobytu w obozie wyteplono prawie całkowicie wszy. Za ten odcinek higieny odpowiedzialni sanitariusze więźniowie. Za wykrycie u więźniów wszy sanitariusza "zdejnowano ze stanowiska" i wysyłano na "ogólne roboty".

Nic dziwnego, że sanitariusze pilnowali, by więźniowie korzystali z łaźni i prożarki i by mieli zmienioną bieliznę.

Mniej udana była walka z pluskwami /"kłopy" /, które były we wszystkich barakach i stanowiły uciążliwą plagę dla tych, których krew pluskwom odpowiadała. Ja miałem na szczęście dla mnie krew nie odpowiadającą pluskwom i dlatego mogłem spokojnie spać w nocy. Próby zwalczania pluskw wrznięciem /zlewanie legowisk/ nie dawały należytego wyniku. Próbowano wypalać pluskwy ogniem lampy do lutowania. Zaniechano tego środka, gdy raz spowodowano pożar jednego baraku. Barak ten po pożarze odbudowano w tak szybkim tempie, że zapewne żaden kraj na świecie nie mógłby pochwalić się szybkim tempem. Dziwiłem się, że pluskw nie zwalczano gazem. We Lwowie przed rokiem 1939 domy akademickie w czasie wakacyjnym były dezynfekowane właśnie za pomocą gazu. Kierownictwo obozów wykazało dużą umiejętność w wyzbywaniu się więźniów "trudnych". Takich więźniów kierowano do obozów specjalnych, na przykład do Solikamska. Niektórych więźniów "trudnych" umieszczono w "burze" /barak usilonnawo reżyma/. Barak dla takich więźniów trudnych był poza obozem właściwym. Więźniowie z "buru" pracowali oddzielnie i pod wzmocnionym konwojem, korzystającym ze specjalnych psów. Opowiadano, że więźniowie z "buru" potrafili takiego psa zwabić, zabić i zjeść. Nie wiem, czy ta anegdota była prawdziwa. Dla spokojnych więźniów oczyszczenie obozu z więźniów "trudnych" było wielkim dobrodziejstwem i za to dobrodziejstwo byliśmy wdzięczni kierownictwu obozu.

Czekała mnie druga zima na Uralu. Zima uralaska na szerokości geograficznej obozu zwanego Szyroklagiem zaczęła się około 10 października. Bywało, że już przed tą datą spadał śnieg ale topił się, bo i ziemia nie była zamrznięta i słońce jeszcze ją nagrzewało. Po tej dacie ziemia w dalszym ciągu nie była zamrznięta, a

ale słońce w ciągu coraz krótszych dni nie mogło już stopić śniegu, którego pokrywa stawała się coraz grubsza.

Temperatura stopniowo obniżała się tak, że w połowie grudnia były już silne mrozy w granicach -15°C - -35°C . Czasem mrozy sięgały do -40°C . Uralskie mrozy były znacznie mniej dokuczliwe aniżeli mrozy w innych częściach Związku Radzieckiego, gdyż zimą właściwie to przez cały rok w rejonie Szyroklągu nie było silnych wiatrów. Więźniowie mieli odzież i obuwie zabezpieczające przed zimnem ale w pożywieniu więziennym była za mała ilość kalorii, by można było utrzymać równowagę przy utracie ciepła chociażby poprzez wciągnięcie powietrza bardzo zimnego w czasie oddychania. Brak równoważnika cieplnego w pożywieniu powodował uczucie zimna mimo stosunkowo ciepłej odzieży i ciepłego obuwia. Obuwie na zimę dawano w postaci walonek. Ponieważ ilość walonek nie była wystarczająca, wielu więźniów miało watowane skarpety owijane pasami materiału szynelowego i wsadzane do obuwia z opon samochodowych. To obuwie z opon produkowano w obozie. Opony cięte na kawały wrzucano do kotłów z wodą. Gotowano je a później odklejano poszczególne warstwy od siebie. Warstwy wewnętrzne zbudowane z włókien zużywano na wierzchnie części obuwia a warstwę z gumą dawano na podeszwy. Takie obuwie było trwałe i nie przemakało. Nie było dostatecznym izolatorem cieplnym i dlatego nogi musiały mieć watowane skarpety owijane suknem z płaszczy wojskowych. Te owijacze uzyskiwano w ten sposób, że obcinano płaszcze wojskowe. Normalne sowieckie płaszcze wojskowe były długie, a więźniom dawano płaszcze skrócone do kolan i z uciętymi końcami kołnierzy. Po długości płaszcza i po obciętych zakończeniach kołnierza poznawało się płaszcz więzienny. Nie trzeba było narysować lat czyli robić innych znaków, by znaczyć, że widziana postać ~~postać~~ jest więźniem.

Brygada, do której mnie skierowano, wykonywała różne prace związane z budową tamy i elektrowni.

W tym czasie tama była na ukończeniu do tego stopnia, że już dokonano spiętrzenia wody i powstał duży - zwłaszcza na długości - basen wodny. Elektrownia nie była jeszcze ukończona ale prace nad ukończeniem były prowadzone tak intensywnie, że zimą wykonywano tynki zewnętrzne. Budowano w sokie rusztowanie obite deskami w taki sposób, że w oddaleniu około 2 m od ściany elektrowni była ściana z desek. Między tymi ścianami na pomostach ustawiano piece koksowe, które miały ogrzać przestrzeń pomiędzy ścianami tak, by nakładane tynki nie zamarły w okresie działania materiałów wiążących i w okresie wysychania tynków. Miałem w maju 1947 r. radość niewolnika, gdy widziałem, jak wszystkie tynki zimowe opadły. Trzeba było ponownie tynkować wysokie ściany elektrowni. Pomyślałem wtedy o powiedzeniu: na próżno człowiek dom stawi, gdy Bóg nie błogosławi. To powiedzenie pasuje do całej gospodarki Związku Radzieckiego i do gospodarki narzuconej przymusowym satelitom.

8. Skazanie na pobyt w izolatorze

W czasie zimowego tynkowania ścian zewnętrznych elektrowni uśmiechnął się do mnie los. Któregoś dnia w obozie zetknąłem się ze starszym więźniem narodowości białoruskiej. Przed I wojną światową przebywał jakiś czas w tak zwanej Kongresówce a więc w tej części Polski, która była pod zaborem rosyjskim. Białorusini na ogół wszyscy byli przyjaźnie ustosunkowani do Polaków, a później po roku 1918 do Polski. Ten spotkany w obozie Białorusin był do tego stopnia przyjacielem Polaków, że mając jakiś wpływ w kierownictwie robót postarał się dla mnie o funkcję "uczotczyka"/rachmistrza/ na budowie. Była to funkcja o tyle ważna, że nie trzeba było fizycznie pracować. Brygada, do której należałem wychodziła w tym czasie do pracy na nocną zmianę. Wychodziłem razem z brygadą ale nie pracowałem z nią, bo jako

bo jako rachmistrz początkowo liczyłem ilość przywozów samochodowych materiału kamiennego a później współpracowałem przy transporcie tego materiału drogą linową /powietrzną/. Przy liczeniu przywozów samochodowych szybko musiałem dostosować się do sowieckiego systemu liczenia. Zwykle do północy więźniowie - kierowcy wozili materiał prawidłowo i ja prawidłowo zapisywałem każdą "chodkę" na deseczce. Po północy często kierowcy siadali przy ognisku na pogawędki nie wykonując żadnej ilości przywozów. Jeden z nich o wyglądzie zbója zapytał mnie, ile ja mu zapisałem "chodek". Podąłem liczbę rzeczywistą. Zbój poderwał się, chwycił kij służący do poprawiania ogniska i zagroził mi obiciem, jeśli nie napiszę tej ilości, jaka jemu była potrzebna. Licząc się z wymownym argumentem w formie kija w rękach zbója napisałem ugodowo liczbę podaną przez zbója, który wtedy z uznaniem powiedział o mnie "chroźnyj muzyk" /dobry chłop/. Księgowość brała moje "prawdziwe" dane a może kiedyś ktoś dziwił się, że w ^{tamie} stanie było mniej metrów sześciennych kamieni aniżeli wynikało z dowodów dowozowych. Przypuszczalnie tak pracowano wszędzie w Związku Radzieckim.

Jak wyżej zeznaczyłem, z kierowcami unikałem zwady. Nie wyszło mi ze złodziejami żarówek na jednej a dla mnie ostatniej zmianie nocnej. Brygada pracowała przy wypełnianiu komór betonowych materiałem kamiennym dostarczonym w pojemnikach drogą linową. Ja miałem łatwą pracę dawania sygnałów. Koło północy nastąpiła przerwa w pracy na spożycie "obiadu". Brygada udała się do stołówki. Ja zostałem, by pilnować miejsca pracy. Ja miałem spożyć obiad później. Czekaając na powrót brygady wojsnąłem się w miejsce najbardziej osłonięte od przeciągów zimna. Po pewnym czasie przeszedł nie zauważwszy mnie jeden więzień z naszej brygady i za chwilę usłyszałem uderzenie łopaty po przewodach elektrycznych, nastąpił błysk ze zwarcia przewodów i zapanowały ciemności nad całym miejscem pracy. Do rana nie można było pracować z braku oświetlenia.

W ciągu dnia naprawiano przewody elektryczne a jednocześnie stwierdzono, że w czasie zaciemnienia wykręcono i skradziono wszystkie żarówki ^{W. Kryle} /spiesznym bezpieczeństwa czuwająca nad obozem postanowiła ukarać winnych za sabotaż i kradzież. Ponieważ nie wykryto sprawcy sabotażu i sprawców kradzieży, postanowiono ukarać mnie za brak nadzoru oraz całą brygadę, do której należałem. Skazano mnie na kilka dni pobytu w obozowym izolatorze /karcerze/, a całą brygadę ukarano pozbawieniem pre-wa do kolacji przez okres jednego miesiąca. Ja mogłem zdradzić, kto dokonał zwarcia przewodów elektrycznych, ale tego nie uczyniłem, tak ze względu na wstręt do donosicielstwa, jak też ze względu na niebezpieczeństwo ^{ze strony} /ze strony sz^ęłki złodziejskiej. Kara dla mnie według mej oceny była stosunkowo łagodna. Sądzę, że łagodne potraktowanie mnie wynikało z przekonania przedstawicieli bezpieczeństwa, że ja nie byłem w zмовie ze złodziejami. Sądzący zapewne wzięli mnie za Łotysza, a Łotysze mieli opinie bardzo solidnych więźniów. Opinię Łotysza mogłem mieć dlatego, że zawsze podawałem swe imię Jan, a chyba co drugi Łotysz miał takie samo imię /"Janis"/. Moja brygada mimo surowej kary w formie pozbawienia kolacji przez dłuższy okres czasu nie odniosła się do mnie wrogo, gdyż wszyscy byli przekonani o mojej niewinności i mojej krzywdzie. Tak się złożyło, że zaraz po ukaraniu zaszedłem w obozie do "przychodni lekarskiej" w której chorych przyjmował lekarz - więzień, Polak z Tarnowa. Znałem jego nazwisko, ale tu go nazwę umownie Dentystą zgodnie z jego rzeczywistym i wspaniale opanowanym zawodem technika dentystycznego. Zналиśmy się, ale duchowego zbliżenia między nami nie było, gdyż - szczególnie z jego strony - nie było chęci do zbliżenia duchowego. Nie wiedziałem, w jaki sposób wpadł on do obozu. On mówił, że za współpracę z Niemcami. Miałem dla niego podziw za umiejętność radzenia sobie w sytuacji obozowej. Gdy go poznałem, on potrafił wyposażyć siebie w podstawowe narzędzia dentystyczne. Wspaniale uzupełniał uzupełnienie wszystkim "wolniaszkom" i "pryðurkom" /więźniom na funkcjach

czerpiało z tego dochody w żywności, pieniądzach i prawdopodobnie w złocie. Uznano go nie tylko za "zubnego wracza" /lekarza - dentystę/ ale i za lekarza ogólnego. Ponieważ był młodym i urodziwym mężczyzną, zainteresowała się nim sympatyczna i młoda kierowniczka obozowej służby zdrowia /"naczelnica sanozast"/, "woźniaszka". Byli sobie bardzo bliscy. Z tego mieli korzyści więźniowie Polacy, bo "naczelnica" nam sprzyjała i chętnie Polaków kierowała na odpoczynek zdrowotny.

Otóż Dentysta dowiedziawszy się, że ja mam iść do izolatora, powiedział, że on nie dopuści do tego, bym był w izolatorze. Rzeczywiście nie dopuścił, bo uznał mnie za chorego, a chorych nie wolno było dawać do izolatora. Jako chory a później jako rekonwalescent spędziłem znacznie większą część zimy w ciepłych barakach. Zło wyszło na dobre. Spędzając tę zimę na zdrowotnym odpoczynku w obozie sąsiadującym przez naczonym dla chorych i rekonwalescentów odszukałem tam młodszego ode mnie Polaka ze Lwowa, Jana Skwarczyńskiego, którego zawieziono na Ural trochę wcześniej aniżeli nas. Jego młodszą od niego siostrą Anna Skwarczyńska była w filialnym obozie żeńskim, czyli na Bolindrze. Nasza znajomość ze Skwarczyńskim zamieniła się w przyjaźń trwającą do dnia dzisiejszego. Wtedy tam zbliżyłem się także do następujących Polaków: Józefa Dubrawskiego ze Lwowa i Czesława Najdy z Dawidowa - wsi koło Lwowa.

Józef Dubrawski był młodym oficerem zawodowym w 19 Pułku Piechoty na Cytadeli we Lwowie. Uczestniczył w kampanii wrześniowej jako dowódca plutonu. Najbardziej dramatyczny bój dla niego był na północ od Lwowa. W jego plutonie było kilku żołnierzy narodowości żydowskiej. Należeli do najdzielniejszych żołnierzy.

Czesław Najda mimo wady w jednej ręce wchodził w skład specjalnego oddziału AK przeznaczonego m.in. do likwidacji osobników skazanych na śmierć za zbrodnie wojenne. W czasie takiej jednej likwidacji w lwowskim Parku Stryjskim zginął jego brat. Zadaniem grupy było

zlikwidowanie ukraińskiego policjanta w służbie niemieckiej. Po zlikwidowaniu tego policjanta do wycofującego się brata strzelił przypadkowo obecny oficer niemiecki i trafił go śmiertelnie.

9. Łotysze

Łotyszów przywieziono do obozu znacznie wcześniej aniżeli nas. Zaraz po zajęciu Łotwy po wyparciu z niej wojsk niemieckich władze sowieckie w ramach zasiedlania krajów nadbałtyckich ludnością rosyjską przystąpiły do wywożenia ludności łotewskiej w głąb Związku Radzieckiego, zarzucając Łotyszom współpracę z Niemcami i wrogość wobec ustroju sowieckiego. Za szczególnych wrogów tego ustroju uznano właścicieli gospodarstw chłopskich. Właśnie na Uralu znaleźli się głównie chłopci łotewscy. Byli to przeważnie mężczyźni w sile wieku. Oni to ukończyli zaczęta przez Niemców sowieckich budowę baraków obozowych.

Były dwa rodzaje baraków: duże mogące pomieścić kilkaset więźniów i małe zbliżone do domów jednorodzinnych z dwoma dużymi izbami.

W izbie było około 50 miejsc na spanie. Okna baraków były od strony południowej. Dach dwuspadowy od strony północnej był bliżej powierzchni ziemi aniżeli od strony południowej. Ściany były budowane w ten sposób, że do słupów pionowych były przybijane deski od strony zewnętrznej i wewnętrznej a pusta przestrzeń była wypełniana trocinami. Na deski nakładano tynki z gliny. Podobną konstrukcję miał dach z sufitem z grubą warstwą trocin. Tak zbudowane baraki zabezpieczały przed mrozami. Na dachach układała się gruba warstwa śniegu jako dodatkowe zabezpieczenie przed mrozami. Północną ścianę obrzucano też śniegiem. Wewnątrz każdej izby zwanej "sekcją" był na samym środku piec z cegiel. Był to piec podwójny tak zbudowany, że między dwoma piecami była duża płyta kuchenna a nad nią metalowe rury, którymi dym i ogrzane powietrze chyba trzy razy krążyły pomiędzy piecami nagrzewając i rury i ceglane piece. Palenisko pod płytą było długie i dlatego wkładano do paleniska dosyć długie i grube kawałki drzewa. O to drzewo zwykle troszczyli si

sami więźniowie. Gdy pracowałem w zimie 1945/1946 w lesie, to przed zejściem z pracy leśnej ścinałiśmy drwa uschnięte świerki, cięliśmy na polana i każdy więzień brał jedno polano. Był to opał wystarczający na ogrzanie barsku. Inaczej to znaczy trudniej było o opał w dwóch następnych zimach 1946/1947 i 1947/1948, kiedy miejscem pracy był rejon budowy tamy i elektrowni. Był to duży rejon przylegający do obozu. Był ogrodzony i pilnowany tak samo jak obóz. Z tego rejonu opał był "kombinowany". Zabieraliśmy materiały do budowy a także części drewnianych budowli. W ten sposób rozebraliśmy stopniowe budynek, który był początkowo parowozownią. Tak więc dzięki Łotoszom i własnej zaradności mieliśmy wygodne i ciepłe baraki.

Z Łotyszami nie mieliśmy żywszej łączności. Była między nami bariera językowa. Oni stanowili społeczność zamkniętą. Administracja obozowa nie mieszała ich z więźniami innej narodowości. Był to dla nich pewnego rodzaju przywilej a może nagroda za ich solidność w pracy i w sprawowaniu się. Dochodziły do nich często paczki z Łotwy.

Niektórzy Łotysze z niskimi wyrokami wykonywali prace bez konwejentów. Należeli do kategorii więźniów zwanych "biezkonwojniki". Z Polaków do tej kategorii należeli dwaj wspomniany już piekarz i kucharsz Franciszek Draguła z Sambora i Koziański z Prud koło Lwowa. Obydwaj byli "byłowikami" to znaczy więźniami skazanymi za przestępstwa pospolite - zwykle za nieznaczną kradzież mienia. Jakkolwiek z Dragułą łączyła mnie bliższa znajomość obozowa, nie miałem śmiałości zapytać go, za co i na ile lat został skazany. Koziański był z zawodu kowalem i znał się na koniach. Pośredniczył w handlu skradzionymi końmi i za to został skazany.

Wracając do Łotyszów - biezkonwojników, to oni między innymi zajmowali się zbieraniem pokrzyw, które po posiekaniu były dodawane do zupy obozowej /"bałandy"/. W głębi serca miałem pretensję do Łotyszów zbierających pokrzywy, ^{ze} tej gotowanej zupy pokrzywy było za mało. Tam na Uralu nauczyłem się cenić pokrzywy jako roślinę mogącą uzupełnić

środki wyżywienia ludzi.

Łotysze też zbierali jesienią owoce jarzębiny. Owoce te jako zawierające dużą ilość witamin - a zwłaszcza witaminy C były podawane rekonalescentom. W tym przypadku też miałem żal do Łotyszów, że nie przynosili takiej ilości jarzębiny, która broniłaby więźniów przed chorobami a zwłaszcza przed skorbutem /cyngą/. Skorbutowi zapobiegano także napojem zwanym "ohwoją". Był to płyn ciemno-zielony uzyskiwany przez krótkie gotowanie i dłuższe moczenie w wodzie szpilek jodłowych względnie z drzewa szpilkowego nazywanego cedrem. W latach pięćdziesiątych za-niechano produkcji ohwoji, gdyż stwierdzono, że działała ona szkodliwie na serce.

Jarzębina jako niezbyt wysokie drzewo tak obficie występowała w lasach uralskich, że stała się motywem pięknej pieśni rosyjskiej. Ale my więźniowie tej pieśni nie śpiewaliśmy.

Najbardziej można było zazdrościć tym Łotyszom, którzy obsługiwali świniaarnię. Wydawało się nam, że świnie są karmione lepiej aniżeli więźniowie. Zakładaliśmy, że więźniowie obsługujący świnie mają możliwość dożywiania się tym, co dostają świnie. Przypominał mi się nam syn marnotrawny z Pisma Świętego. A mnie przypominała się przepowiednia mojej matki, która na moje grymaszenie w odniesieniu do jej ^wmiejskich potraw zwykle tak mówiła: ty batiaru, kiedyś będziesz żądnym kawałka suchego chleba. Matczyne propoństwo spełniło się.

10. Ukraińcy z Polski.

W uralskiej międzynarodówce Ukraińcy z Polski to jest z Małopolski Wschodniej i Wołynia stanowili poważną część tej międzynarodówki. Może mieli drugie miejsce po Rosjanach /"Ruskich"/. Nasz odwieczny wróg - ~~złoty~~ zaborczy imperializm rosyjski - jakby z szatańskiej kpiny - praktycznie uczył nas Polaków i Ukraińców, że możemy być w zgodzie w sowieckich "Domu Niewoli" jako siła robocza mająca przyczynić się wbrew woli swej do wzrostu tego imperializmu. Ukraińcy jako więź-

niowie mieli możliwość porównania warunków życia w Polsce do września 1939 roku z warunkami, jakie im zgotowali wschodni "wyzwoliciele" po tej stronie. Uralaska lekcja współżycia spowodowała, że Ukraińcy w ogromnej większości byli przychylnie ustosunkowani do nas Polaków. Tylko sporadycznie z niektórych Ukraińców wyłaziła głupota antypolskiego wychowania. My Polacy najgłówniej nie szukaliśmy zbliżenia do Ukraińców, bo zbyt mocno tkwiła w nas świadomość zbrodni dokonywanych przez "banderowców" na ludności polskiej. Jakkolwiek zdawaliśmy sobie sprawę, że na Ural w zasadzie nie przywieziono tych Ukraińców, którzy mordowali Polaków, bo ci korzystali z sowieckiej amnestii to jest z bezkarności, ale zbrodnie banderowskie były zbyt świeże i w jakimś stopniu dzieliły nas od Ukraińców na Uralu.

Moje kontakty z Ukraińcami na Uralu były bardzo powierzchowne - można powiedzieć obozowe. Wspomnę tylko o dwóch Ukraińcach więźniach, których los głęboko mnie poruszył. Jeden z nich nazywał się Tacijs. Pochodził z Wołynia i to z tej części Wołynia, która przylegała do granicy polsko-sowieckiej. Miał około 50 lat. Pracował na rzecz polskiego wywiadu wojskowego w latach międzywojennych. Praca jego polegała na przenoszeniu materiałów szpiegowskich poprzez granicę. O tym przenoszeniu materiałów szpiegowskich władze sowieckie dowiedziały się i skazały Tacijsa na 25 lat pobytu w łagrach. Skazany prosił mnie, żeby Polska o nim pamiętała i o niego upominała się. I ten człowiek prosty w roku 1947 wierzył w to, że będzie Polska i że ta Polska upomni się o niego. Prośba Tacijsa wtedy głęboko mnie wzruszyła i prośba ta ciągle nawiedza mnie sprawiając ból bezsilności.

Nazwiska drugiego Ukraińca nie znałem. Dla mnie ważne było to, że to był profesor z seminarium grecko-katolickiego we Lwowie, jedyny inteligent ukraiński, jakiego spotkałem na Uralu. Podał, że skazano go za to, że nie przeszedł na prawosławie. Widywaliśmy się bardzo rzadko. Na ostatnim naszym spotkaniu z wielkim żalem podał, że miał w obozie

Jeszcze Heden proces z wyrokiem dodatkowym za kierownictwo ukraińską organizacją sabotażową na terenie łagru, a w procesie tym głównym świadkiem oskarżenia był Polak o nazwisku Tołwiński. Próż niego skazano na dodatkowe wyroki jeszcze kilku Ukraińców. Jednego ze współskazanych znałem. Jako dowody przestępstwa prócz zeznań renegata Tołwińskiego i może innych podobnych "świadków" przytoczono spotkanie się profesora z ziemkami i zabieranie materiałów z miejsca budowy, czyli dokonywanie przestępstw sabotażowych. Profesorowi usiłowałem wytłumażyć, że Tołwińskiego nie uważamy za Polaka, mimo że on podaje, że jest Polakiem. Rzeczywiście tego osobnika o bardzo ciemnej przeszłości unikaliśmy, bo wyczuwaliśmy, że on jest na usługach obozowej bezpieki i że gotów jest wykonać każde polecenie tej bezpieki i to za tak małą korzyść jak wołanie do obierania ziemniaków w kuchni. W czasie takiego obierania dostawało się coś dodatkowego do zjedzenia.

W rozmowie z nami Tokuziński nie ukrywał, że był świadkiem przeciwko Ukraińcom. Wpierw opowiadał nam, że współpracował z Niemcami. Przeszedł u Niemców specjalne przeszkolenie szpiegowskie. Po tym przeszkoleniu został zrzucony na zaplecze wojsk sowieckich. Został ujęty przez organy sowieckie i skazany jako szpieg niemiecki. Może to jego opowiadanie było zgodne z prawdą, pasowało do jego sylwetki psychicznej. Straszne było to, że się podawał za Polaka i rzeczywiście doskonale mówił po polsku.

Dowodami rzeczowymi dokonywania sabotażu były kawałki drutu miedzianego zabieranego przez więźniów Ukraińców z placu budowy. Rzeczywiście - jak już wcześniej podałem - bardzo wielu więźniów brało drut miedziany do wiązania kawałków drzewa na opał. Ja miałem do wiązania takiego drzewa sznur stale ze sobą noszony, ale inni wiązali drutem i to zwykle drutem miedzianym jako bardzo giętkim. Kawałki tego drutu leżały na placu budowy.

Pisząc o Ukraińcach z Polski trzeba wspomnieć o takich Ukraińcach, którzy mieli "ohwiejną" narodowość. Spotkałem takiego na Uralu

i nawet bardzo do niego zbliżyłem się. Był "dniwalnym" /dyżurnym/ u dentysty. Cały czas utrzymywał, że jest Polakiem, był zawodowym oficerem w wojsku polskim, miał za żonę Polkę z Kalisza. Od jego szwagra, który też był więźniem na Uralu, dowiedzieliśmy się, że "dniwalny" był komendantem policji ukraińskiej w czasie okupacji niemieckiej i za to został skazany na pobyt w łagrze. Raz w sprzeczce ze Stanisławem Kosibą z Bitkowa koło Nadwornej "dniwalny" zdradził się, że w głębi serca pozostał Ukraińcem a narodowość polską zapewne przyjął ze względu na zawodową służbę w wojsku polskim. Mówił, że żonę z dziećmi przeczernie wyprawił weześniej do Kalisza. Jako dniwalnemu u Dentysty powodziło mu się dobrze. Ja też czasem korzystałem dzięki niemu z dodatkowego pożywienia.

Żydzi z Polski.

Dla mnie był zaskoczeniem fakt, że w łagrze uralskim znaleźli się także Żydzi z Polski. W społeczeństwie polskim w latach międzywojennych utrwaliło się przekonanie, że po pierwsze w Związku Radzieckim Żydzi mają wielkie wpływy, a po drugie, że znaczna część Żydów w Polsce zajmowała kierownicze stanowiska w prasowieckich organizacjach komunistycznych /żydo-komuna/. Chodziłem do lwowskiego gimnazjum, w którym Żydzi stanowili jedną trzecią uczniów, przeważnie z rodzin dobrze sytuowanych. Niewątpliwie część tych uczniów w klasach wyższych miała powiązania z prasowieckimi organizacjami komunistycznymi. Nasz dyrektor Adolf Bednarowski zapewne miał o tym jakieś informacje, bo raz na ogólnym zebraniu w formie ostrej oświadczył, że jeśli komuś nie podoba się typ naszej cywilizacji, ma wolną drogę do przeniesienia się do innego typu cywilizacji. Trudno było posądzać tego szlachetnego chociaż bardzo surowego dyrektora o antysemityzm, bo sam miał żonę kobietę pochodzenia żydowskiego. Kolega twierdzi, że kobiety tej nie opuścił w czasie niemieckiej okupacji i razem z nią podzielił straszny los Żydów lwowskich. Z mójjej klasy zaraz po maturze został aresztowany i skaza-

ny na 10 lat Henryk Finel za "robotę komunistyczną." Tak wyseki wyrok świadczył, że Finel zajmował wysokie stanowisko w prosowieckiej organizacji komunistycznej dążącej do zniszczenia państwowości polskiej. W czasie wojny część przezorniejszych Żydów uszła z Polaki na teren Związku Radzieckiego. Władze sowieckie dając takim Żydom schronienie przed zglądą stosowaną przez potworny reżim hitlerowski mogły liczyć na szczególną lojalność ze strony Żydów.

Przed moim aresztowaniem na kierowniczych stanowiskach polskiego podziemia mówiło się, że po zakończeniu II wojny światowej nastąpi serwanie współpracy pomiędzy międzynarodowym kierownictwem żydowskim a Związkiem Radzieckim, ale ja tego serwania nie kojarzyłem z możliwością zastania Żydów z Polski w łagrze uralskim.

Wspominałem już o młodym Żydzie Farberze z miasta Łodzi. Wspominałem o Żydzie z Krakowa Poznańskim. O nim jeszcze wspomnę przy innej okazji. Odważyłem się zapytać jego, za co został skazany. Odpowiedź jego była taka: za propagandę antyradziecką. W jego relacji do skazania doszło w taki sposób: On jako uchodźca z Polski dostał się do dużego miasta w sowieckiej Azji Środkiej. Tam jako młody Żyd nawiązał towarzyską łączność z młodymi Żydami sowieckimi. W czasie jednego spotkania towarzyskiego młody Żyd sowiecki po oglądnięciu ubrania noszonego przez Poznańskiego wypowiedział pogląd, że Poznański pochodzi z bardzo burżujskiej rodziny, jak o tym świadczy jego ubranie. Poznański odpowiedział, że ubranie nie było w Polsce majątkowym dowodem, bo on miał 10 takich ubrań. Tę jego wypowiedź przekazała sowieckiej bezpiece sowiecka Żydówka i za tę wypowiedź skazano go na 10 lat pobytu w łagrach.

Dosyć często spotykałem się z lwowskim Żydem, który nazywał się na Uralu Igor Schönfeld. Był absolwentem Wydziału Humanistycznego UJK we Lwowie. Odznaczał się fenomenalną pamięcią. W obozie prowadził pocztę. Potrafił każdemu więźniowi powiedzieć, czy jest do niego list

i jaka jest treść listu, bo listy były cenzurowane. Nie ukrywał, że we Lwowie pracował w prosowieckich organizacjach komunistycznych. Chwalił się umiejętnością rozprawiania "bibuły" komunistycznej. Nie miałem śmiałości pytać go, za co został skazany przez władze sowieckie. Liczył, że jego siostra, mająca bliskie stosunki z Gomułką umożliwi mu szybkie wydostanie się z łagru. Rachuby na siostrę zawiodły, gdy doszło do tego, że Gomułka utracił stanowisko i sam znalazł się w więzieniu. Schöfeld znalazł się w PRL dopiero w grudniu 1955 r. Teraz jest na Zachodzie. Często występuje w polskiej rozgłośni Radia Wolna Europa. Wspaniałe są jego audycje o Lwowie. Obecnie używa imienia Ignacy. Koledzy nawiązali z nim łączność.

W obozie był także Żyd z Zamościa. Nazywał się Schⁿⁱrtzer. Od Poznania skiego słyszałem, że Schnitzer był pomocnikiem aptekarza i bardzo czynnym działaczem komunistycznym ^{mi} latach międzywojennych. Gdy groziło mu aresztowanie, uciekł do Związku Radzieckiego. Przyszła roku 1937, bardzo fatalny dla wszystkich komunistów, którzy uszli z Polski do Związku Radzieckiego. Najwybitniejszych skazano na śmierć i stracono, a mniej wybitnych z wyrokami 10 lat skierowano do łagrów.

Schⁿⁱrtzerowi wyrok 10-letni kończył się w 1947 r. Był lekarzem obozowym, gdy skierowano mnie na "remont zdrowotny". Właśnie raz w czasie tego "remontu" zapytał nas Polaków, czy my wiemy, jaka była w Polsce najbardziej reprezentatywna jednostka wojskowa. Jakiś nikt z nas nie dał odpowiedzi. Wtedy Schⁿⁱrtzer obrzucił nas wyzwiskami za brak wiadomości i podał, że taką jednostką był pierwszy pułk szwoleżerów.

Dodał, że w tym pułku służyłem. Wierzyliśmy, że był w tym pułku, bo mimo upływu lat imponował swoją wspaniałą postacią i postawą. W roku 1947 przestał być więźniem, ale nie mógł opuścić uralskiego miejsca pracy. Wkrótce wyteczono mu sprawę za nadużycia na kuchni. Otrzymał nowy wyrok i pozostał w dalszym ciągu jako lekarz obozowy, ale jako więzień. Może w jego aktach osobowych była adnotacja; skazać ponownie

jeśli przeżyje pierwszy okres skazania na 10 lat. Starzałem się wyzwać w tragedię tego Żyda polskiego i w tragedię wielu Żydów polskich, którzy pracowali na rzecz Związku Radzieckiego przeciwko Polsce a Związek Radziecki odplącił się im ponurą niewdzięcznością. Wróć jeszcze do relacji Igora /Ignacego/ Schönfelda. Podał on, że Gomulka uchoďząc przed Niemcami w 1939 r. znalazł się we Lwowie. Uzyskał zatrudnienie w lwowskiej fabryce czekolady "Branka". W tej fabryce była zatrudniona także siostra Schönfelda. Stąd jej znajomość z Gomulką. W tej fabryce w latach międzywojennych była mocno zakorzeniona prasowiecka organizacja komunistyczna.

12. Ludzie radzieccy.

Ludźmi radzieckimi nazywam tych, którzy do 1 września 1939 r. mieszkali w Związku Radzieckim i byli jego obywatelami. W Szarym Okręgu - przypominać, że tak nazywał się obóz, w którym przebywałem - około 80 % więźniów to byli ludzie radzieccy - przeważnie ludzie młodzi. Pochodzili z różnych części Związku Radzieckiego. Może najwięcej było Rosjan /Ruskiech/ i to w dużej części skazanych ze słynnego art.58 - a więc więźniowie polityczni. Artykuł ten zastosowany w szczególności przeciwko tym, którzy byli w niewoli niemieckiej. Wyglądało, że pobyt w niewoli niemieckiej był przestępstwem i to ciężkim przestępstwem politycznym. Mogli być tacy, którzy chcieli się dostać do tej niewoli - inaczej mówiąc przeszli do wroga. Niewątpliwie takich było bardzo mało. Może jacyś w niewoli mając do wyboru śmierć z wyłączenia w obozach jenieckich lub możliwość przeżycia przyjmując wykonywanie prac jako robotnicy przymusowi, wybrali możliwość przeżycia.

Władze radzieckie najprawdopodobniej nie zadawały sobie trudu z decydującym, jak ktoś dostał się do niewoli niemieckiej lub co robił w czasie tej niewoli. Dla nich wystarował fakt, że określony człowiek

przeżył okres niewoli u obcych i dostał się ponownie w ręce władzy sowieckiej.

Może najbardziej wymowny pod tym względem był los młodego Azerbejdżanina. Był on oficerem niższej rangi. Dostał się do niewoli niemieckiej w sposób "normalny" to znaczy z dużą ilością żołnierzy sowieckich otoczonych przez wojsko niemieckie. Był jako jeńiec w zachodniej części Niemiec. Wraz z wieloma jeńcami - w tym także z wieloma swoimi ziomkami z Azerbejdżanu - został wyzwolony przez wojska amerykańskie, które zaopiekowały się wyzwolonymi jeńcami a zwłaszcza dostarczały im takiego wyżywienia, jakie mieli żołnierze amerykańscy. O takim wyżywieniu nikt z jeńców nie marzył. Po pewnym czasie zjawiała się sowiecka misja wojskowa, mająca na celu zabranie jeńców do ojczyzny sowieckiej. Widocznie Amerykanie w tym przypadku dawali jeńcom możliwość decydowania o swoim losie. Wielu jeńców wahało się, czy wracać do ojczyzny, mimo że członkowie misji repatriacyjnej różowo przedstawiali przyszłe życie w Związku Radzieckim. Mój rozmówca przemówił po azerbejdżańsku do swoich ziomków zachęcając ich do powrotu do swoich rodzin. Przemówienie to poskutkowało. Zachęcający i jego ziomkowie opuścili gościnę amerykańską i udali się z przedstawicielami misji repatriacyjnej na teren zajęty przez wojska radzieckie. Do swych rodzin nie wrócili, bo uznano ich za zdrajców i skazano - przeważnie na 10 lat pobytu w obozach. Pracowałem z nimi w obozie a z rozmówcą razem w jednym zespole roboczym /brygadzie/.

Przypuszczać należy, że głównym celem skierowania do obozów była chęć odseparowania od społeczeństw radzieckich tych wszystkich, którzy poznali warunki życia społeczeństw zachodnich. Chodziło o to, by nie mieli możliwości opowiadania o tych warunkach.

Izolowano ich jak zakażonych niebezpieczną chorobą zakaźną. Ja sam ze zdumieniem słuchałem, jakie racje żywnościowe mieli żołnierze amerykańscy. Wyobrażam sobie, z jakim zdumieniem słuchaliby ziomkowie:

mego rozmowy w Azerbejdżanie. Nie słuchali, bo "przesorna" władza radziecka zamknęła "zakazonych Zachodem" do obozów. Po latach Chruszczow zarzucił Stalinowi, że zamykając olbrzymią ilość młodych ludzi do obozów spowodował spadek przyrostu naturalnego. Może Chruszczow miał na myśli krzywdę wyrządzoną zamkniętym, ale jakoś w mojej pamięci na pierwsze miejsce wysunęła się troska Chruszczowa o potęgę Związku Radzieckiego, pomniejszoną na skutek spadku przyrostu naturalnego. Może krzywdzenie ludzi w tym państwie było zjawiskiem tak normalnym, że do tego zjawiska przyzwyczaili się zarówno krzywdziciele jak nawet krzywdzeni.

Już wcześniej zaznaczyłem, że ludzie radzieccy znosili warunki obozowe dosyć dobrze, bo ich ewentualne warunki na tak zwanej wolności bardzo często były gorsze od warunków obozowych. Zresztą skazani ludzie radzieccy swojej krzywdy nie przeżywali tak głęboko, jak przeżywali-by ludzie z kręgu cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Stosunek ludzi radzieckich do wielu ważnych zagadnień był dla mnie zdumiewający. Najbardziej zdumiał mnie stosunek do wojny. Prawie wszyscy ludzie radzieccy skazani na pobyt w obozach osobiście i bezpośrednio zetknęli się z wojną. Wielu z nich znalazło się w obozach-przeważnie bez swojej winy. Stosunek takich ludzi normalnie powinien być negatywny do wojny. Czekanie na wybuch nowej wojny u takich ludzi powinno się kojarzyć z możliwością wydostania się z obozu na wolność z ewentualnym udziałem w walce przeciwko systemowi, który kierował ludzi do obozów. A u ludzi radzieckich ewentualny wybuch wojny kojarzył się przeważnie z możliwością dokonywania nowych podbojów, nowych grabieży i gwałtów, nowego "pohulania". Przekonałem się o tym w 1947 r. Wtedy rozszła się w obozie pogłoska, że Rosja sowiecka uderzy na Zachód, by zająć zachodnią część Niemiec. Pogłoska ta oparta była na takich faktach: wzrost napięcia w stosunkach z państwami zachodnimi i wybieranie z obozu lotników, czołgistów i innych specjalistów wojskowych. Mówiło się, że specjalistów tych

kieruje się do fabryk zbrojeniowych z domysłem, że z fabryk tych zostaną skierowani do armii. Powszechnie wiadano, że w czasie II wojny światowej znaczną część skazanych skierowano do armii. Otóż pogłoska, że będzie nowa wojna wywołała w dużej większości ludzi radzieckich radość, że będzie okazja do nowego pohulania. Perspektywa, że w czasie takiego "pohulania" wypadnie może i życie stracić lub stać się kaleką, nie liczyła się zbyt. Prawdopodobnie wtedy nikt ze znajdujących się ludzi radzieckich w obozie nie marzył o możliwości zmiany systemu, zmiany władzy - krzywdziciela. Na horyzoncie marzeń była jedynie możliwość zabijania wrogów zewnętrznych, zdobywania cudzego mienia, zęca-nia się nad podbijaną ludnością. To zabijanie wskazywanych przez władzę wrogów wżarło się mocno w ówczesną psychikę ludzi radzieckich skazanych na pobyt w obozach czyli w najniższym kręgu zakazanych stref.

O nastawieniu na za bijanie przekonaniem się na dwóch filmach, wyświetlanych w obozie. Tu trzeba wyjaśnić, że w dobrze zorganizowanych obozach a "nasz" do takich należał, dawano skazanym rozrywki kulturalne. Był specjalny barak zwany domem kultury. W nim dość często wyświetlano filmy, na które był wstęp wolny. Byłem bodaj na czterech filmach. Na jednym z nich pokazano, jak Moskale mordowali polską szeregę w Moskwie, a na drugim, jak ludzie radzieccy kosili z kulami i ciałami wojska niemieckie. Te kinowe sukcesy nad wrogami wywoływały wielką radość u więźniów a więc u pokonanych przez władzę sowiecką. Dziwna rzecz, że ci sami widzowie w innych przypadkach wykazywali dużo krytycyzmu w stosunku do tego, co im pokazywano na ekranie. Na przykład na filmie kończącym się pokazaniem zawierania związku małżeńskiego słyszano się z widowni powiedzenia: "z kogo zdarli odzież", gdy uczestnicy uroczystości zaprezentowali się na filmie w dobrych strojach. Ludzie radzieccy wiedzieli, jak było z tą odzieżą do wybuchu II wojny światowej. Zapewne wiedzieli, jak sytuacja

na lepsze zmieniła się po zajęciu środkowej Europy a zwłaszcza wschodnich Niemiec. Obok naszego głównego obozu były domy dla tych "wolnych" którzy mieli zatrudnienie związane z naszym obozem i z budowaną elektrownią wodną. Oni a zwłaszcza członkowie ich rodzin - paradowali w ubraniach i strojach europejskich. Często odesiży podchodziła z paczek nadsyłanych z krajów podbitych /łupy-trafiejce/, ale chyba znaczniejsza część pochodziła od więźniów i więźniarek nabywana za chleb, krupy i machorkę, względnie za ruble przeznaczone na zakup tych produktów. Ja też musiałem śanie sprzedać doskonałe buciki, bo nie miałem warunków chodzenia w nich a miałem trudność zabezpieczenia ich przed kradzieżą.

O wielkości łupów "wojennych" miałem wyobrażenie z lwowskiej ^{or} przesyłki. Wspomniałem o tym, że obok niej była linia kolejowa, po której średnio ^{co} 20 minut pędziły na wschód pociągi towarowe wyładowane wszelką zdobyczą. W pierwszej koło ^{mie} /obozie/ "kaptierem" /kierownikiem przechowalni - kaptiorki/ był Żyd rosyjski - Mojsiej - nazwiska nie wymieniano. Był to osłowiek inteligentny, w średnim wieku, w wojsku był chyba kapitanem. Chętnie z nami Polakami rozmawiał. W czasie wojny pracował w oddziale "trafiejnym" powołanym do zabezpieczenia łupów. Od niego dowiedziałem się, jak wygląda Śląsk, jakie bogactwa wpadły w ręce sowieckie i jak część łupów sprzedawano całymi wagonami handlarzom, głównie w Krakowie. Mojsiej nie ukrywał, że uczestniczył w sprzedaży łupów. Dodał, że gdyby mógł dostać się w rejon Częstochowy, to nie musiałby pracować przez długie lata. Chyba za ten handel Mojsiej dostał się do obozu, ale śle mu w nim nie było, bo funkcja "kaptiera" uchodziła za najlepszą. On więźniom przechowywał paczki. Nakaz obozowej przyzwyczajności wymagał, by kaptierowi coś dać z otrzymanej paczki.

Mówiąc o paczkach trzeba stwierdzić, że paczki do ludzi radzieckich były na ogół bardzo skromne: krupy jęczmienne, suszony chleb czarny, machorka, czosnek. Lepsze paczki dochodziły do polskich Ukraińców

i do Łotyszy. Ja też otrzymywałem paczki od żony przez kilka miesięcy to jest do jej wyjazdu za S.A. Jeszcze po jej wyjeździe otrzymałem paczkę nadaną na zlecenie żony przez jej koleżankę, która po wyjściu za mąż za Ukraińca pozostała we Lwowie. Jedną paczkę otrzymałem od Iwana Puhacza, Ukraińca z Mikłaszowa, rówieśnika i przyjaciela mego ojca.

Przez 2 ostatnie lata nie otrzymywałem paczek. Ci, którzy otrzymywali paczki, polepszali swoje wyżywienie, ale także polepszali swoje stanowisko obozowe, bo część zawartości paczki mogli przeznaczyć na zdobycie względów ułatwiających życie w obozie. Gdy byłem na "renoncie" w Sangorodku, dałem trochę cukru pielęgniarce - więźniarce - młodej kobiecie radzieckiej. Ona odwdzięczając się postarała się, że przez kilka dni otrzymywałem po kubku mleka, jedynego mleka, jakie piłem w okresie od aresztowania do dnia, w którym zobaczyłem się ponownie z moją matką i z moją siostrą. Trudno powiedzieć, że Związek Radziecki był krajem płynącym mlekiem. A przecież na Uralu było przy obozach gospodarstwo z krowami. Niedaleki obóz kobiecy - Bolinder - przygotowywał latem siano dla tych krow na zimę. Niektórzy "wolni" też mieli krowy. Krowy od połowy maja do połowy września mogły paść się na polanach leśnych. Mleko u ludzi radzieckich nie było popularne. Przekonałem się o tym w latach 1940 i 1941, gdy pracowałem w Krzywym Rogu w pobliżu poroków na Dnieprze. Dostawy mleka do tego miasta - bardzo niedostateczne trwały od maja do lipca, to jest w okresie, kiedy na pastwiskach była trawa zielona.

Ludzie radzieccy często w paczkach dostawali suszone owoce - zapasne z ogrodów przydomowych. Ja dwa razy po pół jabłka zjadłem późnym latem 1947 r. Podziwiałem, że te jabłka z miejscowości Sperskowszczyzna obok Lidy /Wilnańszczyzna/ w stanie wspaniałej świeżości i dojrzałości doszły na Ural. Otrzymał je w paczce Józef Orzechow-Rylski od swego młodszego brata Ludwika - nauczyciela. Józef zwoził wszyst-

kich znajomych i podzielili te jabłka tak, by każdy skosztował. Kiedy po latach czytając wiersz Polaka, napisany w czasach formowania tak zwanego wojska polskiego nad Oką, w pełni rozumiałem sakofczenie każdej strofy stwierdzeniem, że od zachodu dolatywał zapach chleba i jabłek. A z Józefem musieliśmy się rozstać, bo okazało się, że jego mylnie skierowane do łagru. On miał wyrok na pobyt w więzieniu, czyli na coś znacznie gorszego od łagru. Pomyłkę zauważył i Józefa zabrane do więzienia - przypuszczalnie do więzienia we Włodzimiersu /na wschód od Moskwy/. Wypada podać, kim był i co przeszedł Józef Orechwo-Rylski, bo to się łączy także z postępowaniem ludzi radzieckich, zaangażowanych do niszczenia Polaków. Józef - całkiem młody oficer łączności. W czasie okupacji był łącznościowcem w AK na Wileńszczyźnie. Po powtórny zajęciu Wileńszczyzny przez saboreę wschodniego Józef w dalszym ciągu pracował w AK. Sowiecka bezpieka wpadła na jego trop. Uciekał i wyzerpany w czasie ucieczki upadł i wtedy jeden ze ścigających go przyłożył rewolwer do jego uda i strzałem zgruchotał mu kość udową. Nikt nie zatroszczył się, by nogę dać do gipsu po odpowiednim ustawieniu kości, na skutek czego Józef pozostał kaleką, bo na uszkodzonej w ten sposób nodze nie mógł opierać się. Musiał posługiwać się drewnianymi podporami w czasie chodzenia. W taki zbrodniczy sposób zrobiono kalekę ze wspaniale zbudowanego młodego Polaka. Jego narzeczoną - nazwisko Geworke - skierowano do innego obozu.

Mówiąc o ludziach radzieckich nie możemy zapominać o takich, którzy mogli bezkarnie strzelać do leżącego ofiarownika.

Ja miałem tak opanowany język rosyjski w czytaniu i pisaniu, że czasem Rosjanem pisałem podania do władz. Raz zgłosił się do mnie młody więzień, bym mu napisał prośbę o darewanie kary. Z konieczności musiał mnie powiedzieć, że został skazany za zastrzelenie innego żołni

rza sowieckiego już po zakończeniu wojny na byłych terenach niemieckich. Doszło do sprzeczki o rower i w czasie tej sprzeczki zastrzelili żołnierza. Pomyślałem wtedy, jak łatwo im przychodziło zabijanie ludzi - nawet w takim samym mundurze.

Przed naszym przywiezieniem na Ural kobieta - więźniarka nożem zamordowała więźnia za to, że podobno ją zdradzał. W związku z tym mordem trzeba wyjaśnić, że kobiety były w oddzielnym obozie. Ich styczność z mężczyznami mogła być tylko wtedy, gdy zarówno kobiety jak i mężczyźni z małymi okresami kary wykonywali prace - sadania bez konwojentów /biezkonwojniki/. Wśród takich dochodziło do łączenia się w tak zwane łagierne małżeństwa. Wyczerpanie fizyczne zarówno więźniarek jak tym bardziej więźniów powodowało pełny zanik zainteresowania seksualnego .

Ludzie radzieccy mimo trwającej od powstania Związku Radzieckiego akcji zacierania różnic narodowościowych celem wytworzenia jednolitego "narodu radzieckiego" mówiącego po rosyjsku /pełna rusyfikacja/ w dużej mierze zachowali poczucie pochodzenia z różnych społeczności etnicznych. Najmniej śladów rusyfikacji występowało u przedstawicieli ludów azjatyckich pozostających w zasięgu islamu. W obozie nazywane ich "zwierzy". Nie ujawniały się w obozie różnice pomiędzy Rosjanami i Tymi Ukraińcami i Białorusinami, którzy byli w ramach Związku Radzieckiego do września 1939 r. Zapewne takie różnice były tylko one nie miały warunków ujawnienia się.

Wyda je mi się, że u więźniów następowało tak duże wyczerpanie, że przed zanikiem zdolności do wykonywania prac fizycznych, zanikała zdolność do myślenia, do życia duchowego. Można powiedzieć, że żywotność duchowa zmniejsza się szybciej od żywotności fizycznej.

U wielu - u mnie też - zjawisko zanikania sfery duchowej przejawiało się między innymi w zapomnieniu tego wszystkiego, co się zdobyło w czasie lat nauki i stykania się z ludźmi i zagadnieniami.

Rozmowa z ludźmi - nawet krótka - męczyła.

Sprawdziło się to powiedzenie, że kiedy w żołądku puste - w głowie groch z kapustą.

Wśród ludzi radzieckich spotkałem Polaka, który nazywał się Bara-n. Mówił dobrze po polsku i pochodził z okolic Mińska. Mieszkał tak blisko polskiej granicy sprzed 1 września 1939 r., że z pagórka mógł widzieć polską stronę. W tę polską stronę często i on i inni Polacy spoglądali z nadzieją, że Polska ich wyzwoli. Szczególnie gromadzili się na pagórku wczesnym rankiem wielkanocnym, by słuchać bicia dzwonów w czasie procesji rezukekcyjnej. Słuchali tych polskich dzwonów i płakali za zebranyimi im kościołami i kapłanami. O takich faktach powinien wiedzieć i pamiętać każdy Polak - także ten, któremu droga do kościoła zarasta trawą grzechów i lenistwa duchowego. Spotkałem też na wiosnę 1947 r. młodego więźnia, którego współwięźniowie wołali: Kazimir Góra. Podszedłem do niego i zapytałem, skąd u niego polskie imię i polskie nazwisko. Podał po rosyjsku, bo po polsku nie umiał, że jest Ruski /Rosjaninem/, matka była Rosjanką a ojciec był Polakiem. Rodzice nie uczulili jego ucha i jego serca na dźwięk Bożych dzwonów, polskich dzwonów. Po wojnie "przeoczywał" w oddziałach sowieckich tereny Małopolski Wschodniej i Wołynia, by z nich usunąć już Związkowi Sowieckiemu niepotrzebne bandy ukraińskie. Zwyczajem powszechnie praktykowanym w obozie nie pytałem Kazimira, za co dostał się do obozu.

Bardzo jak na stosunki obozowe zbliżyliśmy się do Józefa Łucwicza. Przywieziono go do obozu w 1947 r. w mundurze ówczesnym oficera polskiego. Pochodził z sowieckiej Białorusi. W czasie tworzenia tak zwanego wojska polskiego skierowano go tego wojska na stanowisko prokuratora. Po zakończeniu wojny chciał zostać w PRL. Sprowadził do niej swą żonę lekarkę. Za tę chęć pozostania w PRL dostał się na Ural z odpowiednim wyrokiem, a żona osiedliła się w Wilnie.

Od niego dowiedzieliśmy się, jak łamano polski ruch oporu na Kielecczyźnie.

Jakkolwiek znałem język rosyjski, ale nie szukałem kontaktów z przedstawicielami rosyjskiej inteligencji w obozie. Jeden tylko rosyjski inżynier chętnie z nami przystawał. Mówiliśmy z nim na wiele tematów także politycznych, mimo że zdawaliśmy sobie sprawę, że ten inżynier niejako z urzędu /komendant obozowej straży ogniowej/ ma łączność z obozową bezpieką. Gdy razem z etapem nad Kołyńsk^{ie} wyjeżdżał, przyszedł pożegnać się z nami. W czasie pożegnania powiedział ważne słowa: Nie wyrządziłem nikomu krzywdy.

Wśród ludzi radzieckich przeważali ludzie młodzi, przeważnie w wieku 25-35 lat - głównie byli żołnierze. Z więźniami w takim wieku można było ułożyć życie obozowe, bo więźniowie w takim wieku mieli pewien poziom umysłowy, jakieś poczucie odpowiedzialności, trochę doświadczenia życiowego, a nawet zręby etyki i to etyki o podłożu religijnym. O wiele gorzej przedstawiały się możliwości ułożenia życia obozowego z tak zwaną "małolatką", którą w roku 1947 na pewien okres dano do naszego obozu.

Ja osobiście zetknąłem się z małolatką w sposób niespodziewany, bo nie wiedziałem, że dano ją do naszego obozu. Po pracy - a było to latem - udałem się do baraku, w którym byli dorośli więźniowie, by spotkać się tam z Polakiem Kozialem. Wszedłem do sekcji /dużej izby/ z jakichś powodów nie oświetlonej. Gdy zawołałem; Koziar, rzucił się na mnie kilku wyrostków z zamiarem powalenia mnie. Instynktownie mobiliz^{uj}ąc wszystkie siły odrzuciłem wyrostków i uciekłem z baraku. Dopiero wtedy zorientowałem się, że właśnie do tego baraku a może i do innych dano transport chłopców małoletnich wywiezionych z zakładów poprawczych z Moskwy. Tak stolica Związku Radzieckiego oczyszczała się z tych, których miano wychować według wskazań Makarenki. W naszym obozie oni byli przejściowo, widocznie dano ich

następnie do obozów specjalnie dla nich przeznaczonych. Nim sniła z naszego obozu, miałem możliwość przypatrzenia się takiemu chłopczkowi może 12-letniemu. Stałem w kolejce po supę obozową. On ustawił się za mną. W pewnym momencie niezbyt sprawnie włożył rękę do kieszeni mojej kieszeni. Chwyciłem go za rękę i pokazałem mu, że ja w tej kieszeni mam tylko szmatkę służącą mi za chusteczkę do nosa. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że kieszenie więźniów nie mają niczego cennego. Uśmiechał się łobuziak dobrodusznie. Widocznie działał z przyswykajenia, nie chcąc wyjść z sprawy "karmańśyka" /kieszonkowca/. Okazało się, że łagry były ważkim ogniwem w sowieckim systemie wychowawczym młodzieży.

13. Do kogo ma być podobny człowiek ?

W moich latach studenckich /1935-1939/ znane było powiedzenie, że komunizm to jest teoria i praktyka pozwalająca niewielkiej grupie inteligencji zdobyć władzę i utrzymać się przy niej wbrew woli większości społeczeństwa.

Po wrześniu 1939 r. doszedłem do przekonania, że komunizm w wydaniu sowieckim miał jeszcze dodatkowy cel - a mianowicie utrzymanie i rozszerzenie imperializmu rosyjskiego. Do tego celu kierownictwo sowieckie reprezentowane przez Stalina konsekwentnie dążyło przy użyciu wszelkich środków - z fizyczną eksterminacją włącznie. Najbardziej jaskrawym przykładem tej eksterminacji była zagłada polskich oficerów. Tu trzeba zaznaczyć, że eksterminację, czyli wyniszczenie rzeczywistych i prawdopodobnych przeciwników stosowano bez przerwy od pierwszych dni rewolucji bolszewickiej.

Ale eksterminacja nie była głównym sposobem utrwalania i przyszłego rozszerzenia imperializmu rosyjskiego. Głównym sposobem było "wychowanie" takich ludzi, którzy w czasie pokojowym wykonywaliby bez szemrania wszelkie zadania mające wzmacniać imperializm rosyjski - nazywany oficjalnie potęgą Związku Radzieckiego - a w razie wojny szaliby

na wroga z okrzykiem "za rodzinę - za Stalina", bojąc się bardziej swoich dowódców i polityków niż śmierci zadawanej przez atakowanego wroga.

Całe życie ludzi radzieckich - zaczynając od przedszkola - było tak urządzone, by "wychować" mówiącego i czującego po rosyjsku osobnika, którego celem życiowym miało być wykonywanie zadań ustalanych przez "władzę" /władzę/, która też według własnego uznania a w praktyce według własnych możliwości a raczej niemożliwości miała dbać o najprymitywniejsze potrzeby "ludu pracującego".

W takim systemie wychowawczym nie mieściło się indywidualne życie duchowe "wychowanków", nie mieściło się przywiązanie do odrębności narodowych, a już całkowicie nie mieściło się życie religijne.

Najwyższą instancją stała się "władza" /władza/ reprezentowana przez Stalina. Przyjmowanie, że może nim być inny autorytet prócz "władzi" uznano za najcięższe przestępstwo, za kontrrewolucję. Poza widzialnym kierownictwem na Kremlu nie może istnieć żaden czynnik, do którego mógłby się zwracać człowiek radziecki, którego od pierwszych lat życia przekonywano, że "nie ma Boga, ani diabła" /nie ma Boga, ani diabła/. Nie ograniczono się do szerzenia ateizacji, ale bezwzględnie zniszczono organizacje religijne, zamknięto prawie wszystkie świątynie, zniszczono przedmioty kultu religijnego. Może najgroźniejsze dla życia religijnego okazały się warunki życiowe, eliminujące z natury rzeczy życie duchowe - a tym samym życie religijne. Najbardziej to warunki życiowe przejawiały się w życiu obozowym. Oto obraz dnia roboczego więźnia, który na skutek przemęczenia i niedożywienia utracił zdolność myślenia, zapomina, jak nazywali się jego znajomi. Jest zima. Walonki /obuwie/ oddano do suszarki /obóz dba o więźniów jako siłę roboczą/. Pobudka. Pierwszy odruch to szybkie znalezienie własnego obuwia w stosie przyniesionych walonek i wátowanych skarpet z suszarki by na czas ubrać się i udać po supę więzienną, którą trzeba szybko spożyć, by zdążyć z brygadą do bramy, przez którą więźniowie wychodzą

^{liczeni}
luzem do pracy. Często wychodzącym przygrywa na mrozie akordeonista. Do tego momentu więzień nawet o sprawnym jako tako umyśle nie miał chwili czasu na jakąś refleksję, zwłaszcza na refleksję religijną. Wierzący w Boga mógł tylko westchnąć ~~"Panie Boże, daj przetrwać 10-godzinny dzień"~~ "Panie Boże, daj przetrwać 10-godzinny dzień" na mrozie - średnio -25°C . W czasie pracy normalna myśl, to jak wykonać zadanie bez nadmiernej utraty sił. Normalne marzenie; aby dzień zakończył się, by można było odpocząć w baraku - bez rozmowy ze współwięźniami /rozmowa też męczy/. Normalne uczucie - świadomość głodu i świadomość, że jutro i pojutrze będą podobne do bolesnego dzisiaj. Wspomnienia - bo one nie zamierają, to "utracony raj". Konfrontacja rzeczywistości z "utraconym rajem" to chyba coś najgorszego dla ludzi, którzy jeszcze myślą a dla których świat kończy się na "własti" na Kremlu. Do takich ludzi częste przypieczęta rozpacz. Podchodzili do mnie i Polacy bliscy rozpacz. Nobilizowałem wtedy resztki sił umysłowych, by takich chwilowo załamanych podnieść na duchu, by im dać wiarę, że o naszym losie decyduje nie "włast" a Bóg Wszechmogący. Tę prawdę instynktownie niejako wyczuwali także ci, których "włast" ucożyła, że nie ma Boga. Złe myśli odpędzali hasłem "nie ubijaj siebie moralno" /nie załamuj się/. I ludzie radziecy chyba w większości obozowej zwracali się do Boga. Okazywało się to w czasie przeglądów lekarskich, kiedy wszyscy musieli być nadszy. Wi-działo się u bardzo wielu ludzi radzieckich krszyżyki z blachy, drzewa i z kości. Ja w tym czasie miałem medalik z Matką Boską, dar od Kol. Magdaleny Lukas z sąsiedniego obozu żeńskiego /"Bolidra"/. Lekarka sowiecka podeszła do mnie, z uszanowaniem spojrzęła na medalik i zapytała, czy to "Mater Bożja".

W maju 1947 r. próbowaliśmy zbierać się pod jednym barakiem na nabożeństwa majowe a w szczególności na litanie loretańską, którą napisał Zbigniew Kowalczyk na korze brzozewej. Po kilku spotkaniach zaniechaliśmy dalszych wspólnych modlitw, gdy jeden z kolegów przekonał nas,

że mogą nas obłożyć dodatkowymi wyrokami za utworzenie organizacji w obozie, strach i wyrachowanie wzięły się w nasze serca. Działanie systemu rodziło ujemne następstwa. A jednak najbardziej szatańskie "naukowe" poczynania nie są w stanie wygnąć Boga z serca ludzkiego. Przekonaliśmy się o tym także w dzień wigilijny 1947 r. Michał Łajdziak zdołał przygotować w jego baraku wieszere wigilijną z opłatkiem, kaszą, napojem z owoców suszonych, choinką, świeczką i sianem. Wzięli w niej udział prócz nas kilku Polaków, także zaproszeni przez Michała po jednym przedstawicielu Ukrain^{ców}, Rosjan, Czechów, Słowaków, Węgrów. Była wspólna modlitwa, łamanie się opłatkiem z życzeniami, wspólna bardzo skromna wieszera. Izba barakowa była bardzo duża. Może było około 100 więźniów, którzy na czas wieszery ucieszyli się i też raz z nami w ten sposób zaznaczyli, że obłąkana ideologia nie jest w stanie zabić w sercu ludzkim tęsknoty za Bogiem.

14. Zmniejszanie ilości więźniów.

Obóz - a dokładnie zespół obozów Szyrokiąg - miał wybudować przegrodę na rzece ^{Kaswie} Kaswie oraz elektrownię wodną dla przemysłu wydobywczego /węgiel, nafta/ i przetwórczego w przywralskim dorzeczu Kany z takimi miastami jak: Kizielek, Gubacha, Bieriezniki, Solikamsk. Po wykonaniu tego zadania zaczęto zmniejszać Szyrokiąg liczebność więźniów wysyłając ich partiami w inne rejony Związku Radzieckiego.

Wspomniałem już o wybraniu specjalistów wojskowych do fabryk sbrojeniowych w rejonie Moskwy. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że pewną ilość więźniów skierowano w rejon Norylska na syberyjskim półwyspie Łajmir. Tam znalazł się także Polak z Bitkowa - Stanisław Kosiba. Trochę więźniów skierowano w rejon Leningradu. Z partią więźniów wysłanych do Saratow odjechał wspomniany już "Antek" - późniejszy prof. dr inż. Jerzy Węgierski. Najwięcej więźniów zabrano wczesnym latem 1948 r. na etap skierowany do kopalni złota nad Kołymą w pobliżu Kamczatki. Największa grupa Polaków poszła właśnie na ten etap.

Z bliskich mnie Polaków odjechali wtedy Michał Łajdziak, Józef Dubrawski, Malinowski /Kłaczek/ i kilku innych. Gdy obok bramy obozowej zegnaliśmy dużą kolumnę wywożonych więźniów, nie wiedzieliśmy, że transport idzie nad mającą sławę złą Kołymę. Nie wiedzieliśmy, że z Polaków tam zginie Dubrawski, a z Łajdziakiem zobaczymy się dopiero przy końcu 1955 r. Wrócił do PRL 13 grudnia 1955 r.

Nim doszło do wysłania więźniów nad Kołymę, przeżyliśmy w naszym obozie uroczystość spotkania się z trzema Polkami - więźniarkami: Magdaleną Łukas, Hanką Skwarczyńską i Urszulą Świtalską z sąsiedniego obozu żeńskiego zwanego "Bolindrem". Dostały się do naszego obozu z żeńskim chórem więźniarek - rzekomo na koncert śpiewaczy dla więźniów a w rzeczywistości, by zobaczyć się z nami a szczególnie Urszula Świtalska ze swoim mężem Janem Świtalskim, Hanka Skwarczyńska z swoim bratem Janem Skwarczyńskim. Byliśmy mile zaskoczeni wyglądem naszych Polek. Mimo ciężkich warunków obozowych i wychudzenia zachowały urodę i urok kobiecy a nadto były ubrane - prawie jak we Lwowie. Przyznały się, że cały polski zespół kobiecy zadbał o to, by ich polskie przedstawicielki pokazały się mężczyznom - Polakom w jak najlepszej kondycji. W tym celu wszystkie kompletowały odzież pań. Z nami w obozie był irański dyplomata Karakasian. Nie ukrywał swego zachwytu dla naszych pań, przypominających i nam i jemu cywilizację europejską. Na nas już nie było odzieży europejskiej, ale w sercach była polska radość ze spotkania z naszymi paniami.

Ja wcześniej przypadkowo zobaczyłem się z Antoniną Salak w obozie zdrowotnym. Zepsuła się żaźnia na Bolindrze i grupę więźniarek skierowano do żaźni w obozie zdrowotnym. Wśród skierowanych była właśnie Antonina Salak, którą znałem z lat przedwojennych, gdyż mieszkając w Winnikach, wspólnej parafii, należała do bliskich mnie organizacji, a nadto spotykaliśmy się w pociągu, gdyż ja dojeżdżałem na wykłady uniwersyteckie a ona do pracy we Lwowie. Ona i jej koleżanka Stanisława Wrzeżono pięknie śpiewały. Często prosiłem o ten śpiew. Nie prze-

czuwalimy wtedy, jakie będą trudne koleje naszego życia.

15. Odcięcie od światła.

Szyrokłag nad rzeką Kośwą był oddalony od osiedli ludzkich. Najbliższa stacja kolejowa nazywała się Połowinka. Od niej była dojazdowa linia kolejowa do budowanej elektrowni. Idąc w górę rzeki od elektrowni był dosyć daleko od Szyrokłagu, jakiś kołchoz, w którym podobno byli przesiedleńcy z Ukrainy. Widziałem raz latem, jak ciągnik na gasienicach ciągnął za sobą po suchej ziemi drogi górskiej ogromne sanie, na których było kilka osób, przeważnie kobiet, oraz jakieś towary - głównie paliwo w beczkach. Możliwość zastosowania takiego transportu była dla mnie zdumiewająca.

Połączenie kolejowe poprzez Połowinkę pozwalało na wygodny dojazd kolejowy do Szyrokłagu. Ta właśnie okoliczność sprawiła, że latem 1948 r. widziałem grupę dzieci szkolnych skierowanych na obóz wakacyjny w Szyrokłagu. Może to były dzieci ze wspomnianych już miast a może nawet z miasta obłastnego nazywanego wtedy Mołotow a za czasów carskich i teraz Perm. Już dzisiaj nie przypominam sobie, czy i jakie ogarnęły mnie myśli, gdy z miejsca pracy /ładowaliśmy żwir rzeczny na samochody/ zobaczyłem dzieci dzkolne idące w rozradowaniu ścieżką tą samą, po jakiej chodziliśmy jako więźniowie. Przepuszczalnie dla tych dzieci widok więźniów i obozu nie był czymś nadzwyczajnym. Może wśród tych dzieci były i takie, które miały swoich bliskich nazywanych w skrócie "zekami" - od wyrazu "zaklęczonyj" więzień.

Jakoś w mojej pamięci nie utrwały się fakty odwiedzenia więźniów przez członków ich rodzin. Odwiedziny odbywały się, gdy więźniowie byli trzymani w pobliżu swych miejsc zamieszkania. Na jazdę na przykład ze Lwowa na Ural trzeba było dużo czasu, pieniędzy i chyba zezwolenia władz. Mówiło się, że na taką jazdę odważyła się żona jednego Ukraińca polskiego.

Tak więc więźniowie Szzyrokłagu mogli ze swymi rodzinami utrzymywać łączność korespondencyjną. Moja żona z dwojgiem dzieci i z teściową - jej matką wyjechały za San latem 1946 r. Od tego czasu urwała się moja korespondencja z rodziną. Znałem adres mojej matki, która osiedliła się w Wyszatycach koło Przemyśla, ale moje listy na ten adres nie dochodziły. Dopiero wiosną 1948 r. z pomocą Kol. Magdaleny Lukas udało się mnie nawiązać kontakt z Wyszatycami. Mój list skierowano do jednej Polki, zesłanej na Sybir. Ona treść mego listu przekazała do Wyszaty, skąd mój szwagier Jan Wielgan za pośrednictwem tej Polki podał kilka informacji rodzinnych.

Nas Polaków- interesowały nie tylko losy naszych rodzin, ale i to może szczególnie interesowała nas sytuacja naszego narodu w powiązaniu z sytuacją międzynarodową. Do obozu była dostarczana pewna ilość gazet centralnych, ale do tych gazet - zawierających zresztą bardzo mało wiadomości zagranicznych - dostęp był trudny, chociażby z tego powodu, że gazeta była wycinana przez palaczy na robienie papierosów z mchorki. Przez pewien okres miałem dostęp do gazety, bo w konkursie czytania po rosyjsku pokonałem rodowitych Rosjan i mnie przekazywano gazetę, był ją głośno czytał więźniom. Moi słuchacze zgodnie z moim pragnieniem zadawali się, odczytaniem tytułów artykułów dotyczących spraw wewnętrznych a cichej słuchali wiadomości zagranicznych. Pod tym względem wszyscy mieliśmy jednakowe nastawienie.

W obozie niektóre pomieszczenia były podłączone do sieci radiowej. W normalnych barakach głośników - zwanych kołchoźnikami - nie było. W baraku lazaretowym, w którym jakiś czas przebywałem, był głośnik, ale w części przeznaczony dla lekarza. Często przebywałem koło tej części, by usłyszeć dziennik radiowy. Nawet podpadłem lekarzowi, bo wziął mnie za podsłuchującego "stukacza" /donosiiciela/.

A każda wiadomość o Polsce była wzruszającym przeżyciem. Czasem nie była to nawet wiadomość a tylko melodia polska. Do łez wzruszyłem się raz, gdy jakiś śpiewak radziecki śpiewał po rosyjsku fragment

z opery Moniuszki p.t. "Halka". To był głos z "utraconego raju".

Przez jakiś czas Marian Chirowski jako dozorca i palacz nocny miał do jęcia do biura obozowego, w którym było radio lampowe. Mógł nocą słuchać polskich audycji z Londynu. Od niego dowiadaliśmy się, co mówi "wolny świat" o sytuacji. Na okrucieństwach wiadomości z "wolnego świata" budowaliśmy naszą nadzieję na lepszą przyszłość.

VI. Pozostaną część kary zamienić się na szybką zsyłkę do Polski.

1. "Niech żywi nie tracą nadziei".

Z nastaniem zimy 1947/1948 pojawiła się w łagrze informacja, że w Kizielu, gdzie była jakaś jednostka kierująca obozami, są przeglądane akta więźniów Polaków pod kątem możliwości wyjazdu do Polski. Rzecz jasna, że taka informacja bardzo nas ucieszyła. Wkrótce ta informacja znalazła się swe potwierdzenie w formie zabrania z naszego obozu tych Polaków i Żydów polskich, którzy mieli wyroki za przestępstwa pospolite /"bytowiki"/ i za propagandę. Zabrano wtedy między innymi Władysław Kozłara z Prus podlowskich, Franciszka Dragułę z Sambora i Poznańskiego z Krakowa /lekarza obozowego/. Nie mieliśmy pewności, czy tych więźniów wysłano do Polski. Pewność uzyskaliśmy, gdy do Igora Schönfelda dotarł list Poznańskiego z Krakowa. Z listu tego wynikało, że zabrani więźniowie przed Wielkanocą znaleźli się w Polsce.

Wprawdzie list Poznańskiego wzmógł naszą nadzieję, ale czas płynął a z nim malała nasza nadzieja. Budził się niepokój, że więźniów politycznych chyba nie obejmie repatriacja. Niepokój nasz wzmógł się, gdy w dniu 1 sierpnia 1948 r. na ogromny etap nad Kołymę zabrano połowę przebywających w naszym obozie Polaków i to tych fizycznie najsilniejszych.

Lato uralskie miało się ku końcowi a o naszej możliwości powrotu do naszych rodzin nie się nie mówiło. Nasza nadzieja na taką możliwość stopniowo wędła i zanikała. Lato na Uralu było porą roku ciepłą i słoneczną. Dzień 15 sierpnia 1948 r. - święto Matki Boskiej Zielnej - roc

nica Łudu nad Wisłą z 1920 r. - odpust w mojej parafii w Winnikach - obecnie włączonych do Lwowa - imieniny mojej tony - był w obozie dniem wolnym od pracy - widocznie była to niedziela. Było słoneczno i bardzo ciepło. Ja z Janem Skwarczyńskim udaliśmy się do baraku 1 zaretowego, by odwiedzić dwóch czy trzech Polaków - w tym Andrzeja Kempę z Czyszek - przebywających w tym baraku nie tyle z powodu chorób, co z powodu wycieńczenia. Pacjenci Polacy wyszli w bieliźnie przed barak. Posiadaliśmy na ławkach prowizorycznych i w-krótkie na rozmowa objęła zasadniczy temat, czy i kiedy wrócimy do swoich rodzin do Polski. Na ogół padały wypowiedzi pesymistyczne, bo rzeczywiście nie było argumentów za optymizmem. Postanowiłem w smutne serca rodaków wlać wiarę w możliwość zmiany naszego losu, czyli w możliwość zwolnienia z łagrów. W tym celu opowiedziałem im moje przeżycie z sierpnia 1940 r. Powtarzam w skrócie to przeżycie.

Byłem wtedy w Krzywym Rogu - niedaleko porohów na Dnieprze. Po pracy udałem się ze starszym Polakiem Katimierzem Zawerbnyim z Winnik na boisko sportowe, na którym nigdy nie widziałem graczy, byłem z dala od ludzi "odprawić" naszą Mszę Św. z mszalika posiadanego przez Zawerbnego. Odmawialiśmy wszystkie modlitwy tak, jakbyśmy byli na Msze w Winnikach, gdzie w tym dniu w latach międzywojennych bywało mnóstwo ludzi z samych Winnik, z sąsiednich miejscowości - a głównie z samego Lwowa /dojazd pociągami, autobusami i dojście pieszo - 9 prześliczną doliną zalesioną/. Po modlitwie mszalnej przenieśliśmy się myślami, uczuciami i rozmowami do naszych stron, rodzin. W naszym porządku wypłynął temat, czy i kiedy Naród Polski odzyska niepodległość. W moim rozumowaniu ówczesnym sytuacja naszego Narodu przed wojną wiała się tragicznie. Na zachodzie została Anglia dzięki temu, że Niemcy hitlerowskie potrzebowały czasu na przygotowanie okrętów i stały się do niej zaatakowania. Nie wskazywało, że Stany Zjednoczone włączyły się do wojny. Włochy były sprzymierzone z Niemcami. Japonia była na stronie Niemiec. Rosja sowiecka stała się sojusznikiem Niemiec po

biorze Polski i po podziale sfer wpływów w Europie. Należało przypuszczać, że zaborcze Niemcy hitlerowskie i zaborcza Rosja sowiecka będą zainteresowane w utrzymaniu pokojowych stosunków między sobą przez długie dziesiątki lat, w czasie których oba zaborcze państwa będą fizycznie wyniszczały Naród Polski. Gdy przedstawiłem taki swój bardzo pesymistyczny pogląd na naszą polską sytuację w dniu 15 sierpnia 1940 r., mój starszy przyjaciel Kazimierz Zewerbny, którego najstarszy syn Stanisław był żołnierzem polskim w Anglii, młodszy Adam jako żołnierz polski był internowany w Szwajcarii, trzeci Zbigniew zginął 3 maja 1940 r. zastrzelony przez pograniczników sowieckich przy próbie przejścia na Węgry, a najmłodszy Kazimierz ujęty w czasie tej próby w łagrze koło Murmańska, postawił mnie jeden zarzut. Sformułowałem ten zarzut tak: "Pan zapomniał o jednym, a mianowicie o Panu Bogu, który przecież może tak "batiarem" pomieszać rozumy, że oni zrobią inaczej niż pan przypuszcza. Zobaczysz pan, że za rok w dniu 15 sierpnia będzie całkiem inaczej".

Powiedziałem wtedy: "Oby pańskie proroctwo spełniło się". I to proroctwo spełniło się, bo w dniu 15 sierpnia 1941 r. wyruszyła nasza grupa lwowska z Krzywego Rogu w stronę Lwowa, a armia niemiecka gnała wojska sowieckie w taki sposób, że klęska wschodniego zaborcy mogła być pełna. Walka zaborców między sobą dawała nadzieję, że Polska powstanie z końcem wojny.

Moje wspomnienia z lat 1940 i 1941 r. zakończyłem tak: Widzicie koledzy, jak może z woli Bożej zmienić się i nasza sytuacja w łagrze uralskim. Widziałem po rozjaśnionych twarzach, że w serca uczestniczących w spotkaniu Polaków wstąpiła nowa nadzieja. I ta nadzieja w 10 dni później spełniła się dla 8 Polaków.

Ja w tym czasie miałem mniej uciążliwą pracę, bo pracowałem w zespole ładującym żwir rzeczony na samochody. Tych samochodów było mało, dzięki czemu między załadunkami były przerwy, w czasie których wypoczywaliśmy przy pięknej pogodzie. Dodatkową atrakcją tej pracy

było jeszcze to, że dcwożony do nas "obiad" często był z dodatkową porcją zupy /bałandy"/. Byliśmy końcowym miejscem pracy i rozwoźnik mógł często dać nam dodatkową porcję zupy a nawet kaszy /w rzeczywistości w stanie ciekłym/. Możliwość otrzymania dodatku żywnościowego może ocenić tylko ten, kto doznał uczucia stałego głodu. Możliwość odpoczynków w czasie pracy i możliwość uzyskania dodatku wyżywieniowego sprawiły, że do pracy chodziliśmy chętnie.

Gdy w dniu 24 sierpnia 1948 r. /wszelkie daty w tej części wspomnień powtarzam z opracowania Jana Skwarczyńskiego p.t. "Wspomnienia drogi powrotnej z Uralu"/ znalazłem się po pracy przy bramie obozowej, czekający na mnie Jan Skwarczyński powiedział: "Jutro nie pójdziesz do pracy". Pomyślałem, że pewnie kolega załatwił dla mnie zwolnienie lekarskie na dzień jutrzejszy i nagle zrobiło się mi żal, że w dniu jutrzejszym nie skorzystam z możliwości dostania dodatku zupnego, czy kaszowego. Kolega wyjaśnił, że właściwy więzień z kierownictwa obozowego /"sztabu"/ ma wykaz tych, którzy w dniu jutrzejszym mają zgłosić się do sztabu w związku z możliwością repatriacji do Polski. Zgłosić się mieli /powtarzam za Skwarczyńskim/: Mieczysław Bałandó, Józef Nekel, Andrzej Kempa, Zbigniew Krakowski, Czesław Najda, Jan Skwarczyński, Jan Świtalski i Jan Wojdyła. Wykaz nie obejmował kilku Polaków a wśród nich Marszałka - kolejarza z Tarnopola, Czajki - w tym czasie poważnie chorego. Murdyka, Zbyszka Kowalczyka z Zakopanego. Na wykazie nie było także Igora Schönfelda, Żyda polskiego ze Lwowa. Nieufność wobec władz sowieckich była u mnie - i chyba u wszystkich tak wielka, że radość nasza po otrzymaniu zawiadomienia o możliwości zwolnienia z łagru nie była pełna.

2. Co wybrać: Związek Radziecki, czy Polskę ?

Rano rzeczywiście wezwane ~~mieli~~ wymienionych 8 Polaków do sztabu, w którym kolejno pojedynko wołano wezwanych do lepiej urządzonego pokoju biurowego, gdzie był umundurowany oficer w średnim wieku. Jan Skwarczyński w swoich wspomnieniach nazywa tego oficera komendantem obozu.

Ja uważam, że to był przedstawiciel jednostki nadrzędnej. W każdym razie nie był komendantem obozu, bo komendanta znałem z widzenia. Odniosłem wrażenie, że na rozmowę oficer wżwał zaczynając od najmłodszych. Gdy przyszła na mnie kolej, oficer zakomunikował mi, że na podata-wie "ukazu" Prezydium Rady Najwyższej ZSRR mam być zwolniony z łagru. Mam oświadczyć, czy chcę pozostać w Związku Radzieckim, czy chcę wyjechać do Polski. Po moim oświadczeniu, że chcę wrócić do Polski, oficer przeczytał, że na mocy wymienionego "ukazu" zamienia się mi pozostała część kary na zsyłkę do Polski.

Ponieważ wszyscy wezwani Polacy oświadczyli, że chcą wrócić do Polski więc wszystkim polecono, by przygotowali się do opuszczenia obozu w tym samym dniu. Przygotowanie dotyczyło głównie sprawy rozliczenia się z administracją i księgowością obozową. Trzeba było zdać "pościel" a więc większy wór wypełniony strużkami z drzewa, stanowiący siennik i mały woreczek z taką samą zawartością stanowiący poduszkę i koc utkany ze starych szmat. Ja miałem te przedmioty, ale obawiałem się, że na mnie ciąży dług pieniężny, gdyż w roku 1945 obciążono mnie chyba 30-krotnością wartości koca i nie wiedziałem, czy obciążenie to zostało spłacone w ciągu prawie 3 lat z moich jakichś "zarobków" śmiesznie niskich. A do obciążenia mnie doszło tak: Brygadier wziął dla mnie koc, ale ja odmówiłem przyjęcia koca, bo miałem swój własny koc ze Lwowa. Brygadier koc sprzedał, a administracji podał, że ja koc potrzebuję. Gdybym był bardziej doświadczonym łagiernikiem, to w czasie najbliższej inwentaryzacji powinienem był podać, że mój koc jest kocem obozowym, a ja oświadczyłem, że koca nie otrzymałem. Moim oświadczeniem nikt się nie przejął. Napisano, że ja koc "promotałem", co w żargonie obozowym oznaczało tyle, co u nas "opylił" /sprzedał/. Przypuszczalnie koc został spłacony, bo w rozliczeniu ze mną ta sprawa nie wypłynęła.

Administracja licząc się, że pojedziemy do Polski, wydała nam letnią odzież "pierworo s~~troka~~" /pierwszego okresu używalności/. W nowych

spodniach i bluzach roboczych wyglądaliśmy "odświętnie".

Wprawdzie wydano nam suchy prowiant na drogę /chleb, ryby/, ale nie podano, o której godzinie wyruszamy z obozu. Ja zabrałem się do prania bielizny. Gdy przed godz. 17-tą polecono nam zebrać się koło bramy wyjściowej, musiałem mokrą bieliznę wsadzić do worka "podróżniczego", gdzie miałem "własny" płaszcz obozowy /żołnierski skrócony/, kufajkę i watowane spodnie. Wcześniej było niezwykle smutne pożegnanie z tymi, którzy pozostali w obozie. Wziąłem od Murdyka adres jego żony, a od Schönfelda adres Foznańskiego. Jan Skwarczyński wziął od Schönfelda adres jego siostry.

3. Szynokład - Połowinka.

Przy bramie obozowej na podstawie naszych akt sprawdzono naszą tożsamość. Następnie wypuszczono nas poza ogrodzenie obozowe z konwojentami. Zdaje się, że tym razem konwojenci nie wypowiedzieli ostrzeżenia, że przy próbie ucieczki będą strzelać bez uprzedzenia. Wogóle nasi konwojenci stali się mniej służbowi, co też uważaliśmy za dowód, że rzeczywiście mamy wrócić do Ojczyzny. Do stacji obozowej był długi odcinek drogi, która mi jakoś nie utrzymała się w pamięci.

Jan Skwarczyński uważa, że odcinek drogi miał 4-5 km. Ja uważam, że był to odcinek krótszy, bo stacja była końcówką toru dojazdowego do elektrowni, a elektrownia była koło obozu. Ten dojazdowy był ze stacji Połowinki leżącej na linii kolejowej Solikamsk-Mołotow wtedy a wcześniej i teraz Perm. Na przystanku musieliśmy czekać na przyjazd pociągu. Po pewnym czasie przyjechała lokomotywa z dwoma wagonami towarowymi. Do jednego wsadzono nas z konwojentami, którzy tak swobodnie nas traktowali, że drzwi wagonu nie zasuwali. W tych drzwiach usiedli konwojenci i jeszcze 2 lub 3 osoby a wśród nich nasz naczelny lekarz obozowy Schmidt - Niemiec sowiecki. Wyglądało, że lekarz ten wybrał się z odwiedzinami do kogoś w Mołotowie /Permie/.

W czasie jazdy w kierunku Połowinki nasz krótki pociąg zatrzymał się w lesie niedaleko od obozu, by zabrać do drugiego wagonu

siano złożone w tym celu koło toru. W czasie ładowania siana jadący z nami lekarz wysiadł, by wypełnić swoją teczkę czerwonymi owocami sławionej w pieśni jarzębiny uralskiej. Pomyślałem wtedy, że to będzie ważny i chyba jedyny podarek, jaki on przywiezie swoim znajomym a może rodzinie. I niewątpliwie takim podarkiem sprawi radość mieszkańcom w Nołotowie /Permie/ mającym bardzo ograniczoną możliwość korzystania z witamin zawartych w owocach, a jarzębina ma rzeczywiście wiele witaminy C. Ten mój ówczesny pogląd na nikłe zaopatrzenie miast sowieckich w naturalne witaminy zawarte w owocach sprawdziłem po latach dwukrotnie w następujący sposób: W pierwszym przypadku była to wypowiedź Rieszki Rieszki - pierwszej żony Sołżenicyna - zawarta w jej książce p.t. "Sołżenicyn. Fakty i mistyfikacje". Książka ta miała być w zamiarach inspiratorów oskarżeniem Sołżenicyna a stała się faktycznie oskarżeniem reżimu sowieckiego. Otóż w jednym miejscu w tej książce autorka podała, że po pewnym czasie jako wykładowczyni na wyższej uczelni - bodajże w Rżaniu tak poprawiła swoją sytuację materialną, że jadąc w odwiedziny do przyjaciół w Moskwie mogła im zawieźć wołowinę i jabłka jako atrakcyjne podarki. Drugi przypadek zdarzył się w erze gierkowskiej, kiedy w Katowicach były sklepy pełne wędlin a na placach targowych w Katowicach widziało się stragany pełne naszych owoców. W tym czasie u mego obozowego przyjaciela był z Moskwy jego obozowy przyjaciel z żoną. Ten mieszkaniec z Moskwy radził żartobliwie swej żonie, by zapamiętała zapach wędlin i widok owoców na straganach. Nie przypuszczał on, że w odniesieniu do mięsa ta rada bardziej odnosiła się do mieszkańców PRL, niż do mieszkańców Moskwy.

Ale wracam do stojącego w uralskim lesie pociągu dwuwagonowego. W czasie postoju podziwialiśmy piękno lasu strojącego się już w kolory jesienne. Tu wypada zaznaczyć, że las uralski na szerokości geograficznej Leningradu mocno różni się od polskich lasów. Na Uralu drzew nie rosną tak gęsto jak w Polsce, bo nie mają intensywnego nasłonecznienia.

nia słonecznego. Między rzadko rosnącymi drzewami rośnie trawa i ros-
ną krzewy - w tym maliny i porzeczki. Częste są polany bez drzew.
Właśnie na tych polanach koszone trawę i suszono ją na siano. Robie-
niem tego siana zajmowały się kobiety - więźniarki - a wśród nich
Polki ze wspomnianego już obozu, zwanego Bolindrem. Widocznie ładowa-
do wagonu siano miało być dowieszone dla jakiegoś ważnego człowieka
mieszkającego w Połowince. Pewnie ten człowiek miał krowę jako gwa-
rantkę zaopatrzenia rodziny w mleko. Były jeszcze, czy już wtedy
i tam szczątki, czy zaczątki indywidualnych gospodarstw.

Po załadowaniu siana "nasz pociąg" ruszył w dalszą podróż. Wkrótce
znaleźliśmy się na stacji w Połowince. Wymiedliśmy z naszymi opieku-
nami to jest konwojentami, którzy mieli nas przekazać do pociągu ja-
dącego w stronę Mołotowa /Perma/.

Na sta-cji zobaczyliśmy typowy obrazek: sporo pasażerów ^{przekajających} z tobołkami na możliwość dosta-nia się do pociągu. Pierwszy raz taki
obrazek zobaczyłem w maju 1940 r. na dworcu głównym w Kijowie, gdzie
jadą z grupą zawerbowanych do pracy w Krzywym Rogu mimo pierwszej
kolejności przejazdu po wojsku musieliśmy czekać całą dobę na dosta-
nie się do pociągu. Przypomniało się ~~nam~~ mnie ~~ki~~ kijowskie wydarzenie
a z nim obawa, czy dostaniemy się do pociągu i kiedy. Bałem się, że
usłyszymy od obsługi pociągu a raczej od obsługi słynnej "stałypinki"
miejstow niet" /nie ma miejsca/.

Każdy człowiek radziecki wie, co to jest "stałypinka". Ponieważ
moje wspomnienia nie są przeznaczone dla ludzi radzieckich, dlatego
wyjaśniam, że każdy pociąg dalekobieżny w Związku Radzieckim tuż za
lokomotywą miał dwa wagony na bagaż - jeden na bagaż rzeczywisty jak
w całym świecie cywilizowanym a drugi wagon zwany "stałypinka" był
przezne-czony i przystosowany do przewożenia więźniów /"żywy bagaż"/.
Stałypinkę od pozostałych wagonów przeznaczonych dla "wolnych pasaże-
rów rozpoznać można było w ten sposób, że jedna strona wagonu nie

miała okien z wyjątkiem niewielkich okienek kwadratowych zakratowa-
nych od wnętrza umieszczonych pod dachem wagonu, a druga strona mia-
ła takie okna jak pozostałe wagony, ale okna te były z kretami od
wewnątrz. Ta część z oknami była korytaczem, a część bez okien a ra-
czej z małymi okienkami u góry to były "normalne" przedziały z drzwia-
mi oszklonymi, ale okretowanymi od wewnątrz i zamykanymi. Były to
więc cele więzienne w wagonie.

Przy normalnej liczbie pasażerów powieckie pociągi dalekobieżne pozwa-
lają w czasie nocy na leżący odpoczynek wszystkim pasażerom, bo są
dwa leżące stanowiska na podłodze pod ławkami, 3 na podnoszonych
półkach i 3 na stałych półkach u góry przedziału.

Zasada jest, że do wagonu wpuszcza się tylko tyle osób, ile jest
miejsce i dlatego wielu niezaradnych długo musiało czekać na dostanie
się do pociągu. Dla "wygodnej" jazdy trzeba było ogromnie dużo doznać
niewygód związanych z dostaniem się do pociągu. Wiedząc o trudnoś-
ciach związanych z dosta-aniem się do pociągu a zwłaszcza do wagonu
dla więźniów stanowiących wtedy tak liczną kategorię mieszkańców
Związku Radzieckiego, w napięciu nerwowym czekaliśmy na przyjazd
"naszego" pociągu. Czekaliśmy w narożniku poczekalni opróżnionym
z innych oczekujących. Ci inni oczekujący z tobołkami nie zwracali
na nas większej uwagi, bo widocznie taki widok i procedura ustępowania
miejsca w poczekalniach dla "uprzewilejowanych" więźniów był dla nich
zwykłą codziennością.

Ja pierwszy raz z taką "codziennością" zetknąłem się w kwietniu 1949r.
na dworcu kolejowym w Stryju, gdy w trójkę wracaliśmy z rejonu Doliny
do Lwowa po wymknięciu się z osaczenia, gdy w liczbie około 40 usiło-
waliśmy przedostać się na Węgry. Uszło nas wtedy 6-ciu a reszta z póź-
niejszym kardynałem Władysławem Rubinem dostała się do Łagrów a nas-
tępnie w większości do Andersa.

4. Połowinka - Mołotow /Perm/.

Wreszcie późnym wieczorem zajechał na stację w Połowince pociąg z nieodłączną "stołypinką", której komendant "zgodził się" przyjąć nas pod swoją "opiekę" od naszych konwojentów po odebraniu od nich naszych "akt osobowych" i po sprawdzeniu naszej tożsamości /imię, nazwisko, imię ojca i artykuł kodeksu karnego/. Nim nas wpuszczono do "więzienia na kółkach", nowi opiekunowie sprawdzili nasze bagaże wyrzucając z nich wszystko, co uznali za zbędne a w szczególności takie przedmioty metalowe, jak kociołki, menażki, łyżki. Ja staciłem aluminiową męszkę poniemiecką i łyżkę. Przy wpuszczaniu do wagonu było dużo krzyków ze strony "opiekunów" i trochę kopniaków, co nas niemiłe zasyczyło, bo po pierwsze w obozie na Uralu konwojenci obchodzili się z więźniami przyzwolnie, a po drugie już trochę czuliśmy się jako zwolnieni z łagru. Władcy "stołypinki" zgasili naszą świeczkę wolności. Noc w stołypince moglibyśmy uznać za spędzoną wygodnie, gdyby nie ta okoliczność, że do rana musieliśmy czekać na możliwość dostania się do ustępu i na szybkie tempo załatwiania potrzeb fizjologicznych. Zagadnienie właśnie tych potrzeb było przeważnie lekceważone przez konwojentów na stołypinkach. Na jednym z dalszych odcinków naszej drogi znalazł się nawet taki komendant - sadysta, który za stosował w stosunku do nas okrutną torturę. Wydał nam należąca porcję śledzi ogromnie solonych /tanią solą zwiększając wagę drogiej śledzi/. Przez jakiś czas nie dawał wody a później dał nadmiar wody. Więźniowie usiłowali zgasić pragnienie po soli wodą a później komendant - sadysta nie dawał możliwości korzystania z ustępu. Jakkolwiek byliśmy z przeszło 3-letnim stażem obozowym, nie znaleźliśmy obozowej receptury jedzenia śledzi solonych w czasie podróży. Dowiedziałem się o tym tej recepturze dopiero po latach od Polaka, który wracał do Polski z dalekiego wschodu. Doświadczeni więźniowie radzieccy pouczyli go, że po zjedzeniu śledzi pragnienie należy "oszukiwać"

braniem wody do ust i wypluwaniem tej wody.

Wczesnym rankiem 26 sierpnia 1948 r. przez górne okienko zauważyliśmy szerokie rozlewisko wodne z wielką ilością spławionych do niego drzew. Domyśliliśmy się, że jest to rozlewisko rzeki Kamy, nad którą jest Mołotow /Perm/. Rzeczywiście wkrótce wyładowano nas ze stołypinki na dworcu tego miasta. Zrazu musieliśmy przykucnąć na peronie w zwartej grupie, co nie robiło wrażenia "wolnych pasażerach" przyzwyczajonych do takiej "normalności" codziennej, a po odjeździe pociągu zaprowadzono nas do miejsca oddzielonego, skąd następnie odkrytym samochodem ciężarowym w pozycjach siedzących z konwojentami na burtach zawieziono nas do niewielkiego więzienia etapowego. Tam w dalszej celi nasza grupa została uznana przez zorganizowanych zulików - worów za możliwą do ograbienia. Nasza solidarna postawa okazała się skuteczna. Napastnicy nic nie ogięnęli. Staż obozowy dał nam wynik pozytywny. Przed wieczorem w podobny sposób jak rano dowieziono nas z przejściowego więzienia na stację. Załadowano nas do "stołypinki" podstawionej na bocznych torach, dołączonej do pociągu dopiero w nocy.

W czasie przewożenia nas przez miasto Mołotow /Perm/ stwierdziliśmy, że dzielnica, przez którą nas wieziono, miała domy mieszkalne średniej wielkości i była częścią miasta wybudowaną za carskich czasów. Nie zauważyliśmy na dosyć długiej trasie naszego przejazdu żadnych sklepów.

5. Mołotow /Perm/ - Kirow.

Noc z 26 na 27 sierpnia upłynęła na jeździe w kierunku nam wtedy nieznanym. W czasie tej jazdy na jakiejś stacji dosiedlono do naszego męskiego przedziału nowych więźniów a wśród nich młodzieńką dziewczynę oraz starszą kobietę, gdyż nie było miejsca w innych przedziałach dla tych dwóch więźniarek. Mimo znacznego uwiązania wrażliwości na los ludzi uwięzionych wzruszyłem się na widok dwóch przedstawioelek świata kobiecego, nie napiętnowanych jeszcze śladami po dłuższym

łagrowym stażu. I dziewczyna i kobieta miały znane mi rysy ludności mongolskiej z rejonu Kazania. Zapytałem starszą kobietę, za co dostała się do stanu więziennego. Mówiła dosyć dobrze po rosyjsku. Wyjaśniła z bólem, że ciężko napracowała się przy zbieraniu plonów w czasie żniw. Wyznaczono ją i jej młodszą towarzyszkę do ścińki drzew w lesie /lesozagotowka/. Odmówiła pójdźcia do takiej pracy i oto teraz za takie przestępstwo dostała się do stanu więźniarek.

Zapewne - pomyślałem - będą teraz też pracować na robotach leśnych, ale pod konwojem. Tak wyglądało równouprawnienie kobiet w ówczesnym Związku Radzieckim.

Rankiem 27 sierpnia 1948 r. wysadzono nas na stacji w Kirowie i pieszo pod konwojem doprowadzono nas do łagru etapowego/poresyłki/.

Łagier ten składał się z drewnianych baraków. Zrezu umieszczono nas w jednej celi, gdzie spotkaliśmy Polaka, który nas poinformował, że rzeczywiście przez ten łagier przechodzą grupy więźniów kierowanych do ~~PRB~~^{Polaki}, ale też przechodzą grupy Polaków wysyłanych do łagru w głębi Związku Radzieckiego. Rzeczywiście na regulaminowym spacerze pomiędzy barakami przy osłabionym nadzorze niektórym z naszych udało się skontaktować z sąsiednią grupą spacerową i dowiedzieć się, że właśnie w tej grupie spacerowej byli Polacy spod Nowogródka skazani w 1948 r. i skierowani do dalszych łagrów. Ja na tym spacerze nie byłem, gdyż chyba 4-ch z nas wcześniej skierowano do innej celi a następnego dnia tj. 28 sierpnia wyprowadzono do pracy wewnątrzbozowej, polegającej na zasypywaniu wykopów zrobionych przy zakładaniu przewodów kanalizacyjnych i wodociągowych. Okoliczność oddzielenia nas i skierowania nas do pracy bardzo nas zaniepokoiła. Do naszych umysłów wpłynęło podejrzenie, że może nas postanowiono nie wysyłać do Polaki. Już samo oddzielenie od pozostałych kolegów rodziko niepokój. Niepokój ten wzmożył się, gdy właśnie nas skierowano do pracy. To właśnie skierowanie do pracy tak nas przygnębiło, że usiedliśmy na zwalach gliniastej ziemi i nie wykonywaliśmy pracy, do której nas skierowano. Inna rzecz, że

nas nikt przy tej pracy nie nadzorował. Gdy po czasie wyznaczonym na pracę wróciliśmy do swojej celi, w pomurnym nastroju czekaliśmy, jaki będzie nasz los. Napięcie nasze wzmogło się do granic wytrzymałości, gdy usłyszeliśmy, że z niedalekiej naszej pierwszej celi wywoływani są nasi koledzy. Wywołali wszystkich, którzy byli w tamtej celi. Z zapartym oddechem nasłuchiwaliliśmy, czy usłyszemy kroki zbliżające się do naszej celi. Ktoś szedł w naszym kierunku. Bolesne oczekiwanie, czy zatrzyma się koło naszej celi. Zatrzymał się, otworzył drzwi, stanął w nich obozowy dozorca /"nadzieratił"/, zaczął nas wywoływać. Ogromnie ciężki kamień spadł z naszych serc, gdy za chwilę dołączyliśmy do naszych kolegów, a następnie naszą ósemkę przewieziono na dworzec kolejowy do stojącej na bocznym torze "stożypinki".

6. Kirow - Gerkij.

Dopiero w nocy z 29 na 30 sierpnia doczępiono "naszą" stożypinkę do pociągu. Z nastaniem dnia po słońcu stwierdziliśmy, że nasz pociąg jedzie w pożądanym przez nas kierunku. Na tym odcinku drogi do naszego przedziału dane prawosławnego księdza /popa/ w stroju kapłańskim, to jest w szerokim cienkim habicie i okrągłej dosyć wysekiej czapce. Był człowiekiem w wieku około 65 lat. Na twarzy u tego duchownego była spokojna rezygnacja. Zapytałem go, jak doszła do tego, że znalazł się w stożypince. Krótko i spokojnie odpowiedział swój kapłański los. Był duchownym od młodych lat. Gdy zamykano cerkwie w Związku Radzieckim, jego skierowano do Łagrów. Gdy w czasie wojny pozwolono otworzyć cerkwie, on otworzył cerkiew zgodnie ze swoim powołaniem. Teraz to jest w 1948 r. uznano ponownie, że cerkwie należy zamknąć. Cerkwie zamknięte a on jedzie do Łagru. Mówił ten męczennik zwięźle i bez patosu a ja sobie i wtedy i teraz uświadomiłem ogrom moralnego cierpienia takich jak on duchownych, ogrom cierpienia bezsilnych wiernych wierze w Boga, ogrom zła tkwiącego w sowieckim

systemie, w budowniczych i kontynuatorach tego systemu. Wierzę, że cierpienia takich duchownych - jak spotkany w stożypince - wyjedną u Boga pełną wolność religijną dla ludów pomiędzy Władystwem a Łabą.

Wieczorem 30 sierpnia pociąg wiozący nas przejechał przez długi most na bardzo szerokiej rzece. Domyślaliśmy się, że była to Wołga. Na stacji a raczej poza stacją odozepiono stożypinkę z nami, ale na-s z niej nie wyładowano. Stwierdziliśmy, że jesteśmy w Gorkim, gdzie nas trzymano w stożypince przez całą noc z 30 na 31 sierpnia.

7. Gorkij - Moskwa.

Rankiem 31 sierpnia stożypinkę z nami doozepiono do pociągu, który jak wynikało z kierunku jazdy - zmierzał do Moskwy. Na tym odcinku drogi zetknęliśmy się z grupą młodych Polaków zwolnionych wczesną wiosną z łagrów zlokalizowanych w rejonie Norylska na syberyjskim półwyspie Tajmir. Byli to "bytowicy" to jest więźniowie skazani za przestępstwa pospolite - najczęściej za niewielkie kradzieże mienia państwowego. Skazanych za wielkie kradzieże traktowano na równi z więźniami politycznymi. Otóż naszych rodaków na półwyspie Tajmir zwolniono z łagrów wtedy, kiedy zwolniono z naszego obozu bytowików. Nasi bytowicy dotarli do Polski przed Świątami Wielkanocnymi a zwolnieni z łagrów norylskich mogli zacząć podróż powrotną dopiero z końcem maja, kiedy na rzekach syberyjskich po spyknięciu lodów ruszyły statki rzeczne. Takim statkiem zwolnieni dopłynęli po dosyć długim czasie do transsyberyjskiej linii kolejowej. Tą linią z przerwami w jeździe znaleźli się w ostatnim dniu sierpnia przed Moskwą.

Wśród jadących z norylskich łagrów był Pietrzak z Winnik, doskonale znający moją żonę, gdyż rodzina Pietrzaków mieszkała przez jakiś czas w sąsiedztwie mojej teściowej. Starszy brat Pietrzaka przez jakiś czas uczył w szkole podstawowej w Mikłaszowie

należącym do parafii winnickiej. Tak więc z młodym Pietrzakiem mogłem porozmawiać o Winnikach i wspólnych znajomych. Tak samo mogłem porozmawiać z jadącym z Norylska młodym Baranem z Siemianówki, bardzo dużej polskiej wsi koło Lwowa. Opowiadał o samoobronie Polaków z tej wsi. Skutecznie bronili wsi przed bandami ukraińskimi. Część wsi od strony Szczaroca została spalona, bo tę część zaatakował oddział zorganizowanej przez Niemców ukraińskiej dywizji pod nazwą SS Schützendivision Galizien. Ukraińcy nazywali tę dywizję "Hatyeczyna". Wskazywała się napadami na wsie polskie natomiast nie spisała się w walce z wojskami sowieckimi, przez które została rozgarnięta w rejonie Brodów.

W Moskwie byliśmy wczesnym popołudniem. Ze stożypinki ruchomej przeprowadzono nas do stożypinki s lokalizowanej na zapleczu moskiewskiego dworca kolejowego jako prowizoryczną poczekalnię więzienną.

Zrobiła na nas wrażenie domu letniskowego, bo była bez kół i otaczały ją uprawne ogródki - chyba kolejarские. W niej otrzymaliśmy przyzwoitą supę więzienną /"bakandy"/. Widocznie zasada, że w Moskwie jest najlepiej, była stosowana i w moskiewskich więzieniach.

Wśród więźniów najczęściej wymieniano takie więzienia moskiewskie: Lubiankę, Butyrki i Krasną Presnę. Na razie nie wiedzieliśmy, czy i do którego więzienia nas przewiosą z tymczasowego "domu letniskowego" na dworcu. W tym domu spędziliśmy noc .

Następnego dnia to jest 1 września podjechał po nas "czarny woron" /czarna wrona/ - samochód więzienny z blachy. Wsiadło się do niego od tyłu, gdzie była najpierw niewielka część przeznaczona dla konwojentów a po niej drugimi drzwiami wchodziło się do części przeznaczonej dla więźniów. Już przy wsadzaniu nas do tej części stwierdziliśmy brak należytego dopływu powietrza do niej oraz stwierdziliśmy, że blaszane ściany i górna część są bez izolacji cieplnej i że są już nagrzane przez słońce. Na domiar zła konwojenci mieli zabrać

do tego piekarnika tak dużą ilość więźniów, że upychali nas tak szczelnie, że nikt z nas nie mógł poruszyć się. Tak przepelnioną część wiezienną zgodnie z regulaminem zamknęli drzwiami wewnętrznymi a później zamknęli drzwi zewnętrzne. Odozuliśmy brak tlenu. Tak przepelnioną więźniarkę ruszono w kierunku nam nieznanym. Początkowo samochód jechał dobrą jezdnią, ale po pewnym czasie znalazł się na tak złej jezdni, że kołysał się na wszystkie strony. Obawialiśmy się, że mogą pękać resory. Rzeczywiście nasze obawy okazały się trafne na bardzo wielkie nasze nieszczęście. Coś stuknęło w podwoziu i samochód zatrzymał się na słonecznym upale. W naszym pomieszczeniu tak było gorąco i tak brakowało powietrza, że zaczęliśmy energicznie wzywać konwojentów do otwarcia drzwi zewnętrznych. Po pewnym czasie otwarli te drzwi, ale niewiele to poprawiło naszą sytuację, gdyż przez mały okratowany otwór w drzwiach wewnętrznych przy braku drugiego otworu nie było cyrkulacji powietrza. W tej "duszygubce", jak ją nazwali współwięźniowie - Rosjanie /duszygubka - komora śmierci/ odozuliśmy, jak giną ludzie pozbawieni dopływu powietrza. Gdy niedawno prasa sowiecka ujawniła, że w Płoskirowie /obecna nazwa Chmielniki/ w piwnicy po starym więzieniu znaleziono szkielety ludzkie w postawie stojącej, to niewątpliwie ludzi tych zamordowano w ten sposób, że ciaśno ich ustawiono w piwnicy a następnie zamknięto otwory zamurowując je. Ludzie udusili się, ale nie mogli upaść z powodu ciaśnoty. My na szczęście nie udusiliśmy się w naszej moskiewskiej duszygubce, która po długim naprawianiu wreszcie ruszyła i dowiozła nas po zachodzie słońca do dużego więzienia zwanego "Krasna Presna". Gdy znaleźliśmy się na dziedzińcu więziennym, każdy z nas wyglądał jak wskrzeszony nieboszyk.

Odbywa się regulaminowa ceremonia sprawdzenia naszej tożsamości, obowiązkowa kąpiel z dezynfekcją odzieży i umieszczenie w celach, bo znowu naszą ósemkę rozdzielono. Tym razem rozdzielenie nie było dla nas tak niepokojące jak w Kirowie. Nasze cele były na górnych piętrach

na skutek czego na regulaminowe spacery wyprowadzano nas nie na dziedziniec więzienny, ale na płaski dach otoczony bardzo wysokimi murem na którym jeszcze dla większego bezpieczeństwa przed ucieczką na "tamten świa-t" to jest przed samobójstwem były zasieki z drutu kolczastego. W czasie przechadzki mogliśmy podziwiać niebo nad Moskwą i przelatujące czasem samoloty.

Cele były urządzone inaczej aniżeli pomieszczenia, jakie były w Szynkarskiego i Kirowie. Wzdłuż ścian na niewielkiej wysokości były pomosty z desek, na których więźniowie mogli w czasie dnia siedzieć a w nocy spać. Spać także w razie większej ilości więźniów można było i pod pomostami zwanymi "ndrami". Te nory przypominały mi hotel miejski w Zamościu z dnia 30 czerwca 1937 r. Otrzymałem po drugim roku studiów prawniczych półtoramiesięczną praktykę płatną w ówczesnym magistracie zamojskim. Następnego dnia miałem rozpocząć pracę. Przyjechałem w przeddzień po południu. Wpadało mi przenocować w hotelu miejskim, w którym w tym dniu były już zajęte wszystkie pokoje z łózkami. Wolna była jeszcze na parterze sala, w której zamiast łóżek był właśnie pomost, na którym za bardzo niską odpłatnością można było w kolektywie z różnymi osobami przespać się. Nie badałem wtedy, czy w administracji hotelu można było otrzymać jakiś materac. Przypuszczam, że nie było takiego luksusu. "Krasna Presna" też nie miała takiego luksusu jak sienniki obozowe wypełnione strużkami z drzewa. Młodemu ludziom przypominam, że Zamość był pod zaborem rosyjskim i dlatego miały takie ndry w jednym pomieszczeniu, jakie zachowały się w lepiej urządzonych więzieniach sowieckich. Dodaję, że nie skorzystałem z ^{no-} noclegu w hotelu miejskim w Zamościu. Wieczorem wlażłem w kopiec siana na łączce podmiejskiej i wspinałem się wyspałem w pobliżu strzeżonego przez wojsko fortu. Na drugi dzień otrzymałem bezpłatne zakwaterowanie w pustej w czasie wakacyjnym bursie /internacie/. W sali, do której mi przydzielono w więzieniu peresyjnym /etapowym/

na Krasnej Preśnie, byli bardzo różnorodni więźniowie i wszyscy w sytuacji podróźnej. Niektórzy wspaniale znali Związek Radziecki, bo bywali jako więźniowie w różnych miejscowościach. Niektórzy chętnie dzielili się z innymi swoimi wiadomościami. Tam właśnie znalazł się więzień, który pracował w bardzo izolowanym obozie przy produkcji bomby atomowej. Tam przy produkcji bomby i "wolni" pracownicy byli odcięci od świata a wśród nich podobno i wiceminister resortu zajmującego się produkcją bomby atomowej. W tym czasie na świecie jeszcze nie mówiło się, że Związek Radziecki jest w posiadaniu bomby atomowej. Ale w tym czasie w ^{Polce} ~~PRR~~ wielu wiedziało, że specjalnymi samochodami przez obszar ^{Polce} ~~PRR~~ przewożono z Czechosłowacji rudę uranową do Związku Radzieckiego.

Spacery regulaminowe, krótkie posiłki i nocna cisza nie wypełniały więźniom dnia. Czas spędzano na rozmowach a nawet na czymś, co można by nazwać rozrywkami kulturalnymi. Podobno w początkowej fazie rewolucji bolszewickiej artystów ceniono i dbano o ich warunki życiowe. Tak to podała Kozicka we wspomnianej już książce swej pt. "Burza od wschodu". Później artystów też kierowano do ~~algrow~~ ^{algrow}, gdzie jednak trochę ich ceniono. W Szyrokiągu przez jakiś czas była nawet "etatowa" grupa artystów - więźniów i więźniarek zwana "agitbrygadą". Członkowie tej grupy brygady nie pracowali fizycznie, mieli kolorowe kostiumy i chyba lepsze wyżywienie. Widziałem w Szyrokiągu dwóch więźniów, którzy malowali farbami olejnymi przyjemne obrazy na dużych płótnach /prześcieradkach/ dla "wolniaszków", którzy chcieli mieć ozdobione ściany w mieszkaniach.

W celi na ²Prósnej też znalazł się wspaniały humorysta, który przepięknie i ku ogólnej radości opowiadał śmieszne sceny z życia ludzi radzieckich - w tym także z życia obozowego.

W drugiej celi, gdzie umieszczono pozostałych 4-oh naszych kolegów, więźniów zabawiał więzień narrator opowiadaniem przeczytanej książki

a może przez siebie zmyślonej. Był to w jego opowiadaniu tak ciekawy kryminał, że więźniowie chcieli słuchać tego opowiadania także w czasie ciszy nocnej, kiedy należało spać. Opowiadanie nocne zostało przerwane przez kobiety. Były one w sąsiedniej celi a opowiadanie przez ścianę było słyszalne także w ich celi. Tak głośno i takimi wyzwiskami protestowały przeciw dalszemu opowiadaniu, że mężczyźni mimo odzajemnienia się sozystymi wyzwiskami obozowymi musieli skapitulować i zamilknąć.

Nasz pobyt na Presnie nie był długi, bo w dniu 4 września po kolacji wywołano nas z obydwu cel, ku naszej radości połączono nas i samochodem więziennym - tym razem bez duszenia się - dosyć długą drogą dowieziono nas do dworca kolejowego. Był to przypuszczalnie tak zwany białoruski dworzec kolejowy, gdzie nas umieszczono w stojącej na bocznym torze stołypince.

8. Moskwa - Mińsk.

Późnym wieczorem w właściwie to już w nocy z 4 na 5 września naszą stołypinkę doczepiono do pociągu. Nie wiedzieliśmy dokąd pociąg jedzie, ale przypuszczaliśmy, że w kierunku zachodnim. Rano 5 września po słońcu upewniliśmy się, że jedziemy w kierunku Ojczyzny. Wtedy w pełni uwierzyliśmy, że "zsyłka do Polski" jest realizowana zgodnie z uralskim oświadczeniem właściwego przedstawiciela władzy sowieckiej. Przed południem minęliśmy Smoleńsk a przed wieczorem zatrzymaliśmy się w Mińsku. Po wysadzeniu nas ze stołypinki pod konwojem pieszo doprowadzonym nas do więzienia, które wybudowano niedawno w ramach odbudowy i umacniania systemu sowieckiego. Nim doszliśmy do więzienia, mieliśmy sposobność naczynego przekonania się, że odbudowa czy rozbudowa sieci więzień i łagrów była sprawą pilną, bo właśnie na wysokim nasypie kolejowym przejeżdżał długi pociąg taki, jakim nas wieziono w listopadzie i grudniu 1948 r. na Ural. Zapewne z naszej Wileńszczyzny wywożono dalszych Polaków i Białoru-

sinów na "wielkie budowy" Związku Radzieckiego. Na zachód ciągnięto co jakiś czas jedną stołypinkę z więźniami - przeważnie bardzo już "zużytymi" a na wschód i daleką północ kierowano nowych przeważnie młodych "budowniczych" sowieckiego imperium.

9. Mińsk - Brześć nad Bugiem.

W dniach od 6 do 8 września 1948 r. oczekaliśmy w mińskim więzieniu na dalszą podróż w kierunku Polski. Przed wieczorem w dniu 8 września pod konwojem doprowadzone nas do dworca kolejowego i wsadzone do stojącej na bocznym torze stołypinki, którą w nocy z 8 na 9 września doczepiono do pociągu jadącego w kierunku Brześcia nad Bugiem. Już w nocy a szczególnie z nastaniem dnia kierunek ten potwierdzili ci więźniowie Polacy, którzy pochodząc z Wileńszczyzny znali okolice i miejscowości, przez które przejeżdżał pociąg. Przed południem wyprowadzone nas na dworcu w Brześciu nad Bugiem ze stołypinki i grupę złożoną z mężczyzn i kobiet w liczbie 60-100 osób pod silnym konwojem bocznymi drogami doprowadzone pod obóz, gdzie na łące przed bramą obozową trzymano nas bardzo długo. Wyglądało, że w obozie nie spieszą się z przyjęciem naszej grupy. Ten ostatni konwój zrobił na nas szczególne nieprzyjemne wrażenia. Prawdą jest, że tym razem konwojowano największą w czasie naszej podróży liczbę osób, ale konwojentów było bardzo wielu i wszyscy konwojenci otoczyli naszą kolumnę ze wszystkich stron z bronią gotową do strzału. Podoficerowie szli z rewolwerami /"naganami"/ wyciągniętymi z kabur. Dodatkowymi konwojentami były psy. Nigdy w ciągu pobytu w łagrze i w czasie drogi powrotnej nie zetknąłem się z konwojentami wzmocnionymi przez psy. Na końcu w końcu musieliśmy zobaczyć konwojentów, których w języku polskim wypada nazwać "psubratami".

Gdy czekaliśmy długo na otwarcie bramy obozowej - bramy do naszego "raju" - zauważyliśmy przy tej bramie sporą gromadę ludzi "wolnych"

- szczególnie kobiet, przybyłych - jak się później okazało z różnych części Wileńszczyzny. Zjawisko typowe przy wszystkich więzieniach w Związku Radzieckim. Członkowie rodzin przychodzą pod więzienia, by podać uwięzionym paczki /"peredače"/ z żywnością, bielizną, odzieżą, by podać legalnie lub nielegalnie list, otrzymać wiadomość od uwięzionych lub o nich. Na szczęście więzy między ludźmi są tak silne, że nie pękają one z uwięzieniem osób bliskich - wręcz przeciwnie właśnie uwięzienie często ludzi zbliża - nawet obcych. Powstaje jakaś "solidarność pokrzywdzonych".

Przed obozem w Brześciu nad Bugiem liczba osób związanych psychicznie z tym obozem była szczególnie duża, gdyż był to właśnie obóz szczególnie, bo poprzez ten obóz przepuszczano takich jak my a więc jadących na te ziemie nasze, które leżały na zachód od Bugu i Samu. Wśród jadących na zachód było wielu Polaków takich z Wileńszczyzny których rodziny były jeszcze na Wileńszczyźnie. Właśnie te rodziny mając jakieś wiadomości podchodziły pod obóz w nadziei zobaczenia się ze swoimi bliskimi. W naszej grupie był Polak, który wśród stojących przed bramą kobiet poznał swoją sąsiadkę i właśnie ją prosił, by poinformowała ~~go~~ jego rodzinę, że on już jest w Brześciu nad Bugiem.

Pod wieczór wreszcie wpuszczono nas do obozu i ulokowano w drewnianych barakach. Ja ku wielkiej radości i dużemu zdumieniu spotkałem się w tym obozie z panną Stanisławą Guszpit. Przypominam, że ona i jej rodzice zostali zabrani za to, że ich mieszkanie w rejonie placu Św. Antoniego we Lwowie było naszym punktem kontaktowym. Była to rodzina wyjątkowo ciężko dotknięta, bo brat też członek naszej grupy konspiracyjnej Adam Guszpit był w tym czasie w tak zwanym wojsku polskim a młodsza siostra Janina Guszpit była chora i nią opiekowała się jakaś dobra rodzina lwowska. Nasza dzielna kierowniczka kolportażu Janina Akielaszek "Bazyliszek" starała się poma-

gać aresztowanym rodzinom. Były trudności w "zorganizowaniu" bielizny dla aresztowanych. "Bazyliszek" pokonała te trudności w ten sposób że nocą dostała się do szatni w gmachu anatomii człowieka przy ul. Piekarskiej we Lwowie, zabrała odpowiednią ilość ~~bielizny~~ białych płaszczy lekarskich, z których uszyto potrzebną bieliznę dla aresztowanych.

Proszę sobie wyobrazić młodą dziewczynę wchodzącą samotnie do pomieszczeń wypełnionych szkieletami i częściami ciał ludzkich potrzebnymi do nauczania studentów medycyny. W tym czasie profesorem uczającym był profesor Marciniuk, a ja należałam do podległej mu grupy tak zwanych "preparatorów". Asystentem tego profesora był młody lekarz Eustach^{iusz} Chodyn "Kolos" kierujący powielaniem podziemnego tygodnika pod nazwą "Słowo Polskie".

Spotkana w obozie Stanisława Guszpit mimo spędzenia prawie 4-oh lat w łagrze zachowała swoją piękną urodę ~~zkształt~~ dziewczęcą. Trochę była zmartwiona nie tylko z powodu losu swej rodziny, ale także dlatego, że za długo ją trzymano w obozie w Brześciu nad Bugiem.

Stanisława Guszpit pokazała mi z daleka starszego księdza w sutannie i podała, że to jest ksiądz ^{Ch} Skwirut ze Lwowa. Podała, że tego księdza zwolniono z łagru, ale ksiądz ten po porozumieniu się z przełożonymi swymi postanowił wrócić do Lwowa, by tam pełnić służbę kapłańską. Wiemy, że rzeczywiście wrócił do Lwowa, gdzie do swej śmierci był proboszczem w Parafii Św. Antoniego na Łyczakowie.

Ja księdza Chwiruta z widzenia nie znałam, ale jako student prenumerowałam "Gazetę Niedzielną" wspaniale redagowaną przez tego księdza który w tym czasie należał do grona kanoników katedralnych. W czasie okupacji niemieckiej ksiądz Chwirut udostępniał swoje mieszkanie na nasze spotkania konspiracyjne. Byłam raz na jednym spotkaniu w tym mieszkaniu, ale w czasie spotkania księdza nie było. Sądzę, że celowo wychodził na czas spotkania, by nas nie krępować swoją obecnością

Gdy czasem ~~z~~ słuchę melodię " drycerzach od kresowych stanie, o obrońcach naszych polskich granic", to zawsze mam na myśli takich Polaków, jak ksiądz Chwirut.

Zdumienie nas ogarnęło, gdy zobaczyliśmy, że funkcje obozowe - administracyjne i gospodarcze - pełnili rodowici Niemcy. Można powiedzieć, że obsługa obozowa była w rękach niemieckich. Była to obsługa sprawna. Okazało się, że wywiezionych przez oddziały sowieckie Niemców zaczęły władze sowieckie częściowo zwalniać i wypuszczać do Niemiec podzielonych na strefy ~~skupczych~~, okupacyjne. Mówiło się, że władze sowieckie pozwalają także wracać do Niemiec jeńcom niemieckim. Powroty Niemców odbywały się przez tereny polski. Jestem przekonany, że ta okoliczność skłoniła władze sowieckie do wypuszczenia pewnej liczby Polaków z łagrów sowieckich, by społeczeństwo polskie uspokoić, by miało złudzenie, że zwalnia się nie tylko Niemców, ale także Polaków. W jakimś sensie zwolnieni w 1948r. Polacy zawdzięczają to faktowi, że w tym czasie wypuszczono ze Związku Radzieckiego jeńców niemieckich i internowanych Niemców - ocywliwów.

Przez kilka dni - dokładnie od 9 września do 12 września z narastającą niecierpliwością czekaliśmy na możliwość dalszej jazdy. W dniu 12 września zaczęło się sprawdzanie naszych dokumentów i badanie nas pod kątem pozostania w Związku Radzieckim lub wyjazdu do Polski. Oczywiście wszyscy oświadczyli się za wyjazdem. Wyprowadzono nas z obozu, gdzie przy ustawionym stoliku siedział mężczyzna w cywilnym ubraniu jako przedstawiciel Polski. Podobno przedstawił się jako kapitan Chmielowski. Miał nasze akta i formalnie nas przejmował od władz sowieckich. Nie zrobił na nas dobrego wrażenia. Gdy później we Wrocławiu podałem jego rysopis i nazwisko memu ziomkowi ten stwierdził, że to był jego dowódca w I armii i uchodził za Moskala. Wtedy zrozumiałem, dlaczego od tego człowieka nie promienio-

wała polskość w naszym kierunku. A my na tę polskość po przeżyciach łagrowych trochę oczekaliśmy.

Grupę przejętą doprowadzono na dworzec, wsadzono do wagonów towarowych i na noc zabezpieczono przez zamknięcie wagonów. W dniu 13 września przed południem doczepiono nas do pociągu, który miał nas wieść dalej w kierunku zachodnim. Wtedy otwarto nasze wagony. Na sąsiednim torze zobaczyliśmy polskiego kolejarza. Ten bardzo serdecznie do nas odniósł się. Poinformował nas w skrócie, jak jest w Kraju. Starał się nas przekonać, że w Kraju jakieś się urządziły i jakoś będziemy żyli, bo wszyscy jakoś żyją. Nie ukrywał, że on stara się swoje zarobki zwiększyć handlem. Przewozi przez Bug to, co jest ludziami potrzebne na wschód od Bugu, a z powrotem wiezie to, co jest ludziami potrzebne na zachód od Bugu. Dodał, że Polska handluje ze Związkiem Radzieckim w ten sposób, że daje Związkowi manufakturę /wyroby tekstylne/ za to, że Związek bierze z Polski węgiel. W tym żartobliwym skrócie przedstawił obraz eksploatacji. Ja z ciekawości wspiąłem się na odkryty wagon, by zobaczyć, co przywiózł pociąg towarowy z Polski. Zobaczyłem, że wagon był wypełniony kawałkami cynku.

Prócz polskich kolejarzy i polskich wyrobów zauważyliśmy na sąsiednim torze długi szereg wagonów z żołnierzami w doskonałych mundurach niemieckich. Byli to jeńcy, których wieziono do ich obozów. My w naszych ubraniach roboczych wyglądaliśmy jak nędzarze w porównaniu z jeńcami niemieckimi.

Pociąg nasz przed przejazdem przez most na Bugu był dwukrotnie kontrolowany - raz przez sowieckich "pograniczników" a drugi raz na zachodnim brzegu przez żołnierzy WOP. I znów młody oficer WOP nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wypełniał ściśle czynności wynikające z instrukcji. Natomiast prości żołnierze podlegli temu oficerowi nie ukrywali swej życzliwości dla nas. Okazali ją

między innymi w ten sposób, że potraktowali naszych palaczy swymi papierosami, których zapewne zbyt dużo nie otrzymywali.

VII. Kraj "zesłania" nad Wisłą i Odrą.

1. Piała Podlaska.

Ja nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że Kraj, do którego wracaliśmy, nazywany wtedy jeszcze Rzeczpospolita Polska - bez dodatku późniejszego Ludowa - jest krajem okupowanym przez Związek Radziecki, który stara się wcisnąć Polaków w swój system zaprzetych zon - zakazanych stref - z zamierzoną perspektywą pozbawienia nas naszej tożsamości narodowej.

Z końcem 1944 r. i na początku 1945 r. do Lwowa dotarły informacje o tępieniu Polaków podejrzewanych o przynależność do niepodległościowych ugrupowań a w szczególności do Armii Krajowej. Szczególnie wstrząsająca była dla mnie relacja lwowianina Puchalskiego. Wzięto go do tzw. wojska polskiego w sierpniu 1944 r. Zjawił się we lwowie w zimie z 1944 na 1945r. - jako dezertor z tego wojska. Do dezercji skłonił go obraz, jaki zobaczył na zamku lubelskim. Woził w tym czasie prokuratora wojskowego w związku z tym jako kierowca wojskowy bywał na dziedzińcu zamkowym, gdzie zetknął się z dozorcą odpowiedzialnym za utrzymanie czystości na dziedzińcu. Któregoś dnia ten dozorca pokazał Puchalskiemu obszerną piwnicę zamkową, której posadzka była posypana czystym piaskiem. Jedna ściana piwnicy była obłożona bardzo grubymi deskami, w których było mnóstwo śladów po kulach karabinowych, czy rewolwerowych. Dozorca wyjaśnił, że w tej właśnie piwnicy prawie co noc są rozstrzeliwani Polacy. Zwłoki mordowanych wywożone są w nieznane miejsce, piasek zakrwawiony jest wymieniany na świeży, a w grubych deskach chroniących przed rykoszetami /odbiciami/ przybywa coraz więcej otworków. To straszne odkrycie tak podziałało na Puchalskiego, że zdezertero-

wał z wojska i uciekł aż do Lwowa.

Wspomniałem już, że na Uralu dowiedzieliśmy się od byłego prokuratora wojska polskiego, jak tępią wszelkie organizacje polskie. Wyglądało, że los akowców i innych nad Wisłą i Odrą był gorszy niż los tych, którzy wpadali bezpośrednio w ręce sowieckie na terenach formalnie wcielonych w skład Związku Radzieckiego.

Jakkolwiek na nasz powrót padał pomur cienia jarzma sowieckiego, to mimo tego cienia cieszyliśmy się, że nie jedziemy w wagonach zamkniętych, nie ma koło nas konwojentów, połączymy się z naszymi bliskimi, pozbędziemy się trwale nam towarzyszącego głodu, bo z powoli jadącego pociągu widzieliśmy pola uprawne, na których tu i ówdzie kopano ziemniaki.

Gdy na jakimś odcinku wiezący nas pociąg z jakiegoś powodu zatrzymał się na dłużej, kilku z nas wyskoczyło na pole, na którym kobieta w średnim wieku motyką kopła ziemniaki. Na naszą prośbę zezwoliła nam na rozpalenie ogniska, w którym postanowiliśmy upiec trochę ziemniaków. Wzruszenie kobiety na nasz widok i na naszą prośbę o ziemniaki było tak wielkie, że po policzkaach wieśniaczki płynęły łzy. Dopiero w połowie ziemniaki były upieczone, gdy maszynista gwizdaniem uprzedził nas, że pociąg ruszy. Wyciągnęliśmy niedopieczony ziemniaki z ogniska i z tym darem serdecznej polskiej wieśniaczki zdążyliśmy do wagonów, w których zjedliśmy ten dar.

Przed wieczorem w dniu 13 ^{września} ~~sierpnia~~ byliśmy w Białej Podlaskiej.

Z dworca skierowano nas do baraku - schroniska. Ktoś nas powitał w imieniu PUR /Państwowego Urzędu Repatriacyjnego/. Mogliśmy wykapać się, odzież poddać dezynfekcji /"prożarce"/ a po kolacji położyć się na legowiskach zaopatrzonych w sienniki i koce.

W dniu następnym to jest 14 ^{września} ~~sierpnia~~ wydano nam zasiłek pieniężny po 2000 zł., słoścycze i konserwy mięsne z paczek UNRA, amerykańskie menażki, nowe kombinezony robocze, niektórym buty. Dowiedzieliśmy się, że wracającym przed nami dawano po dwa tekturowe pudła z kon-

jedne ze słodyczami a drugie z konserwami mięsnymi. Pod tym względem sytuacja pogorszyła się, bo nasza grupa otrzymała po pół zawartości. Otrzymane słodycze i konserwy traktowaliśmy jako zaprowiantowanie na dalszą podróż, bo w Białej Podlaskiej otrzymywaliśmy posiłki - w tym obiady, złożone z dobrej zupy i z drugiego dania mącznego /kluski, makaron/. W tym dniu porobiono nam zdjęcia do zaświadczeń, jakie mieliśmy otrzymać, mających nam służyć jako tymczasowe dowody osobiste.

Korzystając z wolnego czasu w małych grupach wybraliśmy się na zwiedzenie miasta. Przede wszystkim udaliśmy się do niedalekiego kościoła, by w nim w szczególny sposób podziękować Panu Bogu za jego opiekę nad nami w czasie pobytu w "Domu Niewoli" oraz prosić o błogostawieństwo w nowych warunkach życia nad Wisłą i Odrą. Zaglądnęliśmy do sklepów, by zobaczyć, jakie towary są w tych sklepach. Gdy opuszczaliśmy jeden sklep - może to był sklep z przyborami szkolnymi - sprzedawca w średnim wieku powiedział mi, że z nami chce rozmawiać jedna pani. Wskazał nam tą panią, ale ona zaproponowała, byśmy wyszli ze sklepu na chodnik, bo według niej rozmowa na wolnej przestrzeni będzie nam się lepiej układała niż w sklepie. Pani była w wieku około 35 lat, a twarz jej nie miała cech ujmujących. Rozmowa nasza nie była długa. Pani poinformowała nas "życzliwie", że osoby wracające ze Związku Radzieckiego są traktowane przez polską bezpiekę jako podejrzane. Takie osoby są zagrożone aresztowaniami i że dla takich osób najlepszym rozwiązaniem byłoby ukrycie się w podziemiu, które w Polsce działa. Dała nam ta Pani do zrozumienia, że ona jako przedstawicielka podziemia może nam ułatwić kontakt z podziemiem. Dla mnie nie ulegała najmniejszej wątpliwości, że rozmówczyni nasza jest agentką bezpieki i prowokatorką prymitywną mającą dać bezpiece "nowe zdobycze". Odpowiedziałem, że my wracamy, by zacząć spokojne życie, a do życia w konspiracji nie chcemy wracać. Odeszła pani - prowokatorka - z udanym śmiechem, że nie skorzystaliśmy z jej "dobrej" rady. Tak nas witała "bezpieka" w Białej Podlaskiej., nas

doświadczonych konspiratorów, mających na ogół niezawodne czujniki sygnalizujące jak promienie do wykrywania "zaprzających", kogo mamy przed sobą. Nasza rozmówczyni miała w naszym odczuciu wypisane na twarzy, dla kogo pracuje. Przedstawicielka "podziemia" nie korzystałaby z pośrednictwa właściciela sklepu tym bardziej, że to pośrednictwo było całkowicie zbędne. Właściciel sklepu niewątpliwie już wtedy był uzależniony od bezpieczeństwa i spełniał jej polecenia, co nie świadczyło dobrze o jego polskości. Zapewne, liczył na nasz rozsądek. Przedstawione spotkanie uliczne w Białej Podlaskiej przekonało nas, że mimo przekroczenia rzeki Bug nie wyszliśmy z sowieckiego systemu zaprzeczonych stref - zakazanych stref, że klasa najwyższa, to jest klasa nadzorców jest równie rozbudowana na zachód od Buga, jak była rozbudowana na wschód od tej rzeki. Zaraz po powyższym spotkaniu "ulicznym", gdy wróciliśmy do barakowego schroniska, koledzy zaniepokojeni zakomunikowali nam, że "jakś władza" przesłuchuje wszystkich przybyłych ze Związku Radzieckiego. W czasie przesłuchiwania pada pytanie, za co przesłuchiwany był skazany. Koledzy pytali mnie, jak powinni odpowiadać na to właśnie pytanie. Poradziłem, by mówili prawdę, ponieważ wraz z nami przekazano do "bezpieki" nasze skrócone akta, a w szczególności podano, za co każdy był skazany. W takiej sytuacji mówienie nieprawdy pogarsza sytuację przesłuchiwanego. Chyba wszyscy podali że byli skazani za przynależność do AK.

Dwa dni następne to jest 15 i 16 września upłynęły nam na czekaniu na wydanie zaświadczeń repatriacyjnych. Tak długo trwało wywoływanie naszych zdjęć. W tym czasie zapoznałem się z licznymi ogłoszeniami umieszczonymi w pomieszczeniach punktu repatriacyjnego /schroniska/. W ogłoszeniach tych podawano nazwiska i adresy rodzin oczekujących na bliskich i znajomych, mających wrócić ze Związku Radzieckiego. Znalazłem ogłoszenie, do kogo ma się zgło-

sić Jerzy Paszyński. Niewątpliwie chodziło o mego zastępcę a później następcy na stanowisku kierownika wydziału propagandy w lwowskiej NOW /Narodowej Organizacji Wojskowej/. Przed moim wywiezieniem ze Lwowa na Ural /czyli przed 22 listopada 1945 r.) wiedziałem, że w sierpniu 1945 r. aresztowano Paszyńskiego "Jastrzębca". Poza tą wiadomością niczego więcej nie wiedziałem o nim. Dopiero ogłoszenie znalezione w Białej Podlaskiej mogło świadczyć, że aresztowany przebywa jeszcze w Związku Radzieckim. Dopiero chyba w roku 1950 od Janiny Akielaszek dowiedziałem się, że Paszyńskiego aresztowała we Lwowie sowiecka kontrрозwiadka bez zarzutów mogących stanowić podstawę skazania. Mimo braku takich zarzutów trzymano go w Różaniu w obozie dla internowanych, skąd zwolniono go z końcem 1948 r. I ja i nasz były lwowski szef Zbigniew Nowosad - "Pękala" "Bialecki" bezskutecznie próbowaliśmy skłonić Paszyńskiego do zobaczenia się z nami. Przypuszczam, że jego rodzina /żona/ nie zezwoliła na nawiązanie łączności z nami.

Wreszcie dnia 17 września wydano nam zaświadczenia repatriacyjne. Niektórzy w tym samym dniu odjechali z Białej Podlaskiej. Największa grupa - około 20 osób - wyjechała rano 18 września pociągiem pospiesznym do Warszawy. Ja jechałem z tą grupą. Na pewnym odcinku drogi obok nas jechał leśnik umundurowany i jakiś jego znajomy. Rozmawiali o różnych sprawach. Poruszyli także zagadnienie polskiej partyzantki. Leśnik podał, że w lasach, gdzie on jest zatrudniony, działa jeszcze polska partyzantka. Dopiero z nastaniem "głębokości" mogliśmy dowiedzieć się, że bezpieka poddała takim prześladowaniem byłych akowców, że oni byli zmuszeni schronić się w lasach.

2. Warszawa.

W Warszawie byliśmy przed południem dnia 18 września. Z dworca wóchniowego samochód ciężarowy PCK zabrał naszą grupę na ul. Mokotowską, gdzie była siedziba PCK. Niechaliśmy ulicami, które wyglądały jak

wąwozy w zwałach gruzów. Trudno było wyobrazić sobie, że na tym miejscu było wspaniałe miasto. W Warszawie przedtem byłem tylko raz i to dopiero w czasie okupacji niemieckiej. Daty mego pobytu nie zapamiętałem. Doskonale natomiast zapamiętałem, że w drugim dniu mego pobytu na odprawie konspiracyjnej, grupa specjalna AK uprowadziła samochód z największą sumą pieniędzy przewożonych z banku. Wypadło mi wieczorem tego dnia wracać do Lwowa drogą kolejową przez Kraków. Z obawą udałem się na warszawski dworzec, bo spodziewać się można było niemieckich aresztowań odwetowych. Na dworcu było bardzo mało ludzi. Wielu wolało odłożyć podróż. Ku memu zdziwieniu na dworzec przybyli dwaj starsi ode mnie panowie, których widziałem na odprawie. Obydwaj mieszkali w Warszawie a na dworzec wyszli, by ze mną porozmawiać przed odjazdem. W rzeczywistości wyszli - jak się tego domyślałem, by koledze ze Lwowa pokazać, że w sytuacjach niebezpiecznych warszawscy konspiratorzy nie pozostawiają gości ze Lwowa osamotnionych. Byli ze mną aż do szczęśliwego odjazdu mego pociągu. Jeden z nich miał pseudonim Józef. On właśnie wypytywał mnie o renegata Romana Wójcickiego "Walewskiego" i o byłego lwowskiego komendanta NOW mgr inż. Jerzego Rübenaubauera - "Mariusza". Chciał znać moją opinię o "Mariuszu". Oświadczyłem, że i ja i wszyscy znajomi uważają "Mariusza" za człowieka godnego zaufania. Później ^{od} Zbigniewa Nowosada "Bieleckiego" mego ówczesnego przełożonego dowiedziałem się, że Józef wraz z innymi prowadził ponownie sprawę największej lwowskiej wyspy, kiedy to Wójcicki - współpracownik Gestapo a zajmujący stanowisko kierownika komórki wywiadu w NOW - spowodował największe aresztowania w dniu 31 maja 1943 r. "Mariusz" wtedy nie został aresztowany. Przeniósł się do Warszawy, gdzie powstało podejrzenie, że "Mariusz" jest współpracownikiem Gestapo. Zapadł na niego wyrok śmierci. Wyroku nie wykonano, bo "Mariusz" nie zjawił się w wyznaczonym miejscu. Nim doszło do wyznaczenia nowego miejsca przybyła do Warszawy łączniczka Marysia

Rasiówna, która z takim przekonaniem mówiła w obsonie "Mariusza", że wykonanie wyroku odroczone a po skonsultowaniu się z "Bieleckim" wyrok cofnięto. "Józef" uważał za wskazane zapytać także mnie w tej sprawie. Po wyjściu "Bieleckiego" z Wronek dowiedziałem się, że "Józef" to adwokat Leon Mirecki, który po wojnie przeszedł przez koszmar cierpień zadanych mu przez "bezpiekę". Jego młodszy brat Adam Mirecki był przedostatnim komendantem NOW we Lwowie. Aresztowany przez Niemców przetrzymał niemieckie więzienia i obozy. Zginął zamordowany po wojnie w głównej mordowni "bezpieki" w Warszawie bez prawa do grobu.

W dniu 18 września 1948 r. widząc swą grupę po Warszawie uświadomiłem sobie jeszcze raz, jak strasznej zbrodni dokonali Hitler i Stalin zgodnie z porozumieniami z sierpnia i września 1939 r. Dzisiaj już znana jest treść tajnych protokołów dotyczących m.in. rozbioru Polski. Prawdopodobnie nie spisano wtedy i później porozumienia dotyczącego takiego zniszczenia Narodu Polskiego, by on nie mógł ani w bliskiej, ani w dalekiej przyszłości utworzyć państwa niepodległego. Są dowody, że spotykali się przedstawiciele Niemiec hitlerowskich i Związku Radzieckiego w sprawie uzgodnienia działań zakładających redukcję ludności polskiej poczynając od warstw najbardziej uświadomionych narodowo. Mimo wybuchu wojny 22 czerwca 1941 pomiędzy imperializmem niemieckim i rosyjskim w wydaniu sowieckim porozumienie w sprawie niszczenia ludności polskiej było realizowane w dalszym ciągu przez obie strony. Najbardziej koszmarnym przykładem w realizacji tego szatańskiego porozumienia było współdziałanie przy niszczeniu Warszawy z jej ludnością bohaterką. Ocalałe resztki ludności warszawskiej wraz z nowymi przybyszami brały się do odbudowy stolicy - do odbudowy materialnej i duchowej. Wzruszające dla nas było przyjęcie naszej grupy w lokalu PCK przy ul. Mokotowskiej. Starsze panie podały nam na tacy nie tylko wspaniałe kanapki, ale także wzruszającą polską łyżeliwość - polak:

solidarność. Te panie nie uległy systemowi zaprzetych zon - zakazanych stref. Dzięki PCK zjedliśmy w Warszawie obiad a później w tym samym dniu to jest 18 września rozjechaliśmy się w różne strony - do swoich rodzin względnie na poszukiwanie swoich rodzin.

3. Pod Przemyśl.

Ja w Białej Podlaskiej otrzymałem bilet bezpłatny do Wrocławia, bo na Uralu otrzymałem wiadomość - jedyną wiadomość, że moja matka osiedliła się w Wyszatycach koło Przemyśla, ale moja żona z dwójkiem dzieci po wyjeździe ze Lwowa w 1946 r. tylko jeszcze przez jakiś czas była u mojej matki a następnie przeniosła się na Śląsk. Adresu żony nie miałem. Wypadło mi jechać najpierw do matki w kierunku Przemyśla. Taki sam kierunek musiał obrać Andrzej Kempa z Czystek, bo miał wiadomość, że jego żona osiedliła się w Walawie koło Przemyśla. Jechaliśmy z Warszawy przez Skarżysko-Kamienną i Tarnobrzeg. Między tymi miejscowościami konduktor sprawdzał w nocy nasze bilety. Widząc na moim bilecie stację docelową Wrocław - sądził, że ja wsiadłem do niewłaściwego pociągu. To był kolejarz z polskim rozumem i z polskim sercem. Wyjaśniłem mu moją sytuację. Uprzedził mnie tylko, że na Śląsku muszę jechać przewidziane, bo tam są "inni kolejarze". Oceniał trafnie.

Dzień 19 września 1945 r. był niedzielą. Kempa wysiadł wcześniej na stacji koło Walawy a ja na następnej stacji w Żurawicy, z której doszedłem do Wyszatyc od strony wschodniej. Wiedziałem, że moja młodsza siostra Józia wyszła za mąż i że teraz nazywa się Urban. Było późne popołudnie, gdy dotarłem do domu, w którym mieszkały moja matka i moja siostra. Wszedłem do izby, w której była tylko siostra. Poznała mnie dopiero wtedy, gdy do niej przemówiłem. Zaraz po przywitaniu się z siostrą zjawiała się zapłakana moja matka. Płakała z radości, że mnie jeszcze zobaczyła, że Bóg wysłuchał jej modlitw - szczególnie modlitw z dnia 15 sierpnia 1948 r. zanoszonych za pośrednictwem Matki Boskiej w słynnym sanktuarium maryjnym położonym na

południe od Przemyśla. Była w tym sanktuarium w pielgrzymce. Matka wracała z niesporów z kościoła parafialnego z Wyszatyocach i właśnie w drodze z kościoła ludzie powiedzieli jej o moim powrocie. Takie powroty były wydarzeniami interesującymi wszystkich Pola-ków - zwłaszcza tych, których przesiedlono za San. W Wyszatyocach oni stanowili połowę ludności. Osiedlono ich w domach, które opuścili Ukraińcy wysiedleni na wschód. W sąsiedniej Walawie osiedlono Polaków z Białki Królewskiej i z Czyszek. Polskich osiedleńców w Walawie spotkało wielkie nieszczęście z winy ówczesnych władz polskich które nie zadbały o bezpieczeństwo osiedleńców, którzy nie wiedzieli, że na zachód od Sanu bandy ukraińskie mają większą swobodę działania aniżeli pod administracją sowiecką, bezpośrednią na wschód od Sanu. Polscy osiedleńcy nie mieli żadnej samoobrony i właśnie na bezbronną ludność Walawy wkrótce po osiedleniu się napadła banda ukraińska, która podpaliła wieś i strzelała do każdego, kogo zobaczyła. Zginął wtedy między innymi mój znajomy Józef Goliszowski, brat zamordowanego w 1918 r. przez Ukraińców Antoniego Goliszowskiego. Niewiele mienia przywieźli ze sobą osiedleńcy ze wschodu, ale i to mienie w większości spłonęło:

Polskie podziemie próbowało organizować skuteczną samoobronę, tworzyć nawet własne grupy bojowe do walki z bandami ukraińskimi, ale właśnie przeciw tym polskim grupom bojowym z szczególną zaciętością występowały oddziały reżimowe. Jeden z moich ziomków z Mikłaszowa przymusowo skierowany do M.O. po demobilizacji ocalał w otoczonym przez bandę ukraińską posterunku tylko dlatego, że na odsiecz temu posterunkowi przyszedł polski oddział partyzancki. Mam znajomego z południowej części powiatu lwowskiego. Jego brat jako polski partyzant broniący ludności polskiej w powiecie przemyskim zginął, gdy partyzantów polskich otoczył oddział wojska, kierowanego przez "bezpiekę". Dopiero po śmierci Karola Świerczewskiego ówczesny reżim przystąpił do energicznego likwidowania band ukraińskich,

przy czym likwidację tę uprościł wywołując ludność z terenów, na których grasowały bandy ukraińskie. Takie uproszczenie dotknęło w dużym stopniu ludność niepełną i to także częściowo ludność polską - w tym osiedloną w czasie przesiedlania ludności polskiej z terenów wschodnich. Nawet moją siostrę starszą Katarzynę Wielgan usiłowano wywieźć w Olsztyńskie. Tylko dzięki interwencji brata Michała, który właśnie wrócił z wojska po demobilizacji, siostrę pozostawiono i osiedlono w Wyszatycach.

O takich i innych sprawach opowiadano mi w czasie pierwszych ~~na~~ spotkań. Tak się złożyło, że właśnie w tym niedzielnym dniu w Wyszatycach był także mój brat, z którym w tym samym dniu wyjechałem do sąsiedniego Poźnia^{ca}, gdzie brat objął niewielkie gospodarstwo.

U brata byłem krótko, bo następnego dnia, to jest 20 września wróciłem do Wyszatyc, by zobaczyć się z rodziną siostry Katarzyny Wielgan. Ona zakomunikowała mi, że ze mną chce zobaczyć się ks. mgr Stanisław Żukowski, proboszcz Walawy a przed przesiedleniem proboszcz Biłki Królewskiej. Odwiedziłem tego dzielnego księdza, który wytrwał na stanowisku w Biłce do pełnego wysiedlenia Polaków z tej wsi.

Chyba tego samego dnia, obdarowany przez rodzinę żywnością i ubraniami wyjechałem do Krakowa mając adres żony mieszkającej w tym czasie w Prudniku na Śląsku Opolskim.

4. Kraków.

W Krakowie zgłosiłem się do placówki - schroniska PUR. Spędziłem w tym mieście dwa dni to jest 21 i 22 września. Pierwszy nocleg miałem w schronisku PUR a drugi nocleg u jednej pani ze Lwowa. Nie znałem jej wcześniej ale chciałem ją poinformować o jej znajomym, z którym byłem razem na Uralu.

W Krakowie chciałem odwiedzić Poznańskiego, wspomnianego już wcześniej Żyda lekarza zagrowego na Uralu. Adres jego miałem od Igora

/Ignacego/ Schönfelda. Pod wskazanym adresem na drzwiach była wizytówka z nazwiskiem Poznański. Na moje pukanie nikt nie wyszedł. W przekonaniu, że nikogo nie ma w mieszkaniu wyszedłem na obszarne podwórze, usiadłem sobie na czymś wygodnym i postanowiłem czekać na Poznańskiego. Niedaleko ode mnie rozsiedli się na swoich stożkach dwaj czy trzej szewcy, którzy woleli pracować na przepięknej ^{progalnie} na dworze niż w warsztacie. Po pewnym czasie jeden z nich zapytał mnie, na kogo ja czekam. Podałem nazwisko Poznańskiego. Szewcy przez jakiś czas coś po cichu między sobą mówili. Byłem przekonany, że mówili o mnie i że po moim wyglądzie a zwłaszcza po nowym kombinzonie, w którym paradowałem po Krakowie, doskonale orientowali się, że wracam z Domu Niewoli. Po pewnym czasie jeden z szewców zapytał mnie, czy ja wiem, że Poznański jest obecnie komisarzem Milicji Obywatelskiej. Oczywiście tego nie wiedziałem, ale ta informacja spowodowała, że nie czekałem dalej na Poznańskiego i później nie uczyniłem niczego, by z nim nawiązać kontakt. Jestem przekonany, że Poznański byłby mnie przyjął bardzo życzliwie i byłby się starał pomóc mnie w zakorzenieniu się w nowych warunkach, ale wtedy miałem tak wielkie uprzedzenie do przedstawicieli aparatu przemocy, że wyrzekłem się spotkania z Poznańskim. Nie znam dalszych kolei życia Poznańskiego. Może ukończył studia medyczne i uszedł na Zachód? Szybkie osiągnięcie funkcji oficerskiej w MO może świadczyć nie tylko o wielkiej zaradności życiowej Poznańskiego, ale i może w solidnym powiązaniu z ówczesnymi aparatozykami reżimowymi. Może to powiązania zaistniały w prosowieckich organizacjach komunistycznych w latach poprzedzających wybuch II wojny światowej. Jak Poznański "przeskoczył" fakt, że był skazany za propagandę antyradziecką? Tu znowu nasuwa się mi stwierdzenie mądrego Żyda polskiego, że Żydom bardzo złą opinię wyrobili wśród Polaków ci Żydzi, którzy tak chętnie i tak licznie znaleźli się w organach reżimu prosowieckiego, zwłaszcza w "bezpiece".

Samego Krakowa nie miałem ochoty i czasu zwiedzać. Byłem tylko w Kościele Mariackim, by odbyć spowiedź po okresie obejmującym 3 i pół roku. Był to długi okres i wydaje mi się, że to był chyba jeden z najlepszych okresów w moim życiu, bo chyba w tym okresie najmniej Pana Boga obraziłem i w nim towarzyszyło mi szczególne Miłosierdzie Boże. O ileż cięższy ten okres był dla akowców, którym wypadło żyć - a często ginąć pod reżimem zaprowadzonym przez Rosję sowiecką na obszarze zwanym Polską, gdzie tak wiele znalazła ta Rosja sowiecka, gorliwych wykonawców jej antypolskich zamierzeń, gdzie tak szybko budowała dla Polaków swój system zapietnych zon - zakazanych stref.

Ale we wrześniu 1948 r. na szczęście jeszcze ogromna większość społeczeństwa polskiego mimo stosowania terroru deprowacji zachowała swoje polskie oblicze. Objawy polskiego postępowania widziało się prawie na każdym kroku. Wystarczyło w biurze PUR w Krakowie, że zakatwiającemu moją sprawę pracownikowi powiedziałem że w dniu 13 września 1948 r. przekroczyłem "linię demarkacyjną" na Bugu (świadomie nie użyłem wyrazu "granica"/ a pracownik przerwał czynności, przeprosił mnie i za chwilę przyniósł sporą sumę pieniędzy zebranych dla mnie wśród współpracowników - jestem przekonany, że głównie dlatego, że nie użyłem w tym wyrazu "granica". Odmówiłem przyjęcia, pieniędzy ale byłem głęboko wzruszony postawą pracowników PUR-u A przecież w tym czasie zarobki nie były zbyt dobre.

W schronisku krakowskiego PUR pielęgniarka w średnim wieku namówiła mnie, bym ubiegał się o skierowanie na wypoczynek w domach czasowych. Istotnie w Krakowie otrzymałem skierowanie do Dusznik-Zdroju na wozasy dwutygodniowe od 1 października. Wyposażony w to skierowanie i wzbogacony o amerykańskie ubranie żołnierskie także buty i płaszcz w dniu 23 września rano ruszyłem pociągiem

w kierunku zachodnim, by w tym samym dniu wieczorem wczesnym dojechać do Prudnika.

5. Pan do kogo ?

Na stacji w Katowicach nie miałem trudności w znalezieniu pociągu odjeżdżającego w stronę Kędzierzyna, ale w tym pociągu miałem trudność w znalezieniu kogoś, kto mógłby mi powiedzieć, gdzie jest Prudnik. Współpasażerami byli przeważnie ludzie młodzi, którzy wracali do swych domów po pracy w katowickich zakładach. Znali dokładnie trasę do Kędzierzyna. Daleszej trasy przeważnie nie znali. W końcu znaleźli się tacy, którzy ustalili, że Prudnik Niemcy nazywali "Neustadt" z dodatkiem "Oberschlesien", i że to będzie kilka stacji za Kędzierzyna. Gdy pociąg minął Kędzierzyn, dokładnie sprawdzałem nazwę każdej stacji i pytałem współjadących o Prudnik. Słońce zaszło i zaczynał się zmrok, gdy wysiadłem w Prudniku i znalazłem się przed dworcem, skąd jedni kierowali ^{nie} na lewo a drudzy na prawo w stronę miasta.

W starej rodzinie koło Przemyśla był dosyć dawno pisany przez żonę list, z którego wynikało, że żona mieszkała w budynku, przy wodociągach miejskich. Ktoś zapytany o wodociągi miejskie powiedział mi, jak mam iść, by dojść do obszernego placu, gdzie mam prosić o wskazanie dalszej drogi. Dotarłem do tego placu - nazwano go - chyba na kpinę - placem Wolności. Na tym placu wskazano mi ulicę, którą miałem iść kierując się odgłosem maszyny parowej poruszającej pompy wodociągowe. Rzeczywiście słychać było pracę maszyny parowej. Był to dla mnie doskonały drogowskaz. Ulica robiła wrażenie bezлюдnej. Po prawej stronie /parzystej/ były domy a później większe zabudowania, a po lewej /nieparzystej/ był park miejski a za nim tereny ogrodnicze. Gdy mijalem większe zabudowania idąc wzdłuż parku, czyli po przeciwnej stronie jazdy, ktoś mnie oświetlił latarką elektryczną a po chwili podszedł do mnie osobnik i zaczął wypytywać

mnie, do kogo idę. Był to wartownik pilnujący magazynów. Uznał za wskazane sprawdzić zauważywszy, że niesę worek na plecach. Zapewne wziął mnie za kogoś, kto zajmuje się przemytem poprzez pobliską granicę polsko-czechosłowacką. Żle pomyślałem o tym wartowniku, mimo że on zadzwolił się moimi wyjaśnieniami i zapewnił mnie, że idę we właściwym kierunku i że wodociąg są tam, gdzie widoczne są światła. Wkrótce doszedłem do doskonale oświetlonego placu wodociągowego.

Nadeszła chwila, o którą modliłem się na Uralu, o której marzyłem, a której bałem się jadąc od Przemyśla, gdzie opadły mnie wątpliwości i niepokój. Nie miałem pewności, czy zastanę rodzinę, w jakim stanie i jak zostaną przyjęty po długiej rozłące. Wszedłem na jasno oświetlony plac przed maszynownią wodociągową. Wyszedł z niej pracownik. Zapytałem go, czy w obok stojącym piętrowym budynku mieszka Maria Wojdyła. Dał odpowiedź twierdzącą i podał, że mieszka na I piętrze. Prosiłem go, by zawołał wymienioną osobę. Wyraził gotowość zawołania, ale zapytał, kim jestem. Odpowiedziałem, że jestem znajomym Marii Wojdyły i że przyjechałem z Przemyśla. Po chwili zjawiła się żona - po dawnemu piękna młoda kobieta. Stała dość daleko ode mnie i po chwili zapytała: Pan do kogo? Dopiero, gdy wypowiedziałem jej imię: Marylu - zorientowała się, że ma przed sobą męża. Weszliśmy do mieszkania, w którym przywitałem się z teściową, jej siostrą, z synem Andrzejem, uczniem II klasy szkoły podstawowej i z 4-letnią córeczką Teresą. Andrzej mnie pamiętał, ale mój obecny obraz tak nie pasował do mego obrazu sprzed 4 lat, że chłopak często mylił się i mówił do mnie przez "pan". A córeczka zazdrosna o miłość matczyną przez długi czas traktowała mnie jak intruza i odnosiła się do mnie z niechęcią. Żona wprawdzie zewnętrznie nie zmieniła się, ale ciężkie życie z dwojgiem dzieci pozostawiło w jej sercu sporo goryczy i żalu do mnie. Nie spełniłem jej dziewczęcych marzeń i jej kobiecych oczekiwań.

6. Na remoncie kapitalnym w Dusznikach-Zdroju.

Ponieważ w dniu 1 października zaczynały się moje wozasy w Dusznikach-Zdroju, wyjechałem 29 września z Prudnika do Wrocławia, by odwiedzić mieszkających tam ziomków z Mikłaszowa: Piotra Mikickiego i Daniela Juszczyzyna. Od nich otrzymałem adres ant. Józefa Romaszkiwicza, znanego nam jako kierownika budowy kościoła w Mikłaszowie. Odwiedziłem go i on wyraził gotowość znalezienia dla mnie odpowiedniej pracy we Wrocławiu.

W Dusznikach-Zdroju stworzono dla takich jak ja takie warunki zakwaterowania i wyżywienia, że przekroczyły one nasze najśmielsze marzenia. Gdy kończył się mój dwutygodniowy okres, kierownik domu wczasowego postarał się o przedłużenie mego pobytu do końca października. Miarą wspaniałego wyżywienia jest fakt, że po miesiącu przybyło mi 16 kg. Przepiękna pogoda pozwalała na robienie bliskich wycieczek i dalszej wycieczki zbiorowej do Wambierzye i Gór Stołowych.

Przez jakiś czas w domu wczasowym byłem razem z ormiańskim księdzem Kwapińskim ze Lwowa. Został zwolniony z sowieckich łagrów wtedy, kiedy i mnie zwolniono. W swoich wspomnieniach wracał do czasów, kiedy był młodym kapłanem w tworzonej we Francji w czasie I wojny światowej armii polskiej, nazywanej potocznie armią błękitną, albo armią Hallera. Po I wojnie światowej w pierwszych latach Polski międzywojennej był kapłanem wojskowym chyba w Brześciu nad Bugiem. Zgodnie z obozową zasadą nie pytałem tego księdza, jak doszło do skazania go na pobyt w sowieckich łagrach.

W Dusznikach przypadkowo zetknąłem się z warszawską dziennikarką. Dała mi nawet swój adres, bym ją poinformował w razie potrzeby o ewentualnych trudnościach w znalezieniu pracy odpowiedniej.

Z dwóch krótkich rozmów nie mogłem zorientować się, jaki był jej stosunek do tworzonej nad Wisłą i Odrą rzeczywistości. Ja nie

ukrywałem swego pesymizmu opartego na doświadczeniach poznanych w Związku Radzieckim.

Jednego popołudnia zrobiłem pieszy wypad do miejscowości w pobliżu Dusznik, gdzie pod wskazanym adresem miałem przeglądnąć pozostawiony przez niemieckiego adwokata księgozbiór. Użytkowniczka mieszkania zajętego po adwokacie ochętnie przyjęła mnie i umożliwiła mi przeglądnięcie książek. Było tych książek jeszcze sporo, ale w moim mniemaniu nie przedstawiały one wartości, gdyż zawierały głównie ideologię hitlerowską. Nie było książek fachowych z zakresu prawa. Podobno były takie książki, ale przede mną przeglądał bibliotekę jakiś nasz adwokat i on zabrał interesujące go książki. Tak więc moja wyprawa po złote runo książkowe dała mi jedynie dowód, że każdy reżim totalitarny po podporządkowaniu sobie wydawnictwa produkuje książki bez wartości lub mało wartościowe.

W połowie mego pobytu w Dusznikach-Zdroju odwiedził mnie kolega Wincenty Lukas, brat wspomnianej już Magdaleny Lukas. Dowiedziałem się od niego, że kol. Magda wróciła do Kraju w pierwszych dniach października, to jest wkrótce po moim powrocie. Nawiązałem z nią łączność korespondencyjną. Podała w jednym z listów, że z łagru zwanego Bolinder zwolniono wszystkie Polki z wyjątkiem dwóch: Komarnickiej ze Lwowa i Lacrois z pod-lwowskiej Trzeciej Wólki. Te dwie wróciły dopiero w 1955 r. Kol. Wincenty Lukas wy dostał się z sowieckich łagrów na podstawie układu zawartego w 1947 r. pomiędzy rządem londyńskim a Związkiem Radzieckim. Wy dostał się tak późno, że już nie ~~zaxxyk~~ zdążył do armii Andersa. Z konieczności znalazł się w I armii. Z tą armią przeszedł jej szlak bojowy. Po demobilizacji podjął pracę we wrocławskiej Izbie Skarbowej. Nawiał mnie do pracy w tej instytucji, w której jego ojciec zarezerwował dla mnie odpowiednio stanowisko. Nie skorzystałem z uczynności Lukasów, gdyż nie starczyło mi sił psychicznych na przenosiny z Prudnika do Wrocławia. Moja "wrodzona" wada w postaci braku przed-

siębiorczości wzmogła się po doświadczeniach łagrowych. Mimo woli przyzwyczałem się, że o moim życiu ma decydować "siła zewnętrzna". Do tego złego nastawienia do życia dołączyło się jeszcze przekonanie, że Rosja sowiecka będzie musiała zwrócić Polsce Ziemię Wschodnią z Lwowem i Wilnem. Inaczej mówiąc brałem pod uwagę możliwość powrotu do Lwowa i dlatego nie czyniłem większych starań o założenie dla siebie i mojej rodziny wygodnego gniazda na Ziemiach Odzyskanych. Żartobliwie za Bartkiem Zwycięzcą mawiałem "koń srokacz, żona z Magdą, co ma Bóg dać to i tak da".

7. Szukanie pracy w Prudniku.

W ostatnim dniu października wróciłem z Dusznik-Zdroju do Prudnika i zaraz zacząłem starania o znalezienie odpowiedniej pracy zarobkowej. Obszedłem kilka ważniejszych zakładów pracy w Prudniku i mimo posiadania wyższego wykształcenia prawniczego nie znalazłem w tych zakładach wolnych miejsc do pracy umysłowej. Stanowiska pracowników umysłowych obsadzone były szczelnie, bo na te stanowiska zgłaszało się wielu kandydatów korzystających z zasady dopuszczania na takie stanowiska ludzi bez średniego wykształcenia w ramach tak zwanego awansu społecznego. W gruncie rzeczy dawanie możliwości zajmowania stanowisk bez świadectw maturalnych było konieczne, bo w czasie wojny nie było jawnych szkół średnich. Z drugiej strony reżim szybko wykorzystywał "ludzi z awansu" starając się o zrobienie z nich wiernych zwolenników nowych "porządków" w myśl zasady: To, co osiągnąłeś, zawdzięczasz nam. Szybko zlecisz, jeśli nam nie będziesz wiernie służył.

Szukając pracy stwierdziłem, że w niektórych zakładach pracy wahano się, czy takiego człowieka jak ja można angażować do pracy. Nie ukrywałem, że wróciłem ze Związku Radzieckiego po zwolnieniu z łagru a w łagrze znalazłem się za przynależność do AK. Widocznie zakłady pracy miały poufne instrukcje, żeby nie ułatwiać sytuacji ludziom

z organizacji zwalczanych przez reżim. Może kierownicy zakładu bali się "na wyrost". W jednym zakładzie zastępca dyrektora z życzliwości pouczył mnie, że powinienem wystrzegać się mówienia źle o Związku Radzieckim.

Wreszcie w połowie listopada 1948 r. zacząłem pracować w księgowości młyna w Prudniku, ale tylko do czasu wykonania zaległych prac. Złożyłem podanie do Izby Skarbowej w Katowicach o przyjęcie mnie do pracy w ówczesnym Urzędzie Skarbowym w Prudniku. Przy sporządzaniu notarialnych odpisów moich dokumentów a zwłaszcza odpisu z odpisu dyplomu ukończenia studiów prawniczych z pięknymi wynikami notariusz Fryderyk Zymonik tak gorąco namawiał mnie do odbycia aplikacji sądowej, że zachęcony przez niego i ówczesnego prezesa Sądu w Prudniku złożyłem podanie o dopuszczenie mnie do odbycia takiej aplikacji, mimo że nie wierzyłem w pomyślne załatwienie mego podania. Istotnie otrzymałem odpowiedź odmowną bez żadnego uzasadnienia. Ta odmowa była dla mnie wymownym dowodem, że Kraj nasz znalazł się w systemie sowieckich stref zakazanych i że w przyspieszonym tempie prowadzona jest akcja niszczenia polskich odrębności, polskich struktur społecznych i gospodarczych, a na ich miejsce wprowadzany jest sowiecki podział społeczny na trzy grupy społeczne: lud pracujący, kierowników i nadzorców. Tych ostatnich chyba było więcej niż w Związku Radzieckim. A ja na nich tak byłem wtedy wyczulony, że już z daleka ich rozpoznawałem. Zaraz po kilku dniach pobytu w Prudniku idąc ulicą zauważyłem koło jednego budynku stojących 3 młodych mężczyzn. Pomyślałem, to nadzercy. Nie pomyliłem się, bo jeden z nich podszedł do mnie i sprawdził, kim jestem. Jego zainteresowanie moją osobą o tyle było wytłumaczalne, że miałem na sobie przefarbowane ubranie żołnierza amerykańskiego, a nadzercom wtkaczano do głowy, że wszystko, co z Zachodu, to wrogie dla ustroju i oczywiście zagraża nadzercom, którzy już wtedy mieli smak sprawowania władzy, czuli się panami życia i śmierci.

A ta śmierć nie była literackim sformułowaniem. Ona zdarzała się i to bardzo często. Zetknąłem się z tym zjawiskiem w kilka miesięcy później, gdy po przyjęciu mnie do pracy w Urzędzie Skarbowym w Prudniku - stało się to 6 grudnia 1948 r. zobaczyłem na korytarzu tego Urzędu - młodą kobietę w wysokiej odąży zapłakaną. Jeden z kolegów wyjaśnił mi, że mąż tej kobiety - kierownika młyna - aresztowała bezpieka a aresztowany popełnił samobójstwo podcinając sobie żyły w rękach. Jako doświadczony łagiernik doskonale wiedziałem, że więzień w czasie śledztwa nie ma możliwości popełnienia samobójstwa. W kilka lat później poznałem bliżej kobietę żonę rzekomego samobójcy. Wyszła drugi raz za mąż, ale nie mogła zapomnieć o tragicznej śmierci pierwszego męża, który pochodził z Wileńszczyzny i w czasie okupacji niemieckiej był w AK. Kobieta jako głęboko religijną głębika świadomość, że mąż popełnił samobójstwo. Dopiero ja ją uświadomiłem, że samobójstwo nie jest grzechem, jeśli ktoś zadaje sobie śmierć, by ratować innych. Wytłumaczyłem kobiecie, że jej mąż zamordowano a mord upozorowano samobójstwem. Zapytałem ją, czy umożliwiono jej oglądnięcie zwłok męża. Podała, że zawołano ją na pogrzeb, ale zwłok jej nie pokazano. Miała dwoje dzieci z pierwszym mężem. Gdy wyszła powtórnie za mąż, drugi mąż dał swoje nazwisko pasierbom. Gdy syn z pierwszego małżeństwa poszedł na studia, wrócił do nazwiska swego ojca, bo uważał, że powinien mieć nazwisko tego ojca, który walczył w szeregach AK i za to został zgładzony przez bezpiekę. Teraz rehabilituje się wielu zamordowanych, ale ciągle jeszcze nie porusza się spraw takich, jak przedstawiona przeze mnie.

8. Komu on służy ?

Środowisko pracownicze w Urzędzie Skarbowym w Prudniku było bardzo dobre i było ^{do} ~~sta~~ minie życzliwe ustosunkowane. Nie mogłem aprobować postępowania naczelnika tego Urzędu, absolwenta wileńskiego wydziału prawa. W tym czasie urzędem skarbowym zgodnie z sowiecką zasadą niszczenia polskich struktur gospodarczych wyznaczone zadanie zlikwi

dowania tak zwanej inicjatywy prywatnej z jednoczesnym ograbieniem przedstawicieli tej inicjatywy. A naczelnik Urzędu Skarbowego w Prudniku wykonywał to zadanie ze szczególną gorliwością. To mnie do niego zrażało. On wiedział, że ja takich metod, jakie on stosował, nie uważam za słuszne. Może dlatego powiedział mi prace mniej związane z niszczeniem prywatnej inicjatywy. Ale on jeszcze chciał się wykazać aktywnością społeczną. Bardzo włączył się do prac w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Do tych prac wciągał także podległych sobie pracowników. Jednego razu usiłował mnie skłonić do wygłoszenia referatu o przyjaźni polsko-radzieckiej w największym prudnickim zakładzie pracy. Nie ukrywam, że znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji. Chodziłem jeszcze w amerykańskim przefarbowanym ubraniu żołnierskim, które wskazywało, że mnie wypuszczono z sowieckich łagrów. Miałem mówić do ludzi, którzy uważali Związek Radziecki za wroga nr 1 Narodu Polskiego a takich prelegentów, jakim ja miałem być, za renegatów - za zaprzańców. Z drugiej strony musiałem się liczyć z despotyzmem mego przełożonego i z możliwością pozbawienia mnie pracy. W tej trudnej sytuacji sięgnąłem instynktownie po sowiecki środek a mianowicie po strach. Powiedziałem swemu przełożonemu tak: Panie naczelniku, ale jeśli ja na zebraniu powiem coś nie tak, jak trzeba, to ja zaszkodzę nie tylko sobie, ale i panu. Moje powiedzenie było tak skuteczne, że mój przełożony nie wysłał mnie jako prelegenta nie tylko na to zebranie, ale na żadną inną. Wolał nie ryzykować, a ja miałem święty spokój.

Nie uniknąłem natomiast masowego sprawdzania ksiąg podatkowych. W dwa miesiące po przyjęciu mnie do pracy musiałem pójść z pracownikiem o dłuższym stażu pracy na kontrolę. Weszliśmy do restauracji. Młodej sennie restauratora przedstawiliśmy, w jakim charakterze występujemy. Zaprosiła nas do pokoju i poprosiła, byśmy zjedli śniadanie. Wyciągnęła wspaniałą salceson. Kolega i ja odmówiliśmy zjedzenia

śniadania. Kolega ku memu zdumieniu zażądał od restauratorki, by pokazała rachunek na salceson. Restauratorka nie miała rachunku i salceson nie był wpisany do książki podatkowej. Kolega sporządził odpowiedni protokół, na podstawie którego domierzone restauratorowi podatek niewspółmierny do rzeczywistego obrotu i dochodu z restauracji. W czasie pisania protokołu nie znałem bliżej kolegi i nie odważyłem się doradzić, by pominął nieszczęsny salceson. Zdarzenie to gnębiło mnie. Po latach przekonałem się, że zdarzenie to jeszcze bardziej gnębiło kolegę, który sporządził protokół. Gdy w wyniku zniszczenia prywatnych przedsiębiorstw wypadło nam stać w długiej kolejce po chude mleko sprzedawane w "uspołecznionej placówce handlowej", kolega przypomniał zdarzenie z salcesonem i zwierzył się, że byby nie sporządził nieszczęsnego protokołu, gdyby wtedy wiedział, że byłem Polakiem godnym zaufania. On i zapewne pozostałi pracownicy Urzędu Skarbowego - uważał, że ja mogę być agentem sowieckim. Takie podejrzenie zrodziło się z przypuszczenia, że mnie z łagru zwolniono po odbyciu tylko trzeciej części wyroku dlatego, że obiecałem współpracować na rzecz agencji sowieckich. Może z powodu takiego podejrzenia przez długi czas koledzy w mojej obecności nie mówili na drażliwe tematy polityczne.

A ja sam też uległem sowieckiemu zarankewi strachu i podejrzliwości. Zakładałem, że "bezpieka" otrzymała zadanie szczególnego obserwowania takich jak ja. Podejrzenie to miało uzasadnienie nie tylko w znajomości systemu, ale i w fakcie, że jednego z naszej grupy wypytywano o nasze spotkania. Rzeczywiście co kilka miesięcy spotykaliśmy się w Gliwicach i o tym bezpieka wiedziała. Unikalem nawiązywania szerszych znajomości i nie tylko z braku czasu /od połowy 1952 r. stale byłem zatrudniony w wymiarze 1 1/2 etatu/ ale i z ostrożności - zapewne przesadnej.

Mimo wycofania się "do prywatności" nie ukrywałem swoich poglądów w rozmowach prywatnych oraz w pracy zawodowej, ale publicznie nie kry-

tykowałem ustroju ani też publicznie nie potępiałem polityki zmierzającej do zniszczenia tożsamości Narodu Polskiego, mimo że miałem pełną świadomość, że są sowieckie zamierzenia zniszczenia naszej tożsamości narodowej i widziałem jak te zamierzenia są z dużą konsekwencją realizowane.

Bardzo mnie gnębiła świadomość, że ja i mnie podobni nie tylko nie próbujemy skutecznie przeciwstawić się sowieckim poczynaniom w PRL, ale w jakimś stopniu w tych poczynaniach uczestniczymy. Szczególnie gnębiła mnie polityka odpychania autochtonicznej ludności Śląska od polskości. Obserwowałem z przerażeniem jak tę ludność, która bohatersko przeciwstawiała się przez wieki germanizacji, wprost przemocą woiskano w "pochodzenie niemieckie". Miara moich cierpień moralnych przepełniła się, gdy jako kierownik resortowego wydziału w ówczesnym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Prudniku zostałem zaprzysięgnięty do realizacji antypolskiego zwalozania Kościoła na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Zwalozanie to miało wielorakie formy. Jedną z tych form było założenie, że Kościół nie jest właścicielem gruntów pod obiektami kościelnymi na Ziemiach Odzyskanych. Władze administracyjne zmuszano do wymierzania Kościołowi bardzo wysokich opłat za te grunty. Poufnie zwalniano od tych opłat takich proboszczów, którzy łamiąc polecenia swych biskupów podpisywali coś, co można by nazwać "układ z diabłem". Takich proboszczów było na szczęście mało, ale byli.

Ja w tym czasie należałem do Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich i byłem w tej organizacji dosyć czynny, bo wtedy wierzyłem, że działalność tego Towarzystwa jest pożyteczna. Postanowiłem zwrócić się do tego Towarzystwa, by przeciwstawiło się germanizacyjnym praktykom ówczesnych władz. Wystosowałem do tego Towarzystwa bardzo ostrożne i wyważone pismo następującej treści:

Prudnik, dnia 1 czerwca 1959 r.

Prezydium Rady Narodowej

Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich

W WARSZAWIE

Aleje Jerozolimskie 47

Od trzech tygodni jako pracownik rad narodowych biorę udział w wykonywaniu zarządzeń Ministra Gospodarki Komunalnej, zawartych w jego piśmie okólnym nr 20 z dnia 23 kwietnia br.

Zarządzenia te zmierzają do niezłecznego przejęcia pod administrację państwową wszystkich nieruchomości /budynków i placów budowlanych/ posiadanych na Ziemiach Zachodnich przez Kościół i inne związki religijne oraz do wymierzenia czynszów za użytkowanie tych obiektów od 1 stycznia 1959 r. Resort gospodarki komunalnej ma się wstrzymać od przejmowania budynków o charakterze sakralnym, gdyż te budynki podlegają kompetencji organów do spraw rzyznań.

Jako podstawę prawną podane w cytowanym piśmie fakt, że na podstawie dekretu z dnia 8 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i ponemieckich /Dz.U. Nr 13, poz. 87/. Kościół i inne związki religijne uznawane przez Państwo, nie weszły w prawa Kościoła niemieckiego i analogicznych niemieckich związków religijnych, to znaczy nie mają prawa do ponemieckich majątków kościelnych. Wprawdzie do chwili obecnej nie zapadła decyzja o przejściu tych majątków na Skarb Państwa, ale jako majątki bez właściciela podlegają administracji państwowej. Tak przedstawia się w skrócie treść denieszego w skutkach pisma okólnego Ministra Gospodarki Komunalnej.

Mnie niepokoją właśnie te skutki i z tego powodu zwracam się do Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich z prośbą, by rozważyło dodatnie i ujemne konsekwencje wykonania zarządzeń wyżej wymienionego pisma okólnego.

Nie ukrywam, że mam promyk nadziei, że Prezydium Rady Narodowej TRZZ będąc częściowo podzielił mój pogląd na omawiane zagadnienie

i zgodnie z polskim sumieniem obywatelskim przedstawi swe stanowisko władzom resortowym z wnioskiem o wyeliminowanie szkodliwych dla polskości następstw, jakie w moim przekonaniu da wykonanie zarządzeń Ministra Gospodarki Komunalnej.

Mój pogląd na tę sprawę jest taki: Korzyść dla Państwa widzę jedną tylko - zwiększenie dochodów z czynszów, co przy zapowiedzianej i częściowo już wprowadzonej w życie podwyżce czynszów może pozwoli na pokrycie wydatków, związanych z utrzymaniem budynków, posiadanych dotychczas przez Kościół i inne związki religijne. W rezultacie będzie zgodnie z powiedzeniem "Maciek zarobił, Maciek zjadł", a na barki administracji rad narodowych spadnie nowy kłopot, z którym ta administracja nie zawsze i nie wszędzie będzie dawała sobie radę, jak to wykazała gospodarka mieszkaniowa w wielu miastach na Ziemiach Zachodnich.

Nasuwa się więc pytanie, czy nie lepiej pozostawić nadal w administracji kościelnej kościelne budynki poniemieckie., które były i są utrzymywane przez tę administrację w stanie należytym. Z punktu widzenia finansów i utrzymania substancji mieszkaniowej wydaje się, że lepiej byłoby utrzymać stan dotychczasowy.

Jeśli postanowiono inaczej, to czym się kierowano ? Czy tylko chęcią wyjaśnienia nie rozstrzygniętej i nie uregulowanej do końca kwestii właściciela poniemieckich majątków kościelnych ?

Trudno nie podać się przykrej myśli, że może chodziło o coś więcej, o coś, co już wkracza w sferę ustosunkowania się władz państwowych do religii. Nie ukrywam, że mnie jako katolika, marzącego o normalizacji stosunków pomiędzy Państwem a Kościołem ta myśl szczególnie niepokoi, a moja wiara w trwałość zdobyczy Października traci pod wpływem takich myśli grunt pod nogami. Ale to nie jest najważniejszy powód do niepokoju, jakkolwiek ogromnie ważny. Ostatecznie nacisk na religię, bo tak po imieniu można by nazwać - często okazywał się środkiem wzmagającym żarliwość religijną. Dla przykładu

można przytoczyć, że w krajach zachodnich, gdzie władze państwowe podobno z prawdziwą obojętnością odnoszą się do religii - obojętność ta niestety udziela się i społeczeństwu w jakimś stopniu, a u nas - wydaje mi się, że zainteresowanie społeczeństwa religią warasta w takim stopniu, w jakimiś tymi sprawami zajmują się czynnicy rządzący. Ale to - jak zaznaczyłem - nie należy do sedna sprawy.

Sedno sprawy widzę na płaszczyźnie polskości Ziemi Zachodnich. Od 11 lat pracuję w powiecie prudnickim, którego połowę ludności w przybliżeniu stanowią Polacy pochodzenia miejscowego, a drugą połowę Polacy napływowi przeważnie z ziem wschodnich.

Ludność miejscowa za czasów niemieckich uważała się za Polaków i we wszystkich wsiach przez nią zajętych mówiła tylko po polsku. Tak twierdzą zgodnie wszyscy, którzy w tym czasie na tych terenach przebywali. Dzisiaj pod tym względem nastąpiło pogorszenie. Wielu młodych ludzi usiłuje mówić między sobą po niemiecku. Przymuszałoby to być rodzaj manifestacji świadczącej o niechęci do naszych porządków. Często można spotkać się z powiedzeniem "Polak", co w ustach człowieka miejscowego oznacza ludność napływową. Siebie autochton na ogół pod tą nazwą nie podciąga w stosunkach prywatnych. W rozmowach i myślach ludności autochtonicznej zbyt często przemija się miraż dobrobytu i rzekomej potęgi Niemca Adenauera.

przez czynny udział niemieckich ministrów z przekroczenia granic!
Analizując że nieposlednią rolę w pomniejszeniu polskości u tej ludności odegrało nasze własne postępowanie, nasz stosunek do tej ludności, ten fakt nieszczęsny, że nie potrafilismy, czy nie mogliśmy pokazać właściwego oblicza Polski.

Czy zło można naprawić? Wierzę, że można, chociaż na to trzeba będzie bardzo długiego okresu czasu, bo niechęci o charakterze urazu psychicznego - uzasadnionego, czy nie uzasadnionego - ustępują powoli, a czasem idą za człowiekiem do grobu. Dlatego może trzeba czekać na zmianę generacji. Jeden jednak warunek bezwzględnie musi być spełniony: nie wolno w żadnym wypadku stwarzać nowych urazów psychicz-

nych, nie wolno stwarzać sytuacji, w których musi nasunąć się porównanie a jak to było za czasów niemieckich, przy czym przy takim porównaniu może nasze postępowanie wypaść gorzej w zestawieniu z postępowaniem Niemców.

Nawet kropelki zniechęcenia - obojętne - jeszcze raz podkreślam - uzasadnionego, czy nie uzasadnionego - mogą zbierane przez dłuższy czas wypełnić psychikę człowieka tak, że ten człowiek nie będzie zdolny widzieć naszych pozytywów. Tym bardziej niebezpieczne są potężniejsze "zastrzyki zniechęcenia". Widziałem skuteczność takiego "zastrzyku", jakim było wywiedlenie sióstr zakonnych. Nawet ludzie niereligijni potępili formy, jakie towarzyszyły temu wysiedleniu. Teraz przygotowujemy nowy - jeszcze gorszy "zastrzyk niechęci". Gorszy bo mający charakter kolca trwale tkwiącego za paznokciem. Mam na myśli praktyczne przejęcie przez rady narodowe budynków takich, jak plebanie, pomieszczenia, w których odbywają się zebrania i nauka religii, budynki zajęte przez zakony i instytucje kościelne.

Ludność miejscowa nie będzie rozważała naszych subtelności prawnych, których my sami nie spieszyliśmy się realizować przez 15 lat, ale będzie sądziła nasze pociągnięcia według chłopskiego rozsądku. I trudno będzie takim sądom odmówić słuszności. Bo i jak wytłumaczyć tzw. "autochtonowi", że plebania, którą budowali jego przodkowie, a może i on sam, to majątek ponemiecki, od którego trzeba płacić czynsz do kasy państwowej. Nie ulega wątpliwości, że u takiego Polaka miejscowego pochodzenia może zrodzić się refleksja że za czasów niemieckich tego nie było i że u Adenauera też tego nie ma. Czyż Adenauer mógłby coś lepszego na korzyść swojego rewizjonizmu wymyślić ?

Może mniej groźnie ta sprawa przedstawia się u ludności napływowej. Ludność ta również nie uzba naszego przejęcia nieruchomości

kościelnych za uzasadnione i słuszne. Przecież ta ludność to przeważnie przesiedleńcy ze wschodu. Uważają oni, że tu objęty majątek kościelny to nic innego jak należy ekwiwalent za taki majątek pozostawiony na wschodzie. Ludność ta w głębi serca chce zapuścić korzenie na Ziemiach Zachodnich, ona w żadnym wypadku nie chce mieć tutaj stanu wyjątkowego. Ona chce, by Ziemia Zachodnie były taką samą Polską jak Polska centralna. Nasz stosunek do tak zwanego poniemieckiego mienia kościelnego, stwarzający wyjątkową sytuację dla Kościoła na Ziemiach Zachodnich napewno zrodzi refleksje, że coś jednak z tymi Ziemiemi jest inaczej, niż z Polską centralną. A to samo właśnie mówi niemiecki rewizjonizm.

Po Październiku zaznaczyła się gwałtowna tendencja narastania przywiązania ludności Ziemi Zachodnich z jednej strony do tych Ziemi a z drugiej strony do władzy ludowej i w ogóle do ustroju naszego. Realizacja cytowanego okólnika Ministra Gospodarki Komunalnej temu narastaniu na-pewno zaszkodzi.

Dlatego uważam, a mój sąd chyba nie jest oderwany, że należy wycofać ten okólnik.

Można poprzestać tylko na przejęciu placów budowlanych i budynków czynszowych to znaczy takich, które z swego przeznaczenia miały być wydzierżamione w celach dochodowych.

Pamiętajmy, że nasza granica zachodnia biegnie nie tylko wzdłuż Odry i Nysy, ale także wzdłuż serc ludności, która w dużym odsetku jest jeszcze do religii przywiązana.

Zastanawiałem się, zanim powyższe uwagi napisałem, czy mnie jako pracownikowi rad narodowych wypada tak szczerze swój pogląd przedstawić. Nie ukrywam, że chwilami przychodziło mi do głowy, że jeśli trochę odchodzić od Października, to może lepiej nie narażać się, bo cóż ja marny człowiek mogę zrobić, jeśli decyzja zapadła "u góry". Przewyciężyłem jednak te małostkowe myśli i uczucia, obrażające, zresztą naszą rzeczywistość. Spełniając swój obowiązek Polaka i obywatela.

tela informując, jak w szym świetle widzę realizację pisma okólnego Ministra Gospodarki Komunalnej. Może źle widzę. Osądźcie to według Waszego widzenia i sumienia polskiego /nie potrzeba katolickiego/.

Zaznaczam, że kopię tego pisma prześlę także któremuś z naszych Posłów sejmowych.

Jan Wojdyła

Liczyłem trochę, że Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich ze swej strony wystąpi do władz w tej sprawie. Tak się nie stało, gdyż Towarzystwo ograniczyło się jedynie do przekazania mojego pisma właściwemu resortowi, czyli głównemu jawnemu szkodnikowi.

Ówczesne władze nie zdecydowały się na jawne wystąpienie przeciwko mnie w związku z tym moim pismem. Użyły bardziej perfidnej taktyki. Spreparowane anonim, w którym podano, że ja mimo wrogiego nastawienia do ustroju jestem popierany przez przełożonych w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, gdzie tkwię dłużej, bym jako wtyczka wrogich ustrojowi się mógł prowadzić szkodliwą dla tego ustroju robotę. Tego anonimu nikt mi nie dał do przeczytania, ale żywcili mi koledzy tak z powiatu jak i z województwa poinformowali mnie o anonimie dodając, że anonim jest związany z moim wystąpieniem w sprawach kościelnych.

Na szczęście dla mnie ówczesny sekretarz POP w Prezydium Powiatowej Rady w Prudniku starszy wiekiem pracownik Teodor Pilch - kiedyś legionista - wziął mnie w obronę wykluczając możliwość mego powiązania z siłami wrogimi ustrojowi. Tak samo przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Józef Falbierski nie ułękł się i nie podporządkował się naciskowi władz wojewódzkich, a dokładnie naciskowi ówczesnego przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu Józefa Buzińskiego domagającego się usunięcia mnie bądź z pracy, bądź przynajmniej ze stanowiska kierownika wydziału gospodarki komunalnej i mieszkaniowej.

Jednocześnie w ramach perfidnego działania przeciwko mnie właściwe "czynniki" dały polecenie wojewódzkiej komórce Najwyższej Izby Kontroli, by poddała kontroli mój odcinek pracy zawodowej celem uzyskania materiału stwierdzającego, że ja zaniedbuje się w pracy i nie nadaje się do pracy na zajmowanym stanowisku. Kontrola takiego materiału nie dostarczyła dzięki temu, że jeden z moich młodych wtedy współpracowników wykazał w ~~wznieku~~ czasie kontroli wyjątkową odwagę i przezerność. Mimo braku odpowiedniej obciążających mnie materiałów z kontroli i mimo odważnej życzliwości moich bezpośrednich przełożonych przestałem być kierownikiem, bo Józef Buziński tego stanowczo domagał się.

Nim przestałem być kierownikiem miałem jeszcze jeden groźny zatarg na tle spraw kościelnych z I sekretarzem komitetu powiatowego PZPR w Prudniku.

Oskarżono mnie przed nim, że nie dopuszczam do zajęcia stodoły przez kółko rolnicze. Stodoła należała do budynków kościelnych a proboszcz podpisał na nią "poufną umowę". Odbył się nade mną "sąd", z którego "wyszedłem cało", gdy "sędziemu" to jest I sekretarzowi w "cztery oczy" powiedziałem o poufnej umowie z proboszczem.

Tak się później złożyło, że oskarżającą mnie pracownicę ówczesnego prezydium gromadzkiej rady narodowej skazano za łapówkarstwo, a Józef Buziński politycznie zapadł się pod ziemię w czasie politycznego trzęsienia ziemi po sierpniu 1980 r. Ja szczęśliwie dzięki Bogu i życzliwym ludziom, których na szczęście jest bardzo dużo, utrzymałem się na tym samym miejscu do wieku emerytalnego. A starałem się zawsze - w miarę ludzkiej ułomności - służyć Bogu - Polsce - ludziom z największym pragnieniem, by Naród Polski wydostał się z resztek "zaprzętej zony" - zakazanej strefy, wprowadzonej przez wschodniego sąsiada. Temu sąsiadom też życzę, by przestał być więzieniem narodów.

Prudnik, dnia 10 września 1989 r.

Józef Wojcylka
© ARCHIWUM WSCHOĐNIE